



Heniek Wciśto powraca
w nowej **śmiertelnej**
rozgrywce!

ŚMIERĆ FRAJEROM

WYROK

GRZEGORZ
KALINOWSKI

GRZEGORZ
KALINOWSKI

ŚMIERĆ
FRAJEROM

WYROK



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Epilog

Posłowie i podziękowania

Przypisy

Redaktor prowadzący
Rafał Bielski

Redakcja i korekta
Anna Mieczkowska

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©Ysbrand Cosijn/Shutterstock

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021
© Copyright by Grzegorz Kalinowski, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66939-66-0



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 2519

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dedykuję Przyjaciołom,
którzy trzymali za mnie i Heńka kciuki,
oraz „Kryminalistom Retro”
za trzymanie poziomu i popularyzację historii.
Fajnie jest być częścią tej bandy!

Krzyczeli: „Polska! Polska!” (...)

(.....)

Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka –

I przeraził je wszystkie, zapytawszy: „Jaka?”

Juliusz Słowacki *** [Krzyczeli: „Polska! Polska!”]

Racja jest jak dupa. Każdy ma swoją.

Józef Piłsudski

PROLOG

Legiony to żołnierska nuta

Legiony to ofiarny stos

Legiony to żołnierska buta

Legiony to straceńców los.

My Pierwsza Brygada,

marsz I Brygady Legionów Polskich

Andrzej Brzuchal-Sikorski

Ja też potrafię w mordę bić.

Józef Piłsudski

Warszawa
18 kwietnia 1936

Wacław Pęga, portier w hotelu Victoria, myślał, że to będzie zwykły wieczór, nudny, jakich wiele, ale tę nudę rumiany, postawny mężczyzna, którego skronie pokrył już szron siwizny, bardzo sobie cenił.

Pracując w Victorii, nie można było się spodziewać nadzwyczajnych napiwków, bo ich hotel nie był przecież żadnym tam ważnym miejscem, więc i sytuacji nadzwyczajnych brakowało. Porządny hotel, ale bez bajerów, nocnego życia, bez kabaretu, teatrzyku, modnej kawiarni. Żadnych sensacji, panienek, burd, wyczekującego przy drzwiach sznura taksówek i dorożek. Nie szturmowali drzwi Victorii nowobogaccy, którzy, a i owszem, potrafili sypnąć groszem, ale równie często nie potrafili się zachować. Problem rozwydrzonych, trzymających wysoko nosy klientów nie dotyczył Victorii, nie był więc też problemem Pęgi. Kiedyś, gdy był młodszy, to myślał o tym, żeby może pójść do jakiego pierwszorzędnego hotelu, Europejskiego, Bristolu czy Polonia Palace, ale mu przeszło, i to nawet bardzo szybko. Bo familiarna, nieco senna atmosfera panująca w Victorii była ważniejsza od paru groszy więcej i blichtru, którego częścią, a konkretnie tłem, można było zostać tylko pod warunkiem, że się zaiwaniało w tę i we w tę, a jeśli się nie biegało, to trzeba było sterczeć na baczność, być jednocześnie pilnym i wesołym jak cyrkowy pudel. Nie znaczyło to jednak, że Wacław Pęga był lewusem, który szukał sposobności, by się w pracy objąć – po prostu nie chciał być napięty jak guma od majtek. Zbyt wesoła atmosfera też mu nie odpowiadała, myśl o pracy w hotelu położonym przy kabarecie albo blisko zagłębia rozrywkowego, takim jak Metropol na rogu Marszałkowskiej i Złotej, przerażała go jeszcze bardziej. Gdyby lubił teatrzyki i szynki, toby do nich chodził, a on lubił się napić u siebie na dzielnicy, przy Chłodnej.

Tak na co dzień po pracy chodził na pięćdziesiątkę do Pięćdziesiątki, oczywista na Chłodną pod numerem pięćdziesiątym, i ma się rozumieć nie jedną, bo na jedną, to szkoda zachodu, tylko dwie przynajmniej i obowiązkowo piwko z Haberbuscha. Grzechem byłoby nie wypić kufelka, skoro browar był

o krok. Jak mu kiedyś żona Maryla, z domu Reksza, powiedziała, żeby sobie w końcu tę pięćdziesiątkę darował, to zaczął chodzić na Wronią, bo tam był lokal, co się nazywał Czterdzieści Dziewięć. Wronia 49, więc po co właściciel, pan Babisz, miał wymyślać jakieś nowomodne nazwy – postąpił podobnie jak pani Maciejewska z Pięćdziesiątki. Te nazwy to dla nich, miejscowych, co mieszkali na Chłodnej, Wroniej i Ogrodowej. Zabawne to było, bo oba lokale dzieliło od siebie ledwie sto metrów. To chrześcijańskie lokale były, choć dzielnica wymieszana, starozakonnych to momentami nawet więcej, ale się żyło jakoś, tyle że oni świętowali w soboty, a chrześcijanie w niedziele. I właśnie w niedzielę zmieniał lokal. Nie w każdą, bo czasem pracował, a poza tym to było troszkę droższe miejsce, ale mniej więcej raz na miesiąc szedł z żoną i córką na Wronią do restauracji Bar Gdynia, też dwa kroki od domu. Mieszkali przy Chłodnej pod trzydziestym czwartym, w oficynie co prawda, ale za to na drugim piętrze, a nie gdzieś pod dachem. Waclaw Pęga po prostu nie lubił się kręcić i praca w Victorii właściwie miała tylko jedną wadę – że hotel nie stał przy Chłodnej albo Wroniej. Wtedy wszystko byłoby w kupie: mieszkanie, praca, bar i parafia, bo kościół parafialny pod wezwaniem Karola Boromeusza też był przy Chłodnej, ma się rozumieć!

Ale to hotel miał pierwszeństwo, bo zanim Pęga zamieszkał przy Chłodnej, zanim miał odpowiednie lata i własny pieniądz, za który mógł sobie kupić wódkę i piwko, to wpiery zatrudnił się w Victorii. Zaczął tam pracować jeszcze w czasach, gdy przy Jasnej 8¹ wisiał szyld **Отель Виктория**. Miał szesnaście lat, gdy tu przyszedł, był rok 1877, rządził jeszcze car Aleksander II, a on, Pęga, miał przeżyć nie tylko jego, lecz także dwóch kolejnych, a nawet prezydenta Narutowicza i marszałka Piłsudskiego. Przepracował sześć lat, zanim zrobiono wielki remont, a artysta Gerson wymalował te swoje gołe obrazki. Ludzie oglądali widoczki z zapartym tchem, wyobrażenia Deszczu i Rosy to miały takie cycki, że hej! Bo ta, co przedstawiała Kanał Sueski, już nie była taka urodziwa, ale przecież jakby co, toby jej z łóżka nie wyrzucił. Ech, gdyby dzisiaj się taka trafiła... A potem jeszcze jeden remont nastąpił, a później wojna światowa. Pęga i bombę niemiecką, która ze sterowca trafiła pomnik Łajdaków, pamięta, i usunięcie tego carskiego tałatajstwa, pomnika znaczy się, i wiec z Piłsudskim, i to, że się tu poselstwa rozmaite mieściły tych, co to nieludzkimi językami mówili, Łotyszów i Węgrów. I Ukraińcy tu też przez jakiś czas byli, no ale ich to rozumiał jak trzeba, nawet jak po polsku albo rusku nie mówili, tylko po ichniemu. Nie ma się co dziwić, że ci dyplomaci u nich mieszkali, bo nie było aż tak drogo, a przecież reprezentowali nie żadne bogate kraje, tylko te z tych

biedniejszych, Ukraina to na dobrą sprawę nawet nic nie miała, żeby w najdroższych hotelach się urządzać. Niedrogo, a jednocześnie dobra renoma, solidność, no i, co najważniejsze, było czysto. Restauracja zacna, czasem się tu śpiewacze występy odbywały, może dlatego ten pianista Rubinstein się tu zatrzymywał, nawet zagrał tu koncert, no tak, ale to jeszcze za cara chyba było. Więc to porządne miejsce, a nie jakieś fiu-bździu, Francja-elegancja czy po prostu burdel, bo blisko placu Pięciu Rogów i na Chmielnej to bardziej burdeliki niż hotele były. Tu nocne marki i amatorzy mocnych wrażeń nie mieli czego szukać, z kolei klient tu mieszkający oraz personel, czyli także i on – portier Wacław Pęga, mogli liczyć na spokojne wieczory i noce, bez ekscesów i awantur, ale jak to się mówi: jak ktoś ma pecha, to i w kościele w mordę dostanie. A w drugą stronę działało to tak, że jak ktoś lubi wypić i awanturny jest, to wszędzie może zrobić popis, nawet w szykownym, spokojnym miejscu, jakim jest hotel Victoria przy Jasnej numer osiem. I może to być byle chłystek, studenciak, kupiec, który przyjechał w interesach, albo wojewoda Wipler w delegacji. Przyjaciół wszystkich świętych kół rządowych strasznie popił i z kolejnego lokalu, czyli z Ziemiańskiej, po prostu go wyrzucili. Wyrzucili, bo mogli – przecież ci wszyscy artyści, każdy to wiedział, to byli przyjaciele generała Wieniawy, a Wieniawa zaufanym Marszałka, więc co to dla nich był wojewoda? Tyle, co dla nich, z Victorii, jakiś burmistrz z małej dziury. Więc jak temu wojewodzie Wiplerowi, na imię mu chyba było Waldemar, kazali się wynosić z Ziemiańskiej, to on jeszcze się tu jakoś dowłókł i narozrabiał. Bardziej próbował, niż narozrabiał, bo w końcu usnął w restauracji, a jak się go chciało grzecznie obudzić i poprosić o adres, że się go odeśle dorożką, to przeklinał i kazał się odfajkować, bo on tu będzie spał. Tu, na sali restauracyjnej, no bo gdzie? Nie był zameldowany w Victorii, więc jak by to miało wyglądać? Siłą go do pokoju zaciągać? A gdyby potem powiedział, że sobie tego nie życzył i by nie chciał zapłacić? Zresztą i tak komplet był. Za drzwi go mieli wyrzucić? Mogli, a nawet powinni, bo zimno nie było, ale kierownik zabronił.

– Skoro to wojewoda, to niech robi, co chce, niech śpi na krześle, jeśli ma takie życzenie! – powiedział szef.

– Ale się nie wyśpi na tym krześle – tak uważał kuchmistrz.

– To go pan weź i zanieś, tylko nie wiem dokąd, a poza tem jak pana obrzyga, to dopiero będzie, wiesz pan, że z pijakiem to jak z bombą.

Trudno było kierownikowi odmówić racji, więc postanowili, że wojewoda zostanie. I został. Ale tak felernie spał, że się osunął, przypalantował swoim ciężkim od wódki wojewódzkim łbem o stół, a potem zleciał na podłogę. Kiepeła

rozbita, cały potłuczony, a w szczególności tyłek i plecy, na dodatek się jeszcze okazało, że nie ma portfela!

Aferka się zrobiła, taka na sto dwa! Policję wzywał i nadawał funkcjonariuszom, że go w hotelu pobili i okradli. Nie wiadomo, co by było, bo to jednak wojewoda był, ustosunkowany, kuty na cztery łapy, więc policja od razu do nich z gębą jak do bandytów jakichś, że one go tu przetrzymali i uwięzili! Jak to hinty powiedzieli, to ten wojewoda się od razu ożywił, cugu umysłowego doznał i dalej bajki opowiadał, że nie tylko przetrzymali i uwięzili, ale i porwali! No i dalej od nowa, że pobili i okradli. Trajkotał jak przekupa, aż się zmęczył i spocił, skrzywił się i powiedział, że od tego pobicia to go łeb boli i mu niedobrze, i że go pali.

Nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, bo zaczął coś o znajomościach mówić, że wszystkich do Berezy Kartuskiej wyśle, i na Bronisława Pierackiego, ministra spraw wewnętrznych, się powoływać. I właśnie wtedy się okazało, że to blagier, pijak i łobuz. Tak się schlał, że zapomniał, że się zalał ze smutku po tym, że ministra Pierackiego ciężko ranili, że umierający w szpitalu leżał! To było 15 czerwca 1934 roku, w dzień kiedy go jakiś chachoł postrzelił na Foksal. Wojewoda przyjechał do stolicy pod wieczór i w intencji cudownego ozdrowienia ministra poszedł w lekki gaz z kompanią, a później solo. Pewnie nie planował, ale im się zwyczajnie zgubił – poszedł do toalety w Adrii, po schodach w górę się wygrzebał i jak już się na ulicy rozpędził, tak go zniosło do Ziemiańskiej, a stamtąd do Victorii. Niezły łazik i jak się odrysowało jego trasę, to wyszło na to, że w kółko chodził! Gdy to usłyszeli policjanci, to spuścili z tonu, już nie oskarżali personelu Victorii o zamach stanu i porwania, tylko poszli rozpytać o niego do Ziemiańskiej, a tam właśnie jego portfel znaleziono. Krewa i tyle, ale ten wojewoda to jakiś pułkownik był, jak prawie wszyscy teraz w kołach rządowych, więc zamiast przeprosić, to jeszcze kłął pod nosem i się odgrażał do samego końca. Tak to się z temi wojskowemi porobiło, zwłaszcza z oficerami, co poszli na posady państwowe, pooblepiali wszelkie instytucje i zrobili się nie tylko bogaci, ale i hardzi. Ale te młodsze też nie lepsze, bo szwagier Pęgi, co w policji pracował, opowiadał, że mają z nimi straszne problemy. Jak się popiją, to robią awantury, funkcjonariuszy za nic mają, jak carskie się zachowują. Były przypadki, że wojskowi potrafili obić funkcjonariusza na służbie, a mówiono, że w Radomiu na jakiejś mszy państwowej czy innej takiej bardziej oficjalnej oficer wojska kazał przenieść z pierwszego rzędu oficera policji, bo to tylko policjant jest, a nie wojskowy.

Tak się porobiło, i to nie od wczoraj, od zamachu majowego tak się to zmienia

z roku na rok. Jak raz właśnie dzisiaj się wycieczka oficerska zesła. Zdawało się, że na obiad. Na późny obiad z wódeczką. A później na kolację, ma się rozumieć też z wódeczką. *Cholera wie, czemu tu trafili* – myślał Pęga. Tyle sławnych i rozrywkowych lokali jest w okolicy, a oni wpasowali się do nich. Dwudziesta druga, w sumie już nie tylko powinno się zamknąć restaurację, lecz także bezwzględnie przestać podawać alkohol, ale oni nie mieli zamiaru wychodzić. Bawili się, żadnych śpiewów i harców, ale był w nich upór i nie zamawiali, tylko wydawali rozkazy. Cała czwórka – dwóch młodych kapitanów i dwóch jeszcze młodszych poruczników – zachowywała się tak, jakby była nie w restauracji, ale w wojskowym kasynie! Jak na nich patrzył, to przez skórę czuł, że letko nie będzie. Tylko obecność damy ich hamowała, to zdaje się żona jednego z nich była, przyszła, gdy już byli pod dobrą datą. Na jej widok trochę się ustatkowali, ale mimo to ta młoda dama chciała zakończyć bankiet. Prosiła, ale jej mąż – no musiał to być jej mąż, boby się tak kapitan wieczorową, a w zasadzie nocną porą z panią nie pokazywał – był na jej prośby nieczuły, co więcej, jakby na przekór chciał pokazać, kto tu rządzi! Zaczęło się od tego, że próbowali śpiewać i tańczyć, sami tańczyli, kapitanowie kazali porucznikom tańczyć do pary, a ona, ta pani, nie chciała. Siedziała z boku obrażona. Tańce się skończyły, wychylili na baczność po stopce wódki i zamiast usiąść, to jeszcze sobie kazali nalać, jeszcze bardziej się wyprężyli i...

Legiony to żołnierska nuta

Legiony to ofiarny stos

Legiony to żołnierska buta

Legiony to straceńców los.

Jak wojskowi śpiewają Legiony, to już znaczy się grubo jest – pomyślał Pęga. Śpiewali jak wtedy w maju 1926 roku, kiedy zamach wisiał w powietrzu. Oficerowie chodzili po Nowiku i po kawiarniach śpiewali Pierwszą Brygadę, a kto nie śpiewał, to brał w łeb. Cały lokal na baczność i śpiew! Wtedy się to zaczęło, a ci teraz – jak uczniowie tamtych, którzy dzisiaj są pułkownikami i generałami. Ci to jeszcze porucznicy i kapitanowie, taka Czwarta Brygada², tak się o nich mówi, bo nie służyli w legionach, byli wtedy dzieciakami, ale teraz zachowują się jak wiarusy i śpiewają, jakby wyszli z Piłsudskim z Oleandrów.

My Pierwsza Brygada

Strzelecka gromada

Na stos rzuciliśmy

nasz życia los

Na stos na stos.

Śpiewali i kazali kelnerom sobie towarzyszyć. Kucharz, gdy na swoje nieszczęście wyrzał na salę, też musiał stanąć na baczność. Wszystkie zwrotki musieli odśpiewać, od pierwszej do ostatniej, a na koniec jeszcze dołożyli tę specjalną.

*Nie chcemy już od was uznania,
Ni waszych słów, ni waszych łez,
Skończyły się dni kołatania,
Do waszych serc – jebał was pies!*

Jak śpiewają tę zwrotkę, to znaczy, że mogą być kłopoty! I się zrobiły, bo panowie oficerowie chcieli koniecznie jakiś konkurs urządzać i kazali sobie otworzyć salę bilardową, wydać kije i kule. Czemu nie poszli do Zodiaka? Tam też się gra w bilard! Innym może by się tak powiedziało: „idźcie na Traugutta, tam dłużej otwarte”, ale nie było odważnych, bo ci uchachani szli z kijami jak na bitwę. Ta młoda pani chciała swojego oficera namówić, żeby zaniechali, że czas do domu. Wtedy weszło do sali dwóch cywilów. Z ulicy się wpasowali, szli pewnie i jak zobaczyli, że lokal otwarty, to postanowili skorzystać. Ten starszy wyglądał jak urzędnik czy kupiec, poważnie dość, z wąsem, miał pewnie ze cztery dyszki i więcej, drugi szczupły, sportsmen, elegancko ubrany, tak bardziej filmowo jak Bodo czy Brodzisz, tyle że tamci wąsików nie noszą, a ten jak raz miał, taki przystrzyżony, widać, że dobry fryzjer to obrabiał. No i weszli, ale wojskowy, ten kapitan, co go żona do domu ciągnęła, coś tam do nich, że zamknięte, a na to ten starszy cywil, że widzi przecież, że otwarte. A z kolei drugi się uklonił tej pani kapitanowej, bo się okazało, że się znają. Bardzo serdecznie się przywitali, że aż się temu kapitanowi nie spodobało. Jakaś gadka z tego wyszła taka, że od słowa do słowa zaczęło się robić jak w jakiejś resursie dorożkarskiej, a nie w porządnym hotelu. Oficer szarpnął żonę, ona się wyrwała, ten młodszy cywil się w to wtrącił, a trzech kolegów kapitana przyszło z sali bilardowej. Ten starszy próbował za rozjemcę robić, ale o mało nie oberwał kijem, szybko wtedy złapał za kulę i użył jej jak kastetu. Porucznik jak zaliczył w głowę, to się osunął na podłogę, wtedy jego kolega dosięgnął starszego cywila kijem, ale nie za mocno, więc ten rzucił się na niego jak zapaśnik. Zaczęło się, jakby to było na Czerniakowie albo gdzieś na dechach, jak wtedy z dziesięć lat temu, gdy Pelcowizna naparzała się z Targówkiem. Pojechał wtedy do szwagra

i zobaczył to widowisko. Normalnie wojna była taka, że wojsko z koszar przyszło, ale stanęło na tym, że oficerek w puzon dostał i tak się jego wchodzenie między wódkę a zakąską skończyło. Policja też nie dała rady, bo taki tłum się naparzał. Wtedy były tłumy, dzisiaj tylko sześciu chłopca, a zamiast lag i sztchet kije bilardowe i krzesła. W sumie to już tylko pięciu, bo jeden, ten porucznik, co oberwał kulą bilardową przez łeb, chodził na czworakach, a gdy się próbował podnieść, to zaraz opadał na cztery łapy. Tamtych z Pelcowizny i Targówka dopiero straż ogniowa uspokoiła, wodą zlali towarzystwo i wtedy się skończyło.

Portier Pęga pobiegł do hydrantu, chciał w ten sposób zagasić ten pożar, który zaczął trawić lokal. Łamały się krzesła, kije, jeden z oficerów został rzucony na stół, a ten złamał się z trzaskiem drewna i brzękiem tłuczonej zastawy. Portier miał już krzyknąć „stać, bo będę lał”, ale rozległ się huk i poczuł jednocześnie rwący ból w ramieniu i jak jakaś ogromna siła rzuca nim o podłogę, poczuł, jak coś gęstego oblewa jego ciało. Portier hotelu Victoria Wacław Pęga stracił przytomność i ostatnie, co pamiętał, to plakat reklamujący pierwszy rejs polskiego transatlantyku Batory i że nie stać go na taki luksus, za to jego krew jest lepka i słodka.

Port w Wenecji **21 kwietnia 1936**

Jarosław Mizerski, młody reporter prorządowej gazety „Polska i Świat”, był podniecony, bo trafił do wielkiego świata. Patrzył na spektakl z zapartym tchem. Nabrzeże zalane było deszczem, który niedawno przestał padać, a słońce z trudem przebijało się przez unoszącą się w powietrzu mgiełkę, było za to dość ciepło, choć poranki nad morzem potrafią dać w kość. Ale nawet gdyby wciąż padał deszcz i było zimno, to i tak nastrój byłby podniosły, bo tu się dzieła historia. Polski transatlantyk Batory miał wypłynąć w pierwszy rejs. Wzruszenie z powodu pięknego okrętu, którego żółte... nie żółte, ale złote kominy odcinały się na błękitnym niebie – jak tak napisze, to będzie lepiej – było tym większe, że orkiestra zagrała *Mazurka Dąbrowskiego*, a później poprawiła *Pierwszą Brygadą*, patriotyczne uniesienie sięgnęło zenitu i nie opadało, podtrzymywane kolejnymi pieśniami, melodiami i przemówieniami. Nie było tłumów – tłum zniknął, bo wszedł na statek, ale został mu w pamięci i o tym tłumie przeczytają Polki i Polacy w „Polsce i Świecie”. Po morzach pływał już starszy brat Batorego

– Piłsudski, ale nie umniejszało to dumy i zachwytu nowością, bo jeden polski okręt na oceanach można było traktować jako coś incydentalnego, przypadkowego, ale dwa to już było jasne jak słońce, że należymy do wielkiego morskiego świata, że podbijamy morza, że kolonie i panowanie nad dalekimi krainami i wyspami nie są mrzonką, są jasno sprecyzowaną przyszłością Polski.

Stojący na nabrzeżu Mizerski czuł to samo, co reporterzy gazet z całej Polski – każdy z nich zazdrościł kolegom, którzy byli na pokładzie, ale czując złość i rozczarowanie, nie spuszczały z tonu. Wprost przeciwnie – z zapamiętaniem notowali ołówkami, aż łamały się grafitowe czubki, układali w głowach kwieciste zdania, wyłapywali z tłumu godne opisanie sylwetki notabli i prostych, wzruszonych ludzi. Pracowali w pocie czoła, wyężdżając umysły, by kiedyś znaleźć się tam, kilkadziesiąt metrów nad lustrem wody, wśród pasażerów statku. Nie zwykłych pasażerów, ale ludzi uprzywilejowanych, których stać było na turystyczny rejs, arystokratów takich jak Potoccy i Tarnowscy, przemysłowców i bogaczy, wśród tych, którzy byli reprezentantami narodu na pływającej ambasadzie Polski. Na Batorego zaokrętowano Kossaka, Eichlerównę, Szyfmana, Struga, Fiedlera oraz rodzinę Żeromskich. Byli i dziennikarze, a wśród nich najjaśniejsza gwiazda – Melchior Wańkiewicz. Nie było Dołęgi-Mostowicza, ale on ma na pieńku i z innymi pisarzami, i z władzą. Trzeba więc pisać tak, by nikt nie miał wątpliwości, że zasługuje się na nagrodę, jaką jest wysłanie na reporterską relację z rejsu Batorem.

Rozległy się gwizdki, rzucono cumy, zawarczały motory, śruby zaczęły rozrywać wodę, naprężyły się liny holowników. Mierzący sto sześćdziesiąt metrów długości kolos ruszył z miejsca, wioząc ponad tysiąc ludzi: siedmiuset dziewięćdziesięciu sześciu pasażerów i trzystu pięćdziesięciu marynarzy i osób obsługi w rejs z Wenecji do Gdyni, zawijając po drodze do Dubrownika, Barcelony, Casablanki, Funchal i Londynu. Stefan Zajączek miał już swój tytuł: *Szlakiem Marszałka przez Maderę do Polskiego Okna na Świat*. Wszystko inne jest nieważne, skoro można nawiązać do osoby Marszałka. Był pewien, że tym tytułem i relacją zapewnił sobie nie tylko udział w powitaniu Batorego w Gdyni, co ma nastąpić za trzy tygodnie, trzynastego maja, lecz także miejsce na liście kandydatów na kolejny rejs – do Nowego Jorku.

Granica polsko-niemiecka
23 kwietnia 1936

To było tuż po jego powrocie z placówki. Był bez przydziału, więc wzięto go jako obserwatora akcji wymiany, która odbyła się na stacji granicznej Bentschen³. Pojechał z Nowego Tomyśla do niemieckiego Schwiebus pod przykrywką przedstawiciela handlowego fabryki siatek żarowych. Człowiek, na którym była skupiona uwaga, wysiadł z berlińskiego pociągu i poszedł do dworcowej knajpy, gdzie wziął coś z lady cukierniczej i zamówił do tego herbatę. Cały czas miał dyskretną obstawę czterech agentów, którzy wraz z nim podróżowali pociągiem. Ledwo dopił herbatę i wyszedł z dworca, a już zapakowali go do osobowego auta, które podjechało wraz z trzema furgonetkami. Pojawiły się nagle, dosłownie znikąd, pewnie na jakiś niewidoczny sygnał.

Sokołowski musiał przyznać, że był to niezwykle pokaz niemieckiej precyzji. Wiedział, że człowiek, który przyjechał pociągiem, dołączył do jedenastu polskich więźniów politycznych. Mały konwój pojechał w kierunku Nowego Tomyśla i przejścia granicznego. Sokołowski wsiadł na motocykl i pojechał za nimi. Po drodze ich wyprzedził, po czym bez przeszkód minął przejście graniczne. Przy samym szlabanie stał dziwny pojazd, jakby fiat 508, ale bez burt, miał nieco większe koła i prześwit oraz opony na grubym bieżniku. To musiał być jeden z prototypów, które sprawdzano przed wprowadzaniem do masowej produkcji dla wojska. W środku siedzieli kierowca i dwóch oficerów, ale Sokołowski wiedział, że prawdziwy komitet powitalny jest kilkadziesiąt metrów dalej. Za zakrętem drogi, pod drzewami stały auta, dwa osobowe i trzy furgonetki. Podjechał tam, zsiadł z motocykla i podszedł do jednego z samochodów, szyba się opuściła i rozległ się głos:

– Jak tam, majorze, wszystko w porządku?

– Tak jest, panie majorze – powiedział służbiście, bo choć byli równi stopniami, to Stefan Rój-Kordyjewicz był tu szefem. – Rotmistrz wsiadł do drugiej furgonetki, dołączył do polskich więźniów, których wiozą z aresztu w Schwiebus.

– Widzi pan, jednych wiozą z prowincjonalnego aresztu, innych prosto z Berlina.

Brzmiało to jak wyrzut, zawierało ocenę i wzbudziło niepokój Sokołowskiego. Na dalsze rozmyślenia nie było czasu, bo do samochodu podszedł człowiek w płaszczu, który nie zapanował nad sobą i zsalutował do kapelusza.

– Panie majorze, idzie!

– Poruczniku, nie jest pan w mundurze! – warknął Stefan Rój-Kordyjewicz, po czym wysiadł z samochodu. On akurat był w mundurze, może dlatego

porucznik po cywilu nie potrafił się powstrzymać. Wziął w rękę lornetkę, którą mu podał porucznik, i spojrzał na przejście graniczne. Niemieckie furgonetki nie podjechały pod samą granicę, zatrzymały się jakieś dwadzieścia, może trzydzieści metrów od szlabanów, auta opuścił tylko jeden człowiek. – To on? – zapytał major Rój-Kordyjewicz i przekazał lornetkę Sokołowskiemu.

– Tak, to on – potwierdził Sokołowski.

Stefan Rój-Kordyjewicz dał znak ręką. Z polskiej ciężarówki wysiadł cywil i nie patrząc na żadnego z otaczających go ludzi, ruszył przed siebie. W tym samym momencie ruszył także człowiek, który był po drugiej stronie granicy. Wartownicy po obu stronach wiedzieli, co mają robić, po prostu przepuścili mężczyzn, którzy minęli się między szlabanami, na ziemi niczyjej.

Był czwartek, 23 kwietnia 1936 roku, kwadrans na pierwszą. Dopiero kiedy obaj mężczyźni wsiedli do aut, z furgonetek po obu stronach granicy wysiedli cywile, po polskiej stronie dziewięciu, po niemieckiej dwunastu, teraz i oni ruszyli w kierunku szlabanów. Co było dalej, Sokołowski nie widział, bo odpalił motor i pojechał w ślad za samochodem.

ROZDZIAŁ I

*My Czwarta Brygada
Lokajska gromada
Na rzeź ruszyliśmy
Napychać trzos,
Bo mamy nos⁴.*

*Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy.
Józef Piłsudski*

Warszawa

1936

Jadący Krakowskim Przedmieściem tramwaj linii numer 1 zwolnił i zatrzymał się na przystanku przy Królewskiej. O tej porze – wczesnym rankiem – wysiadło niewielu pasażerów, ale nawet gdyby był ich tłum, to Wincenty Sokołowski zwróciłby na siebie uwagę. Był wysokim, przystojnym mężczyzną w zielonym wojskowym mundurze, do którego regulaminowego kroju jakiś zdolny krawiec dodał szyku i elegancji, na pagonach dystynkcje majora, a na głowie niezwykła jak na oficera czapka, bo nie rogatywka, ale okrągła „angielka”. Rogatywek nie nosili tylko lotnicy i marynarze oraz żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza i szwoleżerowie. Zieleń munduru wykluczała, że jest marynarzem lub lotnikiem, pozostawały zatem dwie ostatnie formacje. Tych pierwszych w Warszawie się nie widywało, tych drugich, owszem, ale o tej porze to raczej blisko Agrykoli, bo tam były koszary 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Sokołowski był jednym z nich, o czym świadczył amarantowy otok na czapce, w której dziarskim krokiem oddalał się od miejsca stacjonowania pułku, a zbliżał do pałacu Saskiego, jakby wezwano go pilnie do Sztabu Głównego, tyle że o tak wczesnej porze nikt nikogo nie przyjmował. Była siódma rano, więc musiałaby to być sytuacja nadzwyczajna. I była, ale nie dla całej armii, tylko dla Oddziału II Sztabu Głównego, czyli wywiadu, w którym od kilkunastu lat służył Sokołowski.

Obciążono go niezwykłą odpowiedzialnością, bo uczyniono arbitrem w sprawie, która mogła kosztować życie oficerów i agentów wywiadu oraz reputację państwa. Straty w ludziach, kryzys dyplomatyczny, ciężkie miliony złotych i kto wie, może nawet przyszłość tysięcy ludzi, którzy mogli trafić na bruk – to wszystko było na jego głowie, więc odkąd o świcie wstał z łóżka, nie myślał o niczym innym. Kiedy poprzedniego dnia późnym wieczorem dowiedział się o swoim zadaniu, w pierwszym odruchu chciał od razu sięgnąć po teczkę z raportami i rzucić się do pracy. Szybko jednak powściągnął swój zapał, bo doszedł do wniosku, że musi do tego podejść spokojnie, przede wszystkim odpocząć, dobrze się wyspać i z samego rana, wypoczęty, z otwartą głową przystąpić do pracy.

Sokołowski starał się nie zaprzętać głowy innymi tematami, ale miał sposobność przemyślenia wielu spraw, gdyż już sama nazwa placu Saskiego prowokowała do wewnętrznego monologu. Tak właśnie myślał: plac Saski! Bo dla niego wciąż był to plac Saski, a nie plac Piłsudskiego, którym był od roku 1928. Pułk Piłsudskiego, plac Piłsudskiego, pomniki za życia, a po śmierci Wawel. Ten pochówek planował od dawna, dlatego tak mocno zaangażował się w przekonanie Kościoła, by pochować tam bezbożnika Słowackiego, i podczas pogrzebu przejął rolę mistrza ceremonii. To on cytował fragmenty *Króla-Ducha* i wprowadzał wieszczą między monarchów, mówiąc, że *królom był równy*. Skoro Słowacki, którego namaścił Piłsudski, znalazł się między monarchami, to czemu nie on sam! Wtedy właśnie zaczął się kult Marszałka, zbawcy i ojca narodu, połączony z sekowaniem konkurentów, którzy mogliby mu zagrozić w drodze do niepodzielnego rządu nad duszami Polaków. Irytowało go to, czasem wręcz wściekało, a przecież był wiernym żołnierzem Marszałka i znał go osobiście z czasów, gdy znali go tylko nieliczni, ale do nazwy placu, tych wszystkich honorów i kultu, który rósł z każdym dniem, przyzwyczać się nie potrafił. Wszystko, co się działo, to był jakiś skandaliczny wyścig, a raczej kolejny etap, który zaczął się zaraz po zamachu majowym. I znów: nazwa, określenie, definicja. Ktoś na jego stanowisku powinien nie tylko mówić, ale i myśleć „wypadki majowe”, ale on dokładnie wiedział, co się wydarzyło w maju 1926. To było złe, ale jeszcze gorsze rzeczy zaczęły się dziać później, bo Ziuk dogadał się z arystokracją i nie znosił krytyki dawnych przyjaciół. Jednego z nich – Stanisława Wojciechowskiego – w końcu usunął z urzędu prezydenta. Miejsce starego wojska, które w trzech brygadach legionów stało u jego boku, kiedy to jeszcze nie było modne, zajął tłum pochlebców, których zgorzkniali i rozczarowani weterani legionów z Krakowa obwołali w swojej gazecie „Czwartą Brygadą”. Zabawny wierszyk napisali; zabawny i jakże dojmujący! Tak prawdziwy, że im to pisemko zamknęli. To był dla majora Sokołowskiego sygnał, że rok 1926 nie spełnił oczekiwań. Jedną prywatę zastępowała druga, a ten i ów podczas zakrapianych bankietów, kiedy już pod dobrą datą mówił prawdę i tylko prawdę, potrafił z zatrwającą szczerością wyznać: „teraz rządząmy my, czy się to komuś podoba czy nie, nasza droga jest jedyna słuszna”. Mówili to z pewnością, jaka towarzyszy katolikom, kiedy mówią o nieomyślności papieża, albo komunistom, którzy chcą siać światową rewolucję. Ale oni nie chcieli niczego siać, bo byli zaściankowi, zachwyceni sobą. Wystarczy, że byli, i świat miał ich podziwiać. Ci najszczerzy, a raczej przekonani o sile i nieomyślności kończyli bankietowe toasty, śmiejąc się „teraz, kurwa, my!”. Kompetencje nie

były tak ważne jak koleżeństwo, wszystko jedno jakie – legionowe, po rodzinie czy wchodzeniu w tyłek.

Wszystko to wzięło się z tego, że Marszałek nie potrafił uporządkować życia politycznego, przegrał w sejmie, czego nie mógł pojąć jako ktoś, kogo wielu uważało za zbawcę narodu. Żeby tylko emerytowanego, takiego, który siedzi w Sulejówku, ale jemu szybko się taka rola znudziła i w 1926 roku poprowadził wojsko na Warszawę. Wielu wtedy musiało podejmować dramatyczne wybory – iść z Marszałkiem, którego kochali, czy stać przy prezydencie i premierze, którzy legalnie sprawowali władzę. I była jeszcze trzecia droga – strzelić sobie w łeb! Kto to wie, jak by wtedy wybrał i jak by się potoczyły jego losy i kariera, ale był wówczas na zagranicznej placówce w Helsinkach, a później zaniósł go do Rygi i Sztokholmu, z drobnymi przerwami z dziesięć lat za granicą. To było jak los wygrany na loterii, bo ominęło go i to, co się stało w maju 1926, i późniejsze wydarzenia, które jeszcze mniej przypadły mu do gustu: aresztowanie posłów i procesy, a później uwięzienie ich. Wtedy jeszcze w zwykłych więzieniach, bo Bereza Kartuska ruszyła w 1934 roku, czyli jeszcze przed jego powrotem. Owszem, bolszewików i zdrajców widziałby za jej bramami, ale polityków, związkowców... Nie po to kiedyś byli socjalistami, nie o to szło w POW! Parę razy myślał o tym, żeby rzucić mundur w diabły, i zrobiłby to, gdyby nie oni – bolszewicy i Niemcy. Mieli, skurwysyny, dobre wtyki, na tyle dobre, że nie ustalił, kto mógł im to powiedzieć, a może po prostu sam dawał zbyt wiele dowodów jeśli nie niezadowolenia, to przynajmniej zwątpienia i te dranie poważyły się zaproponować mu przejście na ich stronę! Jedni i drudzy, jakby się zmówili, zrobili z niego cel gry operacyjnej, a on sporządził stosowny raport. Chciał z nimi pograć, ale szefowie Dwójki – zupełnie jakby w zмовie z jego żoną, która pragnęła stabilizacji i zaniechania wojaży – zakończyli jego misję.

Wszedł na dziedziniec pałacu Saskiego, który stanowił zachodnią ścianę placu i oddzielał go od Ogrodu Saskiego. Budynek składał się z dwóch skrzydeł połączonych kolumnadą, pod którą znajdował się Grób Nieznanego Żołnierza. Miał szczęście – to nie on tam spoczywał, wrócił do domu, nie został nawet poważnie ranny. Wiele ważnych decyzji nie zależy od nas, bo rozporządza nami loteria albo czyjś wybór. Były trzy trumny bezimiennych kandydatów, których ekshumowano z Cmentarza Łyczakowskiego. To, który z nich spocznie pod arkadami pałacu Saskiego, zależało od wyboru matki młodego żołnierza⁵, który poległ i został pochowany nie wiadomo gdzie. Jak się okazało, padło na czternastoletniego dzieciaka. I teraz ten bezimienny chłopak jest Nieznanym Żołnierzem, ot, taki pośmiertny los i honor. A co się stało ze szczątkami tych

dwóch, którzy nie zostali wybrani do tego honorowego pochówku? Nie wiedział. Chyba nikt z zapytanych ludzi, którzy odwiedzali Grób Nieznanego Żołnierza, nie miał pojęcia, co zrobiono z dwiema pozostałymi trumnami. *Ot, życie – pomyślał Sokołowski – w którym nie zawsze wszystko od Ciebie zależy, ale jeśli masz szansę, to możesz wszystko odmienić.* Do tej refleksji skłaniał go stojący na dziedzińcu konny pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Odszedł jako bohater, choć w młodości oskarżano go o wszystkie możliwe grzechy. Odwrotnie było z Ziukiem, który w młodości był figurą, prawdziwym bohaterem, a kończył jako satrapa. Bardzo chciał rządzić, ale nie potrafił, umiał za to walczyć i wywalczył najpierw wolną, niepodległą Polskę, a później swoją pozycję i świętość.

To dziwne uczucie osobiście znać świętego, bohatera narodowego, kogoś, kto ma place, ulice, pomniki i grób na Wawelu. Rozczarował go, ale – musiał to przyznać – dopóki żył, to jakoś to wyglądało, a teraz trzeszczało w szwach. Koterie walczą o władzę i niedawno kompletnie rozszarpały na strzępy jego testament, odsyłając na boczny tor następcę, którego namaścił.

Walery Sławek miał być nowym prezydentem, w czym wspierali go chcący wypełnić testament Marszałka Beck, Prystor, Miedziński i Jędrzejewicz, ale Mościcki nie miał zamiaru oddawać posady, usamodzielniał się i zawarł sojusz z Rydzem-Śmigłym. Ten ostatni szykuje się do objęcia – przynajmniej częściowo – schedy po Marszałku. Nie jest przecież wielką tajemnicą, że podczas najbliższych obchodów Święta Niepodległości naród, wojsko i pewnie sam Pan Bóg obdarzą go marszałkowską buławą. A Sławek? Sławek i jego stronnicy przegrali, ale różne były rozmiary tych porażek. Beck nadal kierował dyplomacją, Miedziński szybko stanął obok Koca, Jędrzejewicz był już praktycznie poza wielką polityką, więc niewiele mógł stracić, Sławek zaś został z niczym. Ostatniej wiosny na majowym zjeździe legionistów pokazano mu jego miejsce. Organizacja pozbawiła go funkcji prezesa Związku Legionistów Polskich, a nowym szefem został pułkownik Adam Koc, którego ambicje były większe niż talenty, ważne jednak, że był człowiekiem Rydza-Śmigłego. Żeby go do końca nie upokarzać, dali Sławkowi prezesurę Instytutu Badania Historii Najnowszej im. Józefa Piłsudskiego. Pięknie się to nazywało, ale politycznie była to już emerytura.

A może i on, major Wincenty Sokołowski, powinien przejść na emeryturę? Po prawdzie to myślał, że tak za niego zdecydują, że powrót z placówki będzie oznaczał jego koniec. Nie miał przydziału i chyba nie potrafił ukryć, że nie umiał się przystosować do tego, co zastał w Polsce.

Koterie, zakulisowe walki nawet tam, gdzie kategorycznie nie powinno ich

być, czyli w wywiadzie. Ale skoro się go nie pozbyli, to postanowił trwać tak długo, póki nie będzie musiał iść na nieprzekraczalne kompromisy i będzie czuł, że ma wpływ na to, co robi. Jeśli przestanie być samodzielny, jeśli mu każą wykonywać bzdurne rozkazy, to odejdzie. Kto wie, czy zadanie, które czekało na niego w pałacu Saskim, nie było właśnie tym, które zakończy jego karierę.

Sprawa nie była zwyczajna – chodziło o nielegalny w myśl międzynarodowych umów eksport polskiej broni do Hiszpanii. Niewiele na ten temat było wiadomo, ale polityczne uwarunkowania mogły podpowiadać, że odbiorcą będą wojska generała Franco, z którymi sympatyzował polski rząd. Czym zapłacą? Zadłużą się? Niemcy i Włosi chętnie pożyczą, ale w gotówce, a nie w sprzęcie, bo stać ich było na to. Polski nie. Przemysł zbrojeniowy dotkliwie odczuwał kryzys, był na skraju upadku, armia nie zamawiała, bo miała pełne magazyny. Ktokolwiek by tę broń kupił, byłaby to rękawica rzucona Lidze Narodów, ale ratowanie polskich fabryk broni warte było tego ryzyka. Wywiad szybko włączył się do prac nad opracowaniem kanałów przerzutowych i tworzeniem odpowiedniej legendy. Trzeba było stworzyć fikcyjnych odbiorców, wyrobić kwity, którymi można byłoby mydlić oczy. Jasna sprawa, że do takiej roboty trzeba było skierować zaufanych ludzi, a ich weryfikacją mieli się zająć oficerowie wywiadu. Powstał ciekawy raport kapitana Edwarda Rachonia, wciąż młodego i niezwykle obiecującego oficera z referatu Wschód, który zaproponował grupę pod kierownictwem działającego od wielu lat pod przykrywką firmy handlowej kapitana Beniowskiego. Dla zespołu mieliby także pracować wprowadzeni przez niego Waclaw Leszczycki i Henryk Haas. Ten pierwszy był inżynierem, nie lada ekspertem od spraw broni, figurą znaną w międzynarodowych kręgach obrotu uzbrojeniem. Drugi zaś był... kasiarzem, który w niejasnych okolicznościach przyjął amerykańskie obywatelstwo. Propozycja zawarta w raporcie została uznana przez szefostwo i samego pułkownika Pełczyńskiego za niezwykle ciekawą i godną rozpatrzenia. Poddano ten projekt obowiązkowej weryfikacji i wtedy łyżkę dziegciu wlał porucznik Krzysztof Witek. Bardzo młody, początkujący oficer, ale pilny i dokładny, tak że zgromadzony przez niego materiał uznano za przykład rzetelnej pracy analitycznej oficera wywiadu. Autor raportu krytycznie opiniował Haasa, zagłębiając się w jego przestępczą przeszłość i zadając na koniec pytanie, czy wywiad Wojska Polskiego powinien się opierać na takich osobach. Wywiązała się dyskusja, w której zdania były podzielone. Czas biegł nieubłaganie, potrzeba było decyzji i wtedy major Rój-Kordyjewicz, jedna z figur referatu Wschód i jednocześnie przełożony autora raportu kapitana Rachonia i jego głównego krytyka porucznika Witka,

zapropował, by zdać się na opinię oficera, który ma doświadczenie, a nie ma obecnie przydziału i mógłby trzy, może cztery dni poświęcić na wydanie niezależnej opinii. Wybrano właśnie jego, majora, który przez lata pracował w terenie pod dyplomatyczną przykrywką, miał doświadczenie, opinię starego żołnierza, który służył pod brygadierem Piłsudskim, i przede wszystkim osoby, która nie była uwikłana w towarzyskie układy. Wiele lat spędzonych za granicą wyrzuciło go z towarzyskiego kręgu i odsunęło od niego opinię osoby uwikłanej w koterie i grupy wpływów.

Wszedł na dziedziniec pałacu i skierował się w prawo, do skrzydła, w którym urzędowała Dwójka. Zwykle wchodził wejściem od strony ulicy Wierzbowej, ale teraz wszedł tym od dziedzińca, można powiedzieć, że z za księcia Józefa i jego rumaka. Od razu poddano go szczegółowej kontroli. Wcześniej tak nie było, przepisy zaostrzyły się niedawno decyzją szefa Sztabu Głównego generała Teofila Stachewicza, co zdaniem majora Sokołowskiego powinno mieć miejsce dużo wcześniej. Ale lepiej późno niż wcale.

Ochronę pałacu i dokumentów koordynował oficer informacyjny, do którego stale sływały wskazówki i instrukcje przygotowywane przez Dwójkę. Każdy szef biura czy oddziału, który otrzymał niepokojącą lub nietypową informację, musiał o niej informować Oddział II. Oficer inspekcyjny obejrzał uważnie dokumenty, mimo że znał Sokołowskiego z widzenia, ale takie były zasady i nie zamierzał z nimi dyskutować ani choć na moment ich podważać, choć trafiali się oficerowie, którzy nadymali się przy wejściu do pałacu, że mają mundury, szarże, odznaczenia i znajomości. Nic z tego – każdy, nawet generał, miał swoją legitymację sztabową, a jeśli tu nie pracował, tylko przyjeżdżał z garnizonu, nawet jeśli znał marszałka, prezydenta i wszystkich świętych, musiał mieć przepustkę. Interesanci czekali w specjalnej poczekalni, a służby miejskie i techniczne miały zawsze wojskową asystę. Sztab zatrudniał także pracowników cywilnych, którzy przechodzili staranną weryfikację. Dwójka i defensywa drobiazgowo badały nie tylko ich życiorysy, lecz także członków rodziny, sprawdzano koneksje, przeprowadzano wnikliwe rozmowy z kandydatami do pracy.

Zaprowadzono go do pokoju, w którym miał pracować. Tam w jego obecności dwóch oficerów wyjęło dokumenty z szafy pancernej. Nie były to zwykłe sejfy, nie tylko ognioodporne i wyjątkowo solidne, lecz także wmurowane w ściany i podłogi. Teczki, które mu przekazano, spoczywały zwykle gdzie indziej, w specjalnym archiwum, którego najtajniejsze zbiory spoczywały pod ziemią, w pancernym skarbcu zatopionym w wodzie. Najpierw trzeba było

odpompować wodę z basenu, a dopiero potem można było otworzyć stojący w nim sejf. Czy niektóre z teczek, które otrzymał do wglądu, pochodziły z tego najtajniejszego i najlepiej strzeżonego w Polsce miejsca?

Zapalił papierosa i trzymając go w prawej ręce, lewą przekładał dokumenty z teczki osobowej współpracownika wywiadu kaprała Henryka Wcisły alias Heinrich Haas, alias Henry Haas, rocznik 1904. Chciał się temu człowiekowi przyjrzeć, więc zaczął od zdjęć.

Pierwsze w wojskowym mundurze, młodzik w roku 1920, wysoki, szczupły, jak to nastoletni chłopcy, włosy jasne, nos prosty.

Numer dwa. Jakaś fotka z cywila, już nie dziecko, zmężniał, ale nadal smukły. I niezbyt zasobny.

Trzecie zdjęcie. Szeroki w ramionach dwurzędowy garnitur, kapelusz. Bywalec, pewny siebie, ale nadal młody, z chłopięcymi oczami i wąsikiem, który czynił go podobnym do amerykańskiego artysty Douglasa Fairbanksa. Zawadiaka, który na pewno podobał się kobietom.

Zaczął lekturę, jednocześnie sporządzając notatki, których i tak nie wyniesie. Mają tu zostać, żadnego kopiowania i przepisywania dokumentów, jeśli będzie wychodził na przerwę, przejść się lub zjeść, to zostawi tu wszystko. I tak samo będzie, kiedy pójdzie na noc do domu. Mógł poprosić o kanadyjkę, rozłożyć tu sobie spanie, była taka możliwość, ale chce spać we własnym łóżku, przy żonie. Zanim zaśnie, pomyśli raz jeszcze o sprawie, ale teraz musi wprowadzić do głowy potrzebne informacje, musi poznać ludzi, fakty, przede wszystkim kolejność zdarzeń.

Czasem dobrze iść od końca, ale nie w tym przypadku. Tu szedł od urodzenia aż do dzisiaj. Trzydzieści dwa lata życia człowieka, który urodził się jako Henryk Wcisło, a teraz używa nazwiska swoich niemieckich kuzynów ze Skoroszy.

Jego ojciec Władysław i stryj Janek byli w PPS i jej Oddziałach Bojowych, współpracowali z Polską Organizacją Wojskową, stąd Heniek jako czternastolatek wziął udział w akcji skopiowania archiwum niemieckiego szpicla Borowki, a jako szesnastolatek z fałszywymi dokumentami poszedł na ochotnika do wojska. Wyróżnił się i bohaterstwem, i niesubordynacją, dostał nominację do Krzyża Walecznych, ale za pijaństwo trafił do ancla z niejakim Franciszkiem Wlazłą. Szkoły Wawelberga nie skończył, bo jego starszy kolega i jeden z dowódców w 1920 roku porucznik Juliusz Beniowski wciągnął go do grupy dywersyjnej. Trudno żeby było inaczej, skoro trzon tego oddziału stanowili uczniowie jego szkoły, a grupę nazwano Wawelberg. Co ciekawe –

podkreślił to sobie – ojciec porucznika inżynier Ludwik Beniowski był mecenasem rodziny Wcisłów, który żywo interesował się postępami w nauce małego Heńka. Zarówno ojciec kaprała Wcisły, jak i ojciec porucznika Beniowskiego odeszli przedwcześnie. I to dodatkowo sobie podkreślił, bo to mogło być ważne, być spoiwem, które łączyło tych dwóch.

Na Śląsku, gdzie operowali podczas III powstania wawelberczycy, wyróżniał się, przydała mu się zwłaszcza znajomość niemieckiego, którą wyniósł z domu. Był kapralem, mógł zostać w wojsku, ale chciał skończyć szkołę. Nie skończył, poszedł do pracy, zwolniono go jak wielu, bo był kryzys. Co robił później? Stał się współnikiem swojego stryjka, który prowadził warsztat samochodowy. Skąd miał pieniądze? Na ten temat tylko plotki, że był kasiarzem, i to najlepszego sortu, że pracował z samym Szpicbródką, i pewnie tak było, skoro Beniowski – sprawę inspirował kapitan Żychoń – zwerbował go oraz jego kolegę z wojska, zawodowego przestępcę Franciszka Wlazłę do potajemnego przeszukania tajnego archiwum i skarbcza Komunistycznej Partii Polski. W tym przypadku mógł poszerzyć swoją wiedzę o raport z akcji o kryptonimie „Kasjer”.

Włamali się do mieszkania sowieckich agentów, którzy pracowali pod przykrywką, przyjmąwszy tożsamość małżeństwa Reniaków. Pozorując zwykłą kradzież, wyjęli pieniądze, a dokumenty sfotografowali, tak by zmylić Sowietów.

Sprawa przyniosła wywiadowi wiele pożytku, pieniądze wzbogaciły fundusz operacyjny, a dokumenty służyły do kontrolowania i rozpracowania komunistycznej siatki.

Nie wszystko poszło dobrze – tak to zwykle bywa, o czym major Sokołowski wiedział z doświadczenia, a czego na własnej skórze młody porucznik Witek nie zaznał – w czasie akcji zginął Marian Reniak, ale wybrnięto z tej sytuacji, zrzucając winę na radcę Stróżyńskiego, który szpiegował dla Reniaków. Zdekspirowany dostał możliwość honorowego rozwiązania, z której skorzystał. Palnął sobie w łeb, więc dokleiono mu śmierć Reniaka. Uszyto z tego porachunki męża i kochanka, podczas których ten drugi był górą. W liście radca wyjaśnił, że Marian Reniak, mąż jego kochanki Elżbiety, przyszedł do niego, grożąc mu śmiercią. Wywiązała się szamotanina, w której wyniku Stróżyński pchnął Reniaka nożem.

Gorzej, że zaginęła Elżbieta Reniak, uprzednio wyczyściwszy kasę z papierów.

Następnego dnia w kawiarni na Nowym Świecie przekazała papiery ludziom,

najpewniej z Wydziału Wojskowego KPP.

Wiedziano, że zabierze dokumenty i chciano by tak było, żeby komuniści się nie domyślili, że ktoś może znać ich treść, ale zniknięcia nikt nie zakładał. Przepadła, podobnie jak jeden z uczestników akcji, Antoni Bożyczko, inny zaś, kryminalista Wlazło, został ciężko ranny. Na koniec nieznanymi sprawcy, choć w ciemno można stawiać na sowiecki wywiad, nie tylko splądrowali mieszkania i miejsca związane z uczestnikami akcji, lecz także zamordowali matkę Henryka Wcisły. Prawdopodobnie zaskoczyła ona włamywacza i stała się ofiarą wojny wywiadów.

Wcisło ciężko przeżył śmierć matki, poszedł w cug, wdał się w jakąś awanturę i wylądował w szpitalu. W międzyczasie znaleziono Bożyczkę, a raczej to, co z niego zostało – morderca zmiażdżył mu głowę. Akcja, którą oceniano na początku bardzo dobrze, z czasem stała się obciążeniem dla Beniowskiego, padło zbyt wiele trupów, a wywiad nie do końca wykorzystał posiadane materiały. Liczni z tej listy po prostu wyjechali, a dokładnie uciekli, bo partia wydelegowała ich na kursy i szkolenia do Moskwy. Nie była to wina Beniowskiego, ale niechętni mu ludzie z Dwójki starali się przykleić mu wszystko, co się da, także trudne do udokumentowania wydatki i wpływy. Wielu uważało, że w kasie komunistów, którą opróżnili zwerbowani przez niego przestępcy, było więcej pieniędzy, niż to deklarował. Bronił się jednak wynikami, otworzeniem i skutecznym prowadzeniem przykrywkowych firm, najpierw handlowej, która dawała mu możliwość podróżowania po świecie, a następnie z jej dochodów zakup berlińskiej manufaktury produkującej kasy pancerne. Firma miała filię w Chicago, której kierownikiem Beniowski uczynił nikogo innego jak Wcisłę!

Jego wyjazd był naprawdę ucieczką, której wcześniej nic nie zapowiadało. Wcisło dobrze przysłużył się Marszałkowi i jego ludziom – brał udział w bojówkarskich harcach Taty Tasiemki i Doktora Łokietka, walczył dzielnie w czasie wypadków majowych. Tak, w teczce, którą Sokołowski wertował, stało jak wół „wypadki majowe”, choć jasne było, że był to zamach, pucz. Nieważne, teraz nieważne, teraz nic z tym nie zrobi, może albo powiedzieć, że ma tego dość, tej operetkowej zabawy w wojsko, szczucia na opozycję, cyzelowania historii, albo...

Rzucić to w kibinimetry czy pracować dla Polski, chociaż to robota coraz bardziej niewdzięczna? Kto, jeśli nie on, jeśli nie tacy jak on?

Zostawić to wszystko? W życiu! Jeśli coś ma się zmienić, to trzeba ratować co się da, a potem ruszyć do sprzątnięcia, bo będzie po czym.

Myśli zaczęły uciekać od sprawy, to znak, że czas na przerwę, spojrział na zegarek, nie, nie, nie! Skoncentruj się, chłopie, jeszcze trochę. Nalał z termosu kawy, już nie gorącej, ale tylko ciepłej, niemniej wciąż z kofeiną i... *Ten, który wymyślił kryptonim tej akcji, mógłby pewnie i napisać zgrabne haiku* – pomyślał, czytając wykaligrafowane na teczce „Kwiat wiśni”.

Trzeba przyznać, że była to sprawa, o której wiedziało niewielu, bo raportowano bezpośrednio Marszałkowi, stare zobowiązania Ziuka, sprawa honorowa. Kiedy w roku 1904 wybuchła wojna japońska, dla PPS i Piłsudskiego było jasne, że trzeba nawiązać kontakty w przeciwnikiem Rosji. Ludzie mikada byli początkowo nieufni, hrabia Makino, poseł w Wiedniu, zlekceważył Polaków, ale już reprezentujący Nippon w Londynie hrabia Hayashi okazał się zainteresowany. Najpierw do Japonii wybrał się zaufany człowiek Piłsudskiego, James Douglas, później dotarł tam osobiście Ziuk. O dziwo, w Tokio był też Dmowski! Ale ostatecznie to PPS stał się sojusznikiem mikada, a okazała suma pieniędzy pozwoliła na zakup broni i środków wybuchowych, dzięki czemu walka z Rosjanami nabrała rozmachu.

Od tamtego czasu wywiady polski i japoński blisko ze sobą współpracowały, a kiedy w bardzo delikatnej sprawie Japończycy poprosili Marszałka o pomoc, ten natychmiast jej udzielił. Opiekę nad japońskim agentem Yoshiho Murakamim powierzono Beniowskiemu, a ten do ryzykownej rozgrywki przydzielił Wcisłę. Sprawa mocno się skomplikowała, ale ostatecznie zakończyła się sukcesem, Marszałek mógł odebrać podziękowania od japońskiego rządu i Kempeitai, ale Henryk Wcisło musiał na jakiś czas wyjechać do Ameryki, innego wyjścia nie było.

Wcisło wyjechał tam, używając swojego niemieckiego nazwiska, które przybrał, działając w Grupie Wawelberg. Znow był Heinrichem Haasem, ale wyjeżdżając, a raczej uciekając z Ameryki, miał już nowy paszport i z Heinricha stał się Henrym Haasem, obywatelem USA. Za łapówki można wszystko, a Haas obracał się tam w kręgach, które nie miały z tym kłopotu. Beniowski bagatelizował powód, dla którego Haas musiał wracać do Europy, przychodziło mu to tym łatwiej, że firma, którą kierował za oceanem jego młody agent, przyniosła wywiadowi pokaźne zyski. Oczywiście nieprzychylni Beniowskiemu mówili, że dochód był większy i że Wcisło-Haas się też obłowił. Coś w tym było, bo wrócił do Warszawy jako młody, majątny człowiek sukcesu!

Porucznik Witek utrzymuje – brak źródeł – że pieniądze zarobił na łamaniu przepisów prohibicyjnych i współpracował z osławionym gangsterem Alem Capone.

Ciekawe, co jeszcze temu Heńkowi doklei prymus Witek. Tak, Heńkowi, bo choć w notatkach miał go jako Henryka W.-H., to myślał o nim „Heniek”. Polubił tego chłopaka, ale przecież to dopiero początek. Teraz się przejdzie, pójdzie na kawę i za pół godziny wróci, żeby się dowiedzieć, co się z nim działo po powrocie do Polski.

Warszawa

1930

Nowym Światem szła grupa roześmianych młodych ludzi: dwie panny, jedna bardzo młoda, szesnastoletnia, druga przynajmniej o dziesięć lat starsza, obie elegancko ubrane, zgrabne i budzące zainteresowanie mężczyzn, którzy jednak nie mieli czego szukać, bo były w towarzystwie dwóch przystojnych, dwudziestoparoletnich młodzieńców. Ten wyższy, z wąsikiem jak u Douglasa Fairbanka, miał jasne włosy, proste i zaczesane do tyłu na brylantynę, a ten niższy – włosy jeszcze jaśniejsze i z loczkami jak aniołek na kościelnych wyobrażeniach.

Szli rozradowani, bo przed kwadrans w Ziemiańskiej przy Mazowieckiej Leopold hrabia Walewski – ten cherubinek – i Henryk Haas – wyższy z wąsikiem – ogłosili młodej i jeszcze młodszej damom, że zawiązali spółkę autorską. Poldek marzył o pisaniu, był w nim biegły, tylko że nie miał pomysłów, a spotkanie silnego człowieka, który zarobił wielkie pieniądze w rojąącym się od gangsterów Chicago, wszystko zmieniło. Ten człowiek nie tylko znał mrozące krew w żyłach historie, lecz także był bacznym obserwatorem rzeczywistości.

Gdyby nie Stefa, to pewnie siedzieliby do zamknięcia lokalu, ale młodej kandydatce na nauczycielkę nie wypadało dłużej przebywać w kawiarnianym lokalu.

– To wielka niesprawiedliwość, że muszę już iść do domu – narzekała, kiedy szli Nowym Światem.

– Za to zamówię dorożkę i odwiozę panią do domu – zaproponował Walewski.

– Jak się cieszę!

Chciała coś jeszcze dodać, ale zagłuszył ją potężny ryk.

– A więc to prawda! – wykrzyknął hrabia!

– Co jest prawdą, o czym ty mówisz? – zapytała Maria.

– Jak to, nie czytasz gazet, moja siostrzo? – zdziwił się Leopold. – Pisano o tym. Pewna dama z Nowego Świata trzydzieści sześć, pani Jadwiga Szatkowska, kupiła sobie małego lwa, a ten urósł i ryczy, strasząc sąsiadów! Wabi się Aryman i jest naprawdę groźny, a policja i magistrat zobowiązały właścicielkę do wywiezienia zwierzęcia z miasta. Szczęście, że ma willę w Milanówku, ale czy ma wokół niej wystarczająco wysoki płot?

– Czytam, ale poważne tytuły – powiedziała z wyraźnym wyrzutem w głosie siostra hrabiego. – Cała ta czerwona prasa, te ekspresy, kuriery, ilustrowane historyjki, „Tajni Detektywi” i inne bzdury!

– Mario! – wykrzyknął teatralnym głosem jej brat. – Ależ jako pisarz muszę sięgać po takie gazety, tam jest opisane życie, a ja piszę o życiu! Piszemy! – poprawił się, spoglądając na Heńka.

– Będziemy pisać, to znaczy ja będę podpowiadał, a ty będziesz pisał. – Ulicą znów wstrząsnął ryk zwierzęcia. – Nawet w Ameryce nikt nie trzyma lwów w mieszkaniach! – zaśmiał się Heniek. – A teraz na poważnie, zorganizujemy się, skoro ty odprowadzasz moją siostrę, to ja odwiozę twoją samochodem, zgadzają się państwo?

Rozstali się przy Ordynackiej, Stefa i Poldek poszli w kierunku ulicy Czerwonego Krzyża, gdzie szesnastoletnia Stefa mieszkała pod opieką starszej kuzynki, a jej brat i siostra Poldka poszli w kierunku Smolnej, gdzie pod Gastronomią stał mercedes Heńka.

– To piękne auto – powiedziała Maria Walewska, oglądając biały samochód z czerwoną tapicerką. – I zapewne szybkie?

– Niebywale – odparł z dumą Heniek, zapuszczając motor. – Silnik ma prawie siedem litrów pojemności i do tego wspomaga go sprężarka, stąd potężna moc stu osiemdziesięciu koni mechanicznych, a prędkość... Nie wiem, czy kiedykolwiek z niej skorzystam, bo to aż sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę!

Auto zaryczało jak lew.

– Ale za pozwoleniem – odezwała się z tylnego siedzenia Maria. – Niech pan dzisiaj nie próbuje.

Chociaż Heniek tylko trochę nacisnął gaz, to i tak auto ruszyło w takim tempie, że przechodnie kręcili z niedowierzaniem głowami.

Miało być skromnie, ale wyszło jak wyszło. Heniek wrócił do Warszawy

z poważnymi pieniędzmi i ziemią. Ta ziemia to na gwizdek mu była potrzebna, ale nie miał czasu jej się pozbyć. Jak, by się kto pytał, to wygrał ją w karty od hiszpańskiego oficera. Jak na niego całkiem zwykła historia, bo przecież każdy może przylecieć zeppelinem z New Jersey do Sewilli, a tam zagrać w pokera na poważne stawki. Ziemia była na jakiejś wsi nad morzem, ale na razie nie miał czasu się tym zająć, bo najpierw sprawy rodzinne!

Zaczął od tego, że przejął opiekę nad młodszą o dziesięć lat siostrą, szesnastoletnią Stefą, bo stryjek Janek wszystko zaniedbał. Mało, że zaniedbał, to jeszcze wykołegował go z warsztatu. Pies go trącał! Ważniejsze było wyciągnięcie Stefy z tej nieszczęsnej szkoły prowadzonej przez zakonnice i oddanie jej na wychowanie do kuzynki. Zofia Wyględa nie zadawała pytań, bo jeszcze przed wyjazdem Heniek pomógł jej wyeksmitować męża łajdaka, przeprowadził ją i jej synka Wicka do porządnego lokalu i przez cały pobyt w Ameryce wysyłał im pieniądze.

Pomagał, a ona się odwzajemniła, nie to co stryjek Janek. Żeby jej to wychowywanie Stefy lepiej szło, kupił im mieszkanie na Czerwonego Krzyża, sam zaś dla wygody mieszkał w Grand Hotelu. Stać go było na pierwszorzędnny hotel, na największe luksusy, ale nie chciał się zbyt rzucić w oczy, bo tu nie Ameryka, gdzie byłby kolejnym facetem z pieniędzmi. Chciał zerwać z przeszłością, a że tradycyjnie jak co jakiś czas ziemia mu się paliła pod stopami, wolał używać swojego drugiego nazwiska – Haas. Wziął je po kuzynach matki, którzy mieszkali pod Warszawą, Niemcach jak ona sama. Zaczęło się to jeszcze w czasie powstania na Śląsku, w którym uczestniczył jako dywersant, a później z tymi papierami udawał w Ameryce, że jest niemieckim emigrantem. Jako że ciężko im szło wymawianie nazwiska Wcisło, to został przy Haasie, i kiedy za łapówkę zorganizował szacher-macher z dokumentami, był nim także w swoim ni to lewym, ni to prawdziwym amerykańskim paszporcie.

Chciał być dyskretny, ale fama o Polaku, który zrobił karierę za oceanem, rozeszła się błyskawicznie, czyniąc go atrakcją warszawskich salonów. Zamiast się wycofać w cień, polubił to, podjął grę, której celem było podbicie warszawskiej socjety. Kupił auta, limuzynę, którą go woził dawny kierowca Szpicbródki Mieczysław Kosiorek, i sportowy pojazd dla siebie. Zadatkował mieszkanie w budującym się przy placu Napoleona drapaczu chmur, wreszcie zabrał Stefę, kuzynkę Zosię i jej synka do Juraty, a tam znów szastnęła pieniędzmi, bo kupił sobie domek niedaleko plaży. Tłumaczył to sobie w prosty sposób: skoro musiał pośpiesznie wyjeżdżać z Ameryki i oddać swojemu przyjacielowi willę na Florydzie, to ten bungalow w Juracie się mu po prostu

należał! Zupełnie niechcący pchał się na afisz.

Na jednej z wielu imprez, na które go zapraszano jako atrakcję z Ameryki, poznał Leopolda Walewskiego, miłego cherubinka, który był z zawodu hrabią, a z pasji literatem i strasznie interesowała go Ameryka i gangsterzy, bo chciał stworzyć powieść kryminalną. Zakumplowali się i niezły był z tym kabaret! Myślał, że hrabia Poldek podrywa jego siostrę Stefę, w końcu miała już szesnaście lat i ze wsparciem brata zapowiadała się na dobrą partię, a tymczasem chodziło o niego!

Leopold Walewski wołał facetów i wynikło z tego powodu mało zabawne qui pro quo. Wszystko się jednak ułożyło, bo Stefa bardzo lubiła Poldka i nie przeszkadzało jej to, że był jaki był, a z kolei Heniek poczuł miętę do jego siostry Marii. Dalej byli przyjaciółmi, a Poldek namówił go do wspólnego pisania powieści.

Bawili się pysznie, aż do czasu kiedy przeszłość upomniała się o niego, i to nie delikatnie pukając do drzwi, ale łomocąc z całych sił.

Kłopoty

Franciszek Włazło był kawałem drania i dobrze o tym wiedział. Nie było rzeczy, której nie zrobiłby bliźnim, i to niezależnie od wieku i płci. Czniął to. Kiedyś kochał jedną kobietę, której też zresztą wyrządził mnóstwo krzywd, teraz miał tylko syna, który był owocem ich związku. Jedynie on go obchodził, a reszta była dla niego niczym. Zamęczyć, zabić, sprzedać w niewolę do argentyńskiego burdelu, zdradzić – wszystko byleby mieć pieniądze i pozycję w ferajnie. Zdrada u szemranych nie była poważana, ale jak ktoś był silny, a on był, to mógł to czniać. Co innego kapowanie. A jemu się raz zdarzyło, i to grubo. Jeden pies chciał pogrążyć Henryka Wcisłę, który był jego kolegą z wojska i z szemranego szlaku. Nie kapuje się, ale jeśli ci grożą stryczkiem, to chowasz honor do kieszeni. I powiedział temu hintowi, co tylko chciał, a nawet więcej.

Sprzedał Heńka za swoją wolność, a może i za życie. Pies z nim tańczył – tak myślał, ale tylko do czasu, bo Henryk Wcisło wrócił po trzech latach do Warszawy, miał się dobrze, i doniesiono mu, że rozmawiał z dziwką, która też się chciała na nim zemścić.

To nie mógł być przypadek, to była zapowiedź walki na śmierć i życie, w której zwycięży on, Franek Włazło, bo był bezwzględny i nie pieprzył się w tańcu. Wykończy go, ale najpierw musi oskubać frajera, ciotę z Warszawki,

którego szantażowali.

Gospodarstwo na Siekierkach, w którym urzędował dorożkarz, było doskonałą meliną. Ukrywający się pod nazwiskiem Paprocki bandyta Franciszek Wlazło potrafił poczuć coś na kształt wzruszenia, kiedy myślał, ile miał historii związanych z tym miejscem. Ale dzisiejszego poranka nie było czasu na sentymenty, siedział tu ze swoją ferajną i czekał na frajera, który miał im przynieść pieniądze, a nie był to byle jaki pentelewicz, lecz sam jaśnie pan hrabia Leopold Walewski. Myśli pewnie, że zajdzie tu z flotą i będzie finito?

Ciężki frajer! Zainkasują należność, troszkę z nim zatańczą i poproszą o jeszcze! Grzecznie poproszą, a jak nie zrozumie, to go przeczolągają tak, że aż będzie furczało. Wtedy sam będzie prosił, żeby przestali, oferując przebitkę do ich propozycji! *Stać go, bo te Walewskie to dobra majątna rodzina* – zaśmiał się w duchu.

– Jest sam! – poinformował go nygus, który siedział przy oknie.

Jeszcze chwileczka, jeszcze momencik... Rozległo się pukanie – grzeczna ciocia z tego hrabiego – drzwi się otworzyły i do środka wszedł frajer w eleganckim płaszczu i w kapeluszu. Otaksował go w sekundę, z zadowoleniem zauważając, że hrabiowski frajerzyna miał łeb spuszczonego konia, co wyzera obrok z worka. Bardzo dobrze, czuje mores, boi się patrzeć w twarz ferajnie. A czego innego można by się było spodziewać po pizpaniu, tchórze, frajerze i ciocie, w dodatku z pachnącego pałacyku. Taki ktoś to idealny gość do dojenia. Cała kabalka opierała się na szantażyku, bo hrabia się zabujał w Słodkim Michasiu, a ten elegancko go rozprowadził. Złapali ich in flagranti, jak to mówią psy i papugi, a tamten się spękał jak dziewica przed szeregiem kozaków.

No i tera go doją, bo jak nie da się doić, to będzie skandalik! Nawet nie wiedział, jak ten skandalik wywołają, jak by to miało wyglądać, bo nie było takiej potrzeby. Wiele razy się takie sztuki z płci obojga frajerstwem i w różnych sytuacjach zapodawało i zawsze było tak, że każde z nich samo miało wyobraźnię, która podsycana cykorem przynosiła pieniężne efekty.

Wydłubał sobie brud z paznokci i popatrzył na niego, może się w końcu odezwie, „dzień dobry” powie, skoro przyszedł w gości. Przyjrzał się jego twarzy zacienionej rondem kapelusza i pojął, że to nie hrabia Poldek Walewski, tylko ktoś zupełnie inny, co nie znaczy, że nieznany, wprost przeciwnie.

Wtedy zrozumiał swój błąd, przecież to on zaprowadził go kiedyś na tę melinę! Należał do bandy Stefańskich, pod której kierownictwem zrobili sklep

z dewocjonaliami na Nowym Świecie. Wynieśli stamtąd nie tylko kosztowności, ale też kasę pancerną. Po robocie zjechali właśnie tu, na Siekierki, a melinę wynalazł on, Franek Wlazło, bo to były jego rewiry, tuż obok Czerniakowa, rejon niedostępny dla frajerstwa z góry. Tu mieli ciąć kasę, ale wtedy nowy w ferajnie Heniek Wcisło dał prawdziwy pokaz swych kasiarskich umiejętności i wygrał zakład z panem Szafą. Zaimponował wtedy nie tylko Szafie, został ważną figurą w gangu i miał podobno okoliczność z szefową. Tu się wszystko zaczęło i tu się wszystko kończy.

Lufa zionęła ogniem, kule przecinały powietrze, ludzie wyli z bólu, miotali się jak rażeni prądem elektrycznym, a po sekundzie, może dwóch i jego dosięgnął ołów i on zatańczył, zgiął się i padł na ziemię.

Kiedy ucichła kanonada, opadła prochowa mgła, opilki i wióry drewna, usłyszał jęki i zobaczył sypiące się ze ścian tynk i drzazgi. Było widać, że niemal cała ferajna leży na ziemi. Ktoś próbował się trzymać ściany, ale Heniek oderwał go kończącymi pojedynczymi strzałami. Kogoś jeszcze dostrzelił i w końcu podszedł do niego.

Chciał się jeszcze odgryźć, ale nie dał rady, dostał kopa i rewolwer poleciał pod sufit. Heniek podskoczył bliżej, szturchnął go nogą i z uśmiechem powiedział:

– Ciężko cię zabić, skurwysynu!

– Tak. – Uśmiechnął się, plując krwią. – Ciężko. Wielu się starało – powiedział. Próbował się podnieść i oprzeć o ścianę, ale było to jednak ponad jego siły.

A później Heniek prał go po pysku. Kurwa, co za ból, ale inaczej być nie mogło, skrewił, zdradził go, wykapował hintom, a za taką rzecz każda dintojra zarządza mojrę. Wcisło nie potrzebował żadnego złodziejskiego sądu, przyszedł tu po niego i zrobił swoje. Skąd wiedział o tym, że ten hrabi syn przyjdzie dziś z kaską, jak to się stało, że miał na sobie jego łachy, co to za piekielna broń... Powiedział mu to, przyznał się, że zrobił niehonornie, chociaż na koniec trzymał fason, ale na Wcisło nie robiło to wrażenia, dalej go okładał.

– Zabiłeś moją matkę!

Przecież on tego nie zrobił, to nie on, nie!

– Antka też nie, bo nie mogłem – wyjącał.

– Co?

– Powiem ci, co i jak, ale obiecaj – wyszeptał, patrząc prosząco na Heńka. – Obiecaj.

– Co i dlaczego?

– Obiecaj, kurwa, proszę cię, jak wierzysz w Boga.

– Co i dlaczego? – powtórzył Wcisło. – Z jakiej racji, łobuzie?

– Hersz – wystękał tak cicho, że Heniek przyklęknął nad nim, aby cokolwiek zrozumieć.

– Kto? – powtórzył.

– Hersz. Zegarmistrz z Chelma. – Starał się mówić jak najwyraźniej, on już jest skończony, ale niech odejdzie z tego świata bez długów.

– Zegarmistrz z Chelma? – Heniek patrzył na niego z takim zdziwieniem, jakby mu na koniec wyznawał, że jest synem chińskiego cesarza czy innego mikada.

– Pomóż mu, pomóż mu, pomóż Lejbowi – błagał. Pierwszy raz w życiu kogoś o coś błagał.

– Komu? Jak? – Wcisło krzywił twarz.

Franek czuł, że odpływa, powiedział wszystko, co najważniejsze, co tamten musiał wiedzieć o szmalu, o Herszu i Lejbie, a na koniec o chłopaku, który był w pomieszczeniu obok. Tamten, nie w ciemną bitą, poczekał, aż się skończy kanonada, aż Heniek przestanie pruć z tej cholernej maszyny. Miał nadzieję, że jak sobie pójdzie, to on zgarnie szmal i da dyla. Nie może, kurwa jego mać, bo to nie jego flota, nie jego renta i zabezpieczenie.

Ostatnie, co usłyszał Franciszek Wlazło, to seria z piekielnej broni Heńka, dźwięk w połowie kanonady zaczął zanikać, jakby ktoś przekręcał gałkę w radiu, a później ustał nagle jak przy wyciągnięciu wtyczki z gniazdka. A miało być tak pięknie...

Heńka obudziły promienie słoneczne, które przedarły się przez szparę w zasłonach. Gdyby nie to, spałby dalej, bo potrzebował snu po tym, co się wydarzyło w ostatnich godzinach. Był kozakiem, nie prowadził bezpiecznego i nudnego życia, ale to, co zrobił w dorożkarni na Siekierkach, mógł porównać jedynie z przeżyciami z frontu i gangsterskimi porachunkami w Ameryce. Terkot broni, krzyk zabijanych, zapach prochu, kału i krwi. Zapach śmierci. A po wszystkim zapach perfum. Jej perfum.

Maria Walewska przyszła mu podziękować za to, że ocalił jej brata, że uchronił jej rodzinę i ją samą przed utratą reputacji. A później... Uniósł się na

łóżku i rozejrzał się, nie było jej obok. *Czy to był tylko piękny sen?* – pomyślał. Nie, to nie był sen, przecież w powietrzu unosił się zapach jej perfum, a z łazienki dobiegał szum wody, a jednak tu była! I ciągle jest!

Czekał na nią rozłożony wygodnie w łóżku, jak zdobywca czeka na triumf, wreszcie, po kilku minutach wyszła. Spodziewał się, że będzie naga, była jednak w kostiumie, na który zarzuciła lekkie letnie futro, którym uzupełniały swą garderobę majątne elegantki. Ale także ubrana rozpałała jego namiętność, pomyślał, że to część teatru, perwersyjnego spektaklu, który się za moment odbędzie. Usiadł w łóżku i poczuł podniecenie, bo wyobraził sobie, co może się stać za chwilę, może się zacznie dla niego rozbierać, a może on to zrobi. Patrząc na nią, czuł się jak młody bóg, jak człowiek spełniony, jak zdobywca pierwszej nagrody, bo tym była dla niego Maria Walewska.

Nieco ponad trzy lata temu zmykał z Polski ścigany przez oszalałego śledczego Denhela, a teraz leżał w wygodnym łóżku, które stało w jego drogim apartamencie i patrzył na kobietę, którą właśnie zdobył. Była jego i tylko jego, choć marzyło o niej pół warszawskiej socjety. Jakby tego było mało, cieszył się reputacją amerykańskiego człowieka sukcesu, wschodzącej gwiazdy modnych salonów i współautora książki, w której pokładało nadzieje wielkie wydawnictwo. Był młody, przystojny i majątny, więc o wykształcenie i przeszłość nikt nie pytał, bo on był przyszłością. Triumf literacki duetu Walewski–Haas miał być tak wielki, że Dołęga-Mostowicz i Ossendowski powinni się obawiać utraty pozycji najpoczytniejszych pisarzy. Zawsze był ostrożny i po nauczce z Ameryki miał omijać wyższe sfery, nie pchać się tam, gdzie zapach drogich perfum i eleganckie kobiety mogą skuteczniej pozbawić głowy niż seria wypuszczona z pistoletu maszynowego. Pieprzyć to! Żyje się raz!

Czniał staroświeckie *Tisze jediesz, dalsze budiesz*, miał gdzieś politykę, kasiarstwo, intrygi wywiadu i przygody. To wszystko miał za sobą, nie obchodzili go już komuniści, bo zlikwidował ich psa, czniał brzeski proces i brzeskie wybory, miał gdzieś tych, co wsadzali, i tych, co siedzieli lub się ukrywali. To nie był jego interes, to nie była jego gra. Miał dwadzieścia sześć lat i Warszawę u swoich stóp, czegoż więcej można było chcieć od życia?

Hrabina Maria Walewska szła w jego kierunku, z lubością zamknął oczy i czekał, tak jak czeka zwycięzca na pierwszą nagrodę. Co będzie dalej? Minęło parę sekund i nic, otworzył więc oczy i spojrzął na nią. Nie podeszła do niego, stanęła metr od łóżka, nie zaczął się żaden spektakl, nie czekała go żadna niespodzianka, nic podniecającego i perwersyjnego się nie wydarzyło. Maria stała i patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nie łączyła ich ostatnia noc,

spoglądała na niego tak, jakby weszła do eleganckiego magazynu i miała wygłosić w kierunku subiekta jakieś dyspozycje, jakby była zniecierpliwiona, że zamiast skupić na niej uwagę, on przymknął oczy i czekał nie wiadomo na co.

– Wychodzę, Henryku – odezwała się wreszcie tonem grzecznym, ale pozbawionym seksapilu.

– Zostań! – Pomyślał, że to jakiś żart, więc swoją kwestię powiedział tonem nieznośnym sprzeciwu. – Żądam tego stanowczo, Mario!

– Wzywają mnie obowiązki – zakomunikowała.

– Odprowadzę cię! – Był rozczarowany, ale postanowił zachowywać się szarmancko.

– Nie trzeba. – Podeszła do łóżka i podała mu dłoń do pocałowania. – Wyjdę sama, znam drogę, a ty znaj prawdę. To był incydent, to była chwila szaleństwa, miłego szaleństwa, ale bez żadnych zobowiązań. Jestem zaręczona z hrabią Fryderykiem Overathem.

– Jesteś zaręczona?

– A co by to zmieniło? Nie chciałbyś spędzić ze mną tej nocy, uniósłbyś się honorem, a może uznałbyś to za coś grzesznego, niedopuszczalnego? – Uśmiechnęła się. – Jesteśmy dorośli i wolni, takie rzeczy się zdarzają. Ale nic więcej, bo wybac, Henryku, ale tak jak nie można sobie pozwolić na brata homoseksualistę, który opłaca męskie dziwki i daje się szantażować bandytom, tak nie można sobie pozwolić na to, byśmy się razem afiszowali. Nie w chwili, w której ogłoszone będą zaręczyny, zrozum mnie, ale plotki, nie mówiąc już o zainteresowaniu prasy, to by było niewskazane na równi z informacjami o tym, że mój brat mógł się zadawać z takimi ludźmi.

Gniewnie odepchnął jej dłoń, aż Walewska zasyczała zraniona bardziej symbolicznie niż przyprawiona o ból, ale po chwili się uśmiechnęła.

– Są kobiety, których nie można ot tak sobie porzucić, to byłby błąd! – powiedziała nie żartem, lecz z pewną wyższością, jakby mu udzielała porady. – Rozumiem, że to dla ciebie zaskoczenie, może nawet szok, zatem ochłoń i przemyśl swoje zachowanie, miarkuj gesty, przecież aspirujesz do tego, żeby być dżentelmenem!

Ponownie wyciągnęła ku niemu dłoń, a on ją odsunął.

– Tak lepiej – uśmiechnęła się – choć daleko jeszcze do ideału. Powinieneś złożyć mi pocałunek i przyjąć do wiadomości, jak się sprawy mają.

– Mają się, szanowna pani hrabianko, zupełnie do dupy – powiedział,

modulując głos tak, by upodabniał go do kogoś z wyższych sfer – bo ja nie jestem żadnym dżentelmenem i nie zamierzam być, rozumiałaś to? A teraz idź już sobie, *ma chérie, my darling, meine liebe*. – To mówiąc, wskazał palcem drzwi.

– Niepotrzebna demonstracja. Czy to dla ciebie takie trudne do pojęcia, nie rozumiesz, że oddałam ci się, bo nie rozchodzi się tylko o to, że uratowałam rodzinę Walewskich przed katastrofą, ale także dlatego, że mi się podobasz? To nie koniec naszej znajomości, to tylko konieczna pauza. To, że będę miała męża, nic nie znaczy. Zupełnie nic.

– To „kolega” Poldka? – Heniek powiedział te słowa z wyraźnym przekąsem.

– Nic z tych rzeczy! Fryderyk ma kochankę, dla której oszalał, ale której nie toleruje rodzina. To aktorka, więc rozumiałeś, że nie może jej poślubić. To znaczy może, ale żeby nie stracić pozycji w rodzinie, a od tego zależy dziedziczenie, musi mieć żonę reprezentującą odpowiednie kręgi. To kulturalny człowiek, który nie będzie sprawiał kłopotów, ale nie może wyjść na rogiacza, nie teraz. Z kolei jemu kochanka nie zaszkodzi, byleby nie przyszła na ślub, mężczyźni mogą więcej *mon chéri!* Ale jak się wszystko ułoży, jak już będzie po ślubie...

– Aha! To taka hrabiowska układanka, w której możesz mieć kochanka jak tajnego czy lokaja? Tak?

– Henryku...

– Nie chce mi się tego słuchać, wyjdź stąd natychmiast, zegnaj cię!

– Jesteś pewien? – Maria położyła sobie palec na ustach, jakby chciała prosić o ciszę, zrobiła to jednak po to, by chwycić zębami za czubek rękawiczki, a później zdjęć ją i rzucić na łóżko. Po chwili zaczęła powoli zdejmować drugą, a kiedy miała już obie dłonie gołe, rozpoczęła rozpinanie guzików w bluzce, uśmiechała się przy tym kusicielsko.

Heniek wyszedł nagi z łóżka, a ona spojrzała na jego męskość z nieskrywanym zdziwieniem, że pokaz, który rozpoczęła, nie rozgrzał krwi w jego żyłach, nie wywołał spodziewanego podniecenia.

– Daję ci parę sekund na to, żebyś się zapięła i dalej jazda mi stąd! – powiedział, podchodząc do niej.

Stała i patrzyła na niego zaskoczona.

– Mówię w jakimś nieznanym ci języku? Nie prowokuj mnie, tylko zabieraj się, zejdź mi z oczu, jak się nie pozbierasz, to cię wystawię za drzwi w rozpiętej bluzce.

– Jak chcesz, ale jeszcze będziesz mnie chciał, być może straciłeś swoją szansę...

Nie dokończyła, bo delikatnie, ale zarazem stanowczo zaczął ją wyprowadzać z sypialni, doprowadził do przedpokoju i otworzył drzwi wyjściowe z zasuw, po czym minął ją i zatrzęsął się w sypialni.

– Byłam uczciwa, powiedziałam ci całą prawdę. *Adieu!* – krzyknęła przez zamknięte drzwi, po czym dodała: – *Adieu*, ale nie w znaczeniu „żegnaj”, bo ja nie zamykam przed tobą drzwi, zatem *a bientôt*, Henryku!

Słyszał, jak wychodzi, powoli, jakby myślała, że zerwie się z łóżka i będzie ją na kolanach przeproszał za impertynencję. Nie miał takiego zamiaru. Kiedy zapinała w przedpokoju bluzkę, on zapalał papierosa, a kiedy trzaskała drzwiami, odkręcał butelkę burbona. Nie zdążyła jeszcze zejść na parter, gniewnie stukając obcasami po schodach, kiedy był już po pierwszej kolejce i nalewał sobie następną. Pół godziny później był już na niezłym rauszu i dzwonił do tych, którzy wiedzą, jak znaleźć dobre dziwki. Płacenie za miłość nie leżało w jego naturze, ale rewanże lubił, a Marii Walewskiej postanowił się zrewanżować właśnie tak.

Zemsta jest rozkoszą bogów. I pewnie ta też byłaby godna, gdyby się tak okrutnie nie wlał. Panienska przysła i zrobiła swoje, pewnie byłoby to w tempie ekspresu, ale zanim zadzwoniła do jego drzwi, był już na etapie, w którym chęci zaczynają przekraczać możliwości. Tak czy owak, zdarzenie miało swój szczęśliwy, choć zupełnie niespodziewany koniec. Najpierw już na samym finiszu skończyła się płyta gramofonowa, z której dudnił amerykański jazz-band, zamiast wściekłego dźwięku trąbek i perkusji słychać było tylko igłę skrzypiącą i jałowo szorującą po pustych, niezapisanych muzyką rowkach. Wtedy właśnie doszedł. Leżąc na wznak i trzymając w lewej ręce papierosa, a w prawej butelkę z burbonem, usłyszał głos panienski.

– A szanowany pan to z obyczajówki czy może umawiane było na trójkąt? – wygłosiła swoją kwestię, ocierając sobie usta chusteczką.

– Ja... – usłyszał znajomy głos – do kolegi przyszedłem w gości.

Finiszowi łózkowej sceny przyglądał się Leopold Walewski, brat Marii. Oczywiście miał jak spodki, był wyraźnie zmieszany, ale nie potrafił oderwać wzroku od widowiska, na które trafił.

– Pan szanowny zainteresowany podobnym seansem? – Panienska szybko

straciła zainteresowanie klientem, który przed chwilą dostał to, na co się umawiał.

– Ja... – niepewnie zaczął Walewski – ja, nie jestem zainteresowany – wybąkał w końcu.

– To w takim razie co to jest? Pokaz jakiś? – gniewnie burknęła panienka, zakrywając piersi gorsetem, znad którego jeszcze przed momentem sterczały niczym na pornograficznej pocztówce. – Podglądanie nie było umawiane, trójkąt też nie, a na numerek pan nie reflektujesz – podsumowała sytuację, wstając jednocześnie z łóżka.

Leopold Walewski nie mówił nic, natomiast Heniek błyskawicznie odstawił butelkę i zakrył się kołdrą, bo jeśli jakieś podglądactwo wchodziło w grę, to Poldek wcale nie wyglądał kształtnego biustu panienki, tylko jego członka, który po zabiegach dokonywanych przez dziewczynę był pokryty szminką. Nagle Walewski ruszył w kierunku łóżka, minął panienkę pochylił się nad Heńkiem.

– Pozwolisz?

– Hale c-ho? – Heniek upił się jak nigdy w życiu, ale to, co chciał zrobić Poldek Walewski, wykraczało poza alkoholowe upodlenie. – Chyba nie chcesz...? – zapytał i wyprostował się, chociaż najchętniej zwałiłby się do łóżka, zakręcił w kołdrę i usnął.

– No chcę. – Walewski się skrzywił. – Nie będziesz miał nic przeciwko temu? – Sięgnął po flaszkę. – Zwykle nie piję o tej porze, ale... – spojrzał na dziewczynę, która ubierała się jak gdyby nigdy nic – te okoliczności... – spojrzał na Heńka i się zarumienił. – To było wszystko dość niezwykle. – Uśmiechnął się, może nawet rozmarzył. – Niezręcznie wyszło, przepraszam, nie było moją intencją wkroczyć w ten sposób w twoje życie, w tak intymną sferę...

– Chcesz, to zostaniemy szwagrami – zaśmiał się Heniek.

– To by było piękne – odparł Walewski, nalewając burbona do szklaneczki. – Za coś takiego wypiję!

– No pięknie! Zatem, ja się oddalę, no chyba że masz dokąd zabrać sympatyczną panią...

– Mogę tutaj, mogę u klienta, mogę w hotelu, do wyboru do koloru – ożywiła się prostytutka. – To jak?

– Ale że o co chodzi? – zaniepokoił się Walewski.

– Zgodziłeś się, że możemy zostać szwagrami. – Heniek wyszczerzył zęby w pijackim uśmiechu. – Najpierw ja z panią, później ty i jesteśmy szwagrami,

literat jesteś, a nie wiesz, co i jak?

– No wiesz co!? – oburzył się Poldek.

– A co panu nie pasuje? – uniosła się dziewczyna. – Nie to nie, szybko się decydujemy, bo za dwie godziny mam poważne zlecenie, a tu i tak mi się trochę zeszło – powiedziała z pretensją w głosie.

– Kobiety kocham, ale platonicznie. – Poldek Walewski znów się spłonił. – Pani jest piękną kobietą, jak pani na imię?

– Dwadzieścia pięć złotych, mój słodki, oto moja karta wizytowa, szykowny jesteś, delikatny, dla ciebie skłonna jestem zgodzić się zmienić imię na dwadzieścia: *zwanzig*, *twenty*, *dwadcat'* albo – uśmiechnęła się zalotnie – *vingt*? Zrobilibyśmy małe parlez-vous français, bo słodki jesteś!

Pani nierzuciła na siebie futerko, cmoknęła go w policzek, po czym uzupełniła szminek na ustach i wyszła z pokoju. Walewski stał kompletnie oszołomiony. Przede wszystkim zdał sobie sprawę, że w tej chwili ma na policzku taki sam karminowy ślad, jaki ma na swoim członku Heniek. Nie bardzo wiedząc, co ma zrobić, nalał sobie nową kolejkę i pośpiesznie wypił.

– Heniu... – zaczął, ale zaraz przerwał, bo musiał wziąć oddech po porcji mocnego alkoholu. – Co do szwagrów, to doszło do nieporozumienia, ja bym cię widział, Henryku, jako swojego prawdziwego szwagra, tak *per definitionem*, dosłownie, że ty i moja siostra...

– Czy ty wiedziałeś, że twoja siostra wychodzi za mąż, że ją swatają?

– Mój drogi, to nie jest coś, do czego przywiązywałbym jakąś szaloną wagę, zwłaszcza ja tak mogę powiedzieć, któremu w życiu grozi wiele prawdziwych miłości, ale z pewnością związek małżeński, który zawrę, nie będzie niczym więcej jak tylko mistyfikacją, taką zasłoną dymną, zatem...

– Poldek! – krzyknął Heniek. – Przestań opowiadać te wasze arystokratyczne kocopoły, bo uwierzę, żeście bolszewicy! Mi bliżej do socjalistów, ale kobietami się z nikim dzielić nie będę! Twoja siostra...

– Moja siostra cię kocha... – bardziej spytał niż stwierdził Walewski. – Na pewno cię lubi, ceni szanuje, ale...

– Konwenanse, mezaliansy, etykiety! Mam to gdzieś! – ryknął, aż Walewski schował głowę w ramiona. – Mierzi mnie to, gardzę tym, pluję na to! – strzelał słowami Heniek, ale Walewski jakby się na to uodpornił, nalał sobie burbona i ze spokojem słuchał Heńkowej tyrady. – Hipokrycy, zepsuci bardziej niż lumpy z baraków, targowica, sprzedawczyki, szemrana ferajna w złocie... – Potok obelg płynął, a hrabia Walewski, przyszyły dziedzic pałacu w Czarnym Lesie, folwarku

Rysieniec oraz pomniejszych nieruchomości, domów dochodowych, zbiorów sztuki, rozmaitych akcji oraz niemałych sum pieniędzy zdeponowanych w polskich i zagranicznych bankach, spokojnie uzupełnił alkohol w szkle i słuchał swojego przyjaciela, tak jak publiczność nieznająca się na fizyce i chemii słuchałaby wykładu o radzie i polonie; z uwagą i szacunkiem dla mówcy, ale kompletnie bez zrozumienia. – To skutki tego, że pieprzycie się między sobą, chyba że jakiemuś stangretowi czy ogrodnikowi uda się skutecznie strzelić z boku!

Heniek spojrzał na Leopolda hrabiego Walewskiego, który sprawiał wrażenie, jakby z uznaniem analizował jego słowa. Zamiast tego wzniósł szklaneczkę i powiedział:

– Twoje zdrowie, przyjacielu! – Wychylił kolejkę, ale nie sprawiła już takiego wrażenia jak te poprzednie, które z lekka go zatkały. Wziął w rękę butelkę i powiedział: – Farmerski trunek to nie koniak czy brandy, ale muszę przyznać, że coraz bardziej się do niego przekonuję!

Heniek wyszarpnął mu flaszkę z ręki, a hrabia spokojnie zapytał:

– Chcesz się jeszcze napić? Uważam, że stanowczo za dużo wypiłeś, jest dopiero południe, dokładnie pół do południa, wczesna godzina jak na alkoholowe ekscesy.

Heniek nic nie powiedział, tylko ścisnął butelkę, jakby była granatem.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Mogę tylko apelować do twojego zdrowego rozsądku, ale jesteś dorosłym mężczyzną, zatem rób, co chcesz, Henryku, twoja wola!

– Sram na was, rozumiesz?! – ryknął Heniek i widząc, że na Poldku Walewskim nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, pociągnął solidnie z butelki, opróżniając ją tym samym do dna, po czym zamachnął się i rzucił nią z całych sił. Flaszka, kręcąc się wokół własnej osi jak granat, śmignęła Walewskiemu koło ucha i rozwalila się z trzaskiem o ścianę. Młody hrabia nadal zachowywał stoicki spokój, więc Heniek wziął żeliwną popielniczkę i rzucił nią prosto w lustro, i dopiero to zrobiło jakieś wrażenie.

– Daj pokój, Henryku! – wykrzyknął Walewski. – Daj pokój, wszystko się jakoś ułoży. Będziecie razem, choć nieoficjalnie, a my będziemy pisać bestsellery, już nawet ustaliliśmy w Roju, że nasz duet będzie się nazywał Jack Strong!

– Nic się nie ułoży – ryknął Heniek i zerwał się z łóżka, uprzednio okręciwszy się kołdrą.

Kiedy Poldek chciał go uspokoić, kładąc po przyjacielsku dłoń na ramieniu,

Heniek odepchnął go, tak że Poldek padł jak długi, a jemu samemu opadła kołdra, przez co stał nagi nad leżącym przyjacielem. Wtedy się zorientował, że nie są sami. Scenie przyglądało się dwóch mężczyzn w garniturach, nieprzesadnie kosztownych, i w nieco znoszonych kapeluszach, za nimi stała kobieta w mundurze. Ci dwaj nie musieli wyciągać legitymacji, by wiedział, jaką instytucję reprezentowali, ona zaś cała wyglądała jak granatowa policyjna legitymacja.

– Mieliśmy zgłoszenie, że tu się odbywa jakaś orgietka, a tu dwóch pijaków – zaśmiał się jeden z tajniaków. – Panienci już sobie poszły?

– Ale jaki problem, że orgietka bez dam? – zapytał Poldek Walewski, gramoląc się z ziemi. – A czemuż by nie?!

– No ładnie, wygląda na to, że dwie ciotki. – Drugi pokręcił głową. – Dokumenty! Sprawdzimy, czy nie notowani!

– Matkę możesz sobie sprawdzać, a nie hrabiego Walewskiego i obywatela USA. – Heniek odezwał się po raz pierwszy i, jak się okazało, po raz ostatni. Potrafił się bić, ale na swoich zasadach, kiedy był do tego przygotowany i trzeźwy, a nie ledwie trzymający się na nogach i okręcony kołdrą.

Głowa bolała dubeltowo. Od ciosów, które zadał policjant dość bolała, ale od wypitego burbona strasznie. I suszyło go, a do tego był głodny i wściekły. I to była jakaś poprawa, bo na początku, po tym, jak się okazało, że nie dla psa kiełbasa, czyli nie dla Heńka hrabina, czuł ból wewnętrzny, dusił go smutek i pewnie by z niego powietrze uszło, ale powiedział sobie „chłopaki nie płaczą” i wezwał na pomoc najpierw pana Jacka Daniela, a gdy ten wyprowadził go na prostą, wydzwonił erotyczne pogotowie ratunkowe. Drogo kosztowała, ale miło było i w sumie to był najmniejszy koszt z tych, które poniesie. Rachował w myślach, ile zapłaci za delikatną demolkę hotelowego pokoju, ile za grzywnę, bo pewnie wlepią mu coś za nieobyczajne zachowanie i wyzywanie funkcjonariusza, a na koniec za adwokata, który ich wyciągnie z aresztu. Papuga wyglądał na drogiego, bardzo drogiego! Od stóp do głów ciuchy z Hersego i od najdroższych szewców, laseczka, sygnet, a jak zdjął kapelusz, to jasne było, że i fryzjer pierwsza klasa. Ale wyciągnął ich szybko i bezszmerowo.

– Dwieście złotych! – krzyknął na całego Heniek.

– No dwieście! – odparł Poldek. – Ja stawiam. Stawiam, płacę, bo i tak jestem twoim dłużnikiem – wyjaśnił.

– Nnno tak, dłużnikiem – wymamrotał Heniek. – No ale tak czy owak, ten papuga bezczelnie z ciebie zdarł!

– Nie zdarł, nie martw się, mój przyjacielu – łagodnym głosem klarował hrabia. – Jesteśmy i tak wygrani, bo te czterysta złotych...

– Czterysta złotych!?! – Heniek znów dał o sobie znać całej sali.

– Heniu, Heniu – uspokajał Leopold Walewski – dwieście za mnie i dwieście za ciebie, to i tak oferta dla starego przyjaciela! Mecenas jest moim znajomym, gdyby nie to...

– To co? – ożywił się Heniek. – To co? Pół tysiąca?

– Murowane, Heniu, murowane! Bo musisz wiedzieć, że mecenas wyciszył sprawę, funkcjonariusz wycofał skargę, nie będzie sądu grodzkiego, nawet mandatu, tak wszystko załatwione, że nawet w areszcie nas nie było! To niebywałe, kilka telefonów, rozmów, szast-prast i po wszystkim, rozumiesz, Heniu?

– Teraz rozumiem, faktycznie za pół ceny, faktycznie.

– Bulionu się napij, proszę, już na wejściu zamówiłem, dobrze ci to zrobi na żołądek, bo przecież nic od rana nie jadłeś!

– Wódki bym się napił. – Heniek popatrzył na Poldka wzrokiem, jaki mają tylko psy rasy basset. – Jedną małą wódeczkę!

– Proszę, oto remedium na twoje problemy – powiedział Walewski, podsuwając szklankę z wodą mineralną.

– Nie suszy mnie już, boli mnie głowa!

– I dlatego proszę cię, Heniu, żebyś zażył proszek z kogutkiem!

Pod nos Heńka podjechała łyżeczka do kawy, na której leżała okrągła tabletką.

– Wezmę, ale pod jednym warunkiem! – Heniek wznosił w górę palec.

– Trochę się tego warunku obawiam – bezradnie odparł Walewski.

– Piwo, jedno małe piwo, mój hrabiowski przyjacielu!

– No dobrze, jedno jedyne!

Kiedy godzinę później jechali dorożką do Grandu, Walewski z niezadowoleniem kręcił głową.

– Z tobą, Henryku, gorzej niż z małym dzieckiem, obiecałeś jedno piwo, tylko jedno!

– Ale spotkałem znajomego!

– Austriackie gadanie! Teraz to masz samych przyjaciół albo samych wrogów,

znów cię ciągnęło do jakichś niepotrzebnych występów, nikt by już nas z kłopotów nie wyciągnął, nie byłoby takiej siły.

– To po co się ten dureń rozpytywał o twoją siostrę?! Chyba tylko po to, żeby mnie zdenerwować!

– Przez grzeczność pytał!

– Przez grzeczność to mógł o zdrowie szanownej mamusi, pani hrabiny pytać, ewentualnie o tatusia hrabiego się spytać, ale nie, nie! On musiał wiedzieć, czy jaśnie pana hrabiego siostra jest zdrowa. I proszę przekazać, że rączki całuję!

– Faktycznie, to nie było w dobrym guście, ale zrozum, to kupiec!

– Gównu mnie obchodzi, czy kupiec i czy chrześcijański, czy starozakonny, komunista czy Murzyn!

– Henryku! Chyba nie jesteś zazdrosny!

– Ja? O tę... – ugryzł się w język. – O twoją siostrę? Nigdy w życiu!

– To bardzo dobrze, to bardzo dobrze, bo to...

– Bo to nie jest partia dla mnie? – ryknął Heniek i Walewski bał się, że jego przyjaciel eksploduje, ale okazało się, że było to apogeum, że żadnego wybuchu nie będzie. – To przez moją głupotę... – powiedział smutnym głosem, podpalając papierosa. Zaciągnął się, puścił kłęb dymu i spojrzał na Walewskiego wymownym wzrokiem. – Ciężki frajer ze mnie, ciężki!

Do końca drogi Heniek milczał, a Leopold Walewski zastanawiał się, co dalej. Jego przyjaciel był nie tylko bardzo pijany, lecz także rozbity emocjonalnie. Niczego mu nie mógł kazać, bo przecież nawet w tym stanie siła była po jego stronie. Nie obezwładni go, ale i też do niczego nie namówi, bo Heniek zrobił się kapryśny i uparty jak dziecko.

– No to sobie kawalerka zaszalała! – Mieczysław Kosiorek był tylko i aż kierowcą Heńka. To Heniek był szefem, ale Kosiorek był starszy, silniejszy, z mocną pozycją w warszawskim półświatku. To on pośredniczył, kiedy Szpicbródka zaproponował młodemu kasiarzowi współpracę, a po aresztowaniu pryncypała przyjął posadę u Heńka. Był kimś znacznie więcej niż kierowcą, bo służył młodemu szefowi nie tylko fenomenalnymi umiejętnościami w prowadzeniu auta, lecz także mocną pięścią, doświadczeniem i kontaktami. Heniek miał czystą kartę, nigdy nie siedział, skutecznie budował swoją pozycję młodego człowieka interesu z Ameryki, który błyszczał na salonach, dlatego

unikał kontaktów z szemraną Warszawą, od tego miał Kosiorka.

– Ja zaszalałem!

– Narozrabiało się... – Kosiorek pokręcił głową.

– Narozrabiało, ale już po sprawie, papuga Walewskiego wszystko załatwił.

– Tyle to i ja ustaliłem, tam też mam znajomych – uśmiechnął się – jeszcze mam, bo stara gwardia się wykrusza. Nie ustaliłem jednak, co się z tobą stało po opuszczeniu gościnnych progów Grandu. Wpadłem w parę miejsc, ale nie do Bristolu.

– Zrobili mi eksmisję, więc się przeprowadziłem do Bristolu. Nikt nie jest doskonały.

– Jak patrzyłeś w lustro, to wiesz to od rana. Pokój w Grandzie już wysprzątanym, o tyle o ile, bo ze szkłem na podłodze, z połamanymi mebelkami i innymi drobiazgami to się uwinęli. Już zapłacone, tak że nie daj się naciągnąć, ale wymiany tapety, nowych lusterek i szyb w drzwiach to jeszcze nie załatwiłem, ale dzisiaj powinno być zrobione – zaraportował Kosiorek. – Cysterna tego amerykańskiego wynalazku, panienska, demolka, no nasz ciepły hrabia, no i jeszcze, jeśli to nie jakaś tajemnica oczywiście...

– Nie jest. To był pełny program, który mnie wyprowadził z Grandu do lepszego hotelu. – Heniek starał się żartować, ale spoważniał. – Cholera, ja się jak ten Wokulski wpakowałem.

– Jaki Wokulski? – zdziwił się Kosiorek. – Bokulski może, tego to znam, to furman z ulicy Mińskiej. A co on takiego nawywijał?

– Stanisław Wokulski, kupiec, człowiek interesu. *Lalkę* czytałeś?

– O Prusa się rozchodzi?

Heniek przytaknął.

– *Katarynkę* czytałem, jeśli się o jego książki rozchodzi. – Kosiorek wzruszył ramionami. – *Lalka* to wiem tylko, jak wygląda. Grube to to cholerycznie i po co mnie czytać o czymś, co wiem, co za oknem u naszych przodków się rozgrywało. Takie bardziej historyczne sprawy to co innego – ożywił się. – Ale też nie Prusa, bo co mnie obchodzą frajerzy z Egiptu, którzy stawiają piramidy. Sienkiewicz! *Krzyżacy*, *Trylogia*, no i to o starożytnym Rzymie. A o co się z tym Wokulskim rozchodzi?

– To bohater *Lalki*, w pannie Łęckiej się zakochał...

– Nie mów, że w hrabini i że ta makolągwa i jej familia wystawili tego Wokulskiego do wiatru, jak Walewska ciebie.

– A skąd ty wiesz?

Kosiorek uśmiechnął się szeroko.

– Bo wiem, że ta Walewska była u ciebie, a skoro była, to... To ja to sobie do kupy poskładałem drogą dedukcji!

– No to po co się pytasz?

– Bo tylko się domyśliłem, że doszło do damsko-męskiego nieporozumienia, ale do jakiego w szczególności, to nie wiem.

– Ona jest zaręczona.

Zamiast współczucia był śmiech.

– I co tu do śmiechu?

– Bo przecież wszystkie one pozaręczane! Moja ciotka służyła u jednych hrabich czy innych baronów, to mnie opowiadała, że one, ta cała arystokracja, to od małości wiedzą, z kim i kiedy. Kalendarze mają pozapełniane, jak Węgielek od przeprowadzek. Zapomnij, ale już nie pij, trzeba ci przeprowadzkę zrobić, zbankrutujesz na hotelach, słyszysz?

– Słyszę.

– Jeszcze coś cię gryzie, ale jak nie chcesz, to nie mów.

Kosiorek wiedział o egzekucji, jaką zrobił bandzie Frania Wlazły, w końcu sam go tam zawiózł i odwiózł kradzioną taksówką, ale dopiero teraz Heniek powiedział mu o szczegółach i o tym, co mu powiedział umierający Franio.

– „Przede wszystkim wiedz, że nie zabiłem twojej matki”, tak mi powiedział i jeszcze mi wskazał miejsce, w którym trzymał flotę i ostrzegł przed swoim człowiekiem, który był za drzwiami, a wiesz dlaczego?

– No przecież, że zielonego pojęcia nie mam!

– Żebym się zaopiekował jakimiś Lejbem, żebym odnalazł w Chełmie zegarmistrza Hersza.

– I co w związku z tym zamierzasz zrobić?

– Jak to co? Pojechać i sprawdzić, co jest grane, ale sam, we dwóch byśmy się rzucali w oczy.

Warszawa
22 października 1936

Lekturę materiałów na temat Heńka major zakończył na jesieni 1930 roku.

Chłopak miał wtedy dwadzieścia sześć lat, był znakomicie urządzony i nikt nie podejrzewał go o udział w strzelaninie na Siekierkach.

Zabójstwa dokonano z broni, której do tamtej pory nie używali polscy przestępcy. Pistolety maszynowe Thompsona były w Polsce od siedmiu lat, kiedy to sprowadzono pięćdziesiąt sztuk dla oddziałów policyjnej rezerwy oraz Korpusu Ochrony Pogranicza. Przebadano wszystkie służbowe thompsony, ale żaden z nich nie został użyty na Siekierkach. Zdaniem porucznika Witka był to *modus operandi* typowy dla chicagowskich gangsterów, więc w swoim raporcie apelował o wznowienie tej sprawy i przesłuchanie Henryka Wcisły alias Haas.

Porucznik Witek był pewien, że to on stał za literackim sukcesem hrabiego Leopolda Walewskiego, który po nieudanych, mdłych próbach pod pseudonimem Aleksander Shreck popełnił dwie mroczne *Morderstwo w Baden-Baden* oraz *Topielec z Zoppot* i nagle zaskoczył wszystkich pełnokrwistą powieścią *Tajemnica skarbu Ala Capone*, którą wydał pod pseudonimem Jack Strong.

Entuzjaści piali z zachwytu, że to połączenie powieści z reportażem, że zaciera się granica między literacką fikcją i reporterską rzetelnością. Niektórzy szli dalej, przede wszystkim porucznik Witek, uważając, że wiedza przyjaciela Walewskich wzięła się nie tylko z obserwacji, których dokonał w Chicago, lecz także z gangsterskiej praktyki. Wiele dam chciało w nim widzieć amerykańskiego gangstera, stąd padł na niego cień podejrzewania, że to on dokonał jatki na Siekierkach. Ktoś posługujący się pistoletem maszynowym systemu Thompsona, a więc typową dla amerykańskich gangsterów bronią, rozpruł bandę Franciszka Wlazły. Zginęło pięciu bandziorów, których herszt służył w tym samym pułku co Wcisło-Haas! Policja pociągnęła ten wątek, ale po pierwsze miał on alibi – grał „na wodociągach” w golfa z hrabią Walewskim, po drugie była to jedna z wielu zbrodni, która związana była z głośną sprawą Pogromcy Grzeszników. Warszawę ogarnął szal porachunków w świecie sutenerów, zatem i gang Wlazły, który współpracował z osławionym kartelem handlarzy żywym towarem Zvi Migdał, także był ofiarą tej wojny.

A nawet jeśli... – pomyślał major, zamykając teczkę. A nawet jeśli, to potrzebowali kogoś takiego. I on ich też potrzebował.

Ciekawe, co będzie w kolejnych teczkach i raportach, na dzisiaj to już koniec, było późno i nawet jeśli weźmie taksówkę, to ledwie wyrobi się przed północą. A sen był mu potrzebny i nie miał zamiaru spać nigdzie indziej jak we własnym łóżku, ale zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli ma zdążyć i starannie wykonać swoją robotę, to kolejne trzy dni będzie musiał spędzić w pałacu Saskim. Trzy dni jak na froncie w ziemiance: walka i sen, znów walka, posiłek i tak w kółko.

Taka służba – westchnął, chowając dokumenty do szafy. Zadzwoił po oficera dyżurnego, by ten zaplombował sejf i pokój.

Wyszedł z pałacu i szedł przez dziedziniec. Powietrze było rześkie, świeże, miasto już szło spać i narastała cisza, którą nagle przerwał śpiew. Ten ktoś miał dobry głos, choć z pewnością nie był to Kiepura, bo nie miał tego brzmienia, gładkości i siły głosu co Chłopak z Sosnowca. Śpiewak musiał być w Ogrodzie Saskim, chyba lekko pod gazem, pewnie to jakiś zagubiony klient Oazy, który zbłądził po suto zakrapianym wieczorze.

Brunetki, blondynki – ja wszystkie was dziewczynki

Całować chcę

Lecz przyznam się, o jednej tylko śnię

Tą kochać chcę!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Piosenka urwała się, jakby pieśniarz zakończył recital. Nie, nie zakończył, tylko zmienił repertuar!

W Saskim Ogrodzie przy wodotrysku

Pan policmajster dostał po pysku!

Tym razem odgłosy nie dochodziły od strony fontanny i nie były tak głośne. Śpiewał musiał się przemieścić w kierunku ogrodów Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a może nawet dalej, aż pod ogród Zamoyskich. Ten człowiek może nie miał głosu Chłopaka z Sosnowca, ale biegał jak Kusociński, albo przynajmniej jak Noji! Gwoli sprawiedliwości trzeba mu było także oddać, że repertuar miał niezwykle zróżnicowany, bo od miłosnego wyznania w stylu mistrza Kiepury, po apaszowską balladę. I tym razem piosenka się urwała przy wtórce policyjnych gwizdków.

Kiedy zabrzmiały gwizdki, konkurent Kiepury umilkł. Pewnie miał teraz rozmowę z funkcjonariuszami albo wiał przez ogród, bo bał się mandatu za zakłócanie ciszy i powagi Grobu Nieznanego Żołnierza.

ROZDZIAŁ II

Legiony to przebrzmiąta nuta

Legiony to naiwnych los

Legiony to żebracza buta

Legiony dziś nam dały głos.

Myslałem już nieraz, że umierając, przeklnę Polskę. Dziś wiem, że tego nie zrobię. Lecz gdy po śmierci stanę przed Bogiem, będę go prosił, aby nie przysyłał Polsce wielkich ludzi.

Józef Piłsudski

Warszawa 23 października 1936

Ludwika Sokołowska wiedziała, kiedy się dzieje coś naprawdę ważnego. Potrafiła zauważyć, kiedy jej mąż ma naprawdę trudne zadanie do wykonania, i zdziwiła się, że zobaczyła go w Warszawie w stanie, w jakim widywała go podczas pobytu na zagranicznych placówkach. Wiedziała, co robi, kim jest, domyślała się, jak to może wyglądać – spotkania z ludźmi, których werbował do współpracy, trudne rozmowy, ryzykowne wyjazdy w teren. Sama z nim czasem jeździła, bo potrzebował przykrywki, mężczyzna z kobietą w romantycznej podróży nie budzi podejrzeń i nie zwraca na siebie takiej uwagi jak samotnik. Ale teraz byli w Warszawie, w swoim mieszkaniu – gdzie tu jakiegokolwiek zagrożenie, czym on się może tak bardzo denerwować? A może to nie dotyczy spraw służbowych? Nie, z pewnością, chodziło o pracę i o problemy, o których nie mógł jej opowiadać. W przeciwnym razie już by rozmawiali i rozwiązywali je razem.

Jak mu można pomóc? Dobrą kawą i dyskrecją, milczeniem. Kawa była taka, jaką lubił najbardziej, w tygielku, niezbyt duża, ale szatańsko mocna, zawieszista. Inna żona może by na tym zakończyła swoją poranną troskę o małżonka, starałaby się być przezroczyista i bezgłówna. Ale nie ona, bo Ludwika Sokołowska nie była niemową, nie należała do „stojących u boku” albo „wspomagających z tyłu”, żon lalek, żon rodzioelek, od wielkiego dzwonu także kochanek. W końcu nie wytrzymała i stanęła naprzeciwko niego po drugiej stronie stołu.

– Wiem, wiem, wszystko tajne, poufne i ważne, ale nie możesz od tego zwariować, słyszysz? Mam wrażenie, że nie jestem w naszym salonie, tylko w pokoju sędziego, który ma za chwilę wejść na salę sądową i ogłosić wyrok.

– Powinnaś pracować w wywiadzie – powiedział z pełną powagą, po czym się uśmiechnął. – Nie żartuję, nie kpię. W istocie, mam podjąć bardzo ważną decyzję, nie ja osobiście, ale moje słowo będzie ważne. Zacznę od tego, że muszę się wyprowadzić z domu na dwie noce, bo czeka mnie niezwykle intensywne prace. Czasu jest mało, a jak wiesz...

– Nie możesz zabierać do domu nawet notatek.

– Regulaminy też znasz. – Uśmiechnął się. – Żebyś jeszcze to mogła za mnie zrobić. To praca dla kogoś, kto zajmuje się psychologią, bo motyw...

– Zajmowałam się, krótko, bezowocnie, bo rodząc ci dzieci – powiedziała bez wyrzutu, a potem się poprawiła: – Rodząc nam. – Uśmiechnęła się. – Jesteś teraz zdenerwowany, bo nie zacząłeś pracować, jak cię znam, usiądziesz, wpadniesz w trans i wszystko stanie się dla ciebie jasne. Niepewność skończy się wraz ze skokiem do wody, już w locie się skoncentrujesz, a potem bezbłędnie popłyniesz do brzegu. Taka jest ocena twojego problemu, Włodku. – Wołała jego drugie imię, mimo że wszyscy zwracali się do niego pierwszym, oficjalnym Wincenty. Ludwice nie podobało się zdrobnienie Wicek, więc wołała Włodka, Włodzimierza. – Pycha, zazdrość, pazerność, chęć zaistnienia i udowodnienia swojej wartości, strach przed szantażem i popęd seksualny to najczęstsze motywy pchające ludzi do zbrodni: morderstwa, zdrady, złodziejstwa, gwałtu. Ty o tym wszystkim wiesz, więc chcesz się tylko upewnić, prawda?

– Prawda. – Czuł się lepiej, Ludwika potrafiła rozładować jego napięcie. Dopił kawę, uściskał ją i pożegnali się, jakby wychodził z domu nie na dwie noce, tylko na długie miesiące.

– Zemsta! – usłyszał, kiedy był już na klatce schodowej. – Nie zapominaj o zemście, Włodku!

– Zemsta! – odpowiedział zonie. Tak, zemsta często była motywem zbrodni, a najczęściej donosu.

Zemsta za co? – pomyślał. Będzie musiał się tym zająć, znaleźć jakiś trop.

Chelm

1930

Było już po zmierzchu, stary zegarmistrz Hersz Berelzon zamierzał położyć się spać, bo nie miał już nic do roboty. Złożył zegarek, jedyny, który dano mu do naprawy, więc co mu na dziś zostało? Tylko *maariw*⁶ i spanie. Ale rozległo się pukanie, wyrztał przez okno i zobaczył jakieś skryte w mroku postacie.

– Kto? – zapytał przez drzwi.

– Swoi! – usłyszał w jidysz.

Rozpoznał ten głos, to był Mordka Dawidowicz.

– *Szalom alejchem!* Pokój wam! – powitał ich grzecznie, bo choć nie lubił tych

ludzi, tak wypadło, oni się nie odezwali, co go zaniepokoiło, byli jacyś groźni, napięci. Unosiła się nad nimi zła aura, ale w końcu to koledzy, a dokładnie podwładni Frania, a on przecież był taki sam. – A co ciebie sprowadza, Mordechaj, o tak późna pora?

– Interesy!

No tak, interesy! Te przekłete interesy jego przyszywanego zięcia! Ale lepszy taki niż żaden, kto wie, jak by wylądowała jego córka Estera, gdyby nie on. I tak nie było się czym chwalić. Mogła być nie na kirkucie w Chełmie, tylko gdzieś w Argentynie. Może zdrowa, ale w jakimś lupanarze. A tak zmarło jej się w połogu, a pamiątka po niej jest tutaj z nim. Otworzył drzwi z nadzieją, że może przynieśli od niego jakieś pieniądze. Bo w sumie ten drań dobry był dla nich, wpadał tu czasem, mamonę dał. W drzwiach stał nie tylko Mordechaj Dawidowicz, lecz także trzech innych bandziorów: jeszcze jeden Żyd i dwóch gojów, których nie znał. Mordka nawet nie dotknął mezuzy, tylko wpakował się do środka.

– Późno, to już czas na *maariw* – powiedział gniewnie Hersz, najmocniejszym głosem, jaki może z siebie dobyć schorowany starzec.

– Ty się nie martw o *maariw*, ty się szykuj na *szuwe zicen*⁷...

– Co ty mnie tutaj mówisz, Mordka? No co? Czego ty chcesz? – Hersz Berelzon żałował, że otworzył im drzwi, ale było już za późno, Mordechaj Dawidowicz i jego ludzie byli już w środku.

– Słuchaj no, Hersz... – przemówił pogardliwym tonem. – Franek goj nie żyje, zastrzelili go w Warszawie.

Nogi ugięły się pod Herszem, bo co to teraz będzie, kto ich utrzyma? Był już stary i z zegarmistrzostwa sam ledwie wiązał koniec z końcem, a Lejb? Jak go wyżywi, ubierze, jak zapłaci za szkołę?

– Przyszliśmy, żeby ci to powiedzieć – wtrącił się jeden z goi – i przy okazji upomnieć się o to, co nasze.

– Czego wy chcecie? – zapytał zdziwiony słowami bandziora.

– Pieniądze, co miał je tu Franio!

– A skąd ty możesz wiedzieć, co tu trzymał Franio! – wybuchnął gniewem Hersz.

– Bo słyszałem *bass koł*, głos z nieba! – zaśmiał się Mordka.

– Ja tu nic nie mam!

– Myślisz, że ja jestem *szojte*⁸? – wyryczał Mordka Dawidowicz.

Zanim Hersz Berelzon zdążył odpowiedzieć, otrzymał uderzenie pięścią w twarz, po którym zobaczył wszystkie gwiazdy i osunął się na ziemię.

Warszawa

1930

Heniek kochał swojego sportowego mercedesa. Gdyby się w nim nie zakochał, toby nie wydał na niego trzydziestu tysięcy złotych! Uwielbiał się nim wozić, nadepnąć pedał gazu i gnać przed siebie. Najchętniej na szosie do Konstancina. I nie był w tym odosobniony, bo równych, wyasfaltowanych odcinków dróg było w Polsce niewiele. Przeważały wertepy, w najlepszym razie utwardzone, często zaniedbane szosy najczęściej dukty, na których najlepiej sprawdziłby się amerykański ford T, którego opracowano tak, jakby miał być bryczką z silnikiem. Koła, ich rozstaw i resorowanie miały pasować do wiejskich dróg, była to propozycja dla farmerów i robotników, tyle że w Polsce auta mieli tylko najbogatsi, a samochody służyły im do jazdy po mieście albo na stację kolejową, by odebrać gości.

Ach, gdyby była droga do Lublina, taka jak ta numer 66 w Ameryce! Nacisnąłby pedał gazu i pojechał! Ale nie mógł tak zrobić, szkoda zdrowia, szkoda auta, na takich drogach nawet ralf-stetysz² musiał walczyć, a w końcu jak to powiedzieli o nim Francuzi, było to solidne, kolonialne auto, czyli takie w sam raz na... polskie drogi. Gdyby pojechał tym skromnym autem, którym co dzień woził go Kosiorek, i tak byłaby niepotrzebna sensacja. Zwrócono by na niego uwagę jak na podróżnika albo na zagubionego uczestnika rajdu, na jednego z tych dzielnych, nieustraszonych sportsmenów, którzy przemierzali Polskę dla sportowego wyczynu, wioząc ze sobą mechanika i komplet części zamiennych oraz kanistry z benzyną. Tymczasem on potrzebował dyskrecji, chciał ostrożnie sprawdzić, czy słowa umierającego Frania nie były podpuchą.

Spakował się tak na kilka dni, zapas bielizny, koszula, nie mógł przeładować torby podróżnej, przecież był w niej pistolet maszynowy z bębнем amunicji. W końcu miał się spotkać z osobami, które znał Franio. Może to wszystko była podpucha? Na wszelki wypadek rozłożony pistolet maszynowy spoczywał między ubraniami, jakby był częścią bagażu lekarza, biuralisty czy handlowca. Lepiej było nie zadawać gangsterskiego szyku z Ameryki, gdzie chłopcy upodobali sobie do przenoszenia pistoletów maszynowych futerały od skrzypiec. Zdaniem Heńka było to proszenie się o kłopoty. Co bezczelniejsze

osoby będą zagadywać o granie. Można zbyć, warknąć, odciąć się, artystę wielkiego udawać, ale jak poprosi kobieta? Zresztą nie potrzeba recitalu, by wpaść jak śliwka w kompot.

– A jaką muzykę pan szanowny lubi?

– Jazz!

Jazz i skrzypce; to by wzmagало ciekawość.

– A tak z klasyki?

– Z klasyki to klasery, szanowna pani!

Ale to by nie było najgorsze z pytań o muzykę, na których by się wyłożył.

– A ulubiony kompozytor? A gdzie się pan uczył? Kogo by pan sobie powinszował posłuchać...?

Dlatego już w Ameryce kupił sobie na swojego tommy guna zgrabny kuferek, a oprócz tego miał w pogotowiu starego przyjaciela bojowców – browninga oraz miniaturowy pistolet Einhanda Lignose. Miał przy sobie jeszcze jedną rzecz – wojskowy granat, który kiedyś kupił Kosiorek. Bo była okazja. Bo słyszał, że jak się wrzuci do wody granat albo laskę dynamitu, to można bezwysiłkowo nałowić ryb. Jak dotąd wędkarski plan Miecia pozostał niezrealizowany, więc postanowił zabrać przypominający tłuczek granat.

Zapakował się nocą z tym bagażem w pociąg i niemal w samo południe był w Chełmie. *Dobry tytuł na sensacyjną książkę, albo i film* – pomyślał, schodząc na peron. *Może nawet na western.*

Dworzec wyglądał nie najgorzej, ale z pewnością budynek, który był pamiątką po *Priwislinskich żelaznych dorogach*, nie zaspokajał ambicji budowniczych kolejowej stolicy wschodniej Polski. Bo w trakcie podróży słyszał o Chełmie tylko te dwie rzeczy: że buduje się tu wielki węzeł kolejowy i nowe miasto dla kolejarzy, że to mają być wrota na Kresy, oraz że miejscowi Żydzi słyną z głupoty, przez co opowiada się o nich szmoncesy, tak przynajmniej utrzymywał kupiec z Lublina, z którym dzielił przedział.

Opowiedział mu nawet jeden o tym, że jak budowali mykwę¹⁰, to się zastanawiali, czy deski na podłogę mają być heblowane, czy nie. Bo jak są heblowane, to stopy się ślizgają, ale jak się ich nie ohebluje, to mogą w stopy wchodzić drzazgi. I w końcu uznali, że będą heblowane, ale żeby się nie ślizgać, to położą je tą heblowaną stroną do spodu. Zabawne nawet, ciekawe, na ile prawdziwe. Czy ludzie, których szuka, a może ludzie, którzy na niego czyhają, są idiotami, czy cwaniakami, którzy ukrywają się za postaciami gamoni ze szmoncesów? To się okaże, na razie trzeba dojechać do miasta, podszedł do

stojących przy dworcu dorożek.

Dzień jak co dzień, sznur dorożek stojących pod dworcem czekał na przyjazd pociągu z Lublina i pasażerów, którzy będą chcieli dojechać do miasta. *Ciekawe* – pomyślał dorożkarz Walenty Kamiński – *ilu będzie chrześcijan, a ilu Żydów*. Oby tych pierwszych więcej, bo Żyd do jego dorożki nie wsiądzie na pewno, a chrześcijanin... Bo w gębie to wszyscy byli mocni, ale jak przyszło co do czego, to było jak z chodzeniem do kościoła. Na msze prawie wszyscy chodzą, pomamroczą, z ciężkim sercem wrzucą grosz na tacę, ale do komunii świętej nie pójda. Z dorożkami jest wypisz wymaluj identycznie! I ze sklepami podobnie. Mówią o Żydach najgorsze rzeczy, narzekają, że cała bieda i ten kryzys, co się nie chce wynieść z Polski, to ich wina, że bolszewiki to Żydzi, ale kupują u nich, chodzą do żydowskich krawców i na koniec żydowskimi dorożkami też jeżdżą.

Cena! Pieniądz! Zysk! To jest ważne, a nie przynależność i wiara.

Walenty Kamiński splunął siarczyście z kozła na przydworcowy bruk, aż mu mało czapka nie spadła. Się zagotował na samą myśl, że znów odjedzie spod dworca więcej żydowskich niż chrześcijańskich dorożek, bo Żydzi wsiadali tylko do swoich, a Polacy i Ukraińcy szli tam, gdzie z kozła usłyszeli szept, że się spuści z ceny. Spuszczają z ceny mamią i tu na postoju dorożek, i jak są przetargi. Ten, co elektrownię miejską prowadził, pieniądz wziął, a prądu nie było, bo tak remont poprowadził, żeby tylko oczy zamydlić. Silnik z barki rzecznej tam pracował, co się do tego nie nadawał, i w końcu wybuchł, i prądu nie było nawet na Lubelskiej ani w magistracie! A potem co? Szukaj wiatru w polu, a dokładnie to w Londynie, bo tam ten hochsztapler się ukrył!

Wyszli! Kilkunastu pasażerów, dla wszystkich powinno starczyć, kurs był niemal pewny, tylko za jakie pieniądze? Bo skoro wychodzi na to, że nie odstoisz tu na darmo i nie będzie szukał szansy, dopiero jak nadjedzie pociąg z Kowla, to można pomyśleć o bogatszym pasażerze, takim, co, daj Boże, da napiwek.

Kamiński upatrzył sobie takiego, młody, w miarę ubrany, buty nieznoszone i co najważniejsze – chrześcijanin, bo który Żyd nosiłby taki wąsik. Wyglądał jak zagraniczny artysta filmowy albo fryzjer. Do tego takie fikuśne coś miał, ni to torbę, ni to kuferek. Zbliżał się, ich wzrok się skrzyżował.

– Do hotelu Victoria życzy sobie szanowny pan?! – wykrzyknął, aż kobyła poruszyła nerwowo zadem.

Nie odpowiedział nic, bo patrzył nie na niego, tylko na Szyję Fogelmana, który

stał zaraz za nim! Do niego wsiadł! Dlaczego, czemu?!

I nie wiadomo, do jakich wniosków by doszedł, gdyby nie dwóch księży, którzy podeszli do dorożki.

– Do katedry to ile będzie kosztować? – zapytał młodszy z księży.

I nawet oni się będą targować, ale trudno, przynajmniej do chrześcijanina, czyli jak raz do niego, Walentego Kamińskiego, przyszli. Rozejrzał się i zobaczył, że tych dwóch dobrodziejów nie ma już wyboru, bo zostały same żydowskie dorożki. Jakikolwiek ten kościół był, to jednak w tych sprawach można na niego liczyć. A niech tam, zejdzcie im z ceny. Zeskoczył z kozła, żeby pomóc zapakować bagaże.

Heniek szybko rozeznał się w sytuacji, taksówki żadnej, same dorożki konne, w połowie chrześcijańskie, w połowie starozakonne, co można było poznać z daleka, po zaroście powożących nimi mężczyzn. Potrzebny był mu z brodą, Żyd. I do takiego poszedł, sałata w chałacie machał do niego ręką, poszedł więc w jego stronę, mijając polskiego dryndziarza, który był bankowo pewien, że to do niego właśnie się dosiadzie.

– Dzień dobry, dokąd pan sobie winszuje? – powitał go dryndziarz, popisując się akcentem wskazującym na to, że żargon był najczęściej używaną przez niego mową.

– Do miasta!

– A na które miasto? Stary Chełm czy na dyrekcja? Na dyrekcja! – odpowiedział sam sobie. – Pewnie pan wielki urzędnik z kolei? Sam pan prezes całej kolei?

– Nie, do Chełma, do jakiegoś dobrego hotelu.

Dorożkarz zlustrował go uważnie i powiedział:

– Ten lepszy hotel, co się Victoria nazywa, on jest *zójche* dla taki pan. Godny, z rozrywkami – mrugnął okiem – ale rozrywki jeszcze lepsze są gdzie indziej!

– Nie dla rozrywek przyjechałem, nie ma czegoś poza tą Victorią?

– Hotele u nas nic niewarte, szanowny panie, pluskwy biegają, pokoje bez wygod. – Dorożkarz skrzywił się, jakby miał elegancką łazienkę, nowoczesną kuchnię, a nie chodził do wychodka na podwórku, wodę grzał na kuchni i mył się w miednicy, ale wiedział, o co pytają panowie, którzy wysiadali z pociągu.

– A może ktoś wynajmuje pokoje? – zapytał Heniek, który czuł, że na to

pytanie czekał dorożkarz.

I czekał! Ucieszył się, może aż za bardzo, jak je usłyszał, bo oznaczało ono, że może mu wpaść do kieszeni parę groszy.

– Jak przyjeżdża do nas na manewry wojsko, to staje na kwaterach, ja mam pierwszorzędny adres na Lubelska, ach, jak tam jest pięknie!

Oczywiście bez toalety, ze sławojką albo do nocnika, bo kanalizację dopiero mieli stawiać, za to już przyłączony pod wodociąg, a nie wszędzie był taki luksus jak bieżąca woda. Heniek zdał sobie sprawę, że wróci do świata, który opuścił wiele lat temu, ale w końcu jak się jedzie na letniaki albo wywczasy w Zakopanem, to jest identycznie, więc potraktuje to jak wycieczkę. Miał teraz zadać pytanie o zegarmistrza Hersza, ale nagle zwrócił uwagę na nazwę szerokiej alei, którą jechali.

– Jak się nazywa ta ulica?

– A tak jak szanowny pan widzi! Ulica Pierwszy Maj!

– Niemożliwe!

– W Chełme wszystko możliwe, i ulica Pierwszy Maj, bo u nas PPS wziął magistrat, od nas także posłowie ukraińscy do sejm w Warshe! Najpierw Antin, a później Pawło Wasyńczuk. A potem sejm rozwiązali, Antin teraz w magistrat, a to wielkie, co się buduje, to gmach dyrekcji! – Woźnica wskazał batem na gmach, który równał się gabarytom dyrekcji PKP z Warszawy.

– A kto może naprawić taki zegarek? – W końcu musiał zadać to pytanie, bo sałata był gadułą i mógł pytlować przez całą drogę. – O, taki – powiedział i podsunął dorożkarzowi pod nos starą, zepsutą cebulę.

Dobrze trafił, Szyja Fogelman nie tylko był gadułą, lecz także wszystkich znał. Opowiedział mu o każdym z zegarmistrzów, każdego wymienił z nazwiska, a Hersz był tylko jeden. Hersz Berelzon, stary zegarmistrz, który urzędował przy Szkolnej.

– Tam nie ma żaden szyld, on tak... po przyjacielsku, tylko dla dobry *frajnd* naprawia. – Fogelman uśmiechnął się chytrze. – Pan zapyta w ten kiosk z gazetami, co stoi koło okrągłak na rynek!

Zajechali na miejsce, rozpakował się, faktycznie choć bez luksusów, to było czysto, prąd dociągnięty, woda w kranie, wychodek na podwórku, najważniejsze, że nikt nie wie, że tu jest, bo gospodyni nie rejestrowała go, po co płacić podatki. Stanie tu na kwaterze jakiś wojskowy, to się będzie w papierki bawić.

Do rynku były dwa kroki, oba pod górkę, bo to miasto leżało na górze z kredy, którą tu od wieków wydobywano, ryjąc pod domami podobno niekończące się korytarze. Tak mówił ten gaduła z dorożki, więc może tak było. Wszystko jedno, jego interesował kiosk z gazetami. Żydowski, jak chyba cały handel w tej okolicy, ale gazety we wszystkich językach, nawet po ukraińsku.

– Szukam zegarmistrza Hersza, podobno gdzieś niedaleko stąd.

– Hersz Berelzon z ulica Szkolna? – zapytał kioskarz.

– Nazwiska nie znam – skłamał Heniek, chociaż dowiedział się od dorożkarza. – Wiem tylko, że i jakiś Lejb tam urzęduje.

– Lejb! Ten bachor! Jak ja lubię ten dzieciak! Pójdiesz pan o tu. – Wskazał ulicę między kamieniczkami. – Kopernik w dół, za synagoga w prawo, a potem następna w lewo i już jest Szkolna. Parter, tam gdzie jest jedna okiennica cała i jedna oberwana.

Mosze Sajkiewicz, którego nazywano Szczurkiem, bardzo chciał napisać coś ciekawego, wprost przebierał nogami, żeby dopaść redakcyjnej maszyny do pisania, pięknego „Gerlacha” z żydowską czcionką, który był zakryty specjalnym pokrowcem, żeby cenna maszyna się nie kurzyła. Ach, jakże go świerzbiły palce, żeby postukać w klawisze! Ale co miałyby ciekawego napisać? Cokolwiek! Cokolwiek, byleby tylko ponaciskać te piękne okrągłe, czarne klawisze, żeby usłyszeć ta-ta-ta-ta-ta! Żeby na koniec wiersza albo akapitu przeskoczyć w dół, usłyszeć piękny dźwięk dzwonka sygnalizującego koniec i początek zarazem! I widzieć, jak karta papieru idzie w górę, jak się przesuwają za każdym zapisanym wierszem, jak przybywają rzędy liter odcisniętych przez uderzenia czcionki przez naciągniętą na rolki taśmę. Ale takie zaszczyty były tylko dla tych, którzy mieli coś dopowiedzenia! A takimi byli redaktorzy „Chelmer Sztyme”¹¹, ale nie gońcy! Trudno zresztą powiedzieć, czy Mosze był gońcem. Był chłopcem na posyłki, sprzątaczem – wszystkim, tylko nie redaktorem, a przecież miał już piętnaście lat i mógłby coś pięknego napisać. Jakaś wielką historię. Tylko jaką?

Pewne historie znał, aż za dobrze o nich wiedział, bo chadzał do małego Lejba Berelzona, ale nikt by ich nie wydrukował, a i on sam by się bał. Ci, którzy by o sobie przeczytali, zemściliby się okrutnie.

Heniek szybko się domyślił, który to dom, ale nie tak szybko jak sąsiedzi się

zorientowali, że kręci się jakiś obcy. Tu mieszkali sami Żydzi, a on ze swoją aparycją i ubraniem wyróżniał się na kilometr. Wyjął z kieszeni zegarek, żeby wyglądać jak klient zegarmistrza, zapytał jeszcze po drodze jakąś kobietę i małego chłopca, czy to tu mieszka zegarmistrz Hersz, ale czuł, że wygląda to na lipę. Zapukał do drzwi, w środku ktoś był, ale nie otwierał. Słyszał szuranie, jakieś ruchy, jakby była tam wielka mysz, której piski zastępowało trzeszczenie desek.

Stukał, pukał, jeszcze trochę i będzie wzbudzał sensację.

– Panie Hersz, ja od Frania, w sprawie Lejba. Panie Hersz!

Deski zaskrzypiały, otworzył mu stary Żyd z siwą brodą, która przy pokiereszowanej twarzy, na której były jeszcze ślady krwi, wyglądała jak karnawałowe przebranie.

– Mówią, że Franio nie żyje! – powiedział chrapliwym głosem.

– Nie żyje, ale jego pieniądze żyją.

– I zabijają! – Chciał zamknąć drzwi. Heniek nie pozwolił mu na to, przytrzymał je i wepchnął Hersza do środka.

– Co się tutaj stało? – Rozejrzał się po izbie.

– Wszystko złe! Pan się spóźnił, wszystko *fertig*, pan tu masz tylko człowiek trup!

– Co się stało?!

– Oni zabrali Lejb, mój wnuk, a syn Franio i mojej nieboszczki córki.

– Dlaczego?

– Oni uważają, że skoro oni byli w jego chewra, to ich herszt jest teraz jego *iurszim*, spadkobierca! Im się wydaje, że ja tu trzymam jego wielki pieniądz, a jaki ja mogę mieć tu wielki pieniądz, jak on nam wypłacał tylko renta. Ja nie miałem własny pieniądz! – krzyknął w oburzeniu, podnosząc w górę ręce. – A już wcale nie mam pojęcia o jego majątek!

– Jacy oni, kto?

– A pan kto?! – zadał w końcu to pytanie.

– Henryk – zaczął, ale się poprawił – Heniek Wcisło z Warszawy, my...

– To ty! Jak to ty, to znaczy, żeś ty zrobił jego koniec... – Pokręcił głową. – On mówił, że miał taki *frajnd*, któremu zrobił wielki *szodn*, wielki krzywda, i że teraz albo on pana, panie Heniek, albo pan jego. Jego nie ma, pan jesteś...

– Tak było... Ale na koniec on kazał mi zaopiekować się wami, taka była jego ostatnia wola, dlatego tu przyjechałem.

– Franio nie był dobry człowiek, *nejn, o nejn!* On upodlił moją córkę Esterę, ale pokochał Lejb, a Lejb to było całe moje życie... – Był bliski lamentu, ale nagle przeszedł do działania, gwałtownie jak na swój wiek i kondycję, doskoczył do Heńka i złapał go za klapy. – Masz pan ten *gelt*, ten pieniądz, co nam się należy? – zapytał z nadzieją.

– Mam w Warszawie, ja do końca mu nie ufałem...

– *Gewalt, oj Gewalt*¹². – Hersz zaniósł się płaczem, ale uspokoił się i dalej trzymając go za klapy, mówił: – Ja panu, panie Heniek, wszystko powiem, jak mówi goj księdzu na spowiedź święta. Ludzie Franio, Mordka Dawidowicz i jego chewra, przyszli, pobili, zabrali Lejb i powiedzieli, że pojutrze w noc ja mam im dać dwadzieścia pięć tysięcy złotych! Mordka się ogłosił *jojresz*, spadkobierca Franio! On uważa, że jemu się taki pieniądz należy, a skąd ja go mam wziąć?

Heniek zacisnął pięści, miał te pieniądze, nawet nieco więcej, ale w Warszawie. Teraz miał tysiaka, to było za mało. Gdyby przyjechał autem, już by w nie wsiadał i jechał po pieniądze. Może by zdążył, bo pociągiem to się na pewno nie uda. Co robić?

– Pożyczka? – zapytał bez większej wiary.

– Ja nie mam od kogo brać halwoe, po tym jak Franio jest nieżywy, to nikt mnie nie da pożyczka!

– Franio nie miał tu żadnych przyjaciół? – To pytanie było jeszcze bardziej beznadziejne, za dobrze go znał, by nie znać odpowiedzi.

– On tu nie był cały czas, on wpadał jak po ogień, ale jak już się pokazał ze swoja ferajn, to on tu był prawdziwy *melek*, król Chelme! Jego się bali, ale nikt nie był jego *frajnd*. Do wczoraj myślałem, że ludzie z jego ferajn, ale nie, Mordka okazał się *mojser*, zdrajca!

Miał broń, miał ręce i nogi, miał głowę... Musiał coś wymyślić, musiał, skoro dał sobie radę w Chicago i Nowym Jorku, skoro w Warszawie załatwił człowieka, który był tu królem.

– Jaki jest?

– Mordka? To *kołbojnik*, zuchwały, łobuz wielki! Był *frajnd*, bo się bał Franio.

– Mądry?

– Silny.

– Ilu ma ludzi?

– Cztery, pięć?

– Gdzie mogą mieć melinę, gdzie mogą trzymać Lejba?

– Chełme to nie takie małe miasto, więcej niż czydzieści tysięcy ludzi! Tu są kilometry tunel po *mineszaf*, kopalnia kredy. Ich może być więcej niż ulic w miasto, one idą jeden nad drugi! Po pięć jeden nad drugi! To miasto jest głębokie bardziej niż wysokie!

Heniek słuchał tego ze zdumieniem.

– Ale gdzie będzie przekazanie pieniędzy.

– No właśnie w tunel! Ja mam zejść tam, pójść korytarz prosto przez trzy skrzyżowania i tam będą czekać.

– Ale jak to, który korytarz, gdzie jest wejście do tych tuneli?

– No mój korytarz, z moje wejście do *mineszaf* – powiedział Hersz Berelzon, jakby było oczywiste, że w każdym domu w Chełmie jest zejście do kopalni. Widząc zdziwienie Heńka, pociągnął go za rękaw. – Chodź pan, panie Heniek, ja wszystko pokażę, jakie ja mam piękne zejście do *mineszaf*!

Poszedł za swoim gospodarzem, a ten sprowadził go do zagraconej piwnicy, w której było parę sprzętów, odsunął je i wskazał na drewnianą klapę.

– Tu jest mój *mineszaf*!

To powiedziawszy, uniósł klapę i z dumą wyciągnął palec w stronę czarnej czeluści. Nie było wątpliwości – miał własne wejście do chełmskich podziemi.

– Uwaga, głęboko! Panie Heniek, ja pójde po lampa! A pan chodź ze mną, bo drabina dla stary mnie to za wiele, *aj waj*, panie Heniek, starość to nie jest dobry geszeft, to żaden interes, to jest to, co Pan Bóg nie wyszło – stęknął. Po chwili wrócili z drabiną, wielką i ciężką, tak że nawet Heńkowi sprawiała nie lada kłopot. Z trudem wpasował drabinę w otwór i zastanawiał się, co dalej.

– Bierz pan ten lampa i się pan troszkę przejdź. Na początek nisko, ale jak się pan dojdzie do tunele od stara kopalnia, to będzie wysoko, tak tylko żeby głowa w ramiona wsadzić, a czasem to się wyprostować!

Nigdy nie był w kopalni, chociaż bił się na Śląsku i wysadzał tam mosty. Ale na Śląsku sytuacja była prosta, choć był dywersantem, groziła mu śmierć, to kto inny opracował plan. Wszystko mieli rozpisane, umówione, dopięte na ostatni guzik, a tu? Obce miasto z podziemnymi tunelami, po których trzeba było iść z opuszczoną głową, choć były i odcinki, gdzie się można było spokojnie wyprostować. Świecił po ścianach i był zdziwiony, że są białe, w końcu to kopalnia kredy, ale zawsze zdjęcia czy obrazki i filmy z kopalni pokazywały czerń węglowych ścian. Tamte kopalnie były też powykładane deskami, a tu

szedł białym, półokrągłym sklepionym tunelem.

– Gdzie to miejsce na spotkanie?

– Jakies sto metry, tam gdzie jest Przechodnia.

– Może pójde i poszukam, jakichś śladów, czegokolwiek...

– Zgubisz się pan, a ślady? Oni zabrali Lejba górą, przez drzwi na ulica. A gdzie mogą być? Ile tu melin? Ile korytarzy? Mrowisko!

Heniek zapalił papierosa i myślał, co z tym zrobić. Powystrzelać skurwysynów. Ale jak? Będą mieli chłopaka, nie są aż tak głupi, żeby się dać zaskoczyć. Przyjdzie zamiast Hersza, to już będą zdziwieni i czujni. Pewnie wyjdzie jeden albo dwóch jako czujka, a potem zabiorą go gdzieś z tego miejsca. Nie zabierze broni, pieniędzy też nie – myśli buzowały jak przy partii brydża. W szachach widzi się wszystko, a w brydżu każdy kryje karty, z licytacji wiesz wiele, ale nie wszystko. Można jak w pokerku zablefować, można oszukać, można... można zagrać znaczonymi kartami!

Powoli w jego głowie dojrzywał plan...

– Jest ktoś, kto w tej bandzie był... – Heniek szukał właściwego słowa, takiego, które kompletnie nie pasowało do kogoś, kto był jednym z łotrów pracujących dla kogoś takiego jak Franio. Uczciwy? Dobry? Porządny? Uśmiechnął się w myślach. Lojalny? Tylko wobec siebie, więc może... – Czy jest tam ktoś, kto by chciał tego herszta zastąpić?

– Nu... – Zamyślił się i nim dał odpowiedź, Heniek już wiedział, że strzelił kulą w płot, więc zadał kolejne pytanie.

– A ktoś, komu możecie zaufać, ktoś, kto zna tunele?

– Mosze Sajkiewicz! On jest jak szczur, on zna każdy tunel!

– Można mu zaufać?

– On wielki *frajnd majn Lejb!*

Coś się zaczęło składać, tylko czy chłopak da radę, ile ma lat?

– Ile lat ma ten Mosiek?

– Piętnaście, on wygląda na dziesięć, ale ma piętnaście.

Mały, więc faktycznie szczur. Ale żeby się udało, potrzeba więcej elementów.

– Panie Hersz, ile ma pan pieniędzy?

– Dużo, ale nie tyle, co oni chcą, *finfhundert* złoty. – Rozłożył ręce.

Heniek miał tysiąc, niezła sumka, ale to wciąż był ułamek, półtora procent tego, czego chcieli porywacze, można było jednak te pieniądze pomnożyć.

– Czy jest tu jakiś fałszerz pieniędzy.

– Jest, ale w Lublin, ale *tsoredik*, bardzo marny!

– Marny też będzie git. – Heniek się uśmiechnął. – Dobrze go pan znasz?

– Pan się pyta, panie Heniek, czy ja go znam? *To majn kuzine, majn szwesters szager!*

Heniek spojrział na zegarek, była druga po południu, Hersz zdąży do Lublina.

– To jedź pan do tego swojego kuzyna.

– A w jakim celu? *Tsu was?*

– Wszystko wyjaśnię, ale przed wyjazdem wezwij pan tu tego chłopaka.

Heniek myślał, że Hersz pęknie od nadmiaru wrażeń i informacji, które otrzymał, ale stary zegarmistrz pozbierał się, wysłuchał pomysłu Heńka, potem sprowadził chłopaka, który znał tunele, a na koniec pojechał do Lublina.

Mosze był mocno poruszony tym, co usłyszał od tajemniczego przybysza, którego zastał u dziadka Lejba, Hersza Berelzona. To było jak historia, którą by chciał napisać, ale sęk w tym, że pierw trzeba było ją przeżyć. Znał tych ludzi, bał się ojca Lejba, tego goja Frania, choć wiedział, że mu nic nie zrobi, bo jest *frajnd* jego synka. Najlepszy *frajnd*, bo jedyny. Mosiek nie był lubiany, a to przez jego dziwactwa, bo czytał, ale nie Torę, tylko wszystko, co mu wpadło w ręce, do tego był mały, drobny i blady, a miejscami, w których się czuł najlepiej, były redakcja „Chełmer Sztyme” i podziemia. Dlatego nazywali go Szczurkiem i dokuczali mu na najrozmaitsze sposoby. Wszyscy, bo i Żydzi, i goje. Musiał więc przemóc strach i zrobić to, o co prosił go ten cały pan Heniek, bo mały Lejb był jego jedynym przyjacielem.

Przyszedł wieczorem i raz jeszcze wysłuchał tego, co ma zrobić. Poszli w kierunku miejsca, w którym pan Heniek miał się spotkać z bandytami, gdzieś w połowie trasy przystanął i wziął od niego jakąś dziwną broń, którą widział na zdjęciach z Ameryki. Do tego jeszcze tłuczek z pętelką, w którym bez pudła rozpoznał wojskowy granat. Wetknął go sobie za pasek, a do kieszeni browninga. Ciężkie było strasznie, czuł się jak wojskowy muł wyładowany amunicją, ale dawał radę. Dostał też latarkę elektryczną, o której zawsze marzył. Miał poczekać, aż pan Heniek odejdzie, aż usłyszy, że spotkał bandytów i w bezpiecznej odległości ciągnąć się za nimi.

Wszystko będzie zależeć od dwóch małych: małego żydowskiego chłopca i małego pistoleciku. Ten pierwszy zadba o odwrót, będzie jego taborami i przewodnikiem, ale nie przyda się na nic, jeśli on nie skorzysta z miniaturowej broni. Wyglądała jak dziecięca zabawka, ale zdecydowanie była śmiertcionośną maszynką, która wielokrotnie już ratowała Heńkowi skórę, pierwszy raz, kiedy pojechał na wojnę z bolszewikami. Dzięki patentowi lwowskiego inżyniera Witolda Chylewskiego pistolet można było przeladować jedną ręką, a dzięki niemieckim inżynierom i robotnikom, którzy opracowali konstrukcję i wprowadzili ją do produkcji, był niezawodny. Można go było nosić w wewnętrznej kieszeni, niczym portfel lub papierośnicę, ale tego dnia miał inny pomysł, który podpatrzył u amerykańskiego gangstera i spodobało mu się to, ale nigdy z tego pomysłu nie korzystał. Szósty zmysł i doświadczenia z sytuacji, w których szczegóły i ułamki sekund decydowały o sprawach życia i śmierci, podpowiadały mu, że nadszedł czas, by skorzystać z patentu zza oceanu.

Założył miniaturową kaburę na łydkę, włożył do niej pistolecik i zaczął ćwiczyć wyjmowanie go. Najpierw powoli, później coraz szybciej, błyskawicznie i w różnych pozycjach, na różne sposoby. Na siedząco, leżąc, kucając, stojąc. Najwygodniej było sięgnąć, siedząc albo w kucki, to oczywiste i jakby co, to tak będzie kombinował. Miał nie brać broni, ale uznał, że musi z nimi pograć. Nie można inaczej ze skurwysynami, którzy porywają dzieci.

Chłopaka zostawił jakieś dwadzieścia metrów za sobą. Niosąc lampę, szedł powoli, żeby tamci nie czuli się zaskoczeni. Przy jego wzroście szurało się głową po suficie, więc musiał iść zgięty jak scyzoryk.

Doszedł do miejsca, gdzie w obszernej pieczarze krzyżowały się chodniki. Pusto, nikogo nie było. Albo przyszedł pierwszy, albo tamci przyczaili się gdzieś i na niego wyskoczą. Liczył się z tym. Zgasił lampę, żeby oszczędzać naftę, zapalił za to papierosa i czekał, oczywiście zdążył się zaciągnąć parę razy i tamci zaczęli się zbliżać. Tak to zawsze jest, jak się czeka i zapali papierosa, widocznie trzeba zapalić, żeby ci przerwali – ktokolwiek czy cokolwiek się spóźnia: kobieta, taksówka, tramwaj, pociąg, współnik albo bandyta.

– Hersz! – usłyszał wołanie i zobaczył, jak z dwóch stron zbliżają się światła, jedno z nich dokładnie od strony, z której przyszedł. Zesztywniał, a jeśli nakryli chłopaka? Chybaby usłyszał, na pewno byłby większy hałas, miał więc nadzieję, że bandzior nadszedł z chodnika, który krzyżował się z jego korytarzem, że skręcił tu, jeszcze zanim pojawił się na jego drodze Mosze. Zapalił lampę, żeby nie wzbudzić w nich paniki.

– Hersz wysłał mnie – powiedział i stał w widocznym miejscu z wyciągniętymi najwyżej jak się dało rękami. W prawej trzymał lampę, a w lewej torbę z pieniędzmi.

Nie widział ich, tylko lampy, zza których wystawały uzbrojone w rewolwery dłonie.

Jeden z nich postawił lampę na ziemi, rzucił coś w jego kierunku i rozkazał:

– Załóż worek!

Założył worek na głowę i poczuł pchnięcie w plecy. Poszedł. Szli tak z pięć minut, liczył zakręty, bo jeśli się z Mośkiem pogubili, to musiał wiedzieć, jak wracać. Ostro w lewo, ostro w prawo, później łagodnie w lewo, znów ostro w prawo, schodkami w górę, ostro w lewo, poczuł uścisk na ramieniu, jakby wrzucono w aucie hamulec, teraz szybko musiał ułożyć trasę powrotną. Umysł wytrenowany przy szachach, pokerze i brydżu szybko wyrzucił z siebie komendy – ostro w prawo, później schodkami w dół, ostro w lewo, łagodnie w prawo, ostro w lewo i ostro w prawo, a później prosto, mijając boczne chodniki: pierwszy z prawej, kolejne dwa z lewej strony. Ściągnęli mu worek z głowy i dostał kuksańca w plecy.

W mdłym świetle lamp naftowych zobaczył przed sobą dwóch ludzi, za sobą miał kolejnych dwóch, nie widział chłopca, zatem musi być z piątym człowiekiem, a może nawet w obstawie kolejnych dwóch bandziorów.

– Ktoś ty? – usłyszał.

– Mecenas Henryk Haas, reprezentuję...

Nie dokończył, bo dostał uderzenie w tył głowy, mało się nie przewrócił, utrzymał jednak równowagę i nerwy na wodzy. Nie miał teraz szans, nie było też chłopca.

– Tak się nazywam, Henryk Haas, przyniosłem pieniądze, a gdzie Lejb?

– Gównu cię to obchodzi.

Teraz Heniek przyjrzał mu się dokładnie, herszt, pewnie ten Mordka Dawidowicz wyglądał jak brat bliźniak Judki Steinwolfa z gangu Tasiemki. Może nie najwyższy, ale nabity mięśniami, z mocnym karkiem, z którego, zdawałoby się bez pośrednictwa szyi, wystawała niezbyt duża głowa.

– Co to jest?! – zapytał, grzebiąc w torbie.

– To są pieniądze! Polskie złote, marki, dolary...

– To żaden *gelt!* – wrzasnął bandzior. – Każdy jeden pieniądz jest czarny!

– Dotknij papieru, popatrz uważnie, nie każdy jest zamalowany na zicher. –

Heniek starał się być przekonujący i był, bo Mordechaj Dawidowicz i jego kompani zaczęli mieć w dłoniach banknoty, w końcu jeden z nich wskazał szefowi taki, na którym spod cienia położonej farby wychodziły charakterystyczne dla pieniędzy wzory i barwy.

– Pięćdziesiąt złotych!

– Dolar!

– Marka!

– Dwadzieścia złotych!

– Jeszcze raz *fuftsik*¹³!

– Na co mi taki *gelt*, co ja z nim zrobię? Ten mały już jest trup i ty też! – Był wściekły.

– Traktuj to jak zaliczkę. – Heniek nabrał pewności siebie.

– Co, kurwa?! – Żydłaczenie ustąpiło polszczyźnie z przedmieść.

– To moja polisa ubezpieczeniowa, jak zaliczka. Bezpieczniejsze niż zaliczka, bo ci nie ufam. Gdybym przyniósł dwadzieścia pięć tysięcy, to kto wie, może byś uznał, że warto mnie zabić, a chłopaka utopić?

Nic nie odpowiedział.

– Widziałeś kiedyś dwadzieścia pięć tysięcy? A miałeś dziesięć? Zarobiłeś kiedy piątaka?

Przełykał ślinę i wbijał wzrok w Heńka, nadal nic nie mówił.

– Miało być dwadzieścia pięć i jest dwadzieścia pięć, ale będą do użytku dopiero wtedy, jak zrobię małe czary-mary!

Doskoczył do Heńka i uderzył w twarz. Walił jak cepem, Heniek mógł się uchylić i uderzyć w skroń albo złapać za włosy i rozkwasić mu pysk o kolano, ale to nie był ten moment. Lekko ruszył głową, tak że unik był częściowy, dostał w twarz i zwałił się na ziemię, tak było bliżej do pistoletu ukrytego w nogawce. Powstrzymał się przed chwyceniem go i zastrzeleniem Mordki, nie mógł tego zrobić, bo nie było tu Lejba. Dostał, ale nie aż tak mocno, żeby go zamroczyło, sprawiał jednak takie wrażenie, mozolnie podnosił się z ziemi.

– Daj pokazać, że mówię prawdę – wystękał.

– Pokaż! – warknął Mordka Dawidowicz.

Heniek wyjął z torby banknot i odczynnik w buteleczce, połał banknot, który powoli zaczął tracić smolisty kolor.

– Ja mam więcej tego specjalnego płynu, pójdę po niego, zrobię tę operację na

waszych oczach, przy chłopaku i, jak chcecie, przy Herszu, będziemy waszymi zakładnikami, ale ja go muszę wpierw zobaczyć!

Zamiast odpowiedzi dostał solidnego kopa pod zębra i teraz już niczego nie udawał, zwałił się na ziemię, jęcząc z bólu.

Tamten odszedł do załomu korytarza i gwizdnął. Kiedy Heniek zaczął się zbierać z ziemi, zobaczył, że dwóch ludzi prowadzi chłopaka. Był chudy, ubranie na nim wisiało, pejsy zwisały znad uszu. Trójkątna blada twarzyczka, rudawa łepetynka w przyprószonej kredą myccie, kompletnie niepodobny do Frania Wlazły, tylko oczy zdradzały, że jest jego synem.

– No to jak, widziałeś? To teraz biegiem po więcej ten cudowny płyn, bo inaczej się temu śmondakowi może przytrafić jaki *szodn*! – Dał chłopakowi w ucho i nieprzyjemnie się zaśmiał. – Jego ojciec był gojem, więc to właściwie nie jest do końca Żyd, tylko szajgec, a nawet gdyby był Żyd, to co by go obchodził wobec takiej mamony!

Dla podkreślenia swoich słów wyciął chłopaka w ucho raz jeszcze, dla odmiany w drugie, zrobił to, bo nie mógł sobie przypomnieć, jak jest po polsku krzywda, a ten obcy goj nie wyglądał na takiego, co jest biegły w jidysz, poza tym warto, żeby wiedział, że sprawa jest poważna. Żeby nie miał wątpliwości, trafił tego mecenasa Haasa jeszcze raz w twarz, nie za mocno, a ten śmondak zwałił się na ziemię!

Rozbawiło go to do łez, śmiał się, kiedy ten wysoki goj podnosił się z ziemi, nie widział jednak, że wstając, Heniek wyjął z umieszczonej na łydce kabury miniaturowy pistolet. Dowiedział się o tym, w chwili gdy dostał kulkę prosto w twarz. Nie było czasu na mierzenie, w oko czy między oczy, pocisk trafił w skroń. Mordka padł na ziemię. Zanim jego ludzie pojęli, o co chodzi, wyciągnął rękę w kierunku chłopaka. Nastawiał się na to, że mały będzie jak skamieniały, ale Lejb wyrwał do przodu i kilkoma susami przebiegł przez linię ognia. Heniek złapał go za rękę i trzymając w ręku lampę, skrył się za rogiem, teraz kilka kroków i stop! Pierwszy z bandziorów wyskoczył na prostą, wtedy Heniek oddał trzy strzały, jeden po drugim, napastnik zawył, znaczy się dostał kulkę. Znów parę sekund zapasu.

Przebiegli prostą, potem ostro w prawo, później schodkami w dół, ostro w lewo, tam byli jego ludzie: Mosze i Tommy Gun.

– Nie masz szans, wyszczelałeś się, goju, dorwiemy cię! – rozlegały się głosy ludzi z bandy.

– Zaraz tu będą – szepnął Mosze.

- Dlatego zmiatajcie stąd, ale już!
- A jak pan trafi z powrotem?
- Jakoś trafię!

Przeładował automat i czekał w ciemnościach, przypomniał sobie słowa, którymi pożegnał go Hersz.

Jak najbliżej, jeszcze trochę, było ich tylko trzech, może czterech, ale jeden był ranny. Słyszał, jak się skradają w ciemnościach, jak brzęknęła komuś lufa pistoletu albo ostrze noża o blaszany guzik, miał wrażenie, że za chwilę będzie czuł ich smród. Teraz!

Wysunął lufę za załom tunelu i posłał serię, usłyszał huk i wrzask, dołożył drugą, już nie na ślepo, ale wskakując do chodnika. Błysk ognia nie był w stanie rozświetlić tunelu, bo większość kul orała kredowe ściany i w okamgnieniu zrobiło się jak w środku śnieżnej zadymki. Słyszał ich wrzaski, ale nie słyszał strzałów. Ogień, który położył, był tak ciężki, że nie mogli zareagować, a ciasny korytarz wzmagął grozę, bo nie spodziewali się takiego jazgotu i ognia walącego z lufy.

Krótką seria w pionie, poprawka po ziemi i to tyle, bo i tak nic nie widział, nie może się wystrzelać, w końcu w pistoleciku zostały tylko dwa naboje. Miał jeszcze browninga i granat, a że nie zamierzał ryzykować, wyciągnął zawleczkę i rzucił śmiercionośny tłuczek przed siebie.

Usłyszał jakieś głosy zdziwienia, a zaraz potem huk. Przez szum w uszach dotarły do niego jęki, rozumiał, co się dzieje, puścił się biegiem, łagodnie w prawo, ostro w lewo i ostro w prawo, a później prosto, mijając boczne chodniki. W pierwszym z nich byli chłopcy. Dopiero teraz się zorientował, że jego pamiętka z Chicago, rozpylacz Thompsona, została w rumowisku. Miał jednak einhanda i browninga, jego wypróbowanych od lat przyjaciół.

Siedzieli u Hersza, dochodząc do siebie po tym, co się stało w podziemiach. W izbie zegarmistrza było cicho, ale na mieście rozległy się dzwonki straży pożarnej i klaksony karettek. Znów, co zdarzało się od czasu do czasu, zapadł się kawałek jezdnia, odpadło coś z okrągłaka na rynku. Byli tacy, którzy słyszeli wybuch, na ulicach panowało zamieszanie i rozgardiasz, w głowach Heńka, Hersza, Lejba i Mośka także.

– W Warszawie dam wam spadek po Franiu. – Heniek klepnął w ramię Hersza. – Ustawicie się za te pieniądze.

– *Kajn Warsze!* – Hersz pokręcił głową. – Wyjadziemy do Gere.

– Do rodziny?

– A jak który przeżył? Doszliby za nami, niech ich spotka ciężki *chérem*, klątwa na wiele pokolenia!

– Czemu Góra Kalwaria?

– Przyjaciela tam mam, Henocha Lewkowicza, wojskowa sprawa, *git frajnd* i prawdziwy *puryc!*

– Był pan w wojsku?

– Nie ja, syn mój Szymon, brat Estery, matki Lejba, w wojsku był, bo wielu Żydów było, zobacz pan na pomnik, co stoi na rynku, ile tam naszych żydowskich nazwisk zapisanych. Jaki normalny Żyd by chciał bolszewików, skoro oni zakazują prywatny handel?!

– A ten kolega nie będzie zdziwiony?

– To nie jest zwykły *frajnd*, to jest *gros frajnd!* Szymon mu uratował życie.

Heniek pokiwał głową, on też był na wojnie, miał wtedy szesnaście lat, bał się, zabijał, triumfował i brał udział w odwrocie. I stracił kumpla. Młody był, szesnastoletni szczeniak ze sfalszowanymi papierami. A ile lat miał Szymon i co teraz robi? Krępował się zapytać, bo można kogoś zranić, może kaleka, może nie żyje? Stary Hersz opowiedział wszystko niepytany.

– Na ochotnika poszedł, na swoją zgubę, on nie tylko poszedł walczyć, ale i zapomnieć. Szymon był zakochany, panna, Gitla jej było na imię, i on jej się podobał, ale co z tego, skoro wyswatano ją komu innemu. Przez nią to się wszystko stało, a tak naprawdę to przez ten Cygielman, co uważał Szymon za nic niewarty biedak! Dla niego życie stało się nieważne, on już nie chciał być na ten świat, więc poszedł na ta wojna i nie wrócił, bo zginął, ratując ten Henoch Lewkowicz. On się poświęcił, bo dla niego życie nie było ważne. Po tym jak on stracił Gitlę, ono było warte tyle co nic!

– Ludzie czasem zapominają...

– Nie on, nie on, pomoże nam. Poza tym mamy *gelt*, wielki *gelt!*

– Pojadę z wami – powiedział Mosze. – Mnie tu nikt nie potrzebuje.

– A z czego będziesz się żył? – Z Hersza wyszedł skończony skąpiec, to tłumaczyło, dlaczego mimo pieniędzy od Frania mieszkał tak biednie.

– Coś się zaradzi – powiedział Heniek.

Zanim wyjechał z Chełma, dał wszystko, co miał, tysiaka, Mośkowi, żeby mu kupił jakieś ubranie za góra dwie dychy i bilet do Warszawy, a resztę niech

zachowa dla siebie. Gdyby nie on, nie udałoby mu się rozprawa z niedobitkami po Franiu. Nie wypełniłby testamentu, a wolę zmarłych trzeba szanować, nawet jeśli to dranie takie jak Franciszek Wlazło. Mosze Sajkiewicz miał ponad dziewięćset złotych, to dobry pieniądz na start, na wyjazd do Gere ze swoim jedynym przyjacielem i nowe życie. Chłopak się bardzo wzruszył, ale był dzielny i się nie popłakał.

Heniek, mimo że kupił nowe ubranie, bo to, w którym przyjechał, było zszargane i upaprane kredą, to ludzie w pociągu patrzyli na niego jak na jakieś dziwo. Opowiadali później, że pierwszą klasą jechał młody pan, który był ofiarą wypadku automobilowego. Większość nigdy kogoś takiego nie widziała, więc było o czym opowiadać.

Gładziła go troskliwie po policzku, ostrożnie, by nie zadać bólu.

– Nie możesz tak szaleć w górach, to niebezpieczne – powiedziała Irena Leszczycka.

Była taka opiekuńcza, tak przejęta, bo wyobrażała sobie, jak leciał w dół, jak walczył o przetrwanie. Miała trzydzieści pięć lat i nie doczekała się dziecka, może więc część swojej niespełnionej macierzyńskiej miłości przelewała na młodszego o dziewięć lat kochanka?

Heniek cieszył się, że nie robiła mu wymówek, bo Aldona powiedziała, że jak już chce uprawiać boks, to niech to robi z głową.

– Nie dobieraj sobie więcej takich sparingpartnerów, bo pójdę na trening i zwymyślam trenera! Ale z drugiej strony, to jesteś przez to jeszcze bardziej męski...

– Już nie będę – obiecał solennie, tak jak obiecywał sam sobie po kolejnej drace. Wiedział jednak, że to nie koniec, że musi znaleźć zabójcę matki i Antka.

Minęły dwa tygodnie, w gazetach pisano, że skończyła się pacyfikacja wschodniej Małopolski, pewnie więc Beniowski wrócił z tej awantury. Najwyższy czas go odwiedzić, zwłaszcza że twarz Heńka się wygoiła i mógł się pokazywać na ulicy bez wzbudzania sensacji. Wybierze się zatem do Julka i zapyta, co sądzi o rewelacjach Frania.

Wiedział, gdzie go szukać, znał jego adresy, przede wszystkim biuro jego firmy handlowej. Zamówić taksówkę czy pójść na piechotę? Postanowił pójść pieszo, przemyśli parę spraw, zawsze lepiej wszystko przemyśleć, bo co nagle, to po diable, tak mawiała babcia. I miała rację, grunt to wszystko przemyśleć,

najlepiej ochłonać, poukładać sobie wszystko od A do Z i od Z do A, bo czasem można zobaczyć wtedy coś, czego się nie widziało w normalnej kolejności. I nigdy na bani! Nerwy, wódka i pośpiech to trzej najgorsi doradcy, to przez nich musiał zmienić lokal, cyrk, który zrobił po tym, jak Walewska powiedziała mu to, co mu powiedziała, kosztował go niemało, a mógł jeszcze więcej. To były dobra lekcja i ostrzeżenie – nie wierz nigdy kobiecie i co nagle, to po diable, dlatego szedł sobie powoli, pałac papierosa i rozbierając sprawę, jakby to była partia szachów. Po dwudziestu minutach spaceru doszedł do Galerii Luxenburga i miał już cały plan w głowie. Na początek wszedł do sklepu z towarami galanteryjnymi Sport de Paris Szai Gingolda. Może kupi sobie coś, pasek albo spinki, a może rękawiczki?

Porucznik Beniowski wpadł do swojego biura jak po ogień tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie nadeszła jakaś korespondencja albo czy ktoś się o niego nie pytał. Na portierni nie było żadnych nowych listów. Owszem, był jeden pan, ale nie podał nazwiska, z rysopisu wynikało, że to Heniek Wcisło, a raczej Henry Haas. Miał z nim do pomówienia i sądził, że Heniek z nim także. Przynajmniej powinien, nie widzieli się parę lat, a i bez tego całego wyjazdu do Ameryki sporo ich łączyło. Szkoda, że nie zostawił żadnej informacji.

Wszedł do swojego mieszkania w Alejach Jerozolimskich, otworzył drzwi do saloniku i zobaczył siedzącego w fotelu Heńka.

– Nie ma co, potrafisz zrobić entrée!

Przywitali się serdecznie, ale szybko zrobiło się ostro.

– Wiedziałeś, że zabójcą mojej mamy nie jest Franek Wlazło?!

– Jak byłeś w Ameryce, a na wschodzie jeszcze działał jako tako nasz wywiad, to z informacji, które do nas dochodziły, wynikało, że to nie on. Jesteś zły, że nie wiedziałeś. – Szeroko rozłożył ręce. – Miałem pisać do Ameryki, że wiem kto, ale nie wiem, jak się teraz nazywa, ani nie wiem, gdzie go szukać? Co miałem zrobić? A co ty byś zrobił, gdybyś się dowiedział? Zatruliś sobie głowę, o niczym innym nie myślał, a i bez tego nie było ci pewnie lekko.

Niby tak, zagryzł wargi, ale dalej go nosiło, bo czuł, że Beniowski nie mówi mu całej prawdy.

– Kiedy się dowiedziałeś, że Antek to sowiecki szpieg i zabójca mojej mamy?

– Jakiś rok temu – odparł Beniowski bez mrugnięcia okiem.

– Czyżby?

– Czemu mi nie wierzysz?

– Bo jak cię znam, to wiedziałeś o tym jeszcze przed moim wyjazdem do Ameryki! Bałeś się, że rzucę robotę z Japończykiem i będę szukał zemsty!

– No jasne, że się bałem – zachnął się Beniowski – ale nie tego, że rzucisz robotę, tylko że nie uciekniesz z kraju. Tego się bałem!

– Czyli kłamałeś! – Heniek wysunął oskarżycielsko palec.

– W trosce o twoje życie.

– Akurat!

– A kto cię ostrzegł przed policyjnym śledztwem, kto je potem ukrócił? Kto ci ułatwił ewakuację?

– W trosce o swój tyłek... – Heniek prawie wyskoczył z fotela.

– Nie prowokuj mnie! – Beniowski też się podniósł ze swojego. Stali teraz naprzeciw siebie, jakby mieli toczyć walkę.

– Nie mogłeś sobie pozwolić na taką wpadkę!

– Nie mogłem! I nie mogłem też dopuścić do twojej śmierci. Uwierz mi, wysłanie kogoś, kto by cię zastrzelił, zepchnął ze skały albo utopił, byłoby po stokroć łatwiejsze!

Heniek ciężko oddychał i patrzył spode łba na Beniowskiego.

– Zapalisz? – Nie czekając na odpowiedź, Beniowski podsunął mu pod nos papierośnicę.

Heniek bez słowa wziął papierosa, a po chwili skorzystał z zapalniczki, którą mu podstawił oficer.

– A nie pytasz, co dalej? – Beniowski wypuścił dym papierosowy.

Nie pytał, bo było mu trochę głupio. Zbyt wiele emocji, niepotrzebnie. Beniowski wplątał go w różne awantury, ale wcześniej on się wplątał w większe. Mógł skończyć szkołę, miałby posadę, mógł pewnie utrzymać i tę w fabryce kas, bo nie zredukowali go zwyczajnie, ale za pobicie przełożonego. Mógł to i tamto, a gdyby go nie ciągnęło do niewłaściwych babek, to pewnie by siedział w Ameryce i zarabiał pieniądze. Ale go podkusiło i musiał uciekać przed zemstą amerykańskiej mamusi. Zemsta mamusi, zemsta niedoszłego kochanka i jego własna, niedokonana zemsta. Dużo tego było i jeszcze będzie się ciągnąć. Bo musi dorwać gnoja, a wie, że nie zrobi tego bez pomocy Beniowskiego.

– To co dalej? – zapytał.

– Nic – Beniowski rozłożył szeroko ręce – ale pracuję nad tym. – Podszedł do komódki. Wyjął z niej flaszkę wódki i się uśmiechnął. – Teraz pewnie pijasz

whisky?

– Pijam raczej whiskey i burbon, ale nie tylko – odpowiedział. – Przyjmuję do wiadomości, że to nie Franio popełnił tę zbrodnię, ale nie wierzę w to, że zrobił to Antek.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Ekshumacja. Na razie mam za mało argumentów, nie tylko by przekonać ciebie, ale i władze, do tego, by sprawdzić, kto leży w trumnie złożonej do grobu Antoniego Bożyczki. Mogę ci tylko powiedzieć, że na kierunku wschodnim jest coraz gorzej, bo Sowieci są z dnia na dzień coraz mocniejsi. Nie wiem, ilu jest zawodowych szpiegów, dywersantów, drukarzy i skrytobójców przeszkolonych w Moskwie, a są to tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy. Tam są wielkie, niedostępne dla ludzi z zewnątrz szkoły i akademie. Międzynarodowa Szkoła Leninowska Kominternu w Moskwie, po której ukończeniu możesz zrobić specjalizację, także wojskową. Tam każda komunistyczna partia ma swój kurs wojskowy! Komintern szkoli i Żydów, i Polaków, i Francuzów, kogo chcesz, łącznie z Chińczykami i pewnie Pigmejami. Komunistyczny Uniwersytet Mniejszości Narodowych Zachodu imienia Marchlewskiego uczy nie tylko Polaków, tak jak Komunistyczny Uniwersytet Pracujących Wschodu nie tylko Chińczyków. Tam się ukryje nie tylko człowieka czy tysiące ludzi, ale także samoloty, fabryki i poligony z tankami. Niemcy tam ćwiczą od lat i produkują gazy bojowe, ale o tym dowiedzieliśmy się, wykradając informacje Szwabom. Wielu w to nie wierzy. Albo nie chce wierzyć, tak jak ty nie dopuszczasz do wiadomości, że twój przyjaciel z dzielnicy mógł nas zdradzić i zamordować twoją matkę.

Tak, nie wierzył w to, że Antek był zdrajcą i też chciał ekshumacji, żeby nie było żadnych wątpliwości, kto spoczywa w grobie oznaczonym tabliczką Antoni Bożyczko. A co do Ruskich i Niemców to nie miał złudzeń, na pewno działali ręka w rękę.

Warszawa

1936

Pokój, który przydzielono majorowi, znajdował się blisko kolumnady, w części pałacu, którą można było nazwać najbardziej sekretną. Obok mieli swój pokój cywile, którzy pracowali nad czymś tajnym, wiadomo było tylko tyle, że za drzwiami wisiała czarna kotara, przez okna też nie można było niczego dostrzec. Dla majora było niemal pewne, że muszą to być kryptolodzy, tylko

trzech niepozornych, młodych ludzi, ale mogących mieć w umysłach siłę, jaką dają tysiące artyleryjskich pocisków. Ich poprzednicy urzędowali w lewym skrzydle pałacu, tam właśnie miał swój pokój porucznik Jan Kowalewski, jeden z najważniejszych oficerów najsilniejszej brygady, a może nawet i dywizji całego Wojska Polskiego, które walczyły z bolszewikami w 1920 roku. Tak właśnie major Sokołowski szacował wartość wojskową Sekcji Szyfrów, która była wtedy częścią Oddziału IV Informacyjnego Sztabu Generalnego. Kiedy on na froncie szarżował, wycofywał się i kontratakował, oni siedzieli za biurkami, ale ich żmudna praca walczyli przyczyniła się do zwycięstwa. Łamali szyfry, analizowali depesze, czytali bolszewików jak otwartą księgę. Cisi bohaterowie wojny, którzy ocalili życie i zdrowie dziesiątkom tysięcy takich jak on. I nie tylko to, lecz także wolność. A wszystko to, jak się później dowiedział, z przypadku! Kowalewski zastąpił na dyżurze kolegę i będąc kompletnym dyletantem w sprawach kryptologii, posłużył się sposobem, jaki wyczytał w książce *Złoty żuk* Allana Edgara Poe. Posługując się powieściowym patentem i specjalnie wyszczerbionym grzebykiem, przeczesywał bolszewickie depesze w poszukiwaniu powtarzających się sylab i słów. I tak znalazł klucz do ich szyfrów! Złamali ich niemal sto, co dało rozszyfrowanie kilku tysięcy depesz. Kowalewski dostał awans, Krzyż Srebrny *Virtuti Militari*, a Japończycy zaprosili go na wykłady do Cesarskiej Akademii Wojskowej. Dostał pozwolenie wyjazdu, bo przecież Marszałek ceniał sobie współpracę z Nipponem. Gdyby żył, to Heniek nie musiałby się niczego obawiać, bo oddał japońskiemu szpiegowi nieocenione usługi. On, Beniowski i Żychoń jechali na tym samym koniu co rotmistrz Sosnowski, którego wyczyny niezwykle interesowały Marszałka. Kiedy odszedł, parasol ochronny rozpięty nad kontrowersyjnym szefem placówki In-3 został błyskawicznie zwinięty, a on sam z bohatera stał się zdrajcą.

To wszystko zaczynało się majorowi jakoś układać, coraz jaśniejszy stawał się dla niego powód, dla którego całe to niesłychane zainteresowanie trzech oficerów z kierunku Wschód koncentrowało się na Heńku, a w konsekwencji także na Żychoniu i Beniowskim. W ich referacie istniał praktycznie tylko pływki wywiad, a większość informacji pochodziła z komórek Korpusu Ochrony Pogranicza. Już dawno rotmistrz Niedziński, który był w kierownictwie referatu Wschód, przyznawał, że *Wywiad nasz na Wschód jest całkowicie opanowany przez kontrwywiad przeciwnika*. To widocznie uważali, że tak samo jest na kierunku zachodnim. Czyżby nie mogąc być lepsi, nie chcieli być gorsi? Nie mogąc uzyskać żadnych konkretnych wyników poza wywiadem płytkim, nie tylko umniejszali zasługi referatu Zachód, lecz także tworzyli wokół niego aurę jednej

wielkiej niemieckiej inspiracji i polskiego złodziejstwa. Kozłem ofiarnym takiej polityki stawał się Heniek. Dlaczego?

– Pamiętaj o zemście! – tak mu przypomniała Ludwika i kto wie czy nie miała racji. Musi być bardziej ofensywny, a nie opierać się wyłącznie na tym, co mu podano, na teczkach z raportami z konkretnych akcji i interpretacjami, które powstały wiosną i latem.

Schował papiery i notatki do kasy pancерnej, zameldował wyjście oficerowi dyżurnemu, przeszedł przez inspekcję na wartowni i poszedł przez Ogród Saski w kierunku Królewskiej, by w którymś z lokali napić się kawy i zadzwonić, bo lepiej było to zrobić z kawiarni niż z aparatu służbowego. Kelner podał mu książkę telefoniczną. Sokołowski rozłożył ją i odszukał nazwę firmy, która go interesowała. Była zapisana małym drukiem, nie wykupiono reklamy, raczej nie z powodów oszczędności, bo ten człowiek nie miał kłopotów finansowych. Detektyw Kornel Strasburger.

Tylko tyle, bo ten detektyw nie potrzebował jak jego rywale z branży oklepanych określeń „tajny”, „pierwszorzędne usługi”, „tanio”, „skutecznie i dyskretnie”. Po prostu „Detektyw Kornel Strasburger”, tyle wystarczało, bez zbędnej reklamy. Jeszcze niedawno był komisarzem policji, kierownikiem samodzielnej brygady w stołecznym urzędzie śledczym, a później sekcji w Komendzie Głównej. W zgodnej ocenie kolegów po fachu jeszcze niedawno był jednym z najlepszych śledczych w Polsce, jeśli wręcz nie najlepszym. Zrezygnował jednak z pracy, bo nie cierpiał dyscypliny, a poza tym cele, dla których realizowania powstała jego sekcja, z miesiąca na miesiąc były coraz mocniej wypaczane. Nazywali ich archiwistami, bo grzebali się w starych, nierozwiązanych sprawach, a także w sprawach zupełnie współczesnych, ale absolutnie tajnych. Z czasem się okazało, że sprawy sprzed lat zagrażały interesom ludzi, którzy mieli na tyle mocne znajomości, by tym sprawom ponownie ukręcać łeb, a do tego dochodziło coraz więcej prywaty. Zaczęło się od sprawy domniemanego porwania córki potentata naftowego, który miał znajomości w kręgach rządowych, przez co sekcja Strasburgera została wykorzystana jak prywatne biuro detektywistyczne. Różnica polegała jednak na tym, że prywatny detektyw może sprawę przyjąć lub nie, a policjant takiego wyboru nie ma. Dał go więc sobie, występując z policji, co jego notoryczna narzeczona Aleksandra Fuchs przyjęła z wielkim zadowoleniem, bo chciała go mieć tylko dla siebie. Jako córka bogatego ojca nie musiała się martwić o pieniądze, a Strasburger brał tylko interesujące, dobrze płatne zlecenia.

O tym, że był mistrzem w swoim fachu, Sokołowski przekonał się osobiście.

Poznali się w dość szczególnych okolicznościach, było wtedy i zabawnie, i poważnie, bo ludzie Strasburgera wzięli go za szpiega w Sztabie Głównym i go śledzili. Pyszne nieporozumienie! Najważniejsze, że wyjaśnione, a później pracowali przez moment razem i dołożył do tej sprawy cegiełkę, sprząając po strzelaninie, w wyniku której pod filarami przy cukierni Semadeniego, gdzie tajniacy od Strasburgera wpakowali w zdrajcę, majora Tarczyńskiego, parę kulek.

– Strasburger, słucham. – Głos zaspanego detektywa przerwał wspomnienia.

– Przepraszam za wczesną porę, Sokołowski, major Sokołowski – przedstawił się detektywowi.

– Gdzie i kiedy się spotykamy? – Strasburger przeskoczył w tej rozmowie o kilka zdań, żadnego niepotrzebnego „w jakiej sprawie?”, tego całego obierania cebuli słowo po słowie, tylko od razu do sedna, po prostu detektyw wiedział, że nie najlepszym pomysłem byłoby podejmowanie oficera wywiadu w biurze.

– Choćby zaraz, jestem przy Zachęcie, spotkajmy się w połowie drogi.

Sokołowski nie musiał dodawać, że wie, gdzie jest biuro Strasburgera, w książce telefonicznej widniał adres – Bagatela 15.

– Za kwadrans w Polonia Palace?

– Za kwadrans w Polonia Palace – potwierdził Sokołowski.

Złapał na ulicy taksówkę i pojechał na spotkanie z detektywem.

Taksówkarz jechał jak wariat, może miał nagrany kolejny kurs, a może po prostu tak lubił, w każdym razie major był przed czasem, więc zdjął ze stojaka z gazetami świeżą popołudniówkę. Wiele mądrego tam nie będzie, pewnie plotki i opisy burd. Przeglądał je dla zabicia czasu, aż stanął na notatce, która go zainteresowała:

ŚPIEWACZY POPIS W OGRODZIE SASKIM

Wczoraj porą nocną żołnierze żandarmerii wojskowej pilnujący Sztabu Głównego oraz stróż Ogrodu Saskiego byli mimowolnymi uczestnikami występu śpiewaczego. Solista o donośnym i, co podkreślają, wcale niezłym głosie popisował się recitalem, jakby był samym Janem Kiepurą. Ów nocny pieśniarz wykonał popularny utwór mistrza rodem z Sosnowca „Brunetki, blondynki”. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie nocna pora i bliskość świętego miejsca, jakim jest Grób Nieznanego Żołnierza. Przybyły na miejsce patrol Policji Państwowej z komisariatu XII przy Daniłowiczowskiej stwierdził, że przed posągiem „Twórczości”

umiejscowionym w alei głównej Saskiego Ogrodu stoi mężczyzna, który śpiewa do kamiennej figury, jakby to była całkiem żywa kobieta. Na widok funkcjonariuszów śpiewak ów zbiegł, popisując się sprinterskimi umiejętnościami na poziomie mistrza olimpijskiego Owensa. Osobnik ten był nie tylko szybki, ale i małpio sprawny, bo wspiął się na ogrodzenie oddzielające Ogród Saski od Ogrodu Zamoyskich niczym człowiek dżungli Tarzan. Zająwszy miejsce na jego szczycie, nieosiągalny dla funkcjonariuszów policji zaczął śpiewać obraźliwą dla nich piosenkę. Zgubiła go pycha i niepotrzebne popisy, stanął bowiem na ogrodzeniu i zleciał z niego na ziemię. Aresztowany powoływał się na błędne wskazanie zegara słonecznego i obwiniął za swoje ekscesy zarząd ogrodu, który nie zwraca za wadliwe działanie kamiennego chronometru nocną porą. Personalia nocnego śpiewaka są nieznane, bo nie miał on przy sobie żadnych dokumentów, a będąc pod gazem uporczywie odmawiał podania personaliów, żądając przy tym obecności konsula tajemniczego państwa San Escobar. Kolejny to przykład, jaką brawurę i jakie głupoty może wywołać zamroczenie alkoholem. (WZ)

Ów WZ, który podpisał notatkę, miał całkowitą rację, ale czy dziennikarze nie nadużywali alkoholu? Oj, *nadużywali* – pomyślał Sokołowski. Tym między innymi różnili się od prawdziwych szpiegów ich mleczni bracia z prasy. Reporterzy jak szpiedzy też szukali informacji, też potrafili je znaleźć i także – bo była to też słabość agentów chcących zrobić szybką karierę – potrafili zdrowo konfabulować. Ale z pewnością pili więcej. Wiedział o tym, bo poznał paru żurnalistów i potrafił skorzystać z ich wiedzy, także dzięki słabości do kieliszka. Jego Heniek też potrafił wypić, ale robił to odpowiedzialnie, z wiekiem się tego nauczył. Beniowski – znał go z różnych sytuacji – także nie był abstynentem, ale publicznie korzystał z alkoholu symbolicznie. Pewnie jak wielu rozładowywał stres winem, wódką lub koniakiem, ale wiedział, kiedy to robić, w jakim gronie i w jakim czasie. Po, a nie w trakcie działania, lub przed nim. Dlatego zamówił zieloną herbatę, ciekawe, o co poprosi Strasburger. Policjant właśnie wchodził do kawiarni i pokazał coś gestem kelnerowi.

– Zamówiłem dwa koniaczki i kawę – powiedział na dzień dobry.

– Niestety mam wysokie ciśnienie – odpowiedział mu na to powitanie Sokołowski.

– Zielona herbata też je podbija. – Detektyw się uśmiechnął. – Trudno, co zrobić, wypiję za siebie i za pana, zdrowie mam w porządku, a kawiarnie to

moje miejsca spotkań, nie mam biura, to jednocześnie numer domowy, i nawet nie mój, tylko mojej przyjaciółki.

– Panna Aleksandra Fuchs, jeśli dobrze pamiętam?

– Dobrze pan pamięta, panie majorze, ale nie sądzę, byśmy się umówili na pogawędkę towarzyską. – Strasburger uśmiechnął znacząco.

– Zna pan Henryka Haasa?

– Rozumiem, że to pytanie retoryczne? – zaśmiał się. – Ja znam nawet Henryka Wcisłę, w końcu pracowałem nie raz i nie dwa z kapitanem Beniowskim, sądzę, że pan wie o takich szczegółach. Stało się coś? Bo go dawno nie widziałem.

– Tak naprawdę, to się może dopiero stać, ale mnie interesuje coś, co się mogło wydarzyć w ostatnich miesiącach, zimą, a może wiosną tego roku.

– Nie przyjmuję wszystkich spraw – zastrzegł Strasburger.

– Ale ja mu nie chcę zaszkodzić.

– *Primum non nocere*. – Strasburger przypomniał, że mimo że z łaciny miał w gimnazjum same pały, bardzo interesował się starożytnym Rzymem i znał wiele łacińskich sentencji, które na ogół przekręcał. Tę akurat wypowiedział bezbłędnie. – Pewnie tak, ale nie wie pan tego na pewno...

W istocie tak było, sytuacja była na tyle skomplikowana, że Sokołowski zdawał sobie sprawę, że nie ma luksusu, jaki podejrzanemu daje prawo do milczenia. Tak jak wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie, tak samo wszystko, co zrobisz i znajdziesz, może się obrócić w zupełnie nieprzewidzianym kierunku. Podejrzany mógł milczeć, ale on musiał działać bez względu na skutki uboczne.

– Chcę się dowiedzieć, czy nie nastąpił komuś od odcisk, czy ktoś nie szuka na nim zemsty. – Wypowiadając te słowa, zdał sobie sprawę, że nabiera sympatii do Heńka, bo tak go zaczął w notatkach opisywać, choć nie ma pojęcia, czy ten nie popełnił jakiegoś ohydnych czynu, za co ktoś miał całkowite prawo do zemsty.

– Zemsta w kołach wojskowych! Poważna sprawa – zaśmiał się Strasburger, który, kiedy był jeszcze młodym policjantem, nazywany był przez kolegów Dodkiem.

– Nie powiedziałem, że w wojskowych.

– Pan jest wojskowy, a ci, którzy rządzą, to też wojskowi, jeśli nie aktualni, to byli. Dwójka wie wszystko, albo nawet więcej niż wszystko.

Dwójka wie wszystko, albo nawet więcej niż wszystko – to ciekawe, co

powiedział były policjant. Oni faktycznie wiedzą więcej niż wszystko, mnożą podejrzenia, budując z nich nowe historie. Starożytni mówili *argumenta non numeranda, sed ponderanda sunt* – dowodów nie należy liczyć, lecz je ważyć, a ten porucznik z referatu Wschód stara się mnożyć dowody, a następnie tworzy z nich nowe, znacznie cięższe.

– Kiedy mogę się czegoś spodziewać?

– Spotkajmy się w poniedziałek w Łazienkach, pod pomnikiem Chopina, o dziewiątej, to dobra pora, później można się zgubić w tłumie nianiek z wózkami, może wtedy będę coś wiedział.

– Dopiero w poniedziałek... – Sokołowski był rozczarowany, bo na piętnastą tego samego dnia miał dostarczyć pułkownikowi Pełczyńskiemu raport.

– Dopiero? – Strasburger uniósł brwi. – Już! Bo nie mam szklanej kuli ani daru jasnowidzenia. A może się okazać, że i to za mało czasu... Ale gdyby jednak stał się cud, tak jak to czasem zdarzają się cuda nad urnami wyborczymi albo na wyścigach konnych, i w jakiś nadprzyrodzony sposób dowiem się czegoś, co może pana zainteresować, to pana znajdę i dyskretnie poinformuję. A teraz żegnam, bo chce pan, żebym jak najszybciej zaczął, a poza tym nie ma pan czasu!

Pogoda nie była nadzwyczajna – jesienno, szaro, smutno – ale matki, babcie i niańki oraz dzieci czuły się w głównej alei Ogrodu Saskiego jak na słonecznej promenadzie. Promienie słońca zastępowało trzech wspaniałych oficerów Wojska Polskiego. Major, najstarszy z nich z pięknym rzymskim profilem, był lekko szpakowaty i średniego wzrostu, wyższy od niego był kapitan, on miał nieco ciemniejszą karnację, nos prosty, podbródek okrągły, ale nie nosił wąsów, za to porucznik, niższy od swoich kolegów, miał mocną szczękę, mały, panie powiedziałyby zgrabny nos, pod którym były wąsy, jakby chciał sobie nimi dodać powagi, bo był najmłodszy.

– Zdaży? – zapytał major Rój-Kordyjewicz, podążając wzrokiem za Sokołowskim, który szedł przez ogród w kierunku Królewskiej. – Bo wydaje mi się, że marnuje czas na kawiarnie, a nie chodzi do naszego kasyna.

– Nie chodzi, ale za to śpi w swoim pokoju, żeby intensywniej pracował – powiedział kapitan Edward Rachoń.

– To pilny oficer, służbista, kierujący się... – zaczął porucznik Krzysztof Witek, który także chciał zająć stanowisko w tej sprawie.

– Wiem – uciął major. – Pilny oficer, służbista, kierujący się zasadami etyki, nieprzejednany wobec łamania zasad honoru oficerskiego, przed wielką wojną współpracownik Marszałka, et cetera, et cetera i tak dalej. Dlatego dobrze, że to on właśnie sporządza ten raport. Ktoś taki jak on, a przypominam, że to ziemianin, żadna w tej chwili wielka rodzina i majątek, człowiek wykształcony i bywały w świecie nie będzie się godził na to, by w wywiadzie polskim byli ludzie tacy jak Beniowski, a współpracownikami indywidua takie jak Wcisło. Wcisło! – powiedział z niesmakiem. – Co to w ogóle za nazwisko!

– Oficjalnie to Haas. – Porucznik Witek był szczegółarzem.

– Oficjalnie to on jeszcze dostanie za ten paszport, sfalszowany i złodziejski! – prychnął major.

– Tak jest, panie majorze, ten człowiek oberwie z kilku paragrafów! – Porucznik Witek był nie tylko szczegółarzem, lecz także lizusem, zachowywał się wobec majora jak pilny kelner, który nie daje spokojnie zjeść, tylko cały czas przypomina o swojej obecności. Kelnerzy nie zawsze w ten sposób zarabiają na wysoki napiwek, ale w instytucjach, gdzie obowiązuje sztywna hierarchia, od kościoła przez wszelkie urzędy, a na wojsku kończąc, tacy ludzie jak porucznik Witek robią kariery, o ile krążą wokół kogoś, kto lubi pochlebstwa.

– Obawiam się, że rozejdzie się po kościach – włączył się kapitan Rachoń. Ten z kolei miał styl dyskretnego sekretarza. Oba typy doskonale się uzupełniają na wszystkich dworach.

– Nie ma takiej możliwości! – zaśmiał się major. – Wcisło jest za granicą i zza niej nie wróci, a państwo skonfiskuje jego majątek: auta już nie pierwszej nowości, mieszkanie na Czerwonego Krzyża przepisane na siostrę. Ale apartament w Prudentialu? On jest jego! A taki apartament, taka konfiskata to już konkret, to zabol! Rozgłoszenie tego zrobi dobre wrażenie na opinii publicznej, ludzie lubią czytać, że komuś coś odebrano, że aferzysta czy szpieg ponieśli straty.

Dwaj pozostali oficerowie pokiwali głowami – tak, złodziej Wcisło zostanie rozliczony przez państwo co do grosza, a jeśli będzie próbował się stawiać i wróci, by dochodzić swoich praw, zostanie zaaresztowany na granicy!

– A Beniowski... A jeśli nie będzie odwagi i zdecydowania po stronie szefostwa? – kapitan Rachoń uważał, że kurs kierownictwa Dwójki jest zbyt liberalny.

– Pomożemy podjąć tę trudną decyzję – powiedział major z chytrym uśmiechem. – Panie radco – zwrócił się do porucznika Witka.

- Na rozkaz! – Witek się wyprężył, choć nie wiedział, o co chodzi.
- I to lubię – zaśmiał się Rój-Kordyjewicz. – To lubię. Zrobi pan tak...

Reporter Jarosław Mizerski był podniecony jak wtedy w Wenecji, kiedy wysłano go, by relacjonował start dziewiczego rejsu Batorego. Tytuł i narracja skupiały się wtedy na porcie w Funchal oraz Maderze, tak bliskiej sercu Marszałka, dorzucił bardzo dyskretne, nienachalne przypomnienie o jego zasługach i wreszcie klamrę, jaką było zdanie i marzy mi się, *Drodzy Państwo, rejs Batorym lub Piłsudskim na polski Madagaskar! Niedawno była to mrzonka, ale nasze transatlantyki pokazują, że jeśli my, Polacy, zabraliśmy się za rozwój marynarki, to gmach naszej morskiej potęgi wzniesie się wysoko w niebo. Nie poprzestaniemy na stępcę, my z naszą morską husarią podbijemy świat.*

Niektórzy kręcili nosem na ten pompatyczny koniec, ale... miał to w nosie! Tak po prawdzie to w dupie to miał i wiedział, że wściekłość zazdrośników będzie jeszcze większa, bo mu już przyobiecano rejs Batorym. W ministerstwie bardzo się spodobał jego tekst, a jeden radca spotkał się z nim na kawie i powiedział:

– Widzę w panu niezwykle sprawnego, rzutkiego reportera, więc mam dla pana następującą sprawę...

Ten patriota, bo tak o sobie mówił i był to fakt niezbity, przedstawił mu dokumenty dotyczące się międzynarodowego aferzysty, który rozbijał się z przestępcami, grabił majątek narodowy i wprowadzał w armii zamęt.

– Od czego zacząć? – zapytał, bo miał wrażenie, że sprawa jest przez radcę znana od A do Z, a jego zadanie będzie polegało na nadaniu jej literackiej formy i umieszczeniu w „Polsce i Świecie”. I nie mylił się!

– Dostanie pan wszystko co trzeba. – Dzielny urzędnik się uśmiechnął. – Niech pan będzie czujny i czeka na znak-sygnal, a na razie parę informacji na jego temat. – To mówiąc, podał reporterowi szarą biurową kopertę.

Mizerski szybko poszedł do domu i rozciął kopertę. Ręce mu drżały, bo czuł się jak w środku filmu sensacyjnego. Z koperty wyjął zgiętą na pół kartkę zaczynającą się od słów „po przeczytaniu spalić”. Poczul zimny pot na skroniach i jednocześnie jakąś moc, którą mają tajni agenci. Zaczął czytać: *Juliusz Beniowski jest kierownikiem i współwłaścicielem...*

W tym samym czasie porucznik Witek zdawał raport z udanego pozyskania człowieka w prasie i dostał za to pochwałę od majora Rój-Kordyjewicza. Tak

kończył się piękny, słoneczny dzień, jakże udany dla młodego porucznika i równie młodego reportera.

Zmrok zapadał tak szybko, że major Sokołowski dopiero kiedy przestał dostrzegać litery w trakcie lektury kolejnych notatek, zorientował się, że dzień się skończył. Prześpi się, a później je dokończy, chociaż był tych dokumentów bardzo ciekaw. Pojawiła się tam bowiem sprawa kryminalna związana z obywatelem amerykańskim Henrym Haasem. A przecież nie był karany! Ciekawość zwyciężyła. Szybko przypomniał sobie, czego dotyczyła ta sprawa, ale nie miał pojęcia, że Heniek był jednym z aktorów wydarzenia, które emocjonowało Warszawę!

Wilno **Maj 1931**

Żydowski młodzieniec jadący wagonem trzeciej klasy nie wyróżniał się niczym szczególnym, można było o nim powiedzieć, że nie jest ortodoksem, nie miał pejsów, brody już albo jeszcze nie nosił, trudno było dociec, bo miał więcej niż tygodniowy zarost, ubrany dość podle, ale jeszcze podlejszy miał nastrój. Było to widać po jego zaciętym obliczu.

Marny strój i posępna twarz nie były stanami przejściowymi, to trwało od kilku miesięcy. W życiu początkującego bandyty wszystko wywróciło się do góry nogami. Małe królestwo, w którym miał nie lada jaką pozycję, robotę i mamonę, szlag trafił. W parę dni! Wydawało się, że skoro umarł król, to niech żyje król! Ale drugi król, Mordka Dawidowicz, żył tylko chwileczkę, a trzeciego nie było, bo z bandy został tylko on – Abram Gofsztejn. Ocaliła go ostrożność, był ostatni w stawce, która goniła tego, który się przedstawił jako mecenas Henryk Haas, więc nie skosiła go seria z jego broni, ani nie dobił wybuch granatu. Jakimś cudem uciekł z walącego się tunelu i na tym jego szczęście się skończyło, bo jego starania, by założyć nową chęwrę, wprowadzić swój porządek, spełzły na niczym.

Tydzień po tygodniu kolejni złodzieje, alfonsi, dziwki i właściciele lokali odmawiali mu płacenia haraczu. Nie tylko został z niczym, lecz także obili mu głębę i nakopali do tyłka. Zaszły się w kącie i pewnie dalej by w nim siedział, gdyby nie to, że wypuszczono z kryminału brata Mordki Dawidowicza, Icka.

Icek był kimś! Najpierw działał *wu niszt wu* – tu i tam, ale to *kolbojnik*, zuchwały, więc w końcu się przebił do poważnej chęwry. Co prawda gang, w którym działał, został rozbity przez policję, ale była to potęga, a on w tej bandyckiej potędze był oficerem. Icek Dawidowicz należał bowiem do wileńskiej Bruderferajn, osławionego gangu, który łączył typową dla starozakonnych hermetyczność z polską skłonnością do konspiracji, łączyły się w tej organizacji najgorsze cechy obydwu narodów. Byli jak państwo w państwie, ze swoją władzą, złodziejskim sejmikiem, sądami i księgowością. Wpadli właśnie przez księgowość, bo jeden z gangów się do nich nie przyłączył i wszczął nierówną walkę – wykapał policji, gdzie można przejrzeć ich księgowość. Hintsy przejrzały, sczytały wszystko od deski do deski i zapuszkowały całą Bruderferajn. Było to już jakiś czas temu, więc zaczęto wypuszczać z więzień wileńskich gangsterów, w tym także Icka Dawidowicza.

Może nagra mu jakąś robotę, weźmie go choćby do stania na świecy, a może i coś więcej, bo Abram nie jechał z niczym, jechał z wiedzą o człowieku, który zabił Ickowi brata.

Pewność siebie nieco zelżała, kiedy wysiadł na dworcu w Wilnie, bo był w Lublinie, Zamościu, Hrubieszowie i Kowlu, ale nie w mieście takim jak Jerozolima Północy.

Sobota, 13 czerwca 1931

Pogoda była pod psem, padało, panował ziąb, jakby czerwiec przebrał się za listopad. Dzień należał do najdłuższych w roku, ale gęste chmury sprawiły, że wydawał się krótki jak z początku wiosny. Może dlatego Mieczysław Kosiorek prowadził auto powoli, jakby nie chciał dojechać tam, dokąd zażyczył sobie Heniek.

– Od kiedy jesteś taki ostrożny? – spytał Heniek.

– Odkąd przeczytałem o tym starożytnym pilocie.

– O kim? – Tej historii i tego człowieka Heniek jeszcze nie znał.

– No o tym, co fruwał z ojcem i zaczął kozakować, za blisko słońca podleciał, skrzydła mu się z ciepła rozlepili i poleciał na pysk. – Mitologia w interpretacji Kosioraka miała swój niezaprzeczalny urok.

– Ikar! – zrozumiał Heniek, parszając przy tym śmiechem.

– No ten sam! – Kosiorek się ucieszył, jakby mówili z Heńkiem o jakimś

sąsiedzie z Kamionka.

– Ale on od wysokości, a nie od prędkości! – Heńka rozbawiła ta rozmowa, więc prowokował Kosiorka.

– Kochanyyyy – powiedział po swojemu kierowca – są takie wyboje, że można fruwać, jak się gaz za bardzo nadusi.

– Ty, Mieciu drogi, przyjacielu mój serdeczny, nie bajeruj, o co chodzi? – Heniek się domyślał, ale wołał wiedzieć na pewno.

– O ten pomysł, żeby się z panną Glock ustawić na takim festynie, bo ja zasadniczo nie czuję cykorii, bo, jak wiadomo, nie jestem jakiś francuski piesek, ale też nie jestem z tych, którzy dla sportu i draki pakują się w takie rejony. Targówek, Kercelak i ma się rozumieć Czerniaków, gdzie się akuratnie udajemy, to nie miejsce dla takiej damy jak panna Glock. Ja rozumiem, kabaret, Adria, może nawet i opera – słowo opera Kosiorek wymówił z pewnym niesmakiem – ale żeby na Czerniaków?!

– Chciała, to zobaczy. – Heniek wzruszył ramionami. – A do dzielnic, gdzie się coś dzieje, tobym jeszcze Grochów i Kamionek dołożył.

– No trafią się jacyś złodzieje na dzielnicy, ale wszyscy bardzo kurtularni – bronił swoich okolic Mieczysław Kosiorek, a w jego głosie zabrzmiało autentyczne oburzenie.

Heniek był ostatnio w tych okolicach rok wcześniej, ale udawał wtedy zupełnie kogoś innego, raczej go nie poznają, nie ma siły. Co nie znaczy, że nie będzie kłopotów, bo i wtedy były, i to z tych dość poważnych, choć cała awanturka nastąpiła w środku dnia, teraz zaś było już ciemno, a takie warunki sprzyjają robieniu grandy. Poza tym ktoś, kto zajężdza z Góry na Dół gąbłotą z szoferakiem i idzie z panną „de pache”, co wygląda jak z filmu, budzi ciekawość, a, jak wiadomo, ciekawość to pierwszy stopień do piekła. A że i Heniek należał do ciekawych, to nie zdusił w zarodku ciekawości panny Glock, wystawiając się tym samym na ciekawość obywateli Czerniakowa.

Wejście w świat arystokracji, rozczarowanie, jakim zakończyła się znajomość z Marią Walewską, sprawiły, że chciał sobie przypomnieć, jak smakuje zwyczajne życie. Aldona Glock była inna, chciała być kobietą nowoczesną i wyzwoloną, w amerykańskim i paryskim stylu, flapperką, która nie unika skandali i żyje w otwartych związkach, być kimś takim jak Irena Krzywicka i pełnymi garściami czerpać z życia bohemy. Poznali się przed rokiem, mieli gwałtowny, szalony romans przerwany jednym z jej wyjazdów, i tak już zostało, życie z nią było serią powracających miłosnych zatraceń.

Tego wieczoru Aldona Glock szykowała się na wyjście jak na żadne inne, bo dla krytyczki sztuki, projektantki i aktywistki Instytutu Propagandy Sztuki taki wyjazd był nie tylko sposobem na zabicie czasu i odegnanie nudy – no bo ile można przesiadywać w tych samych miejscach – lecz także czymś na kształt wyprawy do świata dzikich, jaką kiedyś urządzili jeszcze przed wielką wojną Malinowski z Witkacym. Miała jechać z Góry na Dół, bo tak mówili o położonej na skarpie Warszawie mieszkańcy wystającego niewiele nad poziom Wisły Czerniakowa. Miało to być kolejne doświadczenie w życiu młodej kobiety, która prowadziła życie dość szalone, bo bywała w berlińskich kabaretach (co tam się działo, nie opowiadała, bo i tak by nikt w to nie uwierzył), bawiła się na Montmartrze (ten paryski szyk i dzikość niezwyklej Josephine Baker!), widziała w Zakopanem góralskie występy (trochę inaczej wyglądało niż na Harnasiach Szymanowskiego), ale nie była jeszcze na ludowej zabawie w Warszawie. Ktoś, kto odpowiada za kulturę, jej rozwój, popularyzację i krzewienie, musi się zbliżyć do zwykłych ludzi, poznać ich gusta, obyczaje. To był jej obowiązek, a tak poza tym to była strasznie ciekawa.

Podjechali pod salę, w której trwała zabawa. Kosiorek od razu zapalił i czujnie stanął obok auta. Postawił kołnierz w płaszczu, by za bardzo nie zmoknąć. Mimo późnej pory szybko i nie wiadomo skąd pojawiły się najpierw miejscowe wyrostki, a później i całkiem małe dzieciaki. Szofer wiedział, co to znaczy: chwila, dwie nieuwagi i auto byłoby pełne pasażerów, a lusterka wzbogaciłyby kolekcję unikatowych przedmiotów.

Heniek i Aldona weszli do lokalu, zapłacili po złotówce za wstęp.

– Panna sama buli za wejście? – zdziwił się bileter.

– Tu kobiety są takie wyzwolone i samodzielne! – powiedziała z uznaniem Aldona Glock. Ten początek wiele jej obiecywał!

– Nie, moja droga, tu każdy może tańczyć z każdym, więc kawalerom nie opłaca się przychodzić ze swoimi pannami. Szkoda złotówki i zachodu na to, żeby ktoś ci obtańcowywał twoją dziewczynę – rozczarował ją przewodnik.

– I tak jest tu cudownie! – Aldona Glock wciąż żyła marzeniami o niezwyklej przygodzie, a zadymiona sala z marnym oświetleniem, w której centralnym punktem była scena z orkiestrą, stojące pod ścianami stoły i krzesła pochodziły z różnych parafii, a krzywy bufet oferował zadziwiająco krótką kartę, stawała się

dla niej jakimś sacrum, jednym z tych miejsc, z których poeci tacy jak Broniewski czy Majakowski czerpią siłę i układają cudowne wiersze.

Oddali pałta i parasol do szatni i poszli do bufetu. Była sensacja na sto dwa, piszpany z Góry przyjechali na rozrywkę. Panna Glock chciała pokazać, że jest równa i wypila bez mrugnięcia okiem dwie wódki. Heniek też wypił, chociaż jak patrzył na apaszy, na ich wzrok i mowę ciała, to dochodził powoli do wniosku, że to nie był najlepszy pomysł. Pierwszą ciekawość już zaspokoił – nie był już człowiekiem z tego świata, na pewno nie tu, może na Woli, na pewno nie w tym ubraniu ani nie z tą panną.

Miał jej wyperswadować dalszą egzotykę, ale zagrała orkiestra – takiego składu nie spotykało się w Adrii: gitara, bandžo, akordeon, skrzypce, bęben, i nawet kiedy Dymsza śpiewał w kabarecie jedną ze swoich apaszowskich piosenek, to instrumentarium było zgoła inne. Kiedy śpiewak podał tekst, skoczną balladę o Felku Zdankiewiczu, to oniemiała. Wydawało się, że Dymsza śpiewa jak naturszczyk, ale dopiero tu, na Dole, na Czerniakowie usłyszała, jak to powinno brzmieć. Podskakiwała i podrygiwała ku zachwytowi apaszy.

– Patrz, Stasiu, jak jej klamoty fajnie latają!

– Eee, ubogi ten biust.

– Sam jesteś ubogi, jechałbyś, aż by ci się uszy trzęśli.

Nie słyszała na przemian entuzjastycznych, jak i krytycznych komentarzy na swój temat, bo śpiewała na cały głos z resztą sali, wpatrując się w wirujące na dechach pary. Nie sposób przecież było nie dołączyć się do takiego refrenu!

Ojra, tarira ojra,

Tarira ojra,

Tarira raz, dwa, trzy

Ojra, tarira ojra,

Tarira ojra,

Tarira raz, dwa, trzy.

Po zakończeniu klaskała jak szalona i zapytała Heńka:

– Ten Felek to jakiś archetyp ludowego bohatera, ktoś taki jak Robin z Sherwood, harnaś czy...?

– To był pijak i łobuz. – Heniek postanowił sprowadzić Aldonę na ziemię.

– Skąd wiesz? – zapytała z nieufnością w głosie.

– Bo przypadkiem piłem z nim kiedyś wódkę u Grubego Joska.

Dezynwoltura, z jaką Heniek opowiadał o człowieku, którego sławiono tak piękną pieśnią, wprowadziła ją w pewne zakłopotanie, pomyślała nawet, że jest blagierem, ale spojrzała na niego i dostrzegła zupełnie innego mężczyznę niż tego, którego pamiętała z Góry. Sposób, w jaki się poruszał, w jaki zaczął mówić, wreszcie niepowtarzalny styl palenia papierosa, którego stale trzymał w ustach, bo rąk nie wyciągał z kieszeni. Tu większość mężczyzn tak paliła, a niektórzy nawet tak tańczyli. Uznała, że jest w tym coś pierwotnego i brutalnego, a jednocześnie urzekającego szczerością i niewysłowionym romantyzmem. O takich ludziach śniła, takiego naturalnego, twardego świata pożądała, a najbardziej pożądała Heńka, ale wcześniej, zanim pojedą się kochać, chciała jeszcze z nim zatańczyć. Aldona pociągnęła go na dechy i wbiegając na nie, czuła się szczęśliwa jak nigdy przedtem.

– Tańczyć, tańczyć, tańczyć! – zawołała, kiedy wchodzili.

Oprócz nich nie pojawił się nikt inny, tańczyli sami, jakby przyjechali tu występować za biletami.

Pobujali się z pół utworu, kiedy wyszedł z wianuszka obserwujących facet w przepisowym kaszkiecie w kratkę oraz czerwonej apasze i zaczął iść w ich kierunku. Szedł krokiem rozkołysanym, kierownika swojej dzielnicy, gościa, który w ryj dać może dać.

– Zaraz będziesz z nim tańczyć – uprzedził Aldonę.

– Cudownie!

– To się okaże.

Poczuł klepnięcie na plecach, przesadnie mocne, aż lekko zapiekło.

– Odklepywany! – rzucił apasz i zaczął taniec z Aldoną.

Na dechy ruszyły i inne pary, Aldona była zachwycona, tkwiła w środku pięknego, ludowego festynu, a apasz okazał się niezłym tancerzem. Heniek przyglądał się z uwagą i czekał, co będzie.

– Co tak pan obcinasz? – usłyszał głos z tyłu. Mówił cwaniaczek ze świeżą szramą na policzku. – Nie ukradną, nie bój pan.

Może i nie ukradną, bo na razie kolejni kolesie z ferajny sprawdzali, jak się tańczy z panią z Góry. Aldona była zachwycona, ale do czasu. Nagle się wyrwała i podbiegła do Heńka.

– Co się stało?

– Złapał mnie za pupę!

– Kolego! – rzucił Heniek do człowieka z boksterskim nosem. – Ręce przy

sobie! – Wiedział, że źle zaczął, ale nie było tu dobrego tekstu na początek, każdy byłby słaby.

– Jak się tańczy, to się ręk przy sobie nie trzyma, no chyba że na Górze – zaśmiał się małolat, który przez moment parodiował charlestona, wywijając nogami, trzymając sztywno tułów, wzdłuż którego miał, jak to w tym tańcu, charakterystycznie opuszczone ręce z dłońmi wystawionymi jak stateczniki.

Towarzystwo się zaśmiało, piszpany z Góry są śmieszne, można pójść o krok dalej przy życzliwym zainteresowaniu miejscowej publiczności.

– Słuchaj no, frajerze... – przemówił bokser. – Że się damie zamarzyło, to nie znaczy, że się wydarzyło. Chciałaby, żeby ją ktoś za ten suchy tyłek złapał, ale niech zapomni, bo skarżypyta.

– A zresztą nawet jeśli, to co ci do tego, melepeto? Moja siostra mówi, że to ty ją łapałeś!

Heniek tańczył przez moment z jakąś dziewczyną, ale to ona była bardziej do przodu, śmiało wciskając udo między jego nogi i napierając biodrami.

– Z szacunkiem, proszę. – Heniek wiedział, że zaczął się pewien nieodwracalny proces, którego nie cofnie, ale który może spowolnić. Było ich pięciu, ustawionych tak, że nie da im rady, zresztą dawno się nie bił i ta myśl odebrała mu pewność. Nie mógł też zacząć pierwszy, bo jeśli to zrobi, to i tak nie wygra, za to reszta towarzystwa, uznawszy go za agresora, nie będzie widziała nic zdrożnego w tym, że wezmą go pod fleki.

– Bo co? – zaśmiał się ten, który małpował charlestona.

– W takim razie może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponował Heniek, ale typ wiedział, o co chodzi.

– Na zewnątrz to się możesz przeziębic, a tutaj w ciepełku i bez tego małpoluda załatwimy sprawę w try miga!

Bez małpoluda to znaczy, że wieść o tym, że zajechali z dobrze zbudowanym kierowcą, rozeszła się po ferajnie.

– Spadaj – rzucił apasz do Aldony, która przywarła do Heńka.

Heniek wiedział, co to znaczy, odepchnął ją od siebie.

– Wiej! – krzyknął do niej i był gotowy do walki.

Bokser wyprowadził cios, który miał pozbawić Heńka zębów. To było dobrze pomyślane, pięść wbiłaby mu zęby w usta, zalałby się krwią, może nawet stracił przytomność, zrobiłby się rwetes, wybuchła panika. Zanim Kosiorek na ten sygnał dany przez publiczność wszedłby do środka, minęłaby wieczność, nie

przebiłby się przez tłum, nie wiedziałby też, co robić, ratować Heńka czy Aldonę, cucić i wieźć do lekarza czy gonić łobuzów. Na to drugie nie miałby szans, co więcej mogła to być sprawnie zastawiona pułapka. Heniek był jednak przygotowany na cios wyprowadzony prosto w głowę i zrobił unik, złapał typa za nadgarstek, zablokował ramię i szarpnął. Rozległ się ryk, przeciwnik się skulił, ale to nie był koniec, tylko początek problemu.

Skurwiel, który wyskoczył do niego, był typem harcownika, chciał się popisać przed ferajną. Królowie ringu dopiero się pokażą. I tak było. Wielki jak szafa gość rzucił papierosa na ziemię i szedł do Heńka jak monstrum Frankensteina, z tą różnicą, że był chyba od filmowego potwora większy. Powiało grozą, ale to była też jego szansa, gdyż nie ruszyli wszyscy naraz, bo najwięksi kozacy musieli pokazać, kto tu rządzi. Pierwszego skasował, więc ten drugi mógł w ten sposób podbić swoją pozycję, bo obcy z Góry okazał się niezłym zawodnikiem.

Ludzie się rozstąpili, żeby zobaczyć pojedynek. Czy *Kosiorzek zdąży* – pomyślał i spojrział w kierunku drzwi, ale zamiast Miecia zobaczył pięść, która sunęła w jego kierunku jak torpeda. Zaszli go od tyłu, zatem było ich nie pięciu, ale sześciu. Skoncentrował uwagę najpierw na kierowniku bandy, później na czerniakowskim monstrum, a załatwił go knypek czający się za plecami. Pewnie szczeniak uznał, że się w ten sposób wybije w ferajnie, sam załatwi przybysza z Góry, uprzedzając olbrzyma. Było zbyt późno, by unik się udał, ale przynajmniej zdążył lekko zejść z linii ciosu i oberwał nieco mniej, niż powinien. Mimo że to młody mikrus, który chciał się wykazać przed ferajną, to jednak szarpnęło nim, zatoczył się jak pijany i niemal wpadł w żelazne objęcia faceta, którego zdążył już nazwać Frankensteinem. Wzrost i mięśnie nie szły na szczęście w parze z szybkością, mimo że po ciosie w twarz orbitował po parkiecie, to w ostatniej chwili przyśpieszył i śmignął mu pod ramieniem, a nogami wjechał w jego stopy. Frankenstein zwałił się na ziemię, ale Heniek też był w parterze i pozostała piątka biegła w jego kierunku, by zatańczyć z nim kujawiaka. Przeturlał się w bok i uniknął kopniaka, ale przed kolejnym nie miał szansy ucieczki, zasłonił głowę i spodziewał się, że za ułamek sekundy przyjmie kopa, który mimo gardy może mu wyłączyć światło. I wtedy rozległ się krzyk, przefrunął nad nim knypek, który zaatakował go od tyłu, i jak pocisk trafił człowieka, który szykował się do kopniaka. Trafienie z grzywki z reguły bywa kończące, to musiało być, bo lecący jak kukła chłopak i ten próbujący kopnąć Heńka zderzyli się głowami. Tylko huknęło, dwa nokauty stały się faktem, na dechach leżało dwóch nieprzytomnych gości z Czerniakowa. Kolejny też próbował zgasić Heńka kopniakiem, ale nie zdążył. Heniek już był na nogach

i sparował uderzenie, kopiąc przeciwnika w piszczel. Ten jęknął i odskoczył, była chwila na ocenę sytuacji – harcownik już się nie liczył, stał skulony, ściskając złamaną rękę, dwóch leżało z zerwanymi filmami, zostało trzech: dwóch zwykłych łobuzów i Frankenstein. Podział obowiązków był jasny, czerniakowskim monstrum zajął się Kosiorek, dwoma pozostałymi Heniek. Po tym, co zrobił z ich kierownikiem, napastnicy poczuli mores, zbliżali się do niego powoli, a on, trzymając gardę, czekał na okazję. Musiał zaatakować pierwszy, bo jeśli tamci dobrze skoordynują swoje uderzenie, to będzie po nim. Cofając się, patrzył kątem oka na pojedynek Kosiorka z Frankensteinem. Stanęli naprzeciwko siebie i nagle Kosiorek wyprostował się, pokręcił głową i powiedział:

– Wiesz co, nie ma czasu pieprzyć się z tobą jak stara matka z łobuzem. – To mówiąc, błyskawicznie wyciągnął z kieszeni kulkę na sprężynie i jeszcze szybciej uderzył Frankensteina w środek głowy.

Olbrzym runął na ziemię i w tym momencie skończyła się walka nie tylko jego, lecz także dwóch pozostałych ludzi z czerniakowskiej ferajny. Dali nogi za pas.

– Ależ słabiaki! – Kosiorek wypowiedział te słowa z wyraźnym niesmakiem i pokręcił głową, jakby był nauczycielem matematyki zgorzonym wynikami ostatniej klasówki. – Uczyć się kawalerka, no i więcej szacunku dla starszych – rzucił do trzech leżących na ziemi oraz do publiczności. – Podnieście ich, ludzie, bo wilka złapią, a my idziemy do domu – powiedział, zagarniając Aldonę Glock, która obserwowała wszystko z przejęciem. Zabrali z szatni palta, założyli, w końcu było zimno, mimo że lato za pasem, a wszystkim dyrygował Kosiorek. – Chodźcie, panno Aldono i Heniu, bo małżonce obiecałem, że o jakiejś w miarę porządnej porze wrócę, jak nie skrewię, to mnie może kotlety odgrzeje. Schaboszczaki – dodał z rozmarzoną miną, niepasującą do pobjowiska, które zostawili.

Nikt ich nie zatrzymywał, w końcu nie był to bankiet w Polonia Palace ani herbatka u Lourse'a, żeby robić sensację z paru rozbitych makówek. Żadne halo, przecież nikt nie zginął ani nie został inwalidą. Obok samochodu stało kilku małych chłopców, jeden nawet stanął na stopniu i zaglądał do środka. Na widok Kosiorka i Heńka rozbiegli się, po chwili ralf-stetysz jechał w kierunku miasta.

– Bardzo oberwałeś? – spytał Kosiorek.

– Bywało gorzej, zęby całe, trochę mi skórę przeorał na brodzie – zaśmiał się Heniek. – Dobrze, że zdążyłeś.

– Panna Glock mię zawezwała, więc nadjechałem jak kawaleria na westernach, no i ma się rozumieć, że zdążyłem, bo, moi kochani, ja zawsze zdążam jestem punktualny i na czas. Geniuchna nie ma co do tego wątpliwości i lekramacji nie składa – zaśmiał się szofer z Kamionka, Heniek też się zaśmiał, ale ze strony Aldony Glock nie było żadnej reakcji, bo koneserka i kreatorka sztuki wysokiej nie podołała trudom wyprawy do wnętrza prawdziwego świata. Jego esencja odurzyła ją, a emocje towarzyszące eksploracji egzotycznej krainy wyczerpały do tego stopnia, że usnęła. Kosiorek wzruszył ramionami i ciągnął dalej: – Znaczy się teges, w tych sprawach, bo co się rozchodzi o powroty do domu, to wiesz, jak jest... No nie wiesz, kochany, nie wiesz, złociutki, bo – dodał szeptem – nie masz żony!

– À propos małżonki to mówiłeś, że czeka na ciebie ze schabowymi...

– Chcesz się u nas nafutrować? Serdecznie szanownego pana zapraszamy! Orientuj się, bo zamiast wdrapywać się na plac Unii, pojedziemy do Poniatoszczaka i dalej do nasz na Kamionek!

– Żona nie będzie zła? A panna Glock?

– Skąd! Jak chcesz, to możecie u nasz przekimać i wiesz, że to jest niegłupi pomysł, bo wtedy, na okoliczność przybycia gości, będzie się można napić wódeczki! Z nieba mi spadacie!

– No to się cieszę – powiedział Heniek z pewnym trudem; emocje opadły i poczuł, że twarz mu puchnie, przez co wypowiedziane przez niego słowa zabrzmiały nieco bełkotliwie.

– Tia... – zamruczał Kosiorek, który na chwilę oderwał wzrok od drogi i raz jeszcze zlustrował twarz Heńka. – Chyba zrobimy małą zmianę planów...

– No dobra, to wieź mnie do domu, skoro żona ma się zdenerwować. – Rozumiał Kosiorka, ale rozumiał też i siebie, i pewnie dlatego nie miał żony.

– Nie o to się rozchodzi, kochany! – zaprotestował Kosiorek. – O menusa, w sensie jadłospis, bo mnie się wydaje, że z twoją poobijaną paszczką to schaboszczak nie zagra. – Zafrasował się, po czym się ożywił. – A lubisz mielone?

– Lubię! – Heniek z lubością pomyślał o kanapkach, które czasem robiła Genowefa Kosiorek. Zawsze były pyszne, z pszennej bułki, solidnie posmarowane masłem i z dobrą wędliną, ale najlepsze były te z mielonymi kotletami! Amerykańskie hamburgery nawet przy tym nie stały!

Aldona spała na wyciągniętym ze stryżka sienniku, Genowefa Kosiorek trochę gderała, ale Heniek i Kosiorek nie przejmowali się tym zbytnio, popijając wódeczkę pod schabowe i mielone, rozprawiając o stoczonyj walce.

Latem rozeszły się drogi Heńka i Aldony Glock. Ona wyjechała do Kazimierza nad Wisłą na plenery malarskie, a on do Juraty. Tam – cóż za przypadek! – przyjechała także Irena Leszczycka, a traf chciał, że w czasie dwumiesięcznych wakacji jej mąż był tam tylko dwa razy po trzy dni. Heniek wypoczął znakomicie i pewnie dalej by tam siedział, ale kółko brydżowe Ireny musiało wrócić do Warszawy, podobnie jak uczennice i uczniowie na inaugurację roku szkolnego. On też wrócił w końcu sierpnia, bo Stefa rozpoczynała kolejną klasę seminarium nauczycielskiego. Jak przed rokiem wielkie zakupy, tym razem jeszcze poważniejsze, bo Stefa miała już siedemnaście lat. Wakacje, zakupy i na tym koniec obowiązków starszego brata. Teraz miał czas zupełnie sam dla siebie, bo jego „żony” gdzieś się ulotniły. Tęsknił za Ireną i Aldoną, ale tęsknił też za nadmorskimi plażami, tylko że nie chciał się ruszać z Warszawy, trzeba więc było skoczyć nad Wisłę!

– Gorąc straszny – wetchnął Kosiorek, wachlując się gazetą.

– To jedźmy nad Wisłę.

– Mówisz i masz, ja jestem gotowy, do usług.

– Słyszałem, że Kozłówka lepsza od Poniatówki – zagaił Kosiorka. – Masz, Mieciu, z Kamionka dwa kroki, więc pewnie coś więcej wiesz.

– Wiem, że nic nie wiem – obruszył się. – Przecież moja małżonka by mię tam w dyby wsadziła, żebym się broń Boże nie rozglądał, bo tam całe zastępy dam i panien w mocnym negligu paradują – westchnął. – A nawet gdybym stał tyłem albo miał worek na kiepele, to i tak by potem jazgotała, że się oblizywałem na widok tych wszystkich słodkości. To dobra kobita jest, tylko troszkie zazdrosna, w końcu nikt nie jest bez wad. Za to wiesz, jak klepie kotlety, formalnie z takim dostojeństwem jak sędziowie przy placu Krasińskich! Tyle że one odklepują swymi młotkami wyroki, a ona schaboszczaki – rozmarzył się Kosiorek. – Aż się głodny od samego mówienia zrobiłem!

– Pewnie jakaś restauracja też się znajdzie.

– Dużo tu różnych udogodnień i luksusów. – Kosiorek kręcił z uznaniem głową, przeglądając gazetową reklamę. – Fryzjer damsko-męski – zaśmiał się, przejeżdżając dłonią po niemal łysej głowie – sklep z kostiumami, fiu, fiu – gwizdnął i z pełną powagą zapytał: – ciekawe, czy mają coś na wieloryba takiego jak ja! – Zmarszczył brwi i z zadowoleniem oblizwał wargi. – Pierwszorzędna kuchnia, codziennie inne dania, pod nowym zarządem, znaczy się poprzedni kucharz był do luftu i zatrudnili nowego. – Uniósł palec i dodał: – I to jest

miejsce pracy, które mnie się podoba! Ty będziesz się pływał w Wiśle, zażywał potem kąpeli w źródlanej wodzie, podrywał damy i bałamucił dziewczynki, a ja na to wszystko będę miał baczenie, patrząc z wysokości tarasu restauracji!

– Czyli nie uznajesz już plaży za stratę czasu?

Wcześniej Kosiorek stękał na samo słowo „plaża”, ale było to w czasie największych upałów, kiedy marudził pod nosem: „ja nie mam żadnej przyjemności, żeby robić za szaszłyk i się węglić na indiańska, tą Baker, tego chudego Gandhiego czy inną czekoladkę. We wodzie jakbym się znalazł, toby zadzwonili po policję rzeczną, że się wieloryb w syrenim grodzie objawił! A widzisz mię w kajaku? Nie robią na mój rozmiar, z wody to mnie się podoba statkiem do Młocin, i to z wyszynkiem!”.

– Absolutnie nie, chociaż dostrzegam pewne ryzyko...

– A jakie?

– A takie, że tu stoi napisane, że grasują tu babki z łukami, czyli te, no...

– Amazonki?

– No właśnie! Popatrz, o tu piszą. – Swoim wielkim palcem Kosiorek wskazał odpowiednią linijkę na ulotce. *Strzelnica – tor łuczny. Na miejscu instruktor i sędzia wydaje legitymacje i odznaki. Można strzelać na Państwową odznakę strzelecką i łuczną kl. II i III. Sekcje łuczne specjalnie dla pań!* – Gastronomia, telefon, przebieralnia, czysta woda i świeżutkie powietrze, ja to wszystko rozumiem i popieram, ale w kwestii tego strzelania to ja jestem ostrożny, bo nauczyć kobitki strzelać... Tere-fere kuku, strzela baba z łuku – zanucił – strzelałaby i z karabina, ale się boi huk! Wiesz, kochany, że ja cykorię w stopniu minimalistycznym posiadam, ale jak już tam będę, to się postaram tak chodzić i siadać, żeby mię która z nich nie przeszła strzałą. Bo wiesz, kwileczka nieuwagi i możesz wyglądać jak jeżozwierz albo ten święty, co figuruje na obrazach jako poduszka do igieł i szpilek, no jak mu tam?

– Święty Sebastian.

– No ten właśnie, on mi się myli z tym, co go na ruszcie upiekli, z Andrzejem.

– Kosiorek pokręcił głową z wyraźnym niesmakiem.

– Na świętość trzeba zapracować. – Heniek próbował skłonić Mietka do refleksji.

– No właśnie o tem myślę, że jednego upiekli na ruszcie, innego zastrzelili z łuku, a taki święty Jerzy to tylko na smoka polował.

– Mógł go pożreć albo spalić żywcem! – Heńkowi wydawało się, że pokonanie

smoka było heroicznym wyczynem.

Kosiorek popatrzył z politowaniem, jakby Heniek był jego uczniem, a nie szefem.

– Jakbym miał koszerneho pryncypała, tobym się nie dziwił, ale ty, Polak, prawie katolik, no bo nie cały, jak każdy, co miał romans z PPS, to jednak parę razy w kościółku byłeś i wiesz, jak święty Jerzy wygląda. Po pierwsze na każdym obrazku figuruje w blaszanym garniaku, na bank ognioodpornym, a po drugie te smoki to są niewyględne i w ogrodzie zoologicznym nie trzymaliby takiego kurdupła na wybiegu, tylko w terrarium!

– Ale to tylko wiedza z obrazów kościelnych. – Heniek próbował wprowadzić do rozważań Kosiorka lekki niepokój.

– Może i tak, ale skoro na każdym z tych kościelnych widoczków tak to wygląda, to znaczy, że to nie jest przypadek, tylko leguralne zjawisko przyrodnicze.

– Naukowcy temu zaprzeczają – śmiał się Heniek.

Mieczysław Kosiorek przecząco pokręcił głową.

– A skąd pewność, że ten, co pisał tę encyklopedię, to lepiej poinformowany niż ci artyści od landszaftów, he?

– Bo są naukowcami?

Kosiorek się tylko zaśmiał i pokręcił głową.

– Znajoma panienska obsługiwała pewnego profesora i musiała go uczyć wszystkich numerów! Jakby mu powiedziała, że trzeba wsadzić w dziurkę od klucza, toby to zrobił. „Kompletny analfabeta, panie Mieciu!”, tak mi powiedziała. Więc ty mi nie mów, że oni wszystko o życiu i świecie wiedzą!

– Nie przegadam cię – zaśmiał się Heniek.

– No nie sądzę – odparł z pełnym spokojem Kosiorek – bo nawet jeśli się zgodzę z tym, że temu Jerzemu obcięli głowę, a wcześniej go torturowali, to mam jeszcze Mikołaja! Tego nie gotowali, nie smażyli, nie obstrzelali z łuku ani nie kazali się napażać ze smokiem. On się tylko workiem z prezentami zasłużył, w takim razie Wawelberg też powinien być święty!

– Ale to bajka!

– Bajka nie bajka, ale był biskupem, temu nikt nie zaprzecza!

Heniek się poddał, nie przegada Kosiorka, szkoda czasu, trzeba się zbierać na plażę!

Zuzanna Orłowska cieszyła się na kolejny słoneczny dzień, który będzie mogła spędzić na plaży, i to aktywnie, na rozmaitych interesujących zajęciach. Inaczej nie potrafiła, babcia Maliszewska jej mówiła: „nie możesz usiedzieć w miejscu, to nie przystoi panience z dobrego domu”, a Pelagia, gosposia rodziców, to się śmiała i mówiła, że panienkę Zużę tyłek śwędzi.

No taka była i już! Nie zmieniła się z wiekiem, nie wyrosła z tych „szaleństw panny Zuzy”, była inna niż większość koleżanek, które marzyły tylko o zamążpójściu i dzieciach albo nie marzyły o tym, ale chciały to wszystko mieć dla świętego spokoju, żeby tak jak matki i babki znaleźć się w bezpiecznych koleinach życia.

Ada, Ela, Zosia nawet ją rozumiały, ale teraz nie mogła na nie liczyć, bo miały małe dzieci, które nie chodziły jeszcze do szkół, i dalej siedziały na letniskach i w kurortach. A tam to nuda! Sztampa, rodzinny grobowiec. Ależ by się babcia Maliszewska uniosła, gdyby wiedziała, co ona myśli! Ciekawe, czy ona też taka będzie w jej wieku, że zapomni o młodości, będzie żądała od młodszych, żeby się nie rozwijały i nie szalały, tylko zapadały się w sobie i przepoczwarzały w nudne matrony. Gdy patrzyła na stare zdjęcia, to widziała te ogniki w oczach tych stojących obok młodzieńców w studenckich mundurach albo w zawadiackich surdutach. Przecież to niemożliwością jest, że oni wszyscy od zawsze tacy przeraźliwie nudni, układni, tylko praca, ojczyzna, kościół i odpowiedzialność. *Na co komu takie życie?* – pomyślała, pakując plecioną torbę plażową, do której włożyła strój sportowy i kostium kąpielowy. Dużo więcej w nią nie wejdzie, pękata będzie źle wyglądać, zdefasonuje się. Stała przed lustrem w przedpokoju, zapozowała z torbą, wysuwając to jedną, to drugą stopę w przód, kołysząc przy tym biodrami. W pantofelkach byłoby lepiej, ale jak ktoś ma dobre nogi, to i pepegi na płaskiej podeszwie nic nie zepsują. A akurat Zuzanna Orłowska miała zgrabne nogi i świetnie pasowały do nich krótka sportowa spódniczka oraz pepegi. Zdjęła z wieszaka biały kapelusik i była gotowa do wyjścia.

Maniek Ciechaniak miał ledwie dwadzieścia trzy lata, ale na Starówce był już kimś! On i jego młodszy brat Władek byli już trzecim pokoleniem szemranej rodziny Ciechaniaków. Seniorem rodu, pierwszym, który – można powiedzieć – wyzwolił się na mistrza w złodziejskim cechu, był dziadek Albin. Do tamtej pory

mówiono o nich, jak o wielu innych „zawodowe bezrobotne”. Albin Ciechaniak wykierował rodzinę na inne tory, bo miał swoją ambicję i pomysłu oraz nie pękał na robocie. On im wszystkim przetał szlaki, pobrał niezbędną naukę i zapłacił za nie, a ceną było odstępstwo za całą późniejszą rodzinę, bo nikt w kryminale nie siedział tyle co on! Nazwiedzał się Albin Ciechaniak warszawskich więzień, bo zaliczył w debiucie Pawia, a kolejny raz miał odsiadkę w Arsenale. Kto siedzi, a jest mądry, ten nie tylko wyciąga wnioski na przyszłość, lecz także uczy się pod celą, poznaje ludzi, duma nad interesami, które można przeprowadzić na wolności. Albin Ciechaniak nie zmarnował tego czasu i może dlatego jego syn Waldemar Ciechaniak, owszem, był bywalcem aresztu przy Daniłowiczowskiej, można powiedzieć, że dyżurnym podejrzanym dla Urzędu Śledczego Miasta Stołecznego Warszawy, i trzymali go w śledztwach nie raz i nie dwa, ale odsiadkę zaliczył jedną, i to w areszcie, bo jak sąd ogłosił wyrok, to mu został już tylko tydzień. Zresztą co to był za wyrok! Śmiech na sali, bo, jak mówili szemrani, rok nie wyrok, towarzyskie nieporozumienie, a dla Waldka pożytecznie spędzony czas, podczas którego umocnił swą pozycję w hierarchii zarówno jako syn Albina, jak i jako jego godny następca. Więcej nie wylapał, nic a nic, bo ustawił się jak Szpicbródka! Został mistrzem cechu złodziejskiego, stał się kierownikiem, który już nie uczestniczył, tylko nadawał robotę, prowadził buchalterię, wyznaczał ludziom zadania. I nawet był w pewnym sensie lepszy od Szpicbródki, bo jednak kasiarz zaczął wylapywać wyroki i odsiadki, a Waldemar Ciechaniak poprzestał na tej jednej. Nie robił takich pieniędzy jak Szpicbródka, nie jeździł do kurortów, tylko na letniaki, ale rządził niezłą bandą i nie wylądował ani na Rakowieckiej w więzieniu mokotowskim, ani w żadnym prowincjonalnym anclu z jakimiś prostymi chamami. Waldemar Ciechaniak chciał zostawić swoim synom prężnie działający złodziejski interesik, który się skrywał za skromnym szynkiem. Był dumny z tego, jak z dziadkiem Albinem zbudowali rodzinę na przyszłość, i liczył na to, że oba chłopaki, dwudziestotrzyletni Maniek i trzynastoletni Władzio, nie spieprzą tego, tylko spokojnie powiosną przez życie na tym, co dostali.

– Spokojnie jak na wojnie, czasem granat pierdolnie – tłumaczył swojemu młodszemu bratu Władziowi Maniek Ciechaniak.

– Grunt to jebać i się nie bać! – odpowiedział rezolutnie Władzio, prezentując szczerbaty uśmiech.

– Nie klnij, bo ci Bozia język upierdoli – pouczył z groźną miną Maniek i pokiwał palcem. – Za mały pętał jesteś, żeby takie gadki zakładać! – Tak trzeba było, żeby gówniarz sobie nie pomyślał nie wiadomo co, ale w gruncie

rzeczy to się cieszył, że Władzio taki czupurny był. I nie tylko w głębie był mocny, pięści jak na takiego szczyła miał twarde. I szybkie! Sam go tego nauczył, że się z frajerstwem nie dyskutuje, że trzeba walić w pysk. No sam mu w końcu kiedyś wyklarował, że grunt to... no i tak dalej.

Matka lamentowała, jakby ojciec był urzędnikiem na państwowej posadzie, co najmniej woźnym w sądzie, albo psem. Na Starówce mieszkali, a nie w Ujazdowskich, więc czasem trzeba było przypomnieć i pokazać, co i jak. A jego zdaniem dziadek i ojciec cokolwiek skapcanieli i troszkę przydziadzili interes. Za spokojne byli, za akuratne, jeszcze moment, jeszcze chwileczka i z jakimś Żydem wejdą w spółkę i sklep kolonialny otworzą. A zresztą niech otwierają, niech zostaną się kupcami, ale on miał inny pomysł na życie. Miał dwadzieścia dwa lata i uważał, że awans krocze po kroczy, a potem krok po kroku już był, teraz trzeba zrobić skoki w hierarchii. Maniek chciał zostać kierownikiem Starówki. Bandyckim, ma się rozumieć, bo jasne, że nie magistrackim. I nie tylko Starówki, chciał z niej wypłynąć na szerokie wody Warszawy i jeśli miał mieć swój szynk, to nie gdzieś w wąskich zaszczanych uliczkach, ale tam gdzie nie ma rynsztoków, gdzie się nie pompuje wody i biega do wychodka, tylko tam gdzie są wygodny, na ulicach asfalt albo przynajmniej kostka bazaltowa, gdzie duży pieniądz nie kłuje w oczy jak tu, na biednej Starówce. Już wie, jak będzie wyglądał jego pierwszy poważny krok, współpraca z poważnymi ludźmi, którą mu nagrał koszerne koleżka ze Świętojerskiej Łońka Szulman. Cieszył się, bo za pomoc dali ładną zaliczkę, a jeszcze bardziej był zadowolony z tego, że młodszy brat zgodził się pójść za nim jak w dym.

Pogoda była jeszcze letnia, więc plażowicze poruszali się po Kozłowiec w negliżu. Heniek i Kosiorek siedzieli na ganku kawiarni i popijali wodę mineralną, patrząc przy okazji na panie w kostiumach kąpielowych.

– Czasem to sobie myślę, że ta golizna to na gwizdek potrzebna. – Szofer się skrzywił.

– A co ci panie w negliżu przeszkadzają?

– Zasadniczo nic, poza tem, że mnie marzeń troszkie pozbawiają. Ja nie mam dziesięciu lat ani też nie jestem stary dziad, żeby mnie wszelka golizna cieszyła, bo z golizną jest jak z mielonymi i serdelkami, niby czekasz na nie, a nie każdy jest kategorii luks. Panna o biuście ubogim nie powinna się tak afiszować, no spójrz na tę tu, w tym kostiumie w paski, formalnie deska do prasowania

z dwiema piegami – skrzywił się – a ta z kolei... Biust w porządku, ale... No co ja ci będę tłumaczył. – Kosiorek upił łyk lemoniady. – Panny i panie bezkrytyczne są, no popatrz tu, o tam, no właśnie, ta, co się gramoli do wagi.

Heniek spojrział w kierunku dyskretnie wskazanym przez Kosiorka i zobaczył, jak dama słusznej postury próbowała wejść do wnęki z wagą. Oczywiście była w kostiumie, a na wskazówkę wagi patrzyła z takim przerażeniem, jakby to była gilotyna, która ma za chwilę opaść na jej szyję. W końcu wskazówka się ustatkowała, a mina z przerażonej stała się obrażoną. Kobieta zeszła z wagi i ruszyła w kierunku przebieralni.

– No nie powiem, lubię obfite kształty, ale bez przesady – stęknął Kosiorek. – Tak jak i nie lubię za chudych i przez to, że panie się tak obnażają, to ja tracę złudzenia i wiem, że tego kwiatu wcale nie pół świata. Kobitki powinny się ubierać tak, żeby sobie robić lekramę, a nie informować publikę o wadach ubraniem zakrytych.

Heniek spojrział na plażowiczki i musiał przyznać rację, że część pań była bezkrytycznie nastawiona do swoich wdzięków i eksponowała je niekiedy w sposób wyzywający. Niedaleko nich przebiegła grupa młodych kobiet, nie wszystkie były perfekcyjnie zbudowane, ale emanowała z nich świeżość i niewinność.

– Fajne cielęcinki – mruknął Kosiorek.

– Fajne, Mieciu – odpowiedział Heniek, po czym zastanowił się, skąd się wzięło to powiedzonko, mało eleganckie i niepowtarzane przy damach, za to często używane w męskim gronie. – A w zasadzie czemu cielęcinka? – zapytał.

– Bo nie stara krowa – odpowiedział Kosiorek, który po tej defiladzie młodości postanowił zapalić papierosa.

Heniek pomyślał, że brakuje mu damskiego towarzystwa, ale nie takiego na jedną noc, nie przelotnego romansu w kurorcie, nie płatnej miłości, tylko kobiety, z którą mógłby się związać, ale jak tu się związać z Ireną, która nie zamierza się rozwodzić, albo z Aldoną, która... nie zamierza się wiązać. Więc jest jak jest i w sumie dobrze mu z tym, pewnie tak zostanie, chociaż... *Nigdy nie mów nigdy* – zaśmiał się w myślach.

– Ratunkuuuuuu, pomocyyyy! – z rozmyślań wyrwał go wrzask, wysoki kobiecy i niski męski głos stanowiły zgrany duet. Po chwili śpiewali już w plażowym chórze.

– Złodziej, złodziej!

– Policjaaaa! Policjaaaa!

– Ratunkuuuuuuu, pomocyyyyy!

– Łapaj złodzieja!

W kierunku brzegu co sił w nogach gonił chłopak. Wyrastek nie tylko był szybki, lecz miał także umiejętności zwodzenia prześladowców, jakby był jakimś wielkim piłkarzem, który na pełnym gazie kluczy między rywalami. Piłkarz nie miał ich więcej niż jedenastu, a chłopak miał przeciwko sobie kilka tuzinów łowczych, którzy urządzili na Kozłówce prawdziwe polowanie z nagonką. Uciekinier, który w prawej dłoni dzierzył pękaty portfel, odskakiwał, zwodził, zwalniał i przyśpieszał, a kolejni mężczyźni łapali powietrze bądź pozostawiali w osłupieniu, że biegacz nie wpadł w ich ramiona. Ucieczka młodego złodzieja i pościg zaczęły tracić na dramaturgii, to już nie był kryminał, to było niczym komedia z Chaplinem. Chłopak jakby znalazł upodobanie w zwodzeniu i slalomie między myśliwymi, wydawało się już parę razy, że zgubił pogoń i wskoczy do rzeki z portfelem w zębach. Byli już tacy gagatkowie, więc wiadomo, jaka była ich technika – dopaść wody, puścić się w jej nurt, omijając wiry, walić co sił w dłoniach na drugi brzeg, z zadartą głową, z portfelem w zębach. Tymczasem widowisko trwało, pojawili się też posterunkowi policji, którzy uatrakcyjnili spektakl.

Taras kawiarni jakby opustoszał, bo wszyscy podeszli do barierki, by lepiej widzieć to, co się działo na plaży. Heniek był wysoki, więc tylko lekko stanął na palcach, żeby śledzić ucieczkę. Sam nie wiedział, komu kibicować. Na początku nie czuł ze szczeniakiem złodziejskiej solidarności, ale zaimponował mu sprawnością i zaczął za niego trzymać kciuki, także dlatego, że jeśli go dopadną, to zdenerwowani pogonią mogą go obić. Chłopak znów uniknął wyciągniętych rąk, wykonując zwód i puszczając się w slalom, następnie niczym gracz rugby uskoczył, kiedy potężny mężczyzna runął na niego z boku, kolejny i kolejny...

Wtedy Heniek kątem oka zobaczył, że w jego kierunku idzie dwóch mężczyzn, którzy nie wyglądają jak plażowicze. Czuł to, wiedział, nie był zaskoczony, gdy obaj sięgnęli do wewnętrznych kieszeni marynarek. Teraz on puścił się biegiem, wykonał kilka kroków, błyskawicznie zrzucił szlafrok kąpielowy i zeskoczył z tarasu, usłyszał tupot, tamci gonili za nim. Cholerny zbieg okoliczności. Kosiorek gdzieś się zapodział, pewnie wracając z toalety, zatrzymał się i robił to, co wszyscy, którzy byli na Kozłówce – patrzył na ucieczkę młodego złodzieja.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że to wszystko zostało ukartowane, że chłopak zrobił widowisko, bo ktoś go do tego pokazu namówił. Nie chodziło o skrojenie portfela, tu gra się toczyła o wyższą stawkę, taką, dla której warto

dać się złapać. Kto go najął? Ten sam, który wypuścił na niego dwóch zabójców. Nie oglądał się za siebie, tylko na wszelki wypadek zmienił kierunek biegu. Wtedy padł strzał, kula świsnęła z bezpiecznej odległości, kolejna trafiła w kiosk z napojami, za który wbiegł. Teraz uratuje go charakter w nogach, skoro strzelali, to przystanęli, złapał parę metrów przewagi więcej i trzeba mieć za sobą wyjątkowego mistrza, a jeszcze bardziej wyjątkowego pecha, by jako ruchomy, kluczący cel dać się trafić z rewolweru. Albo wpaść w pułapkę... Od strony toru łuczniczego szedł trzeci napastnik, podniósł rękę, opuścił ją, jakby szykował się do konkursu strzeleckiego. Heniek był w matni, w którąkolwiek stronę by się ruszył, było źle, skręci w lewo – dobiegnie do płotu, w prawo – to będzie dla zabójcy jak sylwetka pędzącego dzika na strzelnicy, zawrócenie – to wbiegnięcie pod dwie lufy. Nie miał jednak innego wyboru jak bieg przed trzecim strzelcem, który czekał na właściwy moment, na te kilka metrów, kiedy Heniek będzie najbliżej lufy jego pistoletu. Zbliżał się do tego miejsca, czekał na huk, może ból albo koniec, ale najpierw rozległ się kobiecy głos:

– Rzuć broń, bandyto!

Padł strzał, kula świsnęła koło ucha, a Heniek spojrział w kierunku strzelca i osoby, która rozproszyła jego uwagę. Kilkanaście, może dwadzieścia metrów za człowiekiem, który sekundy wcześniej o mało go nie trafił, stała młoda kobieta w białej spódnicy i tego samego koloru bluzce i pepegach, także opaska podtrzymująca włosy była biała. Była jak anioł, biały anioł z łukiem!

Świsnęła strzała, a po chwili utknęła w łopatce niedoszłego mordercy, zachwiał się i oddał jeszcze jeden niecelny strzał. Padły kolejne, to już była kanonada. Zastrzelą ją! – pomyślał, patrząc w stronę tych, którzy go gonili. Z broni mierzył już tylko jeden i nie do łuczniczki, ale do Kosiorka, który postrzelił jego koleżkę.

Tymczasem kobieta wypuściła kolejną strzałę z łuku i z pleców już raz trafionego bandyty wystawały dwie lotki. Łuczniczka napięła cięciwę i za chwilę ten drań będzie wyglądał jak święty Sebastian! Nie było takiej potrzeby, on miał już dość, osunął się na ziemię i próbował znaleźć rękami strzały. Na próżno. Na próżno też jego kompan próbował wygrać pojedynek z Kosiorkiem. Kula trafiła go w nogi, zawył i wyciągnął się jak długi na trawie, która porastała ten fragment Kozłówki. Rozległy się policyjne gwizdki, złodziej portfela nie był już celem funkcjonariuszy. Zanim dobiegli, Kosiorek niczym Martyna¹⁴ zgiął nogę w kolanie, by oddać piorunujące kopnięcie. Czy celem będzie pistolet, do którego pełznął ranny bandyta, czy też jego głowa? Stopa poleciała z prędkością pocisku i zatrzymała się na twarzy bandyty.

– To ci wyłączyłem światło, skurwysynu – sapnął Kosiorek i nie przestając celować z pistoletu, ruszył w kierunku drugiego postrzelonego, który leżał, nie dając znaku życia. Podobnie jak Kosiorek łuczniczka, celując ze swej broni, zbliżała się ostrożnie do człowieka, którego już dwukrotnie zdążyła trafić.

Heniek podbiegł w ich kierunku. Najpierw wyszarpnął broń bandycie, a za chwilę stał przed młodą damą. Była piękna, jak przystało na białego anioła, a może nawet piękniejsza, i nie musiał sobie wyobrażać jej nagiego ciała, bo widział ją parę dni temu. To była ta niezwykle zgrabna dziewczyna, która przykuła jego uwagę, dziś jeszcze piękniejsza, bo już nie w czepku kąpielowym, ale z burzą blond włosów, z bliska mógł też podziwiać jej niebieskie oczy i zapach perfum.

– Henryk Hass, bardzo pani dziękuję – powiedział, szarmancko się kłaniając i całując w dłoń.

– Zuzanna Orłowska, miło mi, że urozmaicił pan mój trening. – Mrugnęła okiem, dygając przy tym jak uczennica. – Stale ćwiczę, bo chcę zdobyć odznakę łuczniczą drugiej klasy!

Mówiąc, uśmiechała się zalotnie i lustrowała jego nagi tors. Przecież przed ucieczką zrzucił szlafrok i stał teraz przed nią w samych kąpielówkach.

– Dla mnie, panno Zuzanno, bezapelacyjnie zasługuje pani na odznakę pierwszej klasy!

Zuzanna zaśmiała się i wydała mu się jeszcze piękniejsza.

– Proszę mi mówić po imieniu. – Znów się zaśmiała i wyciągnęła ku niemu dłoń, uścisk miała mocny, niemal męski.

– Czy są państwo cali? – Zdyszany przodownik znalazł w końcu chwilę dla łuczniczki i Heńka, wcześniej zajmował się bandytami, teraz byli przy nich drugi mundurowy, plażowi dozorczy, ratownicy i kilku mężczyzn podających się za oficerów służby czynnej i rezerwy.

– Wszystko w należyтым porządku! A jak bandyci?

– Dwóch solidnie rannych, ale trzeci uciekł – powiedział z żalem policjant, ale zaraz się rozpromienił. – Czy tego z łuku to panna trafiła?! – W głosie przodownika mieszały się podziw z niedowierzaniem.

– Sądzi pan, że kobieta nie potrafi?

– Ależ skąd, droga panno... – Policjant zawiesił głos.

– Panna Zuzanna Orłowska – pośpieszył z prezentacją Heniek.

– Pani... – Zuzanna zrobiła groźną minę. – W najbliższą sobotę będę mężatką!

– Znów się zaśmiała i Heniek znalazł w jej śmiechu niezamierzone szyderstwo.

– Dokąd ich zawieźli?

– Jednego to już do kostnicy, a rannych do Przemienienia Pańskiego. Ten jeżozwierz to raczej lekko zaprawiony, tyle że boleśnie, ale ten drugi... Pana szofer o mało mu nie urwał głowy, mnie się wydaje, bo wie pan, ja kibicem Warszawianki jestem, że tylko Henryk Martyna z Legii ma w tym mieście taką petardę w nodze. – Twarz policjanta wyrażała jednocześnie podziw dla siły Martyny i smutek, że nie gra on w Warszawiance. – Może kiedyś zagra u nas... – powiedział na koniec, bo kibice jak nikt inny potrafią marzyć.

– A co się stało z tym małym złodziejem, panie przodowniku?

– Zwiął. – Policjant rozłożył ręce.

– Jak zaczęła się strzelanina?

– To też mu pomogło, ale jak już go otoczyliśmy, to zaczął wyrzucać w górę pieniądze, ludzie rzucili się, żeby je zbierać, same grube nominały, Batory za Batorym, pięćdziesiątka za pięćdziesiątką, wykorzystał zamieszanie, pobiegł na pływający basen, dobiegł nim tak daleko, jak się dało, wskoczył do rzeki i z portfelem w zębach popłynął na drugą stronę.

– Z pustym?

– Z portfela podobnież nie brał, bo nie uwierzy pan, ale on miał po kieszeniach mnóstwo pieniędzy!

Przodownik opowiadał o tym z nieukrywanym zdziwieniem, ale Heniek tylko potakiwał głową. Ten przedziwny finał jedynie potwierdził jego wcześniejsze podejrzenia – chłopak był wynajęty i ktoś nie tylko obiecał mu za to przedstawienie sowite wynagrodzenie, lecz także wyposażył go w pieniądze, które ułatwiły mu ucieczkę. Pomyślał, że gdyby był na ich miejscu, to dałby mu fałszywe banknoty, w ferworze podniecenia nikt nie zwróciłby uwagi, czy to prawdziwe czy fałszywki.

Heniek kazał Kosiorkowi natychmiast przeprowadzić Stefę, Zośkę i Wicka do hotelu. Wybrał Bristol, bo wydawał mu się najbezpieczniejszy. Rodzina mieszkała w jednym pokoju, Mietek z żoną i córką w drugim. Cholera wie, czy nie będą szukać zemsty także na nim, w końcu zastrzelił jednego z bandziorów. Wicka zwolniono ze szkoły, ale Stefa chodziła do seminarium nauczycielskiego i nie mogła sobie pozwolić na opuszczenie nauki, Kosiorek załatwił więc dwóch silnych i wprawnych ludzi, którzy towarzyszyli jej w drodze na zajęcia i z powrotem.

– To chyba wszystko – upewnił się Kosiorek.

– Prawie wszystko. Trzeba poszukać tego łebka, który biegał po plaży. Mówili, że na koniec wbiegł na pomost, wskoczył do wody z portfelem w zębach i popłynął na drugą stronę Wisły. Niewiele jest takich magików. Jutro ruszymy na poszukiwanie tego chłopaka, ja zakręcę do Beniowskiego, żeby popytał swoich ludzi w policji, ma tam wtyki. A ty masz pomysł, jak go poszukać?

Miał, oczywiście, że miał.

Wincenty Rybski był młodym gliną, ale zbiegiem okoliczności należał do najważniejszych funkcjonariuszy w mieście. Nie chodziło o stanowisko, był tylko posterunkowym, bo kim miał być, skoro służył dopiero drugi rok. Nie miał też widoków na poważny awans ani koneksji, bo pochodził z prostej rodziny ze Starówki, a edukację zakończył na szkole powszechnej. Pisał, czytał, rachował i to całe jego wykształcenie. Czemu więc był taki ważny? Bo służył w Brygadzie XI Specjalnej, w istocie ledwie sekcji, bo było ich tylko czterech, ale ich waga była taka jak brygady. Rozwiązywali sprawy najcięższe i niezwykle delikatne, przede wszystkim też te, których przez lata inni nie rozwiązywali. Ich kierownik komisarz Strasburger był policyjnym geniuszem, ale geniusze tak mają – był nie do zniesienia dla swoich szefów. Oddał jednak niebywale zasługi, więc nie można było się go pozbyć, choć próbowano. Jego prawą ręką był starszy przodownik Stolarczyk, mistrz zapasów i jeden z tych, którzy służyli w policji od czasu, gdy nazywano ją jeszcze milicją. Trzeci zaś to Jung, żółtodziób taki jak Rybski, tyle że wykształcony i z prawniczej rodziny. Jakim cudem Rybski tam był? Bo był sprytny, odważny i oddany sprawie. Był materiałem na wybitnego oficera śledczego, tak uważał Strasburger. Miał też zalety, o których Strasburger nie mówił przełożonym – Wicek Rybski wychował się na Starówce, tam się nauczył bić i kraść. Niewiele brakowało, a zostałby kieszonkowcem, jego koledzy stali się poważnymi bandziorami i znali ludzi swojego fachu z innych dzielnic.

Nie zdziwiło go więc pytanie szefa:

– Wicek, szukam złodzieja o szczególnych umiejętnościach...

– Houdiniego?

– Raczej Weissmullera.

– Czyli kogoś, kto gwizdnie portfel, wskoczy do wody i na przykład przepłynie na drugą stronę Wisły?

– Dokładnie! – Strasburger klasnął w dłoń.

Wiedział, że Rybski interesuje się sportem i jak mu powie o najlepszym

pływaku świata Johnnym Weissmullerze, to załapie!

– Poszukasz?

– Porozmawiam. – Rybski zmrużył oczy.

Wicek poszedł na Podwale, ale minął kamienicę, w której mieszkał, bo szedł na Kilińskiego, do kawiarni Łowiczanka. Zajrzał do środka i zobaczył, że jest ten, którego szukał, ale nie siedział sam, tylko z ferajną. Zapukał więc w szybę i machnął na niego ręką. Tamten nie wyszedł do niego, to jego zastawa opuściła lokal, zabierając przy okazji klientów.

– Maniek zaprasza – powiedział typ, który był najstarszy w tej grupie.

Rybski wszedł i przysiadł się do Mańka Ciechaniaka, swojego kumpla z dawnych lat, kiedy aspirował do bycia zawodowym złodziejem. Uczył się na doliniarza, ale życie pokierowało nim inaczej, został gliną.

– Pogoda do luftu, nie chce mi się wychodzić – wyjaśnił Maniek. – Co cię sprowadza?

– Czyś ty zgłupiał do imentu? – walnął Rybski prosto z mostu.

– Ostro jedziesz!

– Ile lat ma Władek?

– Trzydzieści, prawie że, w tym roku kończy.

– I nie za wcześnie na takie aferki?

– Na jakie aferki?

– Maniek, kumplu stary wte i wewte szarpany! Nie rób ze mnie cymbała! Przecież wiem, w co go wplątałeś.

– A co, ty w jego wieku nie kozakowałeś?

– Ale żeby przy tym kozakowaniu komuś łeb odstrzelili?!

– Wypadek przy pracy...

– Wypadek!?

– No wypadek!

– Kurwa jego mać, wypadek, po którym się musicie ukrywać.

– Się raczej oni ukrywają, bo spieprzyli robotę. A jeśli co ode mnie chcesz, to ja nie szpicel! Prywatnie mogę z tobą pogadać, ale swój honor mam i kapować nie będę.

– Kapować... – Rybski splunął na ziemię. – Kapować?

– A jak? No kapusia chcesz ze mnie zrobić, kurwa! A sztama była, ty jesteś pies, a ja złodziej, ale w pracy, a na dzielnicy to jesteśmy kumple.

– Nic nie rozumiesz.

– Rozumiem, aż za dobrze rozumiem i powiem ci, że jak chcesz, to idź po inne psy, chyba że mię chcesz sam zaaresztować, ale uprzedzam jak starego fumfla, że nie pójdzie ci łatwo. A teraz *adieu* panie hint, bo mam parę spraw do załatwienia, manko mam w kasie przez tych obrzępałów.

Kiedy Rybski wyszedł, Maniek Ciechaniak walnął wódkę. Udawał kozaka, ale był wściekły, czuł, że sprawy poszły nie tak. Tamci skrewili, nie potrafili załatwić gościa, chociaż on im wszystko ustawił. Będzie musiał pójść do Lońki Szulmana i naprostować go. On nagrał to wszystko, poznał go z tymi typami z Wilna. Bruderferajn... Myślał, że są lepsi, a prawda jest taka, że najlepsi są chłopacy ze Starówki! Jutro się będzie martwił, bo jeszcze dzisiaj ma okoliczność z Felką z Krzywego Koła. To będzie klawa noc!

Icek Dawidowicz otarł zakrwawiony nóż i schował go do kieszeni.

– Małoś się nie obsrał. – Popatrzył z pogardą na swojego kuzyna.

– Nie, nie o to chodzi, każdy z nich to by twój *frajnd* z Wilna.

– Tam nie był ani jeden mój *frajnd*! – powiedział takim tonem, jakby to nie byli ludzie, tylko nieużyteczne przedmioty. – Oni nie byli moje *mezanne zajn*¹⁵. Mieli pecha. *Haszejm jisborech*¹⁶, my żyjemy! Pamiętaj, największy *kowojd*¹⁷ to żyć i nie dać się złapać.

Abram bąknął coś pod nosem, ale wtedy Icek Dawidowicz złapał go za kłapy i zasyczał:

– Ty mi tu nie rób *darszen*¹⁸! Wszystko przez ciebie. – Icek strzelił Abrama w ucho. – Mówiłem, żeby porwać jego siostrę, aleś się uparł, a ja się na to zgodziłem. – Kolejny strzał poszedł w policzek.

– Możemy teraz. – Abram zgodziłby się teraz na każdą propozycję, bo wiedział, że Dawidowicz może wpaść w szal, sporo o nim słyszał.

Poszli przez most na drugą stronę rzeki, a później na ulicę Czerwonego Krzyża. Czekali godzinę do świtu, a później kolejną, aż siostra Heńka pójdzie do szkoły. Stało się jasne, że się spóźnili. Abram zapłacił za to naderwanym uchem i rozbitym nosem.

– Co dalej? – jęczał.

– Jak to co? Musimy znaleźć ten mały gnojek i jego brat, jak ich nie uciszymy, to ściągną policję. A teraz idziemy stąd, bo cieć się nami interesuje.

Faktycznie cieć z miotłą bardziej się interesował nimi niż sprzątaniem ulicy, później zaś widzieli chłopaka, który wybiegł z cieciovki przy bramie i pognął w kierunku Solca. Może tak być, że posłał go po policję.

Nad ranem ktoś załomotał do drzwi Mańka Ciechaniaka.

Hinty? – taka była pierwsza myśl, ale oni by coś krzyknęli, „otwierać, policja” i tak dalej. A jak chcą go nakryć z bronią? A jeśli Wicek Rybski się skiepscił i go podpieprzył? Ryzyk-fizyk, wziął rewolwer i w samych gaciach wyszarpnął drzwi lewą ręką, a w prawej trzymał kłamkę.

– Kurwa, Maniek!

W drzwiach stał Rysio z Krzywego Koła, którego oczy były wielkie jak spodki i nie wiadomo dlaczego: czy dlatego, że celował mu prosto w czoło, czy z powodu tego, co widział za placami Mańka. Jego siostra Felka właśnie się obudziła i próbowała zakryć goliznę koldrą.

– Wchodź! – Maniek wciągnął go do środka.

– Mało się nie zesrałem – wystękał.

– Ze szczęścia, że szwagrem moim się zostałeś?

– Nie, ze strachu. – Widać było, że lufa przy czole zrobiła na nim wrażenie, więc aż przysiadł na trzeszczącym krześle.

– Nawijaj, przecież nie po siostrę przyszedłeś, bo widzę, że milej niespodzianki doznałeś, chłopaku.

– To insza inszość – powiedział, patrząc na Felę. – Byłem u kumpla na Brzeskiej, troszkie popilim, bo oblewaliśmy mały włamik, i potem szłem od Targowej przez Floriańską...

– Będziesz mi, kurwa, drogę do domu opowiadał?

– No, do mostu szłem i w związku z tym za Florianem skręciłem i patrzę, a koło Przemienia Pańskiego jakaś draka, policja, ale tak na poważnie, ze trzy wozy, mundurowi i nie tylko, konny też był, nawet dwóch...

Zaraz, kurwa, zacznie opisywać, jakiego koloru były te kobyły, i Maniek miał ochotę dać mu w ucho, ale troszkę nie wypadało, bo tam w łóżku leżała siostra tego melepety, więc cierpliwie słuchał wszystkich opisów, każdego metra, który przeszedł.

Z samego rana przesłuchano Heńka i Kosiorka, którzy szybko odpowiedzieli na pytania prowadzącego śledztwo podkomisarza Pijanowskiego.

– Gdybym miał jakieś podejrzenia, tobym o nich pana poinformował. Nie znałem tych ludzi, ale poznam, bo na pewno powiedzą, kim są.

– Tego się nie dowiemy, przynajmniej nie od nich... – Pijanowski zawiesił głos.

– Zmarli? Obaj? – niedowierzał Heniek.

– Można tak powiedzieć... – westchnął podkomisarz, a jego mina i spuszczone wzrok wskazywały na to, że stało się coś, co go obciąża. Heniek w mig zrozumiał co. W tym samym szpitalu Franio zrobił to już dobrych parę lat temu, a całkiem niedawno była strzelanina niczym w Chicago. – Nie pilnowaliście ich?

– Policja poczuwa się do winy, ale częściowo. – Głos był już rażny, jak na oficera policji przystało, oczy patrzyły prosto w Heńka. – Oczywiście, że pilnowano ich! Jeszcze jest świeża sprawa Mańka Buca!

– Maniek Buc? – Heniek doskonale wiedział, że chodziło o jednego z żołnierzy Szpicbródki, niejakiego Mariana Brzezińskiego, który stał się sławny z powodu zatargu ze złodziejską starszyzną. Maniek pomógł koledze złodziejowi z Krakowa, którego skrojono w Warszawie. Na rozmowach się nie skończyło, błysnęły kosy, wystrzeliły rewolwery, padli zabici, aż na koniec dintojra wydała na Brzezińskiego wyrok śmierci. Szpicbródka nie zatrudnia jednak byle kogo i Maniek, który był w szpitalu, nie dał się załatwić, był szybszy i rozwalił na oczach lekarzy i pacjentów dwóch egzekutorów. Dintojra uznała, że trzeba skończyć wojnę, bo straci na tym całe stołeczne towarzystwo i zamieniono wyrok śmierci na grzywnę dla organizacji i odszkodowanie dla rodzin zastrzelonych egzekutorów.

– Maniek Buc, zawodowy złodziej, który strzelał w szpitalu – wyjaśnił podkomisarz, a Heniek kiwał głową, jakby pierwszy raz słyszał o człowieku. – Dwa trupy w szpitalu, więc teraz, kiedy mamy podejranych pacjentów, to otaczamy ich specjalną opieką. Dwóch dobrych funkcjonariuszy w mundurach w korytarzyku przed drzwiami, jeden cywilny wywiadowca na terenie szpitala. Wszyscy trzej są teraz pacjentami, wywiadowca ma rozbitą głowę i walczy o życie, dwaj pozostali są odtruwani...

– Co się stało?!

– Stało się to, czego nie przewidzieliśmy, bo dotąd nie spotkaliśmy się z taką bezczelnością przestępców. Wywiadowcy rozbili głowę, a do korytarzyka, w którym siedzieli funkcjonariusze w mundurach, wpuścili gaz usypiający, taki

który stosują złodzieje w pociągach i podczas kradzieży mieszkaniowych, ale mocno stężony, więc obaj policjanci poleżą jeszcze parę dni.

– Jak zlikwidowali cyngli?

– Bezgłośnie, poderżnęli im gardła.

Stali przez chwilę w milczeniu, które przerwał Pijanowski.

– Czy to, co się dzieje, jest związane z pańską warszawską przeszłością, panie Wcisło, czy może zawdzięcza pan to interesom prowadzonym w Ameryce, *mister Haas*?

– Ani jednemu, ani drugiemu – spokojnie odparł Heniek.

– To skąd zainteresowanie pańską osobą ze strony zawodowych bandytów? Skąd zamach na pańskie życie i kto za nim stał? Jakiś świat przestępczy, skoro pozbył się świadków w sposób bezpardonowy i nie zawahał się podnieść ręki na funkcjonariuszów policji państwowej!

Pijanowski lekko uniósł głos, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że żarty się skończyły, tymczasem Heniek z wielkim spokojem grał swoją rolę:

– Sam chciałbym wiedzieć kto, panie komisarzu, i mam nadzieję, że dochodzenia mocodawcy, jak i ochrony mojej osoby nie pozostawi pan mnie, tylko swoim funkcjonariuszom – powiedział tonem grzecznym, ale zdecydowanym. – A co do powodów, dla których zdecydowano się mnie zabić, to myślę, że po prostu pomyślono mnie z inną osobą.

– Kogoś takiego jak pan nie można pomylić z kimś innym!

– Można. Nie jestem aż tak bogaty, jak się sądzi, owszem, jestem majątny, ale dość kłopotliwa, momentami wręcz krępująca sława jest moim problemem.

– Doprawdy? – Pijanowski uniósł brwi.

– Opowiada się o mnie bajki, że byłem prawą ręką Ala Capone, że jestem milionerem, pracowałem w przemyśle filmowym i mam w Los Angeles hacjendę jak don Diego de la Vega i może tak w ogóle jestem Zorro!

– Sądzę, że pan przesadza!

– Czyżby?

– Proponowano mi już przystąpienie do spółki produkującej filmy, wypytuje się mnie o to, czy faktycznie Chaplin nie wierzy w kino dźwiękowe, a pańscy koledzy podejrzewali mnie, że to ja dokonałem w zeszłym roku jatki na Siekierkach, bo bandytów zabito z amerykańskiej broni. To dość zabawne, bo wiem, że swojego czasu Policja Państwowa i Korpus Obrony Pogranicza miały więcej pistoletów maszynowych systemu Thompsona niż ich amerykańscy

koledzy. Skoro ludzie biznesu, osoby z towarzystwa wierzą w te wszystkie bajki, to czemu nie bandziory?

Pijanowski nic nie powiedział, za to Heniek miał coś jeszcze na finał, coś, co przyszło mu do głowy tak gwałtownie, jakby go trafiła błyskawica.

– Musicie znaleźć tego chłopaka!

– Chłopaka?

– Chłopaka z plaży, on przecież był przez nich najęty! Ten mały złodziej robił zamieszanie, odciągał uwagę, to było ukartowane!

Pijanowski popatrzył na niego zrazu podejrzliwie, a następnie wykrzyknął, jakby odgadł zagadkę, za którą przewidziana była wysoka nagroda.

– To wyjaśnia, że banknoty, które rzucał, były fałszywe!

– Fałszywe?!

Zatem Heniek miał rację, nie warto było rozrzucać prawdziwych pieniędzy, skoro wszystko było ukartowane, ale nie to było najważniejsze, lecz chłopak, któremu groziło teraz śmiertelne niebezpieczeństwo. Podkomisarz pojął to w mig.

– Skoro zlikwidowali wykonawców, to i jego spróbują uciszyć, a jak nie jego, to pośrednika, są bezwzględni!

Powiedzieli sobie „do widzenia”, ale podkomisarz Pijanowski tuż po uściśnięciu mu dłoni na pożegnanie złapał go za nadgarstek i patrząc w oczy, powiedział:

– Niech pan powie prawdę, co było przyczyną tej napaści, niech pan się nie mści, to byłby samosąd, bo tu nie Ameryka, niech się panu żaden lincz nie przyśni.

– Nie mam wątpliwości, że pan ich dorwie, panie komisarzu, wtedy się dowiem, co do mnie mają. Ale dość o tym, musi pan ratować tego chłopaka, a on być może doprowadzi pana do herszta bandy. Z całych sił życzę panu powodzenia!

Wyszedł z urzędu śledczego, gdzie czekał na niego Kosiorek, który na jego widok odpalił silnik w aucie. Heniek zaraz po zajęciu miejsca w samochodzie zaordynował:

– Szukamy tego chłopaka, zanim zrobią to bandyci, i dobrze by było zdążyć przed policją.

– Skąd wiesz, że bandyci go szukają i dlaczego mieliby go szukać?

– Bo zlikwidowali tych, którzy przeżyli wczorajszą strzelaninę, musimy grać

do tego twojego wszystkowiedzącego!

Kosiorek z natury gadatliwy tym razem nie powiedział nic, tylko ruszył w kierunku Mariensztatu.

Tymczasem na Starówce trwała prawdziwa mobilizacja. Maniek Ciechaniak miał ochotę dać Rysiovi w nos, ale zachował cierpliwość i został za nią nagrodzony, bo jego „szwagier” skończył opowieść na konkretnie.

– No i wtedy ten pedel ze szpitala, ale nie z nocnej zmiany, bo go przesłuchiwali, tylko z dziennej, co przyszedł właśnie do roboty, mówi, że ktoś rozbił głowę policyjnemu wywiadowcy, zagazował dwóch mundurowych, ale nie na amen, tak na spanie, jak wtedy kiedy robią włamy na ślam, no i na koniec mokra robota wystąpiła, bo poderżnęli gardła tym dwom, co wczoraj strzelali na Kozłowie. Podobnież jakieś dwa żydki się kręcili koło szpitala...

Gadula Rysio nawijał dalej, a Maniek czuł, że krew odpłynęła mu z głowy, po czym za chwilę wróciła. Zrobił się blady, a zaraz później czerwony na twarzy.

– To jacyś kumple byli? – zaniepokoił się Rysio z Krzywego Koła.

Maniek Ciechaniak nic nie powiedział, tylko szybko wciągnął spodnie i zaczął wkładać koszulę. Był bandytą, ale takim, który potrafił szybko kojarzyć niektóre sprawy.

– Grzej po chłopaków z mojej zastawy, mają tu być w try miga! Aha, i niech po drodze zawiną Łońkę Szulmana!

– A ja? – zapytała Felka.

– A ty spadaj do starych i wróć tu wieczorem.

Jak dwa razy dwa ci dwaj, którym pomógł w wystawieniu tego amerykańskiego elegancika, likwidowali tych, którzy za dużo wiedzieli.

Prowadzony przez Kosiorka samochód jechał szybko, nawet za szybko, bo kiedy przecinali Dobrą i tory prowadzące na wiadukt Pancera, to zamiast zwolnić, Kosiorek nadusił na gaz i śmignął przed tramwajem. Jechali do Teosia, czyli Teodora Malinowskiego, znajomka Kosiorka, który pracował kiedyś dla Szpicbródki. Nic poważnego, wożenie materiałów na budowę tunelu, stanie na świecy. Nie wspiał się wyżej, bo przed kolejną umówioną robotą zrobił mały włam i wpadł. W kryminale nie nawiązał znajomości, które by mu dały po

odsiadce atrakcyjną robotę, więc dalej trzaskał złodziejską drobnicę i więcej czasu siedział w pudle niż w domu.

– Tak pływać to musi jakiś chłopak z tej okolicy znad rzeki, z Mariensztatu, Powiśla albo są na Odolanach, Szczęśliwicach i Woli asy, co śmigają po gliniankach, z kolei ferajna ode mnie to ćwiczy się na Jeziorku Kamionkowskim. Pływają, nie powiem, sam bym tak chciał, ale to jest insza inszość. Wiry, prąd, czasem fale, żeby tak jak tamten, na pewniaka wskoczyć do Wisły i szarpnąć się na drugą stronę, to już trzeba być zauważonym na dzielnicy, zwłaszcza że z niego ostry powstaniec, bez dwóch zdań jeden z tych, o których wiadomo, że wyszarpie sobie miejscówkę w dorosłej ferajnie.

W końcu zatrzymali się przed rudera, która przypomniała Heńkowi o gehennie, jaką przeszła jego kuzynka. Wyszła za francowatego typu, którego wywalano z każdej roboty, bo się obijał i pił, a kiedy był zły, a zły bywał często, bo mu nie starczało na picie, to ją bił. Tak było do czasu, aż Heniek zrobił z nim porządek. Obił go, dał pieniądze na bilet i na przeżycie paru dni i kazał mu zniknąć z życia jego rodziny. Zapowiedział mu, że następnym razem zabije go jak psa, a ścierwo wyrzuci do Wisły. Teoś mógł się okazać dokładnie kimś takim jak jego szwagier, ale teraz myślał tylko o tym, żeby zły czy dobry Teodor Malinowski był przede wszystkim dobrym informatorem, o ile nie będzie w kryminale albo w sztok pijany.

– Musimy chyba coś kupić – zasugerował Heniek, wymownie patrząc na Kosiorka.

– Nie musimy, jak raz mam coś na dzisiejszą okazję. – Szofer sięgnął do skrytki na desce rozdzielczej, gdzie jak w wielu autach były rękawiczki, ale ich zadaniem nie było oczekiwanie na ukojenie zmarzniętych rąk kierowcy, lecz amortyzowanie flaszki z wódką. – Baczewski! – powiedział, chowając flaszkę do kieszeni.

– Ma to dla niego jakieś znaczenie?

– Tego nie wiem, ale dla nas kolosalne! On z tych towarzyskich alkoholików, nie usiądzie i nie zacznie pić do lustra. Najpierw ma być aligancko, z kompanią, jak koneser, a nie zwykły pijus. To mu oczywiście szybko przechodzi i chce kończyć sam, żeby się szybciej i mocniej zamroczyć, ale na początku zachowuje pozory.

Weszli do cuchnącej, wilgotnej bramy, po czym przeszli do sieni, w której do bukietu z bramy dołączała woń kapusty.

– Pewnie stara Malinowska gotuje coś dla synunia – powiedział Kosiorek,

oddychając jak najoszczędniej. – Nie martw się, nie poczęstuje nas, za wielka bida, no chyba że akurat Teoś po udanej robocie, ale to się zdarza tak samo często jak trafienie kwinty z samych fuksów.

Kosiorek zapukał, otworzyła im stara, wyniszczona przez życie kobieta. W zwichrowanych przez reumatyzm dłoniach trzymała ścierkę, i to tak, jakby z miejsca zamierzała dać im nią po twarzach.

– Czego? – zapytała zachrypniętym głosem.

– My, pani Malinowska, do Teosia – powiedział Kosiorek, jakby był uczniem szkoły powszechnej.

– Nie ma go!

Chciała zamknąć drzwi, ale Kosiorek postawił stopę na progu, a ręką przytrzymał klamkę.

– Szanowna pani się nie boi, my nie z policji! Starzy kumple, z dawnych czasów jeszcze – zaświergotał, jakby nie był potężnym mężczyzną.

– Teoś wyjechał! – niezbyt przekonująco powiedziała Malinowska.

– Teodor, przyjacielu sympatyczny, naprawdę wyjechałeś? Bo ja, czyli Mieczysław Kosiorek, zajechałem tu z panem Baczewskim i z jeszcze jednym serdecznym moim kolegą – huknął Kosiorek.

Po chwili rozległo się skrzypnięcie drzwi i z szafy, jedyne trzymającego się kupy mebla w brudnej izbie Malinowskich, wyszedł łykowaty, niedogolony osobnik.

– Mamusia wpuści, bo to faktycznie mój koleżka.

Malinowska burknęła coś pod nosem i wpuściła ich do środka.

– Przyjacielu mój! – powiedział Kosiorek, ściskając się z Malinowskim. – Powiedz mi: co znowu zbroiłeś, że się ukrywasz?

– Zasadniczo to nic, drobiazg taki. – Skrzywił się, uśmiechając.

– I za taki drobiazg by cię policja nachodziła? Oj, coś przede mną ukrywasz. – Kosiorek pogroził Teosowi palcem.

– Sęk w tym, że nie policja. – Teodor Malinowski nie był skory do żartów. – W wyniku drobnego nieporozumienia towarzyskiego przez zupełny przypadek wszedłem w posiadanie fantu, którego raczej mieć nie powinienem. – Malinowski znów zaprezentował krzywy uśmiech. – Chcesz, to ci opowiem, koledze twojemu eleganckiemu także, no i, ma się rozumieć, zaprosimy do stołu też i pana Baczewskiego.

– O matce to, hultaju, zapomniałeś? – Malinowska strzeliła go ścierką po

głowie.

– Mama da spokój, to jasne jak słońce, że i mamusia się z nami troszkę napije.

Stara Malinowska dostała solidnego kielicha i stanęła z boku, mieszając gotującą się w garnku kapustę, a oni zajęli miejsce przy koślawym stole. Podstawili go pod sfatygowane żelazne łóżko, jedyny mebel, na którym mógł bezpiecznie zasiąść Kosiorek, Malinowski usiadł na połamanym krześle, a Heniek jako wyjątkowo elegancki gość otrzymał najlepszy sprzęt do siedzenia – kuchenny taboret.

– To powiadasz, że zrobiłeś kogoś zupełnie nieodpowiedniego? – zapytał Kosiorek, kiedy wypili po pierwszej kolejce.

– Mieciu, mój drogi przyjacielu! – Teodor Malinowski wyciągnął w górę palec wskazujący. – Myślisz, że bym się tak wygłupił?

– No skąd! – wybuchnął w samokrytycznym oburzeniu Kosiorek. – Nigdy w życiu!

– No właśnie, bo ja tylko te fanty na przechowanie dostałem. – Malinowski rozłożył ręce. – Nie przelewa się nam obecnie – dodał, jakby kiedyś było inaczej i ze smutkiem rozparcelowanego arystokraty tłumaczył dalej: – Na lekarstwa dla mamy potrzebowałem oraz parę groszy na bieżące wydatki.

Po raz kolejny na głowę Teosia spadła ściera.

– Ty łobuzie, nic mnie nie dałeś, a ja tyram na ciebie!

– No bo zaszło nieporozumienie! – krzyknął Teoś, zakrywając sobie rękami głowę.

– Sam jesteś nieporozumienie, mnie się wydaje, że chyba cię podmienili, bo to niemożliwe, żebyś był moim synem, nawet twój ojciec nie był taki głupi!

– Ja to wszystko wytłumaczę! – jęknął Malinowski.

– No ja myślę, bo się już w tym wszystkim pogubiłem. – Kosiorek nie próbował nawet ukrywać zniecierpliwienia, w końcu śpieszyło się im, bo chodziło o zdrowie tego urwisa z Kozłówki.

– Od czego zacząć...? – Teoś Majewski podrapał się po głowie.

– Najlepiej od początku – warknął Kosiorek.

– No więc to było tak... – zaczął Malinowski, rozlewając kolejkę.

Heniek zauważył, że jemu i Kosiorkowi nalał symbolicznie, a sobie pod rant kieliszka, który był największy w jego ubogiej zastawie.

– Znajomek zamelinował u mnie fanty... To się mnie należał procent za przechowanie trefnego towaru, składowe jak w każdym magazynie, normalka,

co nie?

Heniek i Kosiorek zgodnie skinęli głowami.

– A ja byłem w potrzebie, no mówiłem już... – Łypnął w kierunku matki. –
Więc ja wziąłem sobie ten procencik i...

– Przepiłeś?

Teoś Malinowski przytaknął ze smętną miną.

– I to jest coś nadzwyczajnego? – zaśmiał się Kosiorek.

– Niby nie, ale te, co u mnie składowali, chcą, żebym to oddał, bo oni komuś,
kto z Tatą Tasiemką jest skumplowany, buchnęli i się zrobiła chryja. No i mówią,
że mi się nic nie należy, a jutro mają zajechać.

– A co to za towar? – zainteresował się Heniek.

– Wedlowskie czekolady, sto pudeł.

– Ilu brakuje?

– Dwóch pudeł, w każdym po dwajścia tabliczek...

– Tia... – Kosiorek się poskrobał po głowie.

– To pójdziesz pan do sklepu i odkupisz tych czterdzieści tabliczek... –
powiedział ze spokojem Heniek.

– Ale jak?

– Ano tak, że my ci kupimy, jak powiesz nam, gdzie szukać kozaka, który
mógłby wywinąć taki oto numer! – powiedział Kosiorek, który wyczuł intencje
Heńka.

Rybski był już w pół drogi do pokoju, w którym pracowali, kiedy usłyszał na korytarzu rozmowę dwóch funkcjonariuszów o tajemniczym morderstwie, którego dokonano w Szpitalu Przemienienia Pańskiego. Bez dwóch zdań wynikało z niej, że niedoszli mordercy z Kozłówki pozbyli się niewygodnych świadków. Niezłe kanalie, skoro dobili swoich rannych, teraz pewnie... Teraz pewnie zrobią to samo z Ciechaniakami! Rybski nagle obrócił się na pięcie i nie zważając na to, że rozpycha się na schodach i trąca starszych funkcjonariuszów i urzędników, pognał w kierunku Kamiennych Schodków, gdzie mieszkali Ciechaniakowie. Kiedy dobiegał do ich kamieniczki, miał mroczyki przed oczami, a w bok weszła mu kolka. Wtoczył się do bramy, a tam czekał na niego koleżka ze starej ferajny.

– Dobrze, że jesteś. Maniek liczył na to, że się może pokażesz, czasem warto

mieć kumpla hinta. – Na twarzy apasza pojawił się chłodny uśmiech.

Rybski padał ze zmęczenia, więc tamten wziął go po ramię i poprowadził w kierunku oficyny, która była przyklejona do warszawskiej skarpy.

Pod ścianą siedziało trzech Żydów. Pierwszego znał, to był Lońka Szulman, miejscowy bandzior, pozostałych nie znał, jeden był pewnie po trzydziestce, drugi miał góra dwadzieścia lat. Byli poobijani, ale nie skrępowani, pilnowali ich uzbrojeni w kije i gazrurki ludzie z gangu Ciechaniaka. Sam Maniek stał pośrodku jak generał z rewolwerem w dłoni.

– No i mamy bohatera! – ucieszył się. – Odsapnij, bo czeka na ciebie mała robótka.

– Co chcesz zrobić?

– Chcę, żebyś ich załatwił, żebyś wyczyścił Warszawę z obcych chwastów.

– Ale robotę od nas wzięłeś – warknął ten starszy.

– Zamknij mordę! – zgasił go Maniek, po czym zwrócił się do Rybskiego: – No, panie hint, zostań pan bohaterem, zabij w pojedynku dwóch bandytów z Wilna i ich współnika ze Starówki!

– Ja tego nie zrobię!

– Ale przeszkadzać nie będziesz?

Należało się, należało jak jasna cholera, ale nie wyobrażał sobie, że można tak po prostu...

– No co się łamiesz?

– Nie łamię się, ale...

– Trzeba ich oddać pod sąd!

– Żeby naopowiadali, jak to starszy posterunkowy z Urzędu Śledczego się zadaje z bandziorami ze Starówki?

Rozległ się śmiech Mańkowej ferajny. Nagle ucichł, a Wicek zobaczył w oczach Mańka Ciechaniaka coś bardzo dziwnego. Tego spojrzenia, takiego wzroku swojego kumpla nie znał. Poczł, że ktoś za nim stoi, chciał się odwrócić, krzyknąć, wycelować broń, ale nie zdążył. Zrobiło się ciemno jak w sali kinowej, kiedy gasną światła, a projektor nie rozpoczyna jeszcze swojej pracy, słycać za to było huk, jakby ktoś chciał wystrzelać kinową publiczność.

Teoś z miejsca wiedział, o kogo chodziło! Ciechaniaki ze Starówki byli fest pływakami, starszy brat, który rządził dzielnicą, robił kiedyś takie numery.

Wiele jego popisów pływackich się pamiętało, ale teraz był kierownikiem gangu i pewnie od takich sztuk miał brata, trzynastoletniego Władka. Gdzie mieszkają? Na Kamiennych Schodkach, w tej samej oficynie, gdzie Babka Matlakowa, stara złodziejka i stręczycielka, słynna na całą Warszawę trucicielka swoich mężów i kochanków. Ruszyli w te pędy, wspinając się Bednarską na Krakowskie Przedmieście, a potem z nieustającym trąbieniem przebili się przez plac Zamkowy, Świętojańską i Rynek. Heniek i Kosiorek zostawili auto na Krzywym Kole, dalej już tylko na piechotę, bo nie wymyślono jeszcze takiego pojazdu, który zjechałby Kamiennymi Schodkami. Kiedy byli przed bramą, usłyszeli strzały: jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty! Odruchowo przystanęli.

– Strzelali z tej samej broni! – krzyknął Heniek.

– No to, cholera, za późno, rozwalili... – odpowiedział mu zdyszany Kosiorek.

– No chyba żeby nie. Wchodzimy!

Wbiegli na podwórko w oficynie, na którym leżały cztery trupy, wszędzie była krew, a wokół pusto. Mieszkańcy szemranego podwórka gdzieś wyparowali, nikt nic nie widział i nie słyszał.

– Ten się rusza – powiedział Kosiorek.

Podeszli, odwrócili go na bok. Był to młody policjant od Strasburgera.

Projektor ruszył, zrobiło się jasno, nawet za jasno, zupełnie jakby ktoś chciał wyświetlać film na jego twarzy. Mrugał oczami, próbował się zebrać, w miarę jak jego wzrok odzyskiwał ostrość, ciemna plama, która przesłaniała perspektywę, stawała się pistoletem. Leżał obok jego głowy i przesłaniał mu widok, próbował się podnieść, walcząc z niemocą i tępych bólem głowy, ale uniósł się tylko o centymetry, wystarczyło to jednak, by zobaczyć, że parę metrów od niego leżą zwłoki trzech mężczyzn.

– To ten chłopak od Strasburgera, żyje! – usłyszał.

– Ludzie, pomocy, doktora!

Podwórko ożyło, rozległy się nawoływania, krzyki, lamenty. Rybski znów stracił przytomność.

Alarm został odwołany, rodziny Heńka i Kosiorka wyprowadziły się

z Bristolu, można było zrezygnować z ochrony, niemniej na siedzenie na Kozłówce nie mieli ochoty, ale nie dlatego, że im się to miejsce źle kojarzyło, tylko zwyczajnie skończyła się dobra pogoda. Siedzieli teraz w mleczarni Warszawianka przy Szpitalnej, jedli śniadanie, Heniek pierwsze, a Kosiorek już drugie, i kończyli czytanie czerwoniaka, w którym była notatka o sprawie, która ich mocno interesowała.

BOHATERSKI FUNKCJONARIUSZ ROZBIŁ GANG

Od tygodnia Warszawa żyła w lęku wobec bandyckich poczynań gangu morderców. Ludzie, którzy o mało nie zabili na Kozłówce p. H. Haasa, wstawili się potem dobiciem w szpitalu swoich dwóch współników. Co jeszcze by zrobili? Strach pomyśleć! Na szczęście nieoceniona Brygada XI do spraw specjalnych urzędu śledczego pod kierownictwem podkom. Strasburgera wysledziła przestępców. W kołach zbliżonych do policji uważa się, że stało się to dzięki odwadze funkcjonariusza, który samotnie śledził bandytów. Wykrywszy obecność policjanta, bandyci zagrozili mu śmiercią. Groźbę swą wprowadzili w czyn, ale funkcjonariusz odparł atak kładąc strzałami z rewolweru całą trójkę. W trakcie krwawego starcia dzielny policjant został ranny, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. (L.M.)

– A więc tak to wyglądało... – powiedział z powagą Heniek.

– Skoro tak stoi napisane i pan redaktor z czerwoniaka dał pod tym swoją parafkę, to już tak zostanie – odpowiedział mu Kosiorek, zamykając gazetę i odkładając ją na stojak z prasą.

Obaj doskonale wiedzieli, że bandyta ze Starówki Marian Ciechaniak nie mógł puścić płazem tego, co zamierzali zrobić ludzie Icka Dawidowicza. Ten cały Dawidowicz okazał się niedobitkiem z wileńskiej Bruderferajn, który wyszedł z więzienia i szukał jakiegoś bandyckiego zajęcia. Dlatego cała ekipa od mokrej roboty była z Wilna, co okazało się po przejrzeniu policyjnych albumów z najgroźniejszymi przestępcami. Nie trafiliby za nim, gdyby nie Gofsztejn, ostatni żyjący członek gangu Franciszka Wlazły. Usłyszał to, co Heniek mówił do Mordki Dawidowicza, więc wiedział, o kogo chodzi. Postanowił podać tę informację bratu Mordki, Ickowi, licząc na to, że ten zabierze go na jakąś robotę. No i zabrał. Ten trzeci był ze Starówki, pewnie pomagał im ogarnąć sprawy w Warszawie.

Kto pociągał za spust? Możliwe, że sam szef, bo to poważny bandyta, poza

tym nie darował im, że chcieli zabić brata. No i to, że sam ich ukatrupił, jeszcze bardziej wzmocniło jego pozycję w ferajnie. Możliwe, że wyróżnił kogoś możliwością popełnienia mordu. Możliwe, że odbyła się taka bandycka inicjacja, wyzwolenie kogoś na prawdziwego złoczyńcę i zarazem podzielenie się odpowiedzialnością. Przy okazji zrobili z młodego policjanta Rybskiego bohatera i teraz wszyscy są zadowoleni. Może na razie trochę mniej ten cały Rybski, bo go głowa boli, ale pewnie mu jakiś awans dadzą, a może i odznaczą. A głowa? Do wesela się zagoi.

Bracia Ciechaniakowie siedzieli w restauracji Słowianka przy Podwalu pod siedemnastym. Maniek zamówił flaczki i wódkę.

– Panie Mańku, a czy brat troszkę nie za młody? – spytał kelner.

– Panie starszy, ja tu opiekę rodzicielską sprawuję! – odpowiedział Maniek nieznośnym sprzeciwu głosem. – Mogę panu zagwarantować, że to dorosły człowiek, bardziej dorosły, niżby się panu mogło wydawać.

Kelner nalał wódki i grzecznie odszedł. Z Mańkiem Ciechaniakiem, jak z każdym z Ciechaniaków, nie było żadnych dyskusji, wiedział to każdy, kto mieszkał na Starówce.

– No to po kieloneczku, młody, za twoją pomyślność! – wzniósł toast Maniek.

Wypili, po czym Maniek nachylił się nad stołem, chwycił za kark brata i przyciągnął jego głowę do swojej. Poczochrał włosy Władka i szepnął:

– Razem żeśmy tych koszernych frajerów z Wilna skończyli, nie pękłeś, trafiłeś skurwysyna prosto w twarz, a potem jeszcze raz! Tera jesteś dorosły, a ja mam pewność, że Ciechaniaki wyjdą poza Starówkę, co nie?

– Warszawa będzie nasza! – odpowiedział Władek, trzynastoletni zabójca ze Starego Miasta.

Warszawa
Pałac Saski
23 października 1936

Nieudany zamach na Heńka był faktem, tylko jakie były przyczyny? Mógł to wiedzieć Strasburger, ale nie będzie mu zwracał głowy, bo zlecił mu poważniejsze zadanie.

Wziął do ręki kolejną teczkę, na której wypisano tuszem „KRYPTONIM IKAR”. Bardzo celnie, może nawet zabawnie. Ktoś miał szczególne poczucie humoru, czy też kolejny bezrefleksyjny oficer, który chciał się popisać wiedzą?

Sprawa o kryptonimie „Ikar” dotyczyła serii katastrof lotniczych, które wydarzyły się w roku 1931. *O roku ów...* chciałoby się powtórzyć za wieszczem, a raczej *o lata te...* Lata wzmożonej inwigilacji przez sowiecki wywiad, lata upokarzających wpadek, które były efektem tego, co się stało wcześniej, akcji Trust, którą Sowietci zdeorganizowali pracą wywiadu i praktycznie pozbyli się w Rosji opozycji, a wszystko to poprzez udaną prowokację, stworzenie fikcyjnej antyradzieckiej organizacji i przeniknięcie do świata Białych Rosjan, którzy mieszkali w Polsce i zachodniej Europie. To wszystko było bolesne, do tego stopnia, że po wykryciu sowieckiej agentury w Sztapie Generalnym, zdecydowano się na powierzenie sprawy... policji! I nie defensywie, komuś zupełnie z boku, błyskotliwemu, nieszablonowemu i poza układami, czyli Strasburgerowi, a jego koordynatorem ze strony Dwójki był nie kto inny jak Beniowski! Oczywiście z miejsca pojawił się także Heniek. Dla policji, póki nie wywinął czegoś złego, był nietykalny, Dwójka miała wobec niego stare zobowiązania, i zaciągnęła kolejny dług, o co zadbał Beniowski. Trzymał z nim, cholera jasna! Przyjaźń czy wyrachowanie, a może jedno i drugie? W każdym razie Wcisło-Haas znów mu się przydał przy nielegalnym przeszukaniu, odgrywając może nie kluczową, ale z pewnością bardzo ważną rolę w tej sprawie. Jej wynik przyniósł pewne rozczarowanie, bo okazało się, że nie można było zrzucić na obcą agenturę fatalnego stanu lotnictwa, które prezentowało się dobrze tylko na papierze. Zbyt daleko także szły wnioski i marzenia dotyczące się rewelacyjnych konstrukcji, więcej było w tym reklamy i propagandy niż prawdy. Udało się jednak przy tej okazji udaremnić pewną mistyfikację, która pozwalała na wyludzanie funduszy, złapano szpiega w Sztapie Głównym, oraz jednego dywersanta, którego Rosjanie wymienili później na agenta Dwójki. W końcu też pozyskano współpracownika, inżyniera Wacława Leszczyckiego, dość szczególną figurę, człowieka, który mógł i znaczył wiele, a chciał jeszcze więcej.

Leszczycki był prezesem zakładów mechanicznych, a później stał się cenionym pośrednikiem w handlu wysoce wyspecjalizowanym sprzętem, silnikami, maszynami budowlanymi, traktorami oraz... sprzętem wojskowym. Wciąż był blisko zbrojeniówki, bo pełnił funkcję doradcy zakładów Ursus, miał wielu znajomych w przemyśle, armii i dyplomacji. Wcześniej Dwójka go nie zwerbowała, to było wręcz jakieś przeoczenie, ale teraz był już pod kontrolą, przynajmniej tak twierdził Beniowski, o którym niezliczliwi mu ludzie pracujący

w pałacu Saskim, oczywiście ci, którzy wiedzieli, że mimo formalnego wystąpienia z armii dalej pracuje dla wywiadu, mówili, że jest zbyt samodzielny i prowadzi własną politykę. Nawet życzliwy mu Sokołowski musiał przyznać, że Beniowski jedzie po krawędzi, chociaż miał wyniki. Być może właśnie teraz przyda się jako ktoś, kto prowadzi Leszczyckiego. Ten od lat przypominał latającego Holendra, stale w podróży, a kiedy wracał, bawił się, otwierał swe piękne mieszkanie przy Bagateli na gości. Nawet jeśli go nie było w Warszawie, to jego apartament i tak tętnił życiem. Jego żona Irena prowadziła bowiem dom otwarty, może nie przez bitych siedem dni w tygodniu, ale i tak brydżowe wieczory wyznaczały rytm życia towarzyskiego.

Notatka i zdjęcie mówiły wszystko. Dystyngowana i jednocześnie urocza, powabna, działająca na mężczyzn jak magnes, podobno z paroma romansami na koncie. Trudno się dziwić, skoro jej mąż był stale w rozjazdach. Wygląda na to, że Leszczyccy nie przejmowali się konwenansami.

Ciekawa osoba, bardzo ciekawa, a jeszcze ciekawsze, że miała romans z Haasem-Wcisłą. O tym poczyta już rano, po nocy spędzonej na składanym łóżku polowym. Gasząc światło, czuł się jak na froncie, kiedy spał na pryczy w ziemiance. Teraz też był na froncie – papierkowej walki.

ROZDZIAŁ III

*Krzyczeli, że na wodza plwamy
I nieraz za to bili w twarz
Lecz dzisiaj głośno my śpiewamy
Niech żyje Komendant nasz.*

*Jednym z przekleństw naszego życia, jednym z przekleństw naszego budownictwa państwowego jest to, żeśmy się
podzielili na kilka rodzajów Polaków.*

Józef Piłsudski

Warszawa **24 października 1936**

Pierwsza noc na składanym łóżku, za krótkim, niewygodnym. Major wstał, przeciągnął się, rozprostował plecy. Był wysoki, żartowano, że byłby z niego dobry dragon, ale czasy dragonów już dawno minęły, a wzrost oprócz godnej prezencji miał także skutki uboczne – dość szybko dawał mu się we znaki ból pleców. Dlatego najlepiej pracowało mu się w domu, gdzie miał dopasowane do swojego słusznego wzrostu biurko i krzesło. Ale o tym nie było mowy, ściśle tajne dokumenty czyniły go zakładnikiem tego miejsca – niewygodnego krzesła i stołu. Podszedł do okna, żeby – tak sobie w duchu zażartował – sprawdzić, czy księżę Józef nigdzie nie odjechał. Stał i wskazywał szablą na wschód. I tym się różnił od cesarza-filozofa, na którego wzór wyrzeźbił go Thorvaldsen. Na pomniku, który stoi na rzymskim Kapitolu, Marek Aureliusz nie dzierżył w ręku miecza, lecz wskazywał dłonią kierunek. Gdyby księżę Józef Poniatowski nie miał broni, to duńskiemu rzeźbiarzowi by tego nie wybaczone. Oryginalności, odejścia od schematu się nie wybacza, przynajmniej tu, nad Wisłą, może dlatego Beniowski miał w Dwójce tylu wrogów, co odbijało się także na postrzeganiu Wcisły-Haasa. Wywiad nie jest zabawą dla grzecznych chłopców, ale nie wszyscy chcą o tym wiedzieć, tak jak nie pamięta się, że księżę Józef był niezłym hulaką i gdyby ci, którzy składali mu hołdy za wojny napoleońskie, rozliczali go za pałac Pod Blachą i okupację pruską, to wydaliby na niego wyrok. I nie byłoby Raszyna, Borodino, Berezyny i śmierci pod Lipskiem.

Bo wyroki łatwo wydawać i chyba tego właśnie chciano od niego – by skreślił tych dwóch, Beniowskiego i Wcisłę-Haasa. Ciekawe, co będzie, jeśli bezstronnie, suwerennie wyda inną opinię. I kto jeszcze bierze udział w tej konsultacji, kto wydaje opinię. Nie wiedział i miał wrażenie, że to może być sąd kapturowy, a on był potrzebny tylko po to, żeby decyzja nie zapadła jednogłośnie. Tak czuł, a przeczucia i szpiegowski instynkt rzadko go zawodziły.

Warszawa

Można powiedzieć, że Heniek się ustatkował, bo ostatnie miesiące minęły nadzwyczaj spokojnie. Była w jego życiu jakaś regularność, rzekłby nawet harmonia. Jeszcze przed rozczarowaniem, jakim okazała się Maria Walewska, miał romans z panną Aldoną Glock, koneserką sztuki i kobietą wyzwoloną, którą przedstawił mu kiedyś Poldek. Wracali do siebie na hasło „u mnie czy u ciebie?”. U niej to było przy Kopernika, a u niego – w kamienicy Wedla na rogu Szpitalnej i Górskiego. Wynajął tam mieszkanie, bo wyeksmitowano go z Grandu po aferze z policją obyczajową. Teraz prowadził się spokojnie i cenił sobie dwupokojowe lokum, wygodne i z widokiem na budującą się wieżę Prudentiała. W tym niebotyku zamieszka za rok, może dwa, bo budowa złapała opóźnienie i pewnie tak jak u Wedla gościć będą u niego panna Glock i Irena Leszczycka. Uzupełniały się doskonale, czuł, że nie ma takiej jednej kobiety jak te dwie. Aldona Glock była w jego wieku, ale Irena Leszczycka była od niego starsza o dziewięć lat. Nie tak znowu dużo, choć kiedy zdał sobie sprawę z tego, że kiedy on chodził do szkoły kolejowej i miał dwanaście lat, to ona jako dwudziestojednoletnia studentka była już po ślubie z tym nieszczęsnym oficerem. Ale to było szesnaście lat temu! Od tego czasu tyle się zmieniło. On oczywiście bardziej – ze szczeniaka w krótkich spodenkach stał się mężczyzną. Irena już wtedy była piękna, ale teraz wyglądała jeszcze lepiej. Wysoka, prawie tak wysoka jak on, o klasycznej urodzie, prostym nosie i dość mocno zarysowanych kościach policzkowych, do tego cudowne kasztanowe włosy, zielone oczy i... nogi. Pierwszy raz zobaczył ją w Juracie, wtedy od razu przykuła jego uwagę i zapamiętał słowa majora „Prezesowa Leszczycka, piękna kobieta jest z pani prezesowej Ireny, ale cóż, jestem żonaty. *C'est la vie!*”. A później już w Warszawie, na otwarciu stadionu Legii, Bieliński powiedział:

– Prezes Waclaw Leszczycki. będzie tu albo tam, on stale podróżuje. Wszyscy się dziwią, skąd dżentelmen w tym wieku ma tyle sił na wojaże, a jeszcze bardziej temu, jak jego żona to znosi w ciągłym celibacie. To jest małżeństwo z rozsądku, ale i bez ekscesów.

Zrobił jednak znaczącą minę i dał do zrozumienia, że gdyby nie był żonaty... A Heniek nie był żonaty. Był sam, ale nie potrafił się zdecydować, czy młodsza Walewska, czy starsza Leszczycka. Życie wybrało za niego, połączyło go na jedną noc z Marią Walewską, zaskakując go szybkością podboju, a jeszcze bardziej błyskawicznym końcem. Przez tamtą noc nie poszedł na brydża, ale z kompanem takim jak Bieliński musiał wcześniej czy później trafić na Bagatelę.

To było tuż po chełmskiej drace, więc chciał tam zaznać trochę spokoju i znalazł go w wesołym towarzystwie, brydzowej rozgrywce, pięknej gospodyni i... jej mężu. Inżynier nie wyglądał na rogacza, raczej na bon vivanta, dla którego własna żona jest jedną z wielu kobiet, z pewnością ważną, ale na pewno nie jedyną. Wacław Leszczycki był starszy od swojej żony, wyglądał na czterdzieści parę lat, może nie miał idealnej sylwetki, miał pewność siebie, która tak się podoba wielu kobietom, i niski głos. Taki głos potrafi dodać mężczyźnie o przeciętnym wzroście kilku tak zawsze potrzebnych centymetrów, resztę robiło szykowane ubranie i staranne uczesanie. Nie widać było śladów siwizny, o co zadbał zapewne fryzjer, który nakładając farbę, nie przesadził z głębią i intensywnością czerni, potrafił też ostrzyć i uczesać swojego klienta tak, by nie widać było powoli postępującej łysiny. Chociaż z przodu brak włosów sprawił, że jego czoło było wysokie, co przydawało mu powagi i inteligencji. Między orlim nosem a ustami i mocnym podbródkiem miał starannie przystrzyżone wąsiki. Tak wypielegnowane koafiura i zarost Leszczyckiego przypomniały Heńkowi, że musi następnego iść do Ewarysta, salonu fryzjerskiego przy Marszałkowskiej.

Poszedł, ale najważniejsze, rzecz jasna, wydarzyło się nie na fotelu fryzjerskim, lecz tydzień później na brydżu. Grali razem w parze i polegli. Irena Leszczycka uważała, że to jej wina, on – że niedawno zaczął uprawiać tę grę. Żeby licytacja szła im następnym razem jak należy, umówili się na kawę. Kiedy wszedł, ona była ubrana dość swobodnie, mąż przebywał w delegacji, a gosposia miała wychodne.

Dokładnie na to liczył!

Beniowski, który o wszystkim wiedział, wiedział także o jego dwóch kochankach i śmiał się, że stosuje płodozmian, choć idealnie byłoby, gdyby to była trójpolówka.

– Tak kiedyś ludzie uprawiali ziemię, dążysz, widzę, do ideału – śmiał się.

Julek był miłym facetem, pod warunkiem że niczego od niego nie chciał – ostatnio na szczęście nie chciał – oraz że Heńkowi nie przypominała się sprawa zabójstwa matki. A to akurat przypominało się często, naciskał kapitana, irytował się, że ten nic nowego nie wie, wściekał się, kiedy ten upierał się, że morderstwo musiał popełnić Antek Bożyczko. Heniek nie dopuszczał takiej myśli, a Beniowski stale mówił, że niedługo będą dowody, które pozwolą na przeprowadzenie ekshumacji. Kończyło się to zawsze mniejszą lub większą awanturą, taki to był rytuał.

Co innego Irena i Aldona, one się nie nudziły, a że nie zawsze miały czas

i stale się zmieniały, to obce mu było uczucie rutyny i znudzenia.

Dzielił czas między te dwie kobiety, nieustannie wracając myślami do Leokadii i Marii Walewskiej. Mietek Kosiorek, który był uważnym obserwatorem jego życia, skomentował kiedyś jego styl stosunków damsko-męskich słowami:

– Może się narażę, ale muszę ci to powiedzieć...

– No, wal, przyjacielu.

– Są rozmaite faceci, tacy, co się trzymają jednej kobitki, jak nie przymierzając ja. Są dziwkarze różnego sortu, tacy, co rzną wszystko jak leci, są tacy, co płacą i chodzą na panienki, a ty jesteś... – w Kosiorku jakby się coś zacięło i szukał właściwego słowa i w końcu je znalazł: – ty jesteś bigotem!

– Bigotem?! – Heniek był tak zdziwiony, że szofer z Kamionka szybko się zorientował, że palnął jakąś gafę.

– No bigotem... – zaczął niepewnie. – Takim typem, co ma wiele żon naraz!

Heniek zaniósł się śmiechem.

– Bigamistą, Mieciu, bigamistą!

– No właśnie – ucieszył się Kosiorek. – Ty jesteś bigamistą!

Mieczysław Kosiorek, szofer z Kamionka miał rację! Miał jakby dwie żony i czas dla siebie. Może tak właśnie powinna wyglądać ta trójpolówka, o której mówił Julek Beniowski? Zajrzał do encyklopedii i wszystko się zgadzało!

W poniedziałek był u Aldony, we wtorek Irena była u niego, w środę on był na wyścigach! Układ idealny! Niedzielny obiad zjadał u kuzynki Zośki i siostry Stefy, było kino, czasem wycieczka za miasto. Zimą Zakopane, latem Jurata, żyć nie umierać!

Ale wszystko, co dobre, ma swój koniec. Zaczęło się od tego, że nie wiodło się jego starym znajomym – Tata Tasiemka został skazany, a Szpicbródka uciekał przed policją. Kłopoty zaczęły pukać także do drzwi Heńka, posłańcem ze złymi wieściami okazał się Mietek Kosiorek.

– Mam marne wiadomości – powiedział, wpadając do Heńka lekko zdyszany.

– Zgrałeś się na wyścigach?

– Poniekąd, ale to detal, flota niewielka, bardziej mnie nerwy poszarпали niż skórę¹⁹. Postawiłem pieniążki na pewniaka, na Koncerta pod Gibkim, a ten nie tylko nie wygrał, ale i dał się pokonać tej beznadziejnej szkapie La Sause! Wiesz, ile płacili za przyjscie tej chabety? – Oczywiście, że Heniek nie wiedział i nie zamierzał strzelać, jaka była przebitka, więc tylko wzruszył ramionami. –

W totalizatorze płacono za bilet dziesięciozłotowy dwieście dwajścia pięć złotych!!! Właściciel tej chabety Rakower postawił u buka dwa tysiące, a wyciągnął czterdzieści pięć, walek aż miło!

– Uważasz, że to był przekręt?

Kosiorek tylko wydał wargi i wypuścił powietrze z płuc potężnych jak kowalskie miechy.

– Nie inaczej, nie inaczej!

– Ale przecież nie zbankrutowałeś, a cierpisz, jakby cię puścili do domu gołego i na piechotę – zaśmiał się Heniek.

– Bo nie lubię jak frajerstwo mnie robi w lolo!

– Nikt nie lubi, ale co poradzisz.

– No i to jest właśnie powód, dla którego mam zły nastrój, nie wiem, kto i jak, i komu w mordę dać. Pewne, że właściciel zwycięskiego konia Rakower musiał w tym być, ale większe szuje to ci, co się dali kupić!

– Wciąż jesteś niekarany...

– Jasna sprawa – odpowiedział człowiek, w którego dorobku były tylko zatrzymania i podejrzenia, których śledczy nie potrafili przekuć na udowodnienie winy i wyrok. – Nie dla mnie sanatoria, zamki i klasztory! A czemu pytasz?

– Bo tylko niekaranych przyjmują do Policji Państwowej – zaśmiał się Heniek.

– Zabawne, bardzo zabawne – mruknął Kosiorek. – Zobacysz, że szybciej będę wiedział, co i jak, niż policja, bo sporo ludzi straciło pieniądze przez La Sause i Koncerta. Mam nawet pewne podejrzenia, co do jednego fryzjera ze Złotej, który w kółko goli frajerów, ale to nie jest ważne, posłuchaj tego! – Zanim zaczął, napił się wody sodowej z syfonu i przetarł swe potężne czoło chusteczką.

– Jak zwykle spotkałem paru znajomych, dowiedziałem się o paru ciekawostkach – Kosiorek zrobił pauzę – szykują coś dla ciebie!

– Policja?

– Gdzież tam, coś taki nerwowy? Nie powiedziałem, że szykują się na ciebie, tylko ty możesz wkroczyć śmiałym krokiem w pewną kabalę.

Heniek zapytał tak, bo słyszał, że Tasiemka i jego ludzie byli pod kluczem, może ktoś zaczął sypać, a w końcu i on był kiedyś w bojówce. Co prawda nie w złodziejskiej, ale to, co robili w polityce, było większym kryminałem niż ściąganie haraczu na Kerceleku. Miał też kiedyś problemy z aspirantem Denhelem, który uparcie go ścigał, bo sobie ubzdurał, że przez niego stracił

pannę. Nastąpił boleśnie na odcisk nie tylko sobie, lecz także paru innym osobom, bo się pchał między wódkę a zakąskę, więc dano mu kopa w górę – awans, samodzielne stanowisko i biurko w... Stanisławowie. Ale to było pięć lat temu, zawsze mógł wrócić i znów namieszać. Do tego dochodziło parę spraw z przeszłości, skoki z bandą oraz roboty dla Szpicbródki. Ktoś po latach mógł zacząć przeciekać i topić innych, jak to już kiedyś zrobił z nim Franio. Możliwości było wiele.

– No to wał, co się takiego dzieje.

– Małżonka Szpica przekazała przez jednego umyślnego wiadomość z kryminału. – Mietek Kosiorek celebrował dziś swoje wypowiedzi.

– I... – Postanowił ponaglić swojego przyjaciela i szofera.

– I nie uwierzysz! – Kosiorek dalej sycił się swoim występem, jakby był artystą estradowym.

W co mógł nie uwierzyć? Przecież wszystko, co było związane ze Stanisławem Cichockim, było możliwe, może ostatnio wiodło mu się nie najlepiej, ale nadal był królem kasiarzy, był kuty na cztery nogi, wszystko potrafił przewidzieć, zatem...

– Mów, to nie popis w Qui Pro Quo!

– Co jest naprawdę niemożliwe? – Kosiorek zarządził szaradę, więc Heniek musiał odpowiedzieć.

– Skoro niemożliwe, to czy to oznacza... – Chciał to powiedzieć, ale wydawało mu się to nieprawdopodobne, Kosiorek jednak kiwał głową z uśmiechem i przymkniętymi oczami, jakby chciał powiedzieć „tak, tak, śmiało”, więc w końcu Heniek wypalił: – Czy Szpica ktoś okradł?!

– No brawo! Ktoś, kto jest kasiarzem, dobrym kasiarzem, mógłby być i dobrym gliną!

– Jak to możliwe? Ktoś okradł jego mieszkanie, nie wierzę, żeby tam trzymał pieniądze!

– Jasna sprawa, że nie. Pan Stanisław to poważny przedsiębiorca...

– Miał więc swojego kasjera?

– Niejednego! I jak raz ten, który miał najwięcej floty i świecidełek, przepadł, rozplynał się jak kamfora!

– Kto to?

– Przedsiębiorca, paser, grajcar i bywalec Waclaw Bahr!

– Pisali o nim w gazecie, nie wpadłbym, że to człowiek Szpica!

– A widzisz! Nawet troszkę wspólnik, pośrednik i kasjer w jednym. To się stało cztery dni temu, dziewiętnastego października, wieczorem. Bahr tym razem zarządzał grą na Nowym Świecie pod pięćdziesiątym. Puścił w ruch ruletkę i wio! Pieniążki leciały, on liczył, aż się od tego liczenia zmęczył. Po godzinie oznajmił, że się idzie przewietrzyć, i jak wyszedł, tak już się nie pokazał. Wspólnicy kręcili ruletą do rana, a jak już skończyli doić frajerów, to zastukali do jego mieszkania przy Mokotowskiej, żeby się rozliczyć z utargu. Zajechali pod pięćdziesiąty dziewiąty, gdzie miał swoje mieszkanie Rejent, stukają, pukają, a tu nic! Więc ruszyli do córki, a ta też nic nie wie! Dziwne to wszystko było, bo Bahr zawsze gry pilnował, poza tym po jakimś czasie miał obowiązki ważniejsze niż kręcenie ruletką i puszczanie kulki, i te wszystkie riennewapli! – Francuski Kosiorka nie był doskonały, ale Heniek zrozumiał, że chodziło o komendę krupiera na zakończenie obstawiania. – Szukali i nic, aż przedwczoraj Bahrówna zgłosiła zaginięcie papy na komisariacie, pewnie w tym samym czasie Szpic pisał już gryps z kryminału, bo wiesz, jak to jest, niektóre wiadomości z kryminału idą szybciej niż przez Polską Poczta Telegraf i Telefon. Teraz szuka go już cała Warszawa, ale gdzie jest, nie wiadomo. – Kosiorek rozłożył ręce. – Wiadomo jednak, że może być z nim nieklawo!

– Ile Szpic na tym stracił?

– Kole stu tysięcy i się krucho panu Stanisławowi robi. Jasna rzecz, że ma pieniądze pokitrane w innych miejscach, nie jest tak, że rodzinę mu z lokalu wyeksmitują, ale pewna nerwówka występuje. Wiesz, jak on działa, to poważny inwestor, skoki robi z rozmachem, flotą potrafi zarządzić jak admirał. – Kosiorek spojrzął na Heńka wzrokiem, który mówił: to nie koniec.

– I co w związku z tym? – przerwał to zawieszenie Wcisło.

– Jest interes do zrobienia, można się zaangażować w charakterze prywatnego detektywa. Dwajścia pięć procent pan Stanisław oferuje za odzyskane pieniądze.

– Masz jakiś pomysł, Mieciu?

– Mam, tylko szef mię musi doinwestować, bo do wypłaty troszkie zostało, a tu trzeba pieniądż na stół położyć konkretny, żeby na gołodupca z Urzędu Śledczego nie wyjść.

– Co ty kombinujesz? – Heniek uświadomił sobie, że Kosiorek jest ubrany niezwykle elegancko, wręcz wyjściowo.

– Chcę zajść do Lourse'a, ale nie na zwykłą kawkę, tylko żeby rozpytać sierotki po Bahrze. Usiądziesz, Heniu, z boku, ja będę ich rozprowadzał, a ty wysil słuch,

może co dodatkowego usłyszysz.

Mietek Kosiorek po raz kolejny zaimponował Heńkowi wiedzą o podziemnej Warszawie, bo o tym, że nielegalnie grano, doskonale wiedział, ale do końca nie wiedział, jak to funkcjonuje. Wiedział, że nielegalne kasyna działały jak latające uniwersytety, każdego dnia zmieniając lokalizacje. Raz były to wille na przedmieściach, czasem mieszkania w Śródmieściu, raz eleganckie, nawet sześć-, ośmiopokojowe, a bywało że i skromniejsze. Po drodze Mietek objaśnił mu, że za zrobienie z mieszkania jaskini hazardu najemca dostawał pięćdziesiąt złotych, ale mógł tę sumkę pomnożyć organizując bufet. Dwieście, dwieście pięćdziesiąt złotych za noc, a w miesiącu takie trzy, cztery, to już był niezły zarobek! Prawdziwe lody kręcili jednak Bahr i jego wspólnicy, to oni trzymali bank i nie dość, że się obławiali w myśl starej zasady „zawsze wygrywa kasyno”, to jeszcze zbierali podatek od wygranych. Policja ściagała nielegalne domy gry, więc do ostatniej chwili gracze nie znali adresów, a bywało, że jednej nocy przenoszono rozgrywkę z miejsca na miejsce, jeśli frekwencja przekraczała możliwości lokalu. Gracze czekali na informacje najczęściej w Loursie, bo lokal był centralnie położony, elegancki i drogi, więc gwarantował lepszej klasy publikę. Najważniejsze jednak, że Lourse był bardzo duży, kilkunastoosobowa, a nawet większa grupa mężczyzn nie rzucała się w oczy, a w mniejszych lokalach mogłaby stanowić połowę klientów. Najważniejsze jednak było hobby Rejenta, który namiętnie grał w bilard. Był strasznym kutwą, wszystko ładował w skarpetę, jadał podle, a jego jedynymi słabościami były kobiety i bilard. Tym pierwszym starał się nie płacić, a bilard, zważywszy na jego dochody, był tanią namiętnością. I jak raz właśnie pod kawiarnią Lourse’a mieściła się sala bilardowa. Wyłaniał się z niej pod wieczór i oznajmiał czekającym na niego graczom, że za chwilę taksówki i dorożki zabiorą ich do domu gry.

Do kawiarni weszli oddzielnie, najpierw Kosiorek, a następnie Heniek. Po wejściu na wielką, wysoko sklepioną salę Heniek dostrzegł Kosiorka, który się przysiadł do ustawionych w rogu stolików. Sam zasiadł nieopodal i wsłuchiwał się w rozmowy, po godzinie opuścili lokal i z tego, co powiedziano Kosiorkowi, który udawał nowego gracza chcącego dołączyć do kompanii, oraz tego, co podsłuchał Heniek, ułożyli sobie historię tamtego feralnego wieczoru.

Gra była umówiona nie przy Nowym Świecie, lecz przy Mokotowskiej, trzeba było jednak zmienić lokal, bo jeden z graczy, któremu nie szło i zaczął się zapożyczać, miał do Bahra pretensje i nawet podobno mu groził. Przenieśli więc grę na Nowy Świat, skąd po godzinie Rejent wyszedł, pojechał na Mokotowską, żeby poinformować tych, którzy znali tamten adres, a nic nie wiedzieli

o zmianie lokalu. W sumie dziwne, bo mógł tę informację podać przez zaufanego człowieka, jakim był lokator meliny przy Mokotowskiej. Tam widziano go po raz ostatni, ponoć zajechał samochód, do którego wsiadł, i odjechał w nieznanym kierunku. Kilku grajcarów mówiło o plotkach, jakoby Bahr był ostatnio dość nerwowy i bankowy safes przepisał na córkę, ale kluczyk nosił przy sobie, podobnie jak kosztowności i pistolet. Rejent był nieufny, zdradzał niepokój, więc czy dałby się tak po frajersku zaskoczyć? Wsiąść do jakiegoś auta i tak bez oporu dać się wywieźć?

Kolejne dni poszukiwań nie przyniosły przełomu, za to w środowisku graczy wrzało, krążyły już dwie wersje zamordowania Bahra i sposobu ukrycia jego zwłok. Dla jednych pewne było, że trupa Rejenta zakopano, inni zaklinali się, że na bank wrzucono go do rzeki.

– Mówią, że załatwili go jak tego kupca Łabędzia, czytałeś o tym? – powiedział Kosiorek, składając gazetę.

Sprawa kupca Łabędzia stała się sensacją jesieni, do Urzędu Śledczego nadszedł bowiem list z ciężkiego więzienia w Gujanie Francuskiej. Polski skazaniec, niejaki Cykor, który odsiadywał galerniczny wyrok w niesławnej kolonii karnej Cayenne, przyznał się przed śmiercią do zorganizowania tego mordu. Może na koniec ruszyło go sumienie, a może po prostu doszedł do wniosku, że przed śmiercią w gujańskich galerach uratuje go ekstradycja do Polski. W każdym razie spowiedź więźnia z Cayenne i zabójstwo Łabędzia dały zarobić warszawskim gazetom parę ładnych złotych.

– Może i tak, może i nie... – Heniek to i owo wiedział o tej krwawej zbrodni jeszcze z czasów niemieckiej okupacji. W Klubie Filatelistów działał tajny klubik hazardowy, do którego chadzał bogaty kupiec Łabędź. Któregoś dnia wyszedł z panną i odnalazł się jakiś czas później, ale w kawalkach. Okradziono go i zamordowano, a później porąbano. Skąd wiedział o tym więcej niż inni? Otóż Franio Wlazło był w tej szajce, i w obawie przed tym, że policja może trafić na jego trop, zaszył się w wojsku, taki był z niego ochotnik!

– A czemu nie?

– Bo mnie to wygląda na szopkę – mruknął Heniek znad gazety, którą mu podał Kosiorek. – Za dużo ludzi to widziało, Bahr za spokojnie wsiadł do tego auta, nikt go siłą nie wciągał, coś mi tu nie gra.

– Sądzisz, że się sam uprowadził?

– A skąd mowa o uprowadzeniu?

– Fakt, masz rację, Heniu, nikt nie mówił, że go wciągli do tego auta, po

prostu wsiadł i tyle. Miał opinię kutego na cztery nogi i nosił broń, palcem robiony nie był...

– No to szukaj wiatru w polu...

Heniek przestał się interesować sprawą. Rejenta szukali policja, prasa, ci, którzy mieli u niego fanty, a przede wszystkim osieroceni przez niego nałogowi gracze w ruletkę. Wysiłki ich wszystkich były daremne.

W połowie listopada, kiedy Heniek zastanawiał się, czy to już nie czas w góry i na narty, Mietek Kosiorek pojawił się z sensacyjną wręcz informacją.

– Niektóre wiadomości trafiają rykoszetem – powiedział Kosiorek, ocierając pot z czoła. – Ta jak raz przysła z więzienia, gryps błyskawiczny. – Nie uwierzysz! Nie uwierzysz, Heniu!

– A co, Bahr się znalazł?

– Nie czas na żarty – oburzył się Kosiorek. – Nie czas, bo czasu nie ma!

– Nie żyje?

– Żyje, ale w Paryżu. I to wystawnie! Widziano Rejenta w jednym z kabaretów, szasta pieniędzmi, popisuje się przed młodszą od niego kobietą.

Mietek Kosiorek miał rację, trzeba było szybko znaleźć się w Paryżu, bo to miasto, jego kabarety i młoda kobieta mogły być taką samą studnią bez dna jak ruletka i wyścigi konne razem wzięte.

Do Paryża najszybciej było z Pola Mokotowskiego, wystarczyło wsiąść w samolot i polecieć. Start przed południem, trzy międzylądowania: w Pradze, Norymberdze i Strasburgu i po dziewięciu godzinach podróży na wieczór w Paryżu. Ale tak podróżowało niewielu, a dokumenty sprawdzano, bilety były imienne. Zostawiało się ślad w dokumentach, i to poważny, wybrał więc inną drogę. Jako obywatel USA Henry Haas pojechał do Berlina pociągiem, tam zmienił paszporty i już jako obywatel Niemiec Heinrich Haas kupił bilet do Paryża, a na miejscu, meldując się w hotelu, znów był Amerykaninem. Tak było rozsądniej, bezpieczniej.

Paryż

Georges Descrières miał osiem lat i dużo czytał. Zdaniem rodziców i nauczycieli

za dużo, bo Mały Georges czytał, kiedy się tylko dało. Zamiast biegać z innymi chłopcami, trzymał nos w książkach, nie dawał się oderwać od lektury. I żeby tylko w ten sposób marnował czas wolny – on czytał także na lekcjach, w trakcie mszy i na posiłku! Nie było sytuacji, w której nie próbowałby czytać i łamać przy tym domowych oraz szkolnych zakazów. Nawet kiedy szedł do toalety, to wiadomo było, że kolejny atak rozwolnienia lub trudność wprost przeciwna były związane nie z kłopotami gastrycznymi, lecz ze zmyleniem rodziców i osiągnięciem sedesowego azylu. I żeby jeszcze czytał coś wartościowego! Ku rozpaczy rodziców i szkolnego wychowawcy ten dopiero co opierzony czytelnik łykał jak mały pelikan najpodlejszą literaturę! Georges'a pociągały sensacyjne czytadła, które wyciągnął z babcinej biblioteczki, a jego ulubionym bohaterem był Arsène Lupin, dżentelmen-włamywacz. Mimo szykan ze strony całej rodziny, rzecz jasna z wyjątkiem babci, od której dostawał książki, Georges chciał zrealizować swój cel i przeczytać wszystkie powieści, które pan Maurice Leblanc poświęcił dżentelmenowi-włamywaczowi. Było ich ze dwadzieścia, a w tym roku pojawiała się nowa – *Przypływ* – trzecia już, w której pojawi się brygadier Theodore Béchoux. Nie wiedział, kim jest ów brygadier, i czy to dobrze, czy źle, że uczestniczy w przygodach Arsène'a Lupina, bo Georges nie czytał jeszcze dwóch poprzednich powieści, w których występował Béchoux. Do *Agencji Barnett i Spółka* oraz *Tajemniczego domostwa* jeszcze parę książek, bo dopiero co przeczytał obie części Tygrysich zębów, a teraz z wypiekami na twarzy czytał *Hrabinę Cagliostro*. Usłyszał jakieś kroki w przedpokoju i zgasił latarkę, położył się tak, by zakryć sobą latarkę i książkę. Gdyby mu odebrano latarkę, to byłby koniec! Drzwi skrzypnęły, do pokoju Georges'a wpadł promień światła, usłyszał jeden krok, drugi i trzeci. Lekkie pociągnięcie kołdry, pewnie matka ją właśnie odwijała, żeby znaleźć dowody jego czytelniczej zbrodni. To musiała być matka, ojciec miał cięższy chód, ktoś, kto czytał powieści o Arsènie Lupinie, zauważał takie szczegóły. Po chwili kroki się oddaliły, matka opuściła pokój. Udało się! To była pierwsza taka inspekcja i pewnie nie ostatnia, bo jeśli nie zauważyli, że przy śniadaniach jest jakiś ospały, to na pewno wychowawca, pan Claude Deschamps, zdążył już donieść, że nastąpiła zmiana – mały Georges Descrières już nie jest przyłapywany na czytaniu, on teraz w czasie lekcji przysypia!

W Berlinie Heniek kupił przewodnik po Paryżu, przeglądał w nim hotele i w końcu stanęło na tym o nazwie Baltimore przy avenue Kléber. Pojechał tam

prosto z Dworca Północnego i od razu polubił to miejsce, choć od razu poczuł wir w kieszeni. Tanio tu nie było! Tym bardziej musiał dorwać Bahra i odbić sobie wydane na podróż i hotel pieniądze.

Był już kiedyś w Paryżu, ale tylko przejazdem, podróżując do Anglii. Nie zwiedzał, nie szalał, był tylko na wieży Eiffla, a wszystkie jego myśli pochłaniała wtedy Leokadia Rostocka. Po ucieczce z kraju stracił ją i nie mógł tej straty przeboleć. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata, był idealistą, może nawet romantykiem, zabijał tylko na wojnie, wierzył w to, że uda mu się uwolnić od przeszłości – kasiarstwa i współpracy z wywiadem. Naiwnie sądził, że założy rodzinę, że zrobi to z nią. W małej knajpce Bistrot Paul Chêne opodal hotelu, w którym mieszkał, patrzył na siedzących tam ludzi. Starzy, młodzi, same pary, a każda – tak mu się wydawało – szczęśliwa. Przecież ona jest tu, w Paryżu, miała wyjechać na studia, bo podziwiała Marię Skłodowską! Patrzył przez szybę na rue Lauriston i szukał jej w każdej przechodzącej kobiecie. Zaczął padać deszcz, woda płynęła po szybie, a w nim odżyły wspomnienia.

Tak, zatęsknił za Leokadią Rostocką, dziewczyną może nie z najwyższych sfer, ale jednak ojciec ważny urzędnik w ministerstwie spraw wewnętrznych, brat podchorążak, prywatna szkoła i mieszkanie w pięknej kamienicy. Progi, za którymi mieszkała, były za wysokie dla chłopaka z Woli, ale je przeskoczył, zdobył ją i... zapłacił za to. Miłość do Leokadii ściągnęła mu na głowę jej niespełnionego, zawistnego dobiegacza, który był aspirantem z Urzędu Śledczego. Wymyślił sobie ten pacan, że byłaby cała jego, gdyby nie ten pętał Henryk Wcisło! O mało go nie wykończył, a do tego doszła cała masa innych kłopotów i wywiało go do Ameryki. Ależ to była dziewczyna, piękna, z charakterem i ambicjami, dlatego wyjechała do Paryża, żeby się uczyć, wykształcić na chemiczkę, być taką jak Maria Skłodowska-Curie. Zatęsknił za nią, za żadną inną nie tęsknił, Heniek poczuł, że oczy mu się zaszklily.

– *Monsieur?* – Kelner stał z butelką wina. Wcisło pokazał, żeby nalać.

Pił i wspominał. Po przyjeździe do Ameryki pisali do siebie, aż pewnego dnia przyszedł, jak to powiedziała pani z pocztowego okienka, „nieco spóźniony świąteczny list”. Pamiętał tę chwilę, jak go odbierał od uśmiechającej się czarująco urzędniczki, jak nie wytrzymał, natychmiast rozdarł kopertę, zaczął czytać jeszcze w holu poczty i od razu poczuł ból.

– *Monsieur?* – Kelner wyrwał go ze wspomnień.

– Ależ tak, oczywiście, że tak, *oui, oui!*

Dziwne były te jego relacje z babkami, najpierw prowadziły go jak na smyczy

te doświadczone. Lekcje, które dostał od tej cwanej chamki spod Białegostoku i od rudej złodziejki, co mu buchnęła zegarek, nauczyły go wystarczająco wiele, ale na niezbyt długo. Związek z Leokadią był jedynym rozsądnym i naprawdę głębokim, miał poczucie, że należeli do siebie, ona do niego, a on do niej. Inaczej było z Amerykankami. Patricia nie była jego w żadnym calu. Z kolei Priscilla traktowała wszystko jak kaprys i przygodę, wielkie wakacje, awanturniczy film między epizodami z nudnego życia, które wiodła familia milionerów. Skąd mógł przypuszczać, że kobieta, z którą miał okoliczność płynąc transatlantykiem, jest matką dziewczyny, którą poznał parę lat później?!

To przez nie, przez panią i pannę Robinson musiał wiać z Ameryki!

– *Monsieur?*

– *Oui, oui!*

– *Monsieur, désolé, nous fermons!*

– Słucham? – zapytał z roztargnienia po polsku.

– *Aaa, vous êtes Polonais?*

– *Oui, oui! Je suis Polonais.*

– Khoniec, khoniec, zhapraszham *demain!* *Ma grand-mère* z Polska! – powiedział właściciel zakładu i na pożegnanie dał mu kieliszek likieru.

Powinien iść grzecznie do hotelu, ale trafił w kabaretowy młyn, po którym wrócił nad ranem. Portier patrzył na niego z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć, że to elegancki hotel, a nie noclegownia. Parę franciszków, które mu wsunął w dłoń, spowodowało, że kiedy schodził na mocno późne śniadanie, z szerokim uśmiechem i w głębokich ukłonach wcisnął mu reklamy kabaretów i nocnych klubów. Podziękował uprzejmie i spożył poranny posiłek, który składał się z szampana z sokiem pomarańczowym – bez szaleństw, trzy kieliszki – oraz dużej butelki wody mineralnej. Tak podbudowany miał ruszyć w miasto, którego nie znał. Pomyślał, że skoro „Rejent” Bahr przepuszcza pieniądze z kobietą, to stołuje się w najlepszych restauracjach. Portier dał mu listę, żądając wręcz, by zaczął od najstarszej w mieście Café Procopé. Któż tu nie jadł! Danton, Marat i Robespierre – ciekawe, czy wszyscy naraz i czy tu Robespierre planował, kogo zgładzi. I Chopin tu jadł, ale czy grał? Chyba nie, boby się tym chwalili. Siedział i jadł jakoś bez apetytu, choć na oko wszystko powinno mu smakować.

– *Monsieur, souhaitez-vous un dessert?* – Kelner chciał zaproponować jeszcze coś słodkiego.

Heniek podziękował, zapłacił, kazał sobie zamówić taksówkę, a kierownik sali mówiący po... rosyjsku napisał mu adres, pod który miał jechać.

Pojechał pod wydział chemii, przecież tam miała studiować, tak pisała w ostatnich listach. Wystawał, czekał, ale na próżno, jeden, drugi i trzeci dzień, aż w końcu zaczepił dziewczynę. Myślał, że się wystraszy, ale ona tylko się uśmiechnęła, a jeszcze szerzej, kiedy zaczął mówić po angielsku.

– Amerykanin?

– Tak, Amerykanin.

– I szuka pan studentki z Polski, Leokadii Rostockiej?

– Dokładnie tak, szanowna pani!

– Szkoda, że nie mnie! – zaśmiała się, lustrując go. – Stał pan przed budynkiem, pomyślałam, że jest pan nieśmiały, ale nie! – Spoważniała, a szkoda, bo uśmiech miała piękny.

– Jestem jej kuzynem!

– O tak, z pewnością dalekim. – Znów się uśmiechnęła, po czym ponownie się zamyśliła. – Rostocka...

– Nie zna jej pani?

– Na wydziale matematyczno-przyrodniczym jest wielu studentów, wiele panien... – Zamyśliła się. – Coś mi mówi jej nazwisko, chemia? Jedna z tych zakochanych w Joliot-Curie?

– Tak!

– Kończy studia?

– Tak, powinna być na finiszu.

– W takim razie pańska Leokadia, jeśli jeszcze studiuje, bo z tym bywa różnie, może być teraz na stażu w Instytucie Radowym, rue d’Ulm dwadzieścia sześć, to niedaleko Ogrodu Luksemburskiego. Proszę tam jej szukać, a jeśli nie znajdzie jej pan, panie Amerykaninie, to czekaj tu na mnie, mam na imię Claudine!

– Dziękuję, Claudine! – powiedział i zerknął, jak odchodzi, ale szybko odwrócił się i poszedł łapać taksówkę.

Na rue d’Ulm, pod drzwiami, nad którymi na kamiennym portyku wykuto napis INSTITUT DU RADIUM PAVILLON CURIE, czekał do późnego wieczora. Już stracił nadzieję, chciał iść do portiera i zrobić to, czego wolał uniknąć – wypytać go o Leokadię. I tak złamał zasady pod uniwersytetem, zaczepiając studentkę Claudine. Doczekał się! Leokadia wyszła ze starszą kobietą, która wyglądała na niedołązną lub ciężko chorą. Poczekał, aż Leokadia odprowadzi ją do taksówki, po czym podszedł do niej.

– Henryk? – zapytała nie „Heniek”, tylko bardzo oficjalnie.

– Tak, to ja.

Zaraz rzuciła mu się w ramiona, chciał ją pocałować, ale poczuł opór, jednak jest Henrykiem, nie Heńkiem.

– Długo na ciebie czekałem...

– Profesor Skłodowska-Curie bardzo ciężko pracuje, mimo że jest chora, kończy z wykładami, tak że na instytut nie ma już siły...

– Nie chodzi mi o dzisiaj, dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj czekałem, ale to były tylko trzy dni. Ja mówię o sześciu latach!

– Ja też czekałam. Wyjechałeś, zniknąłeś, uciekłeś! Kim ty jesteś, by robić takie rzeczy!

– Człowiekiem, który cię kocha!

– Kochał... Brakowało mi ciebie, aż ułożyłam sobie życie inaczej i nie pytaj jak, bo to jest teraz już tylko moje życie, ty w nim jesteś wspomnieniem. Ważnym, ale tylko wspomnieniem.

Chciała pójść, mijając go, ale zagroził jej drogę.

– I to wszystko, po tylu latach? Może chociaż wypijemy kawę?

– Dobrze, ale tylko kwadrans – powiedziała, spoglądając na zegarek – Kończę studia, może wrócę do Polski, otwarto w Warszawie Instytut Radowy, kieruje nim siostra pani Curie, Bronisława Dłuska.

– Przyjedź! – niemal krzyknął i zupełnie niespodziewanie poczuł, że jej chce, że wciąż ją kocha, że jest dla niego szansą w tym popapranym życiu.

– Jeszcze się uczę, poza tym... – Spuściła wzrok. – Długo by o tym opowiadać.

Odeszła i zostawiła go samego. Stał, aż mu zniknęła z oczu. Ile to było – pięć minut czy dziesięć, kwadrans? A może tylko sekundy? Nie wiedział, bo stracił poczucie czasu. Zatrzymał taksówkę i podał adres, następna na liście – La Coupole. Tam pod niebiesko-fioletową kopułą w tłumie zachwyconych pięknym wieczorem gości prowadził znany z poprzednich wieczorów dialog z kelnerem.

– *Garçon!* – zawołał go, bo chciał dalej pić.

– *Monsieur?*

– *Oui, oui!* Czy to nie była już druga butelka? Aha, koniec pierwszej.

– *Monsieur?*

– *Oui, oui!* Druga, niech będzie druga.

– *Oh, Henri! C'est moi, mon ami Henri! Tu es à Paris! Combien je suis heureux!!!*

Cholera, to nie był kelner, tylko Poldek Walewski. Pochylony nad nim jak

kelner, ale bez butelki. Nie chciał na niego wpaść, ale w końcu musiał, widocznie tak się miało stać.

– Nie cieszysz się? – Poldek był podekscytowany, może nawet wzruszony, bo głos mu zafalował, stał się wyższy.

– Masz krótką pamięć...

– Wciąż chowasz do mnie urazę!

– Nie do ciebie, do twojej rodziny.

– Nic ci nie zrobiłem. – Poldek niemal zapłakał, składając ręce jak do modlitwy. – Ja rozumiem, że to zabolalo, mnie też zabolalo. – W teatralnym geście położył rękę na sercu. – Przecież już o tym rozmawialiśmy!

– Tak, wiem, niczym nie zawiniłeś, poza tym, że nie ostrzegłeś mnie, że twoja siostra była zaręczona z jakimś francuskim fagasem!

– *Oh la la!* To mocne słowa, *ne parle pas mal de lui!* Dokładnie to Alzacyjny! Poza tym nic nie mówiłeś, skąd miałem wiedzieć, że chcesz się wiązać z moją siostrą?

Fakt, a skąd mógł wiedzieć, ale o tym już mówili, więc poczuł *déjà vu*.

– *Déjà vu, merci beaucoup, bonjour, au revoir, allez, allez, Tour de France!* – wypalił Heniek.

– Słucham? – Hrabia po francuskiej przemowie Heńka miał oczy jak spodki.

– Słuchaj, i to uważnie! Nie mów do mnie po francusku, nie parlam ni w ząb!

– Dlatego właśnie mnie spotkałeś. Co, gdzie i jak, komu i kiedy, będę twoim tłumaczem i przewodnikiem po Paryżu, *mon ami Henri!* – Zauważywszy piorunujące spojrzenie Heńka, dodał: – Mój przyjacielu Henryku! Przyjmujesz moją ofertę?

Poldek wyciągnął do Heńka dłoń, a on mocno ją uściśnął. Po dwóch latach pora się przestać dąsać, przecież gdyby mu na niej naprawdę zależało, toby schował honor w kieszeń i był jej kochankiem albo zrobiłby z niej wdowę, albo by strzelił sobie w łeb. Nie strzelił, nie zamordował, nie został oficjalnym kochankiem, znaczy się to nie była ta kobieta, więc nie ma co się obrażać, trzeba żyć dalej.

– Uczymy to szampanem? – zapytał Poldka.

– Właśnie podano do naszego stolika. – Wskazał na trzech mężczyzn i dwie kobiety machających do niego rękami i uśmiechających się przyjaźnie. – Powiedziałem, że spotkałem swojego przyjaciela z Polski i zarządziłem szampana!

– To teraz szybko, zanim usiądę, wyjaśnij mi, kto z kim i jak, żeby nie było

jakiegoś faux pas!

Tak, jeszcze to znał po francusku.

Wieczór był bardzo udany, szumiało mu w głowie, ale obudził się sam. Jedna z dam – malarka, pisarka, tancerka, śpiewaczka, dziennikarka? – miał wrażenie, że Poldek nie znał innych ludzi, wszystko jedno, może to była i pisarka, w każdym razie chciała go zaciągnąć do łóżka, ale wciąż myślał o Leokadii i dziecku. Nie mógł tego wszystkiego pozbiierać do kupy, a wiedział, że powinien, ale jak? Więc grzecznie odmówił dalszego rajdu po Paryżu, który by się skończył odprowadzaniem i całą resztą, do tego musiał przy porannej kawie omówić sprawę z Poldkiem, powiedzieć, po co tu jest, może nie dosłownie, ale wyluszczyć mu sprawę i poprosić o pomoc. Siedzieli teraz w kawiarni na Trocadéro, jedli śniadanie i patrzyli na przedziwną budowlę, która zasłaniała widok na wieżę Eiffla.

– Bizancjum z Mauretanii albo na odwrót: pałac z bożej łaski, co wygląda jak dekoracja z operetki, ale mają tu wznieść zupełnie nowy gmach, nowoczesny, modernistyczny i z pauzą, która da widok na wieżę. – Poldek pstryknął palcami na kelnera i ku zadowoleniu Heńka wrócił do myśli, którą przerwały dywagacje na temat nieszczęsnego Palais du Trocadéro – Więc powiadasz, że ten człowiek uciekł z pieniędzmi, ma słabość do kobiet i kabaretów.

– W rzeczy samej – przytaknął Heniek.

– I że widziano go najpierw w Berlinie, a później w Paryżu...

– Tak.

– To logiczne, gdyby nie popularność partii Hitlera, wołałbym Berlin... – zachnął się Leopold hrabia Walewski. – Dzikie, absolutnie wyzwolone miejsce, które porządkują teraz hordy tych niby-wojskowych. – Pokręcił z niezadowoleniem głową. – Tu także nastroje się zmieniły, Żydzi mają pod górkę, prawie jak za Dreyfusa, cudzoziemcy nie są już tak mile widziani, ale jednak to nie jest to, co szykuje się w Berlinie, bo ja myślę, że ten krzykacz z wąsikami nie powiedział jeszcze ostatniego słowa...

Heniek myślał tak samo, ale nie chciał odciągać Poldka od tematu, który go najbardziej interesował.

– Szukałem w kabaretach i restauracjach, ale...

– Ale zamiast niego znalazłeś mnie! – zaśmiał się. – Więc poszukiwania będą krótsze, *mon chéri!*

Heniek tym razem nie rugał Poldka za francuski, zresztą i *mon chéri* weszło do jego słownika.

– A masz jakiś pomysł?

– A nie domyślasz się?

– Chyba tak. – Uśmiechnął się, przecież Poldek bywał w kabaretach, a oprócz arystokratów znał przede wszystkim artystów, na pewno wśród nich było parę tancerek, a już na pewno niejeden tancerz. – Pewnie masz znajomych w kabaretach.

– W wielu. – Poldek się rozpromienił na widok przystojnego kelnera idącego w jego kierunku z kolejną kawą. – A pałac Trocadéro zburzą, jak zburzyli sobór na placu Saskim, podobne zresztą były do siebie, oba takie bizantyjskie. – Pokręcił z niesmakiem głową, ale po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, bo i ta filiżanka *café crème* smakowała wybornie.

Popołudnie w domu państwa Descrières stało się niespodziewanie burzliwe, i wszystko to przez książki!

– Posłuchaj, co to za okropna książka! To twoja matka daje mu te straszne rzeczy, to absolutnie demoralizujące! – powiedziała do męża pani Descrières.

– Co takiego? – słowo „demoralizujące” wzbudziło żywe zainteresowanie pana Jeana-Paula Descrières’a. – Co tam takiego demoralizującego? – zapytał, sięgając po książkę.

– Jeszcze nie dokończyłam, Jean-Paul! – Sophie Descrières przyciągnęła książkę do piersi.

– Ale już wszystko wiesz, że demoralizuje...

– Och! Żeby się z nim rozmówić, muszę wiedzieć o wszystkim!

– A co na razie wiesz?

– Same bezceństwa, ten Lupin to nie tylko złodziej, ale też kochanek jakiejś d’Étigues! Ma ledwie dwadzieścia lat! A potem się pojawia hrabina Cagliostro, czyli Józefina Balsamo, i jest dużo od niego starsza! – szepnęła z wyraźnym zgorzaniem.

– Ja też jestem od ciebie młodszy – powiedział pan Descrières, a w jego głosie próżno było szukać nutki entuzjazmu, który wykazywał wcześniej.

– Ale on jest dużo młodszy – powiedziała pani Descrières, odruchowo poprawiając włosy, jakby lustro wiszące w pokoju było lustrem weneckim, a po

jego drugiej stronie stał przystojny, młody kochanek Arsène Lupin. – Ty jesteś tylko o rok młodszy! – dodała jakby z pewnym wyrzutem.

– To powieść erotyczna? – W oczach Jeana-Paula Descrières'a pojawił się błysk.

– Nie, to awanturnicze czytadło. Nie wiem, jak to się może ludziom podobać!

– A ta Cagliostro-Balsamo to ile ona ma lat? – Pan Descrières pomyślał, że nawet jeśli jest o dziesięć lat starsza od dwudziestoletniego Lupina to...

– Sto sześć! – triumfalnie ogłosiła Sophie Descrières.

– Jak to sto sześć?

– Słuchaj mnie uważnie, skup się! Przecież mówiłam ci, że nazywa się Cagliostro. Cagliostro, Balsamo, nic ci to nie mówi?

– Mówi, ale myślałam, że to praprawnuczka tego Józefa Balsamo.

– Nie, to córka.

– To głupia książka. – Jean-Paul był wyraźnie rozczarowany.

Najbardziej rozczarowany był jednak Georges, bo po zarekwirowaniu książki czekała go smutna, bezsenna noc. Jak żyć, panie Leblanc, jak żyć?

W południe Café de la Rotonde i znów jakieś towarzystwo artystów. Poldek strzelał jak z karabinu nazwiskami malarzy, które Heńkowi nic nie mówiły. Siedzieli przy sąsiednich stolikach i podobno byli sławami. Dla niego ważniejszy był Monsieur Georges, który podobnie jak Poldek z zachwytem mówił o artystach z knajpy i twierdził, że nie może się z nimi, przynajmniej na razie, równać. A jednak to on, a nie te sławy, miał na podstawie małego zdjęcia, które przyniósł Heniek, stworzyć portret „Rejenta” Bahra. Artysta powiedział, że wieczorem po spektaklu w Folies Bergère przyniesie grafiki, które będzie można rozdać po kabaretach, teatrzykach i kawiarniach.

Wieczorny spektakl był jak petarda! Dziki jazz grało się nie tylko w Ameryce, a tancerka biła na głowę nawet dziewczyny z Cotton Club. Na urządzonej jak dżungla scenie szalony taniec w spódniczce z bananów zaprezentowała Josphine Baker. Heńka wbiło w fotel, a Poldek się zaśmiał:

– Zatem nie wszystko, co ciekawe, można zobaczyć w Ameryce? Po spektaklu idziemy w Montparnasse!

I poszli!

– Tu toczy się życie, prawdziwe życie po życiu! Kiedy kończy się mieszczański

dzień, kiedy burżua idą spać, tu zaczyna się zabawa. Tu nie ma kryzysu, a nawet jeśliby był, to muzyka będzie grała do końca, jak na Titanicu! – reklamował Poldek, ale zupełnie niepotrzebnie, bo Henek już po chwili wiedział, dokąd trafił.

Dudnił jazz, poczuł się jak w Ameryce, poczuł, że właśnie tego mu brakuje: szalonej muzyki, czarnych muzyków, zapachu trawki. Ale czy tu są czarni muzycy albo tacy jak Goodman, którzy potrafią zagrać na klarncie jak klezmer? Zajrzał do lokalu i było jak tam, w Ameryce, ale nie jak w jakiejś półlegalnej budzie w czarnej dzielnicy, tylko niemal w centrum wielkiego, eleganckiego miasta. Pół godziny od Panteonu, zaraz za Ogrodem Luxemburskim, gdzie muszkietierowie pojedynkowali się z gwardzistami kardynała Richelieu. I nie było tu jak w cieniu chicagowskiej wieży ciśnień, w lekko szpanerskich Dill Pickle Club, Little Club, The Paradise, Tent i w Kelly's Stables, ale jak na The Stroll, czyli na odcinku State Street między skrzyżowaniami z 26 i 39, gdzie aż się roiło od klubów z muzyką, tancbud i barów, w których publiką byli zarówno czarni, jak i biali. Tu tak właśnie było, czarni byli nie tylko na scenie, lecz także na parkiecie.

– Tu jest... – zaczął, ale Poldek nie dał mu skończyć.

– Jak w Ameryce?

– Inaczej, tu jest jak na The Stroll, kawałku czarnego Chicago, do którego biali chodzili na prawdziwy jazz, na wspólny taniec!

– Tu nie może być inaczej, bo od lat Paryż szaleje na punkcie tej muzyki i czarnoskórych artystów, a Josephine Baker, którą dzisiaj oklaskiwałeś, jest boginią, czasem tu wpada, może będziesz miał szczęście i przedstawię cię.

– Znasz ją?

– Przecież ja znam wszystkich!

Zanim pojawiła się pani Baker, przyszedł Monsieur Georges, który przyniósł teczkę wypchaną grafikami. Wyjął z niej list gończy z Wacławem Bahrem, a Heniek, kiedy go zobaczył, zdębiał. Na kartce była twarz składająca się z trójkątów, wypełniona intensywnymi kolorami, zupełnie szaleństwo, w którym on, owszem, rozpoznawał Rejenta, ale dla bywalców kabaretów nie byłaby to żadna wskazówka.

Na widok jego miny towarzystwo od stolika buchnęło śmiechem.

– To żarty – uspokoił go Poldek. – Georges zrobił to na pamiątkę, on wciąż fascynuje się kubizmem, choć coraz mocniej wkracza w surrealizm. – Hrabia opowiadał Heńkowi z takim spokojem, jakby Wcisło był stałym bywalcem galerii

i znawcą sztuki.

Po chwili Monsieur Georges pokazał prawdziwe „listy gończe” i Heniek odetchnął z ulgą. Wykapany Bahr! Odbitki rysunków Monsieur Georges’a powędrowały do kieszeni przyjaciół Poldka. Trzeba było to oblać!

Bawili się setnie przy alkoholu i muzyce, ale nagle zrobiło się cicho, po czym rozległy się gromkie brawa. Do lokalu weszła Josephine Baker. Nie była już dziką dziewczyną w spódniczce z bananów, lecz prawdziwą królową, która szła między stolikami, pozdrawiając swoich poddanych.

– O, *monsieur* Waleki! – wymówiła w typowy dla Amerykanek sposób nazwisko Poldka i spojrzała na Heńka.

– Henri! Mój przyjaciel Henri z Polski, a w zasadzie z Ameryki, nie mówi po francusku – zaprezentował po angielsku Heńka.

– Doprawdy? A ja myślałam, że to sam Douglas Fairbanks – zaśmiała się i dosiadła do stolika.

Nawet nie wiedział, jak to się stało, kiedy wyszli razem, jak się znaleźli w jej domu, potem w łóżku. Kiedy się obudził, zobaczył wpatrzony w siebie oczy. Oczy drapieżnika. Wstrzymał oddech, starał się nie ruszać. Wielki kot w diamentowej obroży patrzył na niego ciekawie, po czym nasyciwszy się jego widokiem, zszedł z łóżka i wyszedł z sypialni. Dopiero teraz Heniek zaczął oddychać, najchętniej by się wykapał, bo na widok tego stwora spocił się jak mysz. Szybko założył ubranie i buty, rozejrzał się i zobaczył kartkę na nocnym stoliku.

*Mój Henryku, byłeś boski, ale przed wyjściem nalej Chiquicie wody do miski!
Nie wychodź z nią, Chiquita wychodzi na spacer tylko ze mną!*

JB.

Nalał wody do miski, jak prosiła Josephine, chociaż bał się jak jasna cholera. Wielki kot obserwował z zaciekawieniem Henryka niosącego miskę z wodą. Chiquita zamruczała i podstawiła grzbiet, jakby chciała, żeby ją pogłaskać.

– O nie, nie tym razem – szepnął Heniek. – Wpadnę tu kiedyś, okay?

Kocisko mruknęło głośniejszy, ponagląco, więc Heniek pogłaskał cętkowanego zwierza. Kolejny, głośniejszy odgłos. *Cholera, czego to ode mnie chce?* Podrapał. I teraz było dobrze! Po paru minutach Chiquita dała mu spokój i poszła pić wodę, Heniek wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach. Wchodząca w górę starsza pani przystanąła, obejrzała go jak jakiś okaz i poszła dalej.

Szedł ulicą i starał się ochłoniąć, ogarnąć szaleństwa nocy, wtedy lunął deszcz.

Heniek puścił się biegiem do najbliższej kawiarni nad drzwiami zobaczył napis Les Deux Magots.

Poldek wysłuchał jego opowieści ze spokojem, jakby opowiadał, że pojechał na Pragę do lunaparku, trochę wypił w towarzystwie, miał okoliczność z jakąś dziewczyną, a na koniec zwiedził zoo, a po wszystkim poszedł na kawę do Ziemiańskiej.

– Les Deux Magots... Dobry wybór!

– Ten gepard mógł mnie pożreć!

– Chiquita jest łagodna, przyzwyczała się, Josephine ma setki kochanków.

– Setki? – Heńkowi zrzęda mina, myślał że jest kimś bardziej wyjątkowym.

– Setki kochanków i kochanek – uśmiechnął się Poldek i zamówił dwie kawy oraz likier chartreuse. – Aha, i mam złe wieści, jeden z naszych przyjaciół – zbliżył twarz do ucha Heńka – André, komisarz policji kryminalnej, rozpoznał twojego Rejenta. Spoczywa w grobie dla niezidentyfikowanych. Kiedy wyłowili go z Sekwany, nie miał dokumentów. Inni też go kojarzą, bawił się jeszcze jakieś dwa tygodnie temu z młodą damą. Rzucali się w oczy, po czym zniknęli. O niej nic nie wiadomo, a on... wypłynął. André mówi, że sprawa zamknięta, i sądzi że ta kobieta musiała mieć współników. Owinęła go sobie wokół palca...

Dalej Heniek już wiedział, bo ileż takich wypadków było, od tych najdrobniejszych spod warszawskiego Dworca Głównego, gdzie panienki otumaniały gości, co przyjechali do stolicy w interesach, aż po grube sprawy, gdzie kończyło się śmiercią frajera. Było po sprawie, debiut w roli detektywa zakończył się porażką, kosztowną, ale ze wspomnieniami. Bolesnymi, bo przypomniał sobie odchodzącą w dal Leokadię.

To już drugi dzień bez książek. Mały Georges z obawą czekał na kolejną noc, bo te poprzednie były nie do zniesienia. Rodzice się cieszyli, że w końcu się wyśpi, bo choć go nie przyłapali na czytaniu pod kołdrą, to jednak byli pewni, że musiał tak robić, w końcu rano śłaniał się na nogach, a w szkole, na lekcjach głowa mu opadała. Nic z tego. Nie mógł zasnąć, do tego stracił apetyt. I nic mu się nie chciało. Kompletnie nic. Postanowił jakoś temu zaradzić. Od babci Descrières nic nie weźmie, ani książki z jej biblioteczki, ani nie dostanie złamanego franka, bo Christine Descrières mieszkała w Tuluzie! Na dziadków

ze strony mamy, posępnych Dominique i Charles'a Lacomboów, nie mógł liczyć. Wprost przeciwnie, wczoraj dziadek Charles zrobił wykład o szkodliwości postaci takich jak Arsène Lupin.

– To żaden dżentelmen włamywacz, to anarchista, może nawet komunista! – grzmiał, a babcia Dominique przytakiwała mu z zaciekłą miną. – Jak mogliście dopuścić do tego, że te głupie książki trafiły w ręce Georges'a?!

To było wywołanie do tablicy jego ojca, bo przecież książki Leblanca w rękach Georges'a to zasługa jego matki, Christine Descrières.

– Od razu anarchista! – zachnął się Jean-Paul Descrières.

– Anarchista najgorszego sortu! To przecież ten Marius Jacob! Tak, tak, ten niezający prawa i legalności państwa osobnik! Sto pięćdziesiąt włamań, dwa dwadzieścia trzy lata więzienia, to jest inspiracja dla tego całego Leblanca!

Jean-Paul Descrières pomyślał, nie po raz pierwszy, że wychodzenie za córkę kapitana żandarmerii było błędem.

Jeszcze większym błędem było zostawienie przez Charles'a Lacomba portfela w kieszeni płaszcza. Ten zaś wisiał w przedpokoju, a mały Georges dokonywał właśnie aktu sprawiedliwości. Tak jak Arsène Lupin okradał niegodziwca, jednym słowem – przywracał sprawiedliwość!

Heniek miał zostać w Paryżu jeszcze dwa dni, bo tak miał wykupiony bilet powrotny i opłacony hotel. Poldek zadbał o rozrywki i obiecał mu pokazać Paryż, jakiego nie znał. Zaprowadził Heńka na imprezę do znajomych Rosjan.

– Wiesz, ilu ich tu jest? Rok temu powstała tu nowa cerkiew, za rok otwierają kolejną, a są jeszcze te pobudowane wiele lat temu.

Trochę nudy, trochę egzotyki. Przegrana arystokracja, milionerzy, dawni urzędnicy i oficerowie. Parada dawnych książąt, prezesów, radców dworu, generałów i pułkowników. Niektórzy nadal z flotą, inni w znoszonych już ubraniach, za to wciąż z rodowymi sygnetami.

Nagle zobaczył, jak w jego stronę idzie postawny, łysiejący czterdziestolatek. Znał tego człowieka! To pułkownik Aleksander Nowicki, który o mało go nie zabił u Grubego Joska. Cóż, obaj byli pijani i przegrani. Nowicki zdradzał żonę Emilię z gosposią, z kolei Heniek czuł się wtedy winny śmierci swojej matki, ciężkiego zranienia kumpla z wojska Frania Wlazły i zaginięcia najbliższego przyjaciela Antka Bożyczki. Poznali się Pod Setką i pili na umór, przeszli na ty, byli dwoma pijakami, młodym Heńkiem i starym Olkiem. Pili, aż wylądowali na

Gnojnej, tam Heniek powiedział o parę słów za dużo. Przeżyli to, a potem się przeprosili.

– Robisz tu interesy, pułkowniku? – zapytał Heniek po powitaniu.

– Też... – powiedział Nowicki, rozglądając się na boki.

– Co to znaczy?

– Widzisz, ja odszedłem z wojska, bo nie było tam dla mnie miejsca. Bo wybrałem jak wybrałem, stanąłem za prezydentem i rządem, choć, uwierz, nie było to łatwe. Uwierał mnie ten bałagan, tych szesnaście gabinetów w ciągu siedmiu lat, bezwład, kolesiostwo i partyjniactwo. To trzeba było rozgonić w pizdzie! Wiesz, mnie nawet się spodobał ten Mussolini, w pewien sposób zaimponował, że dopiął swego, że przeszedł drogę. Był socjalistą i francuskim agentem, walczył na wielkiej wojnie i był belfrem w szkole elementarnej. Nie był oficerem, ale umiał zebrać ludzi i poprowadzić ich na Rzym. Kuszące to było, choć ja za niższym szarżą bym nie poszedł, co innego jeśli to zarządzał Marszałek.

Nowicki westchnął ciężko i zatrzymał kelnera idącego z tacą pełną kieliszków wódki. Wziął dwa, jeden podał Heńkowi, po czym patrząc mu w oczy, wniósł swój, a po chwili przechylili je w zgodnym rytmie. Pułkownik chuchnął, wziął oddech i kontynuował:

– Tak, mój drogi, ja byłem za nim, ale miałem swoje obowiązki i przysięgę! Poczuję się jak starożytny dowódca legionu, który musi wybrać: poprzeć Cezara czy Pompejusza, dołączyć do legionów mających przekroczyć Rubikon czy bronić konsulatu i senatu? Ale kimże jest konsul, co zrobił dla Res Publici senat? Poprzeć Cezara, a potem... potem być razem z Brutusem. Bo ja chciałem posprzątańca tego bałaganu, ale wiedziałem, że wyrócenie wszystkich mebli do góry nogami to żadne przywracanie porządku. Kilku innych miało podobne rozterki i strzelili sobie w łeb. I ja o tym myślałem, uwierz mi, to chciałem zrobić! I wtedy usłyszałem głos: „Panie pułkowniku, jest mi pan potrzebny!”. Zanim się odwróciłem, wiedziałem, kto mnie woła. To był pułkownik Władysław Anders, z którym służyłem na wschodzie. „Trzeba nam jeszcze jednego oficera, który by pojechał na trzeci most razem z panem prezydentem”. Rozkaz to rozkaz, stałem z nimi do końca, choć ciężko było patrzeć na to, jak prezydent wziął się za wojaczkę. Nie walczyliśmy, tylko trwaliśmy w Belwederze, z uporem czekaliśmy odsieczy, zamiast manewrować. I teraz mamy to, co mamy. Jednych nieudaczników zastąpili drudzy, czasem jeszcze więksi, bardziej interesowni, pazerni. Musiały być awanse, to zrobiono miejsce w armii. Ja to z miejsca

wyczułem i odszedłem. Wziąłem się za interesy, za firmę teścia, zostałem kupcem i tak trafiłem tu, do Paryża.

– Powiedziałaś, pułkownik, też...

– Też? – Aleksander Nowicki uniósł brwi.

– Zapytałem, czy robisz tu interesy, a ty na to powiedziałaś „też”.

– W istocie, tak powiedziałem... – Nowicki był nieco zakłopotany.

– Więc jeśli można wiedzieć...

– Nie można, mój drogi, nie można... – Pułkownik poklepał Heńka po plecach, a na jego zafrasowanej twarzy pojawił się uśmiech. – Bo nie ma o czym opowiadać, nie ma o czym, bo to „też” to paryskie życie po prostu! Tu się żyje, oddycha, bawi i pije! *Garçon!*

Po chwili pojawił się kelner z tacą, z której pułkownik zdjął kolejne dwa kieliszki.

– Tak, tu się żyje – powiedział Nowicki i wychylił zawartość szkła. – Muszę cię opuścić, taka kobieta jak Emilia nie może czekać, już ją kiedyś zaniedbałem, wiesz coś o tym. – Heniek przytaknął, jak miał nie pamiętać! – Ale będziesz tu jeszcze jakiś czas?

– Pojutrze wyjeżdżam.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W hotelu Baltimore, przy...

– Znam, znam, dobre miejsce, przy avenue Kléber, dwa kroki od Trocadéro. Zadzwoń!

Akurat! – pomyślał Heniek, bo był pewien, że już się z pułkownikiem Nowickim nie spotkają. Pułkownik chciał mu coś powiedzieć, ale ugryzł się w język, to całe opowiadanie o zwolnieniu z wojska zaczęło się jak wprowadzenie, jak coś, z czego miał się wytłumaczyć, by na koniec spuentować. Ale puenty zabrakło. Ciekawe, o co chodzi, ale pewnie się już nie dowie; miał ważniejsze sprawy do załatwienia. W sumie co go to obchodzi, przecież zaraz wraca do Polski.

Warszawa

1936

Major Sokołowski musiał zrobić przerwę. Szukał w archiwach, w jaki sposób

Heniek znalazł się w Paryżu, co go tam przyciągnęło. Jak to się stało, że pomógł Nowickiemu? Pułkownik nie miał pojęcia, co to oznaczało! Współpracując z Heńkiem, z miejsca znalazł się w jednym rządzie z Żychoniem i Beniowskim. Major był pewien że już pod nim ryją, szukają czegoś, co mogłoby połączyć ich w jakiś fantastyczny spiszek.

Podszedł do okna i wyrzał przez nie. Lepiej było mieć widok na Ogród Saski, ale okno gabinetu, który mu dano, wychodziło na dziedziniec. Też dobrze, bo patrzył sobie w chwilach przerwy na księcia Józefa. Ten człowiek, którego duński mistrz rzeźby, Bertel Thorvaldsen uwiecznił w pozie rzymskiego cesarza filozofa Marka Aureliusza. Wielu się ten pomnik nie podobał – a to że niepodobny do księcia Józefa, a to że rzymska tunika, a nie polski mundur! Alegoria nie trafiła w gust warszawiaków, ale ani ci, którzy nie byli nim zachwyceni, ani jego entuzjaści nie zobaczyli go w wyznaczonym nań miejscu, czyli przed Pałacem Namiestnikowskim, bo wybuchło przegrane powstanie listopadowe. W końcu pomnik trafił do Homla, gdzie ozdobił posiadłość carskiego generała Paskiewicza. Kiedy w końcu wrócił do Polski, stanął tu, na dziedzińcu pałacu Saskiego.

Lubił ten pomnik, był dla niego alegorią Polski, przypominał o zaciętrzewieniu i szybkich, bezrefleksyjnych osądach i wyrokach, nie tylko o karierze Józefa Poniatowskiego, lecz także o tym, że obcy wybaczały pewne sprawy łatwiej niż swoi. Interesował się historią i dużo czytał o Królestwie Polskim, po którym pozostała jedynie legenda złego cara i jeszcze gorszego księcia Konstantego. Dobra, przydatna legenda, bo zacierająca pamięć o dawnych oficerach Napoleona, którzy gorliwie sprawowali władzę, pilnowali, aby młodzi nie zrobili jakiego głupstwa.

Paryż

1932

Jutro wyjeżdża, nie jest Lordem Baltimore, żeby mieszkać tu, jakby to był drugorzędny hotel, w którym nocowanie nie robi huraganu w portfelu. Nie odzyskał pełnej sumy, ale w Warszawie z tymi pieniążkami złapie oddech, za to tutaj, w Paryżu, stopniałyby one jak śnieg w środku lata. Poldek proponował gościnę, ale wspominał też o tym, że siostra niedługo wraca z tego całego Saint-Tropez, czy jak się to miasteczko nazywa. Nie byłoby to dobre, zresztą nawet jakby miał pewność, że się nie pojawi, to mieszkania w apartamentach jej

francuskiej rodziny nie uważał za stosowne, podziękował więc Poldkowi. Wybierze się jeszcze raz na wieczorny rajd po lokalach i jutro odjedzie z Gare du Nord do Berlina.

Na obiad znów poszedł do Bistrot Paul Chêne przy rue Lauriston, kelnerzy żalowali, że to jego ostatnia wizyta. Naprawdę żalowali czy się przyzwyczaili do jego wizyt? Wszystko jedno, on polubił to miejsce i będzie mu takiej knajpki brakowało w Warszawie, gdzie francuska kuchnia oznaczała ę-ą, bułkę przez bibułkę, a tu było fajno jak Pod Wróblem. Trudno się mówi. Wypił ostatni w tym miejscu kieliszek wina i poszedł do hotelu.

– *Monsieur* Haas! Był do pana telefon – powitał go konsjerż. – Dzwonił *monsieur* Nowiki!

Zdziwił się, zaciekawił. Na recepcji wybrano mu numer i po chwili rozmawiał z Nowickim.

– Jesteś tu jeszcze, chwała Bogu! – odezwał się pułkownik.

– Coś się stało?

– Dopiero ma się stać, musimy się spotkać! – Nowicki miał poważny głos, nie chodziło o birbancki wieczór.

– Gdzie?

– Na Cimetière de Passy.

– Gdzie?

– Na cmentarzu Passy, pójdziesz do Trocadéro, mur po prawej stronie, cmentarz jakby na górce, za pół godziny przy bramie.

Spotkali się po kwadransie, weszli na cmentarz i Nowicki uderzył prosto z mostu:

– Miałeś wtedy rację, jak mnie zapytałeś, czy robię tu interesy, a ja odpowiedziałem, że też. To „też” to jest praca dla wywiadu.

Heniek nic nie powiedział, po prostu słuchał.

– Mówiłem ci o powodach wystąpienia z wojska, znasz je. Nie płakali za mną, wielu nadgorliwców pałało chęcią zemsty, inni liczyli na awansy. Na miejsce tych, którzy odeszli, nominowano nowych generałów, pułkowników, majorów i kapitanów. Sztaby, pułki, garnizony, wszędzie przetasowania, kto by o takim Nowickim pamiętał. Ale szybko sobie przypomnieli, gdy wylądowałem w Paryżu, po pierwsze ja zawsze byłem blisko białych emigrantów, dla nich

prawie Rosjanin, wciąż mam tę nutkę w akcencie – uśmiechnął się – w trzecim pokoleniu żołnierz cara, więc miałem dobry kontakt nie tylko z Rosjanami, ale i Gruzinami, Ukraińcami, wszystkimi dawnymi poddanymi familii Romanowów. Łączy nas wspólna przeszłość i wspólna niechęć do bolszewików. To były zrazu kontakty nieformalne, które nazwano prometeizmem, bo ludzie ci chcą wyzwolić świat od bolszewizmu tak, jak wyzwolił ludzkość Prometeusz.

Heniek musiał mieć nieszczególną minę, bo Nowicki szybko zapytał:

– A wiesz, kto to był?

– Wiem – bąknął Heniek, który nie przepadał za mitologią. – Taki lepszy Herkules, który chorował na wątrobę.

– N-no tak – przyznał Nowicki, choć taka definicja męki Prometeusza nieco go zaskoczyła, widząc jednak, że Heniek mniej więcej wie, o co chodzi, mówił dalej: – Marszałek Piłsudski, co by o nim nie mówić, chce to całe towarzystwo zjednoczyć, otoczyć opieką, mieć na oku i kiedyś wraz z nimi odbudować wolne Ukrainę, Gruzję, księstwa i republiki kaukaskie, no i, ma się rozumieć, Rosję. Od sześciu lat w Paryżu działa stowarzyszenie Prometeusz, nic dziwnego, że właśnie tu, bo większość białych tu zjechała. O tych najważniejszych mówię, tych, którzy mogą zorganizować prawie trzy miliony uciekinierów z bolszewickiej Rosji i masę tych, którzy tam pozostali, by pociągnąć ich do walki. Towarzysko się z nimi złączyłem, ale bardzo szybko też i formalnie, bo taka była potrzeba. – Westchnął ciężko i przystanął przy marmurowym grobowcu, który kończyło coś, co Heńkowi skojarzyło się z żydowską macewą, tylko pozbawioną dwóch trzecich wysokości. – Przy tym grobie wielu przystaje, więc naturalne, że i my możemy się zatrzymać i porozmawiać o tym, że Claude Debussy był wielkim kompozytorem, nieprawdaż? – zagadnął Heńka.

– Pewnie tak. Ja wolę jazz, bym się bardziej zadumał przy grobie Goodmana czy Armstronga, no i tego gitarzysty Django, ale oni na szczęście wciąż żyją.

Tak jak Heniek pierwszy raz słyszał o jakimś Debussym, tak Nowicki nie miał pojęcia o Goodmanie i Armstrongu, ani tym bardziej o Django. Teraz wiedział, że ten trzeci grał na gitarze, ale na czym dwaj pierwsi? Może pianiści albo skrzypkowie? Nieważne, nie dla muzyki tu przyszli.

– Może nikt by mnie nie potrzebował, może by zignorowano moje kontakty i wiedzę, gdyby nie to, co się stało... – Nowicki przerwał na moment, wyjął z kieszeni znicze, potem zapałki i zaczął je zapalać, a Heniek ustawiał je na grobie kompozytora. – Otóż bolszewicy ograli wszystkich, i to koncertowo. Jest wiele organizacji wojskowych i politycznych, które stworzyli biali Rosjanie,

może nawet aż za wiele, ale jedna była szczególnie silna, nazywała się Monarchistyczna Organizacja Centralnej Rosji. Założyli ją w Moskwie byli oficerowie, urzędnicy, sami poważni ludzie. Niestety wpadli, a czekałsi zamiast ich po prostu wybić, zwerbowali kilku, dołożyli swoich agentów i zaczęli rozwijać organizację. Stary numer Ochrony! Ten MOCR był jak jeden wielki kocioł, do którego wpadali kolejni ludzie, kogóż tam nie było! Ratiszczew na przykład, wielka figura, radca dworu Mikołaja Drugiego! Był i Putiłow, jeden z szefów żandarmerii, i Mirozozjew, naftowiec, człowiek interesu i, jak każdy bogacz, przyjaciel dworu. A wszystkim kierowali zdrajcy i czekałsi, i trzeba im przyznać, że mieli rozmach, skurwysyny, bo Monarchistyczna Organizacja Centralnej Rosji miała swe agendy w całej Europie. Szanowani, podziwiani, bohaterscy, więc z każdego miejsca kontynentu szły od białych Rosjan pieniądze, strumień złota, a później to już rzeka. Zanim się połapano, o co chodzi, to CzeKa dokonała wielotysięcznych aresztowań w Rosji. W Europie każdy na każdego patrzy wilkiem, nie wiadomo, kto jest prawdziwym białym, a kto agentem. Nawykradali cennych informacji, umieścili swoich ludzi gdzie się da, jednym słowem klęska! Siedem lat to trwało. I mówi się, że ważne role odegrali tam nasi oficerowie!

– Jak to!?

– A tak to, że bolszewicy rozbili naszą agenturę, część ludzi postawili pod ścianą, część zamęczyli, część, jak to ze szpiegami bywa, wymienili na swoich, co wpadli w Polsce, a paru zwerbowali. Wielka klapa, a Marszałek chciał robić prometejską robotę, chciał też, żeby wylapać agentów, albo przynajmniej przed nimi ostrzegać, i tak wróciłem do łask. Co miałem zrobić? Nienawidzę bolszewików, a przy okazji...

– Stałeś się ważnym handlowcem.

– Nie inaczej, mój Henryku, nie inaczej... Ale i za darmo bym to robił, bo tej swołoczy nienawidzę.

– O, a tego znam. Albo mi się wydaje, że znam! – ożywił się Heniek. – Gordon Bennett, facet od balonów i pucharu!

– Tak, od balonów... – uśmiechnął się Nowicki. – Różne rzeczy i wariactwa wyczyniał, kochał sport, ale najbardziej znany był z tego, że musiał swojego czasu uciekać z Ameryki, bo wywołał skandal.

– A jaki?

– Ano taki, że przyszedł na spotkanie z narzeczoną i nie dość, że był spóźniony, to jeszcze wyraźnie niedysponowany.

– I to wszystko? Co dalej?

– Dalej to pewne jest tylko to, że się wysikał w salonie, ale czy był to kominek czy fortepian, tego już nie wiadomo. W sumie wszystko jedno – podsumował pułkownik.

– Coś takiego... – Heniek powiedział to, patrząc na elegancką kapliczkę z białego kamienia. – Stawiałbym jednak na kominek.

– Zdrajcy działają dalej – gwałtownie zmienił temat Nowicki. – Zagiąłem parol na jednego z nich, hrabiego Aleksieja Tulskiego. Wynająłem nawet mieszkanie w sąsiedniej kamienicy, on mieszka przy Grande Armée i mam tam swojego człowieka, starego kapitana, carskiego oczywiście, który go obserwuje. Tulski wyjechał i chcę wejść do jego mieszkania, to wielka szansa, by wydobyć niezbite dowody na jego zdradę i zorientować się, kto jeszcze pracuje dla bolszewików!

– Czego ode mnie chcesz?

– Sprawa jest dziecinnie prosta, mój kapitan mieszka na poddaszu, wyjdiesz z jego okna, później po dachu dostaniesz się do mieszkania Tulskiego. Mansarda, później czwarte piętro, takie z tarasikiem, pod nim trzecie z balkonem, a już kolejne pięterko niżej on, też z balkonem! No przecież ja byłem nad Morskim Okiem i wiem, jak wygląda Mnich, a ty tam byłeś i na podobno gorszych szczytach, więc dasz radę, chłopaku, no powiedz, że dasz radę. – Brak odpowiedzi Aleksander Nowicki brał za zgodę, więc mówił dalej. – Zrobisz to w nocy, jak nikt nie będzie widział, a ja rano wjadę windą. – Pułkownik miał to dokładnie obmyślane! – Dzisiaj albo nigdy! Pomożesz? Żaden z nas, ani staruszek kapitan Charłamow, ani ja nie damy rady tego zrobić!

Była czwarta nad ranem. Georges Descrières zasnął, czytając o swoim ulubionym bohaterze, dżentelmenie włamywaczu. Głowa mu opadła, ale zaraz się poderwał. Miał wrażenie, że coś słyszał, podszedł do balkonu i wydawało mu się, że mignęła mu jakaś postać w czerni. Byłoby pięknie gdyby tu do nich trafił Arsène Lupin! Wyszedł na balkon, rozejrzał się, niczego nie dostrzegł. Przywidziało mu się, bo w końcu co ciekawego mogło by tu przyciągnąć dżentelmena włamywacza. Chyba nie ten rosyjski hrabia, który mieszkał pod nimi. Stał na balkonie i rozglądał się jeszcze przez minutę, aż zmarzł i wrócił do środka. Miał przecież powieść pana Leblanca do skończenia.

Prosta robota, a o mało nie skończyła się tragedią. Bo nie dość, że wyszedł z wprawy, to na dodatek uważał, że wszystko pójdzie gładko, przecież nie takie rzeczy robił! Wyjście z okna na poddaszu, na którym mieszkał kapitan Charłamow, było dziecinnie proste, przejście z dachu na dach też, bo różnica to było jakieś pół metra. Musiał dojść do krawędzi spadzistego, mansardowego dachu i spuścić się na tarasik rozciągający się na całej długości czwartego piętra. Wtedy zrobił fałszywy krok, pojechał w dół i w ostatniej chwili chwycił się jakiejś nierówności, wyhamował i w kontrolowany sposób spadł na taras. Trochę za głośno to się stało, więc mimo że był poobijany, szybko przeszedł przez barierkę. Opuścił się na balkon poniżej, a potem na następny. Zaczął podważać zamek w drzwiach balkonowych, kiedy usłyszał, jak ktoś piętro wyżej otwiera drzwi i wychodzi na swój balkon. Zrobił to samo, ale w przeciwnym kierunku.

Położył się na dywanie i ciężko dyszał. Nie mógł zapalać światła, nie chciał też ryzykować, że po ciemku narobi hałasu, więc czekał do świtu. Nie mógł zasnąć, a kiedy za oknem zaczęło się robić jasno, rozpoczął myszkowanie po mieszkaniu. Ciężkie meble, portrety, zdjęcia, szabla na ścianie, ikony, nic nadzwyczajnego.

O ósmej rozległo się pukanie do drzwi. Nowicki czy nie?

– Panie hrabio! Aleksieju Władimirowiczu, to ja.

Rozpoznał głos pułkownika Nowickiego i szybko otworzył.

– Kapitan Charłamow dał mi wskazówki – szepnął Nowicki. – Sam nie mógł przyjść, bo nie wiadomo, jak się ta sprawa zakończy. Lepiej, żeby nikt go dzisiaj nie widział.

– A jak ma się skończyć?

– Jeżeli potwierdzi się rola hrabiego Tulskiego w prowokacji CzeKa, to jest skończony. Nie ma dla niego miejsca w Paryżu, biali Rosjanie zadenuncjują go służbom Republiki albo...

– Albo strzeli sobie w łeb?

– Otóż to.

Heniek przyglądał się, jak pułkownik zaglądał do szafek, jak przeczesał albumy, wysuwał szuflady.

– Spójrz na to zdjęcie – powiedział. – I ja tu jestem, ale także bolszewicy szpiedzy. Nie wyglądają na bolszewików, tacy zwyczajni ludzie zdawałoby się...

Heniek patrzył na fotografię podpisaną „Bał charytatywny na rzecz funduszu dla zwalczania bolszewizmu”. Panie, panowie, jak tu wytypować bolszewickiego

szpiega?

– O, spójrz, ta dama! – Nowicki wskazał palcem młodą kobietę. – I ten tu, bojar! – Tym razem był to nobliwie wyglądający brodaty pan w średnim wieku.

– A to kto? – zapytał Heniek, wskazując na wąsatą postać. To był ktoś kogo znał, te oczy, nos, a gdyby nie było wąsów...

– Nie wiem, Ardanowicz... Tak się chyba nazywał, kurier Monarchistycznej Organizacji Centralnej Rosji. Nie wiadomo, co się z nim stało, kim był. Jeśli faktycznie kurierem MOCR, to albo zamęczony, albo skończył pod ścianą, albo na Syberii. A jeśli nie, to awansowany – uśmiechnął się – i pewnie bez tej bujnej czupryny i wąsów, żeby mógł z nową twarzą pracować dla bolszewii. A czemu o niego pytasz?

– Podobny do kogoś, kogo znałem – powiedział Heniek, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że patrzy na Antosia Bożyczkę. Szybko jednak wytłumaczył sobie, że ten cały Ardanowicz, kimkolwiek był, bolszewikiem czy kurierem Monarchistycznej Organizacji Centralnej Rosji, był po prostu do jego przyjaciela podobny.

– Mam! – triumfalnie krzyknął pułkownik. – Charłamow miał rację, że za każdym razem ikona z Chrystusem Panktokratozem wisiała inaczej.

Na plecach obrazu były papiery, których szukał.

– Mamy ich, mamy! – powiedział. – A teraz pakujemy się, idziemy do mnie, a później odwiozę cię na dworzec!

Wziął rzeczy z hotelu, portier wylewnie go pożegnał, a później Heniek stanął jeszcze na chwilę u Nowickich. Dziwne, że nie było pułkownikowej, pani Emilii, pamiętał ją jako kobietę, która miała coś do powiedzenia. Zawsze chodzili wszędzie razem, a u Rosjan jej nie było.

– Chcę ci się jakoś zrewanżować – powiedział Nowicki. – Dam ci obraz, mój nos mówi, że może być w twoim guście!

Nowicki zaprosił go do gabinetu i wskazał na obraz przedstawiający taras, na którym stała sztaluga. Nie było widać jej obrysu, bo na płótnie, które na niej wisiało, przedstawiony był znajdujący się za nim krajobraz, i to tak, że obraz i widok znajdujący się za nim stapiały się w jedno. Do tego intrygujące drzewo, które nie było ciemną plamą, ale jaśniało, jakby było księżycem na niebie w środku dnia. Tak, to będzie idealny obraz, by zawiesić go w nowym mieszkaniu.

– Magritte, René Magritte, ładne prawda? Belg, niespecjalnie znany jeszcze, taki dla koneserów, jak to się mówi. Gdyby nie było kryzysu, a by byli bogaci Amerykanie, którzy się nie znają na sztuce, toby szybko zrobili z niego słynnego artystę.

– Nie rozumiem.

– Amerykanie przyjeżdżali tu z wielkimi pieniędzmi i bez obciążeń, akademickiego wykształcenia i przesądów. Nie bali się wyrażać opinii bez słuchania podszeptów, że coś im się ma podobać albo nie. Podobało im się to, co się podobało. Dla mnie za nowoczesne, ale ja jestem człowiek urodzony jeszcze w dziewiętnastym wieku, je nie doceniam jazzu, były carski kadet i oficer, konserwatysta w szalonym świecie – zaśmiał się.

– Wygląda trochę jak afisz, ale podoba mi się... – Heniek powiedział to niepewnym głosem, ale nie dlatego, że na siłę składał zdania chwalaące ten dziwny ni to pejzaż, ni to martwą naturę, bo nie chciał urazić Nowickiego, tylko dlatego że obraz robił na nim wrażenie.

– I mnie się podoba – usłyszał głos dochodzący z głębi salonu. Dołączyła do nich starsza, siwa kobieta, w której z trudem rozpoznał Emilię, żonę pułkownika.

Aleksander Nowicki szybko ich przedstawił, wtedy na bladej twarzy kobiety pojawił się uśmiech.

– Widzieliśmy się kiedyś w Zakopanem – przypomniła. – Czas i życie nie są dla mnie łaskawe, panowie wybaczą, że ograniczę się do powitania – powiedziała i zniknęła.

– Emilia jest chora – westchnął Nowicki – dlatego nie szaleję po nocach, bo niewiele czasu jej zostało, chcę być z nią, teraz rozumiesz, czemu jestem mało towarzyski.

Rozumiał. Umówili się, że przy jakiejś okazji Nowicki, jadąc do Warszawy, spakuje płótno i przywiezie je Heńkowi.

Kiedy wychodził z dworca, nie docenił jego urody, a było na co popatrzeć. Środek fasady wyznaczał łuk, gigantyczny jak w jakiejś katedrze, przeszkłony, z wielkim zegarem, który wobec rozmiarów budowli mógł się wydawać miniaturką. Były też figury, które pewnie coś wyobrażały, chciał już zapytać Nowickiego co, ale pułkownik go uprzedził.

– Liczysz figury? Jest ich dwadzieścia trzy.

– Nawet nie zacząłem, tylko się zastanawiałem, co mogą przedstawiać.

– Miasta! Jest i nasza Warszawa, są Bruksela, Londyn, Amsterdam, Wiedeń i ma się rozumieć Paryż. Nawet Berlin jest, chociaż pewnie niejednego kusilo, żeby go poharatać.

Berlin z Gare du Nord w Paryżu był cały, podobnie jak i ten prawdziwy, choć zdawało się, że jest kwestią czasu, kiedy wybuchnie. Szalone miasto pękało w szwach od nadmiaru emocji, seksu, nienawiści i polityki. Jeśli komuniści i faszyci się nawzajem nie pozabijają, to ci, którzy ocaleją, zabiją to miasto, prorokowała Aldona Glock, z którą spędzili w Berlinie szalone dwa tygodnie. Jeśli to prawda, co mówiono o balu na tonącym Titanicu, to Berlin tak właśnie wyglądał. W tempie ekspresu zmieniali restauracje, kabarety, galerie i kina. Kochali się, pili i szaleli, patrzyli na demonstracje i pojedynki brunatnych i czerwonych bojówek. W końcu ich to wszystko zmęczyło. Aldona załatwiła swoje sprawy i wrócili do Warszawy. W gazetach pisali o tym, co się działo w Paryżu.

Epidemia samobójstw w paryskim środowisku białych Rosjan.

(tel. z Paryża)

Jak donosi nasz paryski reporter, w stolicy Francji doszło w ostatnim czasie do kilku tragicznych przypadków targnięcia się na życie, w których ofiarami byli licznie tu reprezentowani emigranci z Rosji. Zaczęło się od wypadnięcia z okna kamienicy przy av. de la Grande Armée hrabiego Aleksieja Tulskiego. Tragedię tę uznano wprawdzie za wypadek, feralnego wieczora hr. Tulski przeholował bowiem z alkoholem. Dalsze wypadki zdają się jednak mówić co innego, było to pierwsze z serii czterech samobójstw. Pułkownik Pietin skoczył z wieży Eiffla, inny oficer, generał Kurski, strzelił sobie w głowę, podobnie jak były radca dworu, markiz von Köslin. Paryska prasa nazwała tę czarną serię L'épidémie de suicides russes. Policja prowadzi w tej sprawie dochodzenie, a w kręgach zbliżonych do rosyjskiej emigracji mówi się o ciężkim położeniu psychicznym i finansowym białych Rosjan. Także i ich majątki dotknął kryzys ogólnoswiatowy, nie ma też nadziei na powrót do Rosji i oswobodzenie jej spod sowieckiego jarzma. (L.I.)

Nowicki, prometejczycy i rosyjscy emigranci działali. Ile z tych samobójstw było wyjściem honorowym, a ile z nich upozorowano?

Komisarz Gaston Fougasse uznał, że nie ma czego drążyć, to sprawa jak wiele innych w czasach wielkiego kryzysu. Ludzie tracą majątki i nadzieje, zabijają się, żeby uniknąć wierzycieli, biedy i wstydu. Zwłaszcza oni, którzy latami żyli w niewyobrażalnych luksusach, a teraz muszą żyć na niższej stopie i bez nadziei na odzyskanie dawnej Rosji. Środowisko emigracyjne nie wywierało żadnej presji, i tylko ten chłopiec który przy pierwszym wypadku widział Arsèna Lupina na swoim balkonie, trochę mu nie dawał spokoju, ale cóż, każdy ma osiem lat i wielką fantazję. Nie ma czego drążyć – powtórzył maksymę, dzięki której został cenionym przez merostwo i ministerstwo komisarzem – w końcu, jak się okazało, ten mały, jak mu tam, Descrières? tak, Georges Descrières czytał po nocach książki Leblanca! Chłopiec musiał też oglądać filmy z Douglasem Fairbanksem, bo narysował portret pamięciowy, na którym ten niby Lupin, wyglądał jak Złodziej z Bagdadu! Utalentowany malec, co za fantazja, ale rodzice powinni mu jednak ograniczyć wizyty w kinematografie i czytanie powieści kryminalnych.

Sprawa została umorzona, nie było czego drążyć, samobójstwa się zdarzają, *c'est la vie!*

Warszawa

1936

Niewiele zostało z ruchu prometejskiego, przynajmniej z tego, co sobie zaplanował Marszałek. Sowieci wygrali tę partię, i to w miażdżący sposób, bo nawet akcja, do której Nowicki użył Heńka, nie była w stanie uratować przegranej sprawy, to było wydanie wyroku na zdrajcach i pogrzebanie ich, rewanż, którego Sowieci nie odczuli. Cóż znaczyło zlikwidowanie kilku ludzi, którzy się zagubili bądź sprzedali, wobec tego, co robili Sowieci we Francji i Polsce? Jeszcze w 1926 roku ich agent Samuel Schwarzbard zamordował atamana Petlurę, a cztery lata później zgładzili w Paryżu byłego premiera Gruzji Noego Ramiszwilego. W Polsce – nie był tego pewien, ale tak podejrzewał – inspirowali OUN²⁰, bo jego akcje skutecznie wbijały klin między Polaków i Ukraińców. W 1932 roku zamordowano Tadeusza Hołówkę, a w czerwcu tego

roku ministra Pierackiego. Co do Pierackiego, to jasna sprawa, zemsta za aresztowania i pacyfikacje, ale Hołówko... Złoty człowiek, architekt polsko-ukraińskiego pojednania. Referat Wschód nie zapobiegł tym zbrodniom, a defensywa była w defensywie. Czy za to wszystko musiał zapłacić referat Zachód i jego współpracownik? Druga noc w pałacu Saskim będzie ostatnia, jutro teczki z materiałami akcji Ciotka i Wózek oraz Goldwasser.

ROZDZIAŁ IV

*A ile mąk i wazeliny
I zdartych gardłał na ten śpiew
Żeby do Waszej wejść Rodziny
Z koryta żreć za Waszą krew.*

*Ja was przepraszam, panowie. Ja was bardzo przepraszam, tak nie miało być.
Józef Piłsudski do ukraińskich oficerów po traktacie ryskim (1921)*

Warszawa
29 października 1936

Major Sokołowski nie lubił zarywać dwóch nocy jedna po drugiej, bo kto lubi? Owszem, na bankietach to niejeden był w nocnym, forsownym marszu przez cały karnawał, ale tu szło o żmudną pracę, o czytanie mnóstwa dokumentów. Po prostu musiał i znów pracował niemal do świtu, bo czas uciekał i ponaglał go coraz bardziej. Myślał, że skończy się na jednej nocy spędzonej na kanadyjce i poniekąd tak było, bo nie zniósł drugiej na składanym łóżku polowym, wołał już spać na materacu, który znalazł jeden z podoficerów, i rozciągnął się niemal na podłodze. Materac nie był za gruby, ale musiał przespać parę godzin w ten sposób, bo nie było już mowy ani o noclegu w domu, w wygodnym łóżku i ze śniadaniem przygotowanym przez niezastąpioną gospozię Władysławę oraz filiżance mocnej kawy zaparzonej przez żonę, ani o wychodzeniu na posiłki. Siedział w przydzielonym mu pokoju jak więzień w celi i jadł to, co mu przynoszono, z tą różnicą, że lokator zakładu penitencjarnego nie miał wyboru, a on tak. Kawę robiono mu w kasynie sztabowym, a ciastka kupowali w Loursie. To taka odrobina luksusu, którym od czasu do czasu lubił się otaczać, a przede wszystkim wsparcie, jakie dawały kofeina i cukier. Bez kawy i słodczy nie odbudowałyby formy po zarwanej nocy. Do śniadania dostał też kolejne teczki, opisane CIOTKA/WÓZEK oraz GOLDWASSER.

Treści pierwszej się domyślał, bo należał go wąskiego grona dysponującego wiedzą na temat kontrolowania niemieckich przesyłek pocztowych. Drugi kryptonim był mu kompletnie obcy, ale nie zdziwiłby się, gdyby akta zawierały raporty dotyczące pokrewnej sprawy. Wiedział, że za akcjami ukrytymi za kryptonimami „Ciotka” i „Wózek” stał major Jan Żychoń, którego ulubionym *modus operandi* były tajne przeszukania i kontrola korespondencji. W sumie nic zaskakującego dla oficera Dwójki, ale w przypadku szefa ekspozytury wywiadu w Bydgoszczy można było mówić o czymś, co było jak konik, czyli jak mawiają Anglosasi, hobby.

W akcjach oznaczonych kryptonimami „Ciotka” i „Wózek” chodziło o wykorzystanie sytuacji, jaką było przewożenie niemieckiej poczty do i z Prus

Wschodnich tranzytem przez Polskę. Kapitan Janusz Rowiński z bydgoskiej ekspozytury wywiadu zbadał sprawę i sporządził listę słabych punktów niemieckich konwojów. Po pierwsze Niemcy nie prowadzili precyzyjnego rejestru przesyłek pocztowych, ograniczając się do liczenia worków. Można więc było wytypować najciekawsze listy, wynieść je z pociągu, otworzyć, przeczytać, a następnie zakleić i wrzucić do worków jadących kolejnym transportem. Po drugie między Chojnicami a Tczewem pociągi prowadzili polscy maszyniści, którzy w razie potrzeby mogli zwolnić pociąg w miejscu, gdzie agenci byliby w stanie wskoczyć do wagonów poza stacją i tak samo wyskoczyć. W razie czego maszyniści mogli dołożyć opóźnienie, by dać czas ludziom penetrującym wagony. Półtorej godziny, bo tyle jechał pociąg przez Polskę, to nie było zbyt dużo, ale lepiej tyle niż nic, więc kierujący bydgoską ekspozyturą Żychoń zatwierdził ten plan, bo był wariacki, a on lubił niestandardowe zachowania. Zwłaszcza zasłynął z nich w czasie pracy w Gdańsku, kiedy prowokował Niemców wynajmowaniem orkiestry, która grała pod oknami urzędów *Mazurka Dąbrowskiego* i *Pierwszą Brygadę*. Potrafił też w czasie rozmowy telefonicznej tak jechać po kierowniku ekspozytury Abwehry Oskarze Reilem, że ten kiedyś nie wytrzymał i przemówił do niego z podsłuchującego linię aparatu. Podobno, bo o tym krążyły legendy, obaj oficerowie licytowali się, co w tej chwili wiedzą na swój temat. Wielu jego kolegom z Dwójki to się nie podobało, a jeszcze bardziej sukcesy, wystawny styl życia i pijaństwo. Zarzuty o szastanie służbowymi pieniędzmi zbywał śmiechem, bo rachunkowość była u niego zawsze w najnależytszym porządku. Mimo to powtarzały się cyklicznie jak brzydka pogoda i deszcz jesienią, i nie pomagały ani kontrole finansowe, ani znana w armii sprawa, że jego żoną była o sześć lat od niego młodsza Helena Kielbasianka, która była nie tylko atrakcyjną kobietą, lecz także dziedziczką rodzinnej fortuny. Jej ojciec Paweł Kielbasa²¹ był jednym z najbogatszych Ślązaków, a dorobił się na handlu i tyskim browarze.

Przeglądaniem poczty Żychoń zajmował się od samego początku swojej pracy w wywiadzie, kiedy trafił pod skrzydła szefa delegatury w Krakowie, pułkownika Studenckiego. Ten wpadł na pomysł otwierania poczty konsulatu niemieckiego, a cały proceder nazwał „ciotkowaniem”. To, czego Żychoń się nauczył od szefa ekspozytury krakowskiej, wprowadzał w życie w Warszawie, poddając pomysł swojemu przyjacielowi Beniowskiemu, by zamiast zwijać siatkę komunistycznych agentów, przejąć nad nią kontrolę i uderzyć we właściwym czasie. Akcja na Wolskiej, choć miała przykre reperkusje, była jednak sukcesem, a Beniowski jeszcze nie raz sięgał po metodę tajnego przeszukania, podobnie

jak Żychoń po kontrolę niemieckiej korespondencji. Żeby wszystko szło sprawnie, potrzeba było fachowców. Żychoń doskonale wiedział, kogo potrzebuje, a werbunku dokonał w jego imieniu szef poznańskiego Urzędu Śledczego komisarz Żbikowski. Zebrano najlepszych specjalistów z Wielkopolski, którzy pracowali dla wywiadu za skrócenie wyroków, przepustki, pieniądze i przeróżne przysługi, jakie mogły im zaoferować policja i wojsko. Kasiarzom i złodziejom dostarczono niezbędne narzędzia, niemieckie plombownice i pieczęcie lakowe, przeszkolono we wskakiwaniu do i wyskakiwaniu z pociągu i oczywiście przydzielano do każdej akcji ludzi z wywiadu. Efekty były na tyle dobre, że zazdrośni oficerowie, zwłaszcza ci z referatu Wschód, zaczęli kopać pod Żychoniem dołki, to wszystko wiedział przed otwarciem teczek, ale do czego był potrzebny Żychoniowi Heniek?

Poznań **Sobota 1 kwietnia 1933**

Stolicą Wielkopolski jest Poznań, to jasne jak słońce, a jego najważniejszymi dzielnicami są Stare Miasto i Chwaliszewo, czy się to komuś podoba, czy nie. Jak nie, to już problem tego, któremu się nie podoba, bo tłumaczenie tej oczywistej oczywistości może być dla niedowiarka przeżyciem bolesnym. Tak czy owak, każdy to musi prędzej czy później zrozumieć. Nie wszyscy jednak wiedzieli, kto rządzi tymi dzielnicami, a już niewielu wiedziało, czym się trudni Anatol Grubiński. Idący pewnym krokiem przez ulicę Garbary był uroczyście ubrany, jakby się wybierał na pogrzeb albo chrzciny, wszystko od butów po kapelusz było najlepszego sortu, niewielu było stać na taki wydatek. Ale on należał do tych niewielu, bo ten postawny, wciąż młody mężczyzna był prawdziwym weteranem świata przestępczego, który na swoje szykowne ubranie i inne luksusy zarobił otwieraniem safesów i kas pancernych. Mistrz władania wytrychami, rakami i palnikiem acetylenowym nie ubierał się tak na co dzień, Tolek Grubiński preferował bowiem styl wygodny, niezobowiązujący, a nie ancug, lakierki, kamizelkę, koszulę z kołnierzykiem i krawat. Ale czasem są okazje, kiedy się trzeba prezentować odpowiednio i oficjalnie, bo się nie jest jakimś tam przesłuchiwanym czy innym petentem, tylko zmobilizowanym przez ojczyznę jej dyskretnym obrońcą.

Od trzech lat Tolek Grubiński odkupywał, i to z nawiązką, swoje grzechy, jako współpracownik wywiadu wojskowego. W dodatku nie sam, ale ze swoją eką²²,

nie na okrągło, tylko od czasu do czasu, wedle potrzeb i zobowiązań, które wynikały z dociekliwości policji albo niedbalstwa jego ludzi. Właśnie znów go „powołano”, jak mówił o swoich robotach dla rządu, a wiadomość o tym przysłała prosto z knajpy U Okonia. Wtajemniczeni wiedzieli, że tam go można spotkać, a jeśli nie jego, to kogoś z jego ferajny, a jak nie było nikogo, bo spali albo kogoś okradali, to funkcję sekretarza pełnił właściciel lokalu Edmund Feliksiak. Jeśli otaksował klienta i kwalifikował go jako osobę poważną, taką, z którą rozmowa nie będzie dla Tolka Grubińskiego stratą czasu, to wysyłał chłopaka, który z miejsca gnał na Garbary pod czterdziesty dziewiąty i przekazywał informację, że szuka go ktoś, z kim się warto spotkać. Tym razem Feliksiak nie posłał żadnego małego szczuna, z informacją pofatygował się do Grubińskiego Zenuś Brodziak, człowiek choć młody, to jednak poważny i zaufany, bo nie tylko należał do ich eki, ale był też zawodowym wojskowym.

– Komisarz Żbikowski siedzi u Okonia, chce cię zobaczyć! – powiedział rudzielec, bo Zenuś miał włosy, dzięki którym wyróżniał się z tłumu i przez które musiał się nauczyć bić o swoje, bo wiadomo, że rudy, który nie potrafi dać w puzon, ma przerąbane.

Skoro prosił szef Urzędu Śledczego, to sprawa urzędowa, patriotyczna i jakby kościelna. Poważna jednym słowem, więc Tolek ubrał się jak trzeba.

Policjant czekał przy stoliku, Tolek grzecznie się przywitał i dosiadł do niego.

– Jest sprawa... – Żbikowski dał sygnał Feliksiakowi, żeby podał piwo.

– Domyślam się, tyle że ostatnio to chyba nie było żadnego feleru – dziwił się Tolek Grubiński.

– Nie było... – uśmiechnął się kierownik poznańskiego Urzędu Śledczego. – A musi być?

– To znaczy, że pan się u mnie kredytuje? – W oczach Grubińskiego pojawiły się ogniki, które zapalają się u kupca wietrzącego wielki interes.

– Że jak? – Komisarz Żbikowski zachłysnął się piwem.

– No, że ja i moje chłopaki zrobimy robotę w pociągu, elegancko, jak trzeba, a później, jakby co, no gdyby coś... – Tolek uśmiechnął się przymilnie, bo zobaczył, że komisarz wkurzył się nie na żarty.

– Gdyby co?! – Żbikowskiemu wcale nie przeszło.

– No gdybyśmy coś skrewili, to znaczy się, że wtedy by się nic nie stało, bo już swoje odpracowaliśmy... No tak na zapas – dodał po pauzie, bo komisarz chyba nie zrozumiał, o co mu idzie.

– Ale, że zawsze coś trzeba odpracować? A patriotyzm, ojczyzna?! – huknął. – Poza tym to ja ustalam zasady!

– Łe no, mówi pan, jakbym nie wiedział, a kto te flepy... – obruszył się Tolek. – No wie pan co, tak do mnie, za co?

Wiedział, jak miał nie wiedzieć, skoro dzięki niemu wyszła na jaw szpiegowska działalność Siegfrieda Büllowa. W kasie właściciela fabryczki czekolady, cukierków i nalewek Tolek znalazł polskie plany mobilizacyjne i tak się zaczęła jego współpraca z Dwójką i odkupywanie win.

– No jasne, oczywiście, nie trzeba się unosić. – Teraz to Żbikowski uspokajał rozmówcę. – Ta współpraca przyniesie korzyści, nazwijmy to naukowe.

– Naukowe? – zdziwił się Tolek Grubiński.

– Chcemy was wysłać na studia. – Komisarz uniósł kufel. – Zdrowie studenta Anatola Grubińskiego!

Tolka trudno było czymkolwiek zaskoczyć, ale teraz siedział z szeroko otwartymi ustami i patrzył, jak szef Urzędu Śledczego w Poznaniu komisarz Żbikowski wypija kufelek huggera za zdrowie studenta Anatola Grubińskiego, czyli właśnie jego, bo na Chwaliszewie i Starym Mieście nie było drugiego Anatola Grubińskiego. Gdyby to nie był komisarz, toby pomyślał, że to prima aprilis, a wtedy dałby w dziób, bo nie lubił, jak się żartowało z jego wykształcenia.

Warszawa **Kabaret Ameryka**

Heniek siedział w swojej dyrektorskiej łóż, w ten sposób spędzał wieczory od początku roku, to jest od czasu, kiedy kupił upadający teatrzyk i zrobił z niego kabaret w paryskim stylu. Nazwał go Ameryka, bo w końcu największa z paryskich gwiazd, Josephine Baker, była Amerykanką. Artystki zza oceanu nie miał, ale za to udało się zebrać wcale udany jazz-band. Żydowski muzycy potrafią robić cuda, dobry klezmer zagra wszystko, a do tego na mandolinie grał czarnoskóry chłopak. Nie był mistrzem w swoim fachu, ale wyglądał jak należy.

Ktoś kiedyś przy barze powiedział, że ten dzikus rzepoli, na co pan Roman Kostrzewski, który zawiadywał tą częścią lokalu, odparł spokojnie:

– Panie szanowny, po pierwsze nie dzikus, tylko poddany króla angielskiego, a po drugie to uważaj pan, bo to może być przyszły pan prezes Banku

Zbożowego albo nawet i sam premier, a poza tym szykownie nasz George wygląda, akuratnie śpiewa i stepuje!

Pan Roman zawsze potrafił rozładować atmosferę, a poza tym George był prawdziwą gwiazdą i miał rwanie, jakby był Żabczyńskim albo Symem. No i klezmerzy nie musieli czernić sobie twarzy – co się zdarzało w niektórych lokalach – żeby orkiestra wyglądała jak należy.

Muzyka to jedno, wystrój drugie – Heniek kupił stoliki, które z tradycyjnego teatrzyku zrobiły salę jak na Montmartrze, do tego zawarł z sąsiednią knajpą umowę na dostarczanie posiłków, zbudował bar, a wszystko zostało ozdobione dziesiątkami żarówek, które świeciły bardziej dla efektu niż po to, by oświetlać wnętrze. Panował półmrok, bo gdyby było za jasno, to czar by prysł, byłoby jak w każdej innej knajpie, do tego musiałby kupić lepsze meble, dokładniej odmalować lokal, to wszystko podniosłoby koszty, a w końcu i tak wydał niemało.

Heniek nawet nie zauważył, kiedy podążył drogą Szpicbródki, Weissa i Stempla, kasiarzy, którzy zawiadowali Czarnym Kotem, Eldorado i Oazą. Zawiadowali, do czasu kiedy ich posadzono, a on posadzić się nie da, bo wystarczy mu to, co zarobił. Miał nadzieję, że odzyska pieniądze, które włożył w Amerykę, że w końcu lokal zacznie przynosić zyski. Kiedy o tym myślał na początku wieczoru, to czuł pewien niepokój, ale ten mijał, kiedy przygasały światła, schodzili się goście, zaczynał się lać alkohol, a na scenie rozpoczynały się występy, zwłaszcza tańce.

Na scenie Ameryki wiła się teraz przebrana w kostium Kleopatry Alina Chrabąszcz, która jak wiele innych, bardziej uznanych artystów, przyjęła pseudonim artystyczny. Jako Anastazja dawała każdego wieczoru dwa pokazy taneczne, które męska publika kwitowała rzesistymi oklaskami. Wprawdzie tańca w tym było nie za wiele, za to kostium skąpy, a figurka prima sort. Anastazja podobała się więc bywalcom Ameryki i, co dla niej było najważniejsze, także właścicielowi lokalu. Mieli ze sobą romans, który nie prowadził do niczego oprócz tego, że każde z nich coś ugrywało: on zaspokajał popęd seksualny, a ona umacniała pozycję pierwszej gwiazdy Ameryki i nie musiała się rozmieniać na drobne. W sumie uczciwy układ, tylko Heniek miał już trochę dość jej gadaniny, ale jak go nauczyło doświadczenie w kontaktach z kobietami, nie można mieć wszystkiego.

– Ona ma wszystko co trzeba, żeby uszczęśliwić mężczyznę – usłyszał głos Beniowskiego. – Doskonałe proporcje, wygimnastykowanie, oczywiście mogłoby być trochę więcej panny Anastazji, ale w końcu... nie można mieć

wszystkiego!

Mógłby pomyśleć, że kapitan czyta w jego myślach, ale przecież wiedział, że marzą o niej wszyscy mężczyźni siedzący na sali, choć ci, którzy przybyli tu z żonami albo kochankami, zaklinali się, że wcale a wcale tak nie było. W sumie to dobrze, że ma z nią romans, gdyby nie miała zobowiązań wobec niego, mogłaby się stać kobietą ich wszystkich. Oni co wieczór tracili głowę dla niej, ona mogłaby stracić swoją dla ich portfeli, aut i prezentów. Prezenty i kwiaty dostarczali z regularnością, z jaką przychodzą pociągi na Warszawę Główną, ale nic więcej z tego dla nich nie wynikało, bo monopolistą był Heniek.

– Tak, ma – potwierdził Heniek. – A co, zazdrościsz?

– Jak każdy na tej sali.

– To dobrze, dzięki temu interes się kręci, wszyscy chcą mieć pannę Anastazję, ale nie mogą jej mieć, zatem niech sobie na nią popatrzą, wypiją i zjedzą.

– Ale jest ktoś, kto i wypije, i zje, i się prześpi. Nienawidzę cię za to – zaśmiał się Beniowski.

– Trudno, co zrobić. Musisz otworzyć kabaret albo się ożenić.

Stuknęli się kieliszkami, wypili po wódeczce, a Heniek pomyślał, że robi dobrą minę do złej gry. Nie lubił już tego teatrzyku i chciał się go pozbyć, czar prysł po kilku miesiącach, miał też powoli dość swojej tańczącej kochanki, a na domiar złego wciąż był daleki od odzyskania pieniędzy, które zainwestował w to miejsce. Do tego wszystkiego czuł, że Julek Beniowski ma do niego jakiś interes.

– Mów – rzucił jakby od niechcienia.

– Słucham? – zdziwił się Beniowski.

– Masz do mnie interes, nie przyszedłeś ot tak sobie, prawda?

– Prawda... – przyznał Beniowski. – Chciałem ci zaproponować udział w naukowej delegacji!

– Naukowej delegacji?

– Właśnie tak! Chciałbym, żebyś zrobił Polsce przysługę i został profesorem!

– Trochę późno na bal maskowy, karnawał był wyjątkowo długi, ale tak czy owak, zaraz Wielkanoc. – Zamyślił się, po czym się zaśmiał. – Prima aprilis, uważaj, bo się pomylisz!

– Nie, panie profesorze, nic z tych rzeczy. – Beniowski pokręcił głową i pstryknął palcami na kelnera. – Panie starszy, dwie wódki proszę. Duże!

Zatem sprawa jest poważna – pomyślał Heniek, bo zwykle Beniowski nie

narzucał takiego tempa.

Okolice Chojnic **Piątek 7 kwietnia**

Wyglądali jak duchy; pięciu facetów ubranych na czarno, tak by wtopić się w noc, by ich sylwetki nie odcinały się od drzew, za którymi się kryli. Pociąg się zbliżał i choć dla maszynistów i pasażerów ledwie się toczył, to dla nich zdawał się pędzić. Tysiące ton stali zbliżały się w ich kierunku, a oni w odpowiednim momencie mieli wyskoczyć zza drzew, złapać się poręczy i przyłgnąć do schodków wagonu pocztowego. Tamci już to robili, ale Heniek był tu nowy. Kiedyś skakał do pociągów, ale to było, gdy się uczył w szkole kolejowej, czyli wieki temu, jeszcze za cara! Później wspinał się, uprawiał boks, jeździł na nartach, ale to też było kiedyś. Ostatnich parę miesięcy spędził w loży Ameryki, w której żył, zajał się i teraz podskórnie czuł, że coś może się zdarzyć, choćby dlatego, że ubranie, w którym czuł się kiedyś swobodnie, było teraz przyciasne. Zaklął pod nosem i patrzył, jak dwaj pierwsi z czwórki jego towarzyszy skoczyli jak małpy i już jechali na przednim pomoście, za chwilę dwóch pozostałych i on. Wziął rozbieg, skoczył, złapał się poręczy, ale stopa mimo gumowej podeszwy poślizgnęła się na stopniu, nie zdążył się ani przestraszyć, ani zareagować, bo silne ręce pomogły mu utrzymać równowagę.

– No, wuja, nieźle jak na pierwszy raz – zaśmiał się jego podopieczny, którego przedstawiono mu jako najzdolniejszego poznańskiego kasiarza.

Nie znali swoich imion, mieli pseudonimy. Heniek był Profesorem, kasiarz Studentem, trzeci z nich, z wyglądu wojskowy miał ksywkę Rudy, niezbyt wyszukaną, bo właśnie takie miał włosy, do kolejnego mówili Przemo, a do dowódcy akcji zwracali się per Wodzu.

– No, to tera – powiedział Student, przeciągając głoskę a, w typowy dla poznaniaków sposób – jak już tutaj jesteśmy, to sznylcug zaraz przyśpieszy! – Myśląc, że Heniek go nie zrozumiał, dodał: – Sznylcug to znaczy się bana, ha, ha, ha.

– Wiem, mówię po niemiecku.

– A ja myślałem, że z Kongresówki.

– No widzisz, Student, z Kongresówki, a jednak mówię.

Facet chciał pokazać, że może jest tylko Studentem, ale to jego podwórko,

może więc dla świętego spokoju Heniek nie powinien się popisywać, że mówi po niemiecku.

– Wyje bana w tunelu – rzucił do Studenta, a ten się rozpromienił, słuchając tej urokliwej zbitki słów.

– Się jeździło do Poznania? – zapytał.

– Się jeździło – odpowiedział Heniek, ale nie tłumaczył, że po to, by pomóc w ucieczce z więzienia współpracownikowi Szpicbródki, Adamowi Stemplowi.

Minutę później byli już w środku wagonu, tamci mieli już opanowane otwieranie drzwi i wchodzenie do wewnątrz. Trójka pracowała przy workach – zdejmowali plomby, segregowali listy i, co najważniejsze, wrzucali do worków listy wyciągnięte podczas poprzedniej akcji. Heniek i Student byli w drugim końcu wagonu, gdzie stała kasa pancerna. Zupełnie nowy mebelek, który zastąpił poprzedni sejf zamykany tylko na klucze. Ten miał dodatkowo cztery gałki, którymi ustawiało się kod cyfrowy. Jego Student potrafił otwierać takie safesy, bo biegle władał rakami, palnikiem oraz wytrychami, ale to była insza inszość, tu kasa miała wyglądać na nienaruszoną. Dlatego Żychoń z Beniowskim ściągnęli tutaj Heńka, żeby nie tylko otworzył kasę, lecz także nauczył miejscowych, jak bezszmerowo się do niej dostać.

Tylko cztery gałki, ale na każdej dziesięć cyfr, razem miliony kombinacji, których nie złamie się na chybił trafił, chyba że... Że przyjmie się jakiś system.

Jakie kombinacje się ustawia najczęściej? Urodziny własne albo dzieci, daty, które się zna ze szkoły? Na przykład Grunwald 1-4-1-0. Ale jaki Niemiec ustawi Grunwald? Prędeż zwycięstwo nad Francuzami... Który to był rok? Cholera, nie pamięta! Błąd, powinien sobie spisać takie rzeczy na kartce. Zresztą wszystko to nieważne, tu rozchodziło się o to, żeby kasę otworzyć naukowo, jakby to były zajęcia w szkole kolejowej na Chmielnej albo u Wawelberga. Tam nie chodziło o to, żeby profesor czy majster podeszli do maszyny i ją w try miga uruchomili albo naprawili, tylko żeby powolutku, objaśniając każdy swój krok, tłumacząc działanie każdego elementu, akuratanie doszli do sedna sprawy. Zaczął więc wykład, który pośpiesznie ułożył sobie w głowie.

– Zacznę, Student, od tego, że czasem ludzie ustawiają proste kody, często z lenistwa albo ze strachu, że zapomną, dają ustawienie cyfr, które jest dla nich ważne, na przykład datę urodzin.

– Łe, jeny, swoją to ja pamiętam – zachnął się poznaniak. – Ale skąd mam znać datę urodzin jakiegoś szkopa? Zresztą czy onego dzień urodzin znają inne szkopy?

– No właśnie – ucieszył się Heniek, bo Student miał swój pomysłupek. – Dlatego jak jest kilku użytkowników, to ustalają taki zestaw cyfr, który pasuje im wszystkim!

– No, to wtedy data urodzin odpada...

– Zgadza się, więc idą na łatwiznę: jeden-jeden-jeden-jeden!

– Co za barany! – uśmiechnął się poznański kasiarz.

– Barany, ale nie brakuje takich nawet na wysokich urzędach – zauważył Heniek.

– Łe, no jasne, że tak, tam to ich nawet najwięcej jest! – Student wyszczerzył zęby.

– Te poważniejsze barany idą w taki kod, a te bardziej pomysłowe w jeden-dwa-trzy-cztery albo jego odwrotność.

Śmiali się teraz obaj, ale na tym był koniec dowcipkowania. Pociąg jechał, czas mijał, a robota była dubeltowa: otwarcie kasy oraz zostawienie swojego pomocnika jako wykształconego fachurę.

– Najprościej byłoby, gdybyś to teraz sprawdził, może tak być, że właśnie tak mają.

Miał to być wstęp do kolejnej części wykładu, tymczasem kasiarz szybko przykucnął przy kasie, zakręcił gałką, szarpnął i... sejf się otworzył!

– No i jest! – śmiał się zadowolony.

– Ale, do cholery, nie o to chodziło, uczyć się miałeś, a nie jechać prostackimi ustawieniami, jeden-jeden-jeden-jeden i tak dalej!

– Ale ja żem, wcale tak nie zrobił, ino po swojemu. – Facet był z siebie wyraźniej zadowolony.

– To znaczy jak?

– No tak żem to zrobił, że same zera ustawiłem. – Śmiał się do rozpuku. – Majster jestem!

– Uczyć się miałeś!

– Łe, jeny, po co zara aferę robić, jakby się jaka granda stała, paczej pan! – Znów kucnął przy kasie, zakręcił i wstał zadowolony. – Ale teraz już na nowo ustawiłem! Żeby nie było, że to będzie takie z pamięci. Nowy kod, żeby pan profesor mógł roztworzyć i żebym ja się nauczył tak samo!

Heńka nagle zalał pot, bo czasem może się zdarzyć, że nawet największy czempion przegra walkę. A jeśli to jest ten dzień? To by nie była porażka, tylko klęska ostateczna, bo jeśli mu się nie uda, to nie skończy się to po prostu

nieudanym włamem. Nie miał takiego na koncie. Ale jest coś takiego jak rachunek prawdopodobieństwa, kiedyś taki dzień może nastąpić, a jeśli to dzisiaj? Nie robił tylko na swoje konto! Jakby się teraz stał jakiś feler, wtedy Szwab, który w Prusach będzie chciał otworzyć sejf, zorientuje się, że szyfr zero-zero-zero-zero nie działa, i wtedy nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, by się domyślić, że ktoś już otwierał kasę, po czym ją zamknął, ustawivszy nową kolejność cyfr... Nie, tak źle nie będzie, odegnał od siebie czarne myśli, choć pozostawała jeszcze jedna, mała wątpliwość...

– A jaki kod ustawiłeś? – zapytał z uśmiechem, kryjąc za maską weselości zdenerwowanie, które, gdyby nie opalenizna z Juraty i gór, byłoby widoczne na twarzy w postaci czerwonych wypieków. – Czyjeś urodziny, inna ważna data czy jakaś improwizacja?

– Improwizacja? – Student się skrzywił.

– Improwizacja. To znaczy coś wymyślonego na oczekaniu – wyjaśnił Heniek.

Na twarzy poznańskiego kasiarza pojawiła się ulga.

– No, łe! Właśnie tak! Teraz se to wymyśliłem. Zamkłem ino oczy i pokręciłem! Coś tak pykło i jest!

Heniek poczuł się jak rok temu, w Paryżu, kiedy poślizgnął się na stromym dachu i poleciał w dół. Cudem, w ostatniej chwili łapiąc się rynny, ocalił swoje życie. Nowa fala potu, tym razem zimnego, spłynęła mu po plecach.

– Dobrze zrobiłem, bo tera to żaden z nas nie wie, jak to jest, i będzie teraz prawdziwa lekcja, taka od a do zet! – Student przyśpieszonego kursu dla doktorów sztuki kasiarskiej był dumny ze swojego pomysłu, ale Heniek miał ochotę go teraz udusić. Ale nie mógł tego zrobić, czas uciekał, a kasa czekała.

Wyjął z torby stetoskop oraz notes.

– Łe, no to jest taki dynks, co lekarze mają! Będziesz się pan profesor w doktora bawił i recepty wypisywał? Ja to tam zdrowy jestem, ale nie powiem, z kobitkami tobym się w doktora pobawił!

Heniek starał się nie okazywać zdenerwowania, wziął dyskretnie kilka głębokich oddechów i przystąpił do dzieła. Najpierw mała gimnastyka, jaką kiedyś podpatrzył u pianistów, którzy rozgrzewali palce przed koncertem. To go uspokajało przed przystąpieniem do morderczej pracy, choć dla widza takiego spektaklu, a takim był teraz poznański kasiarz, byłoby to zwykłe kręcenie gałkami i wsłuchiwanie się w kasę pancerną za pomocą stetoskopu, tak jak robią to lekarze z pacjentami. Dla obserwatora żaden wysiłek, ale dla wykonawcy

żmudna, ciężka robota, wyczerpująca jak kopanie rowów. Już przystępując do pracy, Heniek był zgrzany, i strużki potu spływały mu po plecach, utrudniając koncentrację, ale teraz, mimo że został w samej koszuli, czuł, że lepi się od wilgoci. Uważnie wsłuchiwał się w dźwięki wydawane przez zębatki i czekał na odgłos informujący o właściwym ustawieniu mechanizmu. Na razie wsłuchiwał się bez żadnego efektu, bo słyszał przede wszystkim miarowe ta-ta-ta-tam, ta-tam-ta-ta-ta, ta-ta-ta-tam! Dobiegał do jego uszu stukot kół pociągu, który był jak dodatkowe odgłosy sapania, pociągania nosem albo poświstywania dla lekarza osłuchującego pacjenta. Tu pacjent jakby stepował albo tupał i takiego delikwenta lekarz może uprzejmie poprosić, żeby się zamknął bądź przestał podrygiwać, ale do pociągu nie przemówi, nie zatrzyma go. Spawy na poniemieckich szynach nie hałasowały aż tak bardzo, ale mechanizm zamka szyfrowego chodził jak dobrze naoliwiony zegarek. Co będzie, kiedy wymyślą takie smary i materiały, że wszystko będzie się obracać bezszelestnie? Kasiarze coś wymyślą, na pewno! Na razie wszystko było po staremu, choć przez hałas ciężko jak nigdy. Kątem oka zobaczył, jak poznański kasiarz przygląda mu się z uwagą, a on nadal nie potrafił usłyszeć niczego, co by go naprowadziło na właściwe ustawienie. Mijały minuty, jedna, druga, piąta, dziesiąta. Heniek był już wyczerpany, w innych warunkach rzuciłby to w cholerę, ale tutaj było inaczej. Zniecierpliwienie i zmęczenie trzeba było ujarzmić, bo najważniejsze było, by przestał słyszeć stukot kół. Można się do wszystkiego przyzwyczaić, jak do mieszkania przy torach kolejowych albo przy skrzyżowaniu linii tramwajowych, gdzie w zakrętach wozy wydają potępieńcze jęki, a pantografy strzelają iskrami. Nawet do regularnego bicia artylerii można się przyzwyczaić, jeśli oczywiście jest swoja, własna, a nie wroga. Kręcił powoli, a odgłosy pociągu z minuty na minutę przesuwaly się w tło, czas jednak gnał, a poznaniak już nie patrzył na niego z uwagą, lecz ze zwątpieniem. Czuł, że pot zalewa mu oczy, że to go za chwilę rozpieprzy do imentu, bo albo słone krople wpłyną mu do oczu i zdekoncentrują, albo będzie musiał zrobić pauzę i obetrze czoło chusteczką. I tak źle, i tak niedobrze, ale w tej chwili stał się cud! Poznaniak, jakby czytał w jego myślach, podszedł do niego i swoją kraciatą chusteczką otarł mu pot z czoła. To był decydujący moment, bo w minutę później już wszystko grało. Słyszał dokładnie obracające się tryby, wyłapał to położenie, gdzie odgłos był inny, jakby fałszywy. Nie ulegało wątpliwości, to była czwórka! Potem poszło gładko, dwójka, raz jeszcze czwórka i zero!

Nastąpiła chwila prawdy.

– Szamie, otwórz się... – szepnął Heniek i pociągnął za drzwiczki. Sejf się

otworzył!

– Sezanie? – zapytał Student. – O co się rozchodzi?

– Ali Baba i czterdziestu rozbójników.

– Zbójów to ja znam ze stu, ale żadnego Ali Baby. – Chciał dodać, że u nich na Górczynie na pewno takiego nie ma, ale ugryzł się w język. – Teraz szybko, papiery – zapalił się Student i sięgnął po rzeczy leżące w środku.

– Stój!

– Ale że co?

– A to. – Heniek wyciągnął notes, z którego Student żartował, że to posłuży do wypisywania recept. – Na wszelki wypadek narysuję, co i jak leżało, żeby się Prusaki nie połapały, może mają jakiś sposób układania dokumentów.

Po chwili szkic został zrobiony, a z drugiego końca wagonu przyszedł specjalista od otwierania kopert i zalakowanych teczek, a wraz z nim Wódz, czyli oficer dowodzący akcją. Jeden otwierał, drugi fotografował, pracowali jak automaty. Teraz Heniek mógł się skupić na kasiarzu z Poznania, zaczął od tego, że podał Studentowi drugi komplet słuchawek. Zamknął kasę kodem, którym ją zamknął poznaniak 4-2-4-0, i przeszedł do konkretów.

– A teraz przytknij stetoskop do szafy, o tu, przy zamku i słuchaj, wczuj się, tak jakbyś nie słyszał stukotu kół pociągu, słuchaj, jak się obracają tryby, a jak usłyszysz coś innego, to mrugnij oczami.

Student słuchał, a on kręcił, najpierw zataczał gałką pełne koła, później chciał naprowadzić poznaniaka, kręcąc w obrębie kilku ząbków. Nie spodziewał się, że to się stanie tak szybko, bo student zamrugał.

Albo miał farta, albo talent czystej wody, słuch absolutny.

Kolejne cyfry poszły już Heńkowi błyskawicznie, Student też robił postępy, chyba... chyba że obaj jednakowo się mylili.

Znów chwila prawdy i... jest, sejf otwarty!

– Dobry jesteś – pochwalił Studenta. – A przy okazji to za tę chusteczkę dziękuję.

– Łe, no! Ja kiedyś w szpitalu leżałem, to raz tak zajrzałem, z ciekawości, jak tak doktory przy pacjentach grzebią, no i przez szybką przyuważyłem, że jak ten chirurg naprawia pacjenta, to mu pot idzie po czole, a wtedy siostra podchodzi i mu ten pot zbiera ściereczką. A Profesor jest taki właśnie kasiarz-doktor, że szafę otwiera, a potem zamyka, ja to z tych, co otwierają, ale się nie martwią o to, że ona się już nigdy nie zamknie! Teraz to już się naumiałem!

Heniek spojrział na zegarek, był jeszcze kwadrans do ewakuacji, zespół pracujący przy kopertach skończył swoją pracę.

– To teraz egzamin – powiedział, ustawiając pokrętła. – Egzamin mistrzowski!

Student chuchnął, przymknął oczy, oparł się o kasę i zaczął kręcić.

Były dwie minuty przed czasem, kiedy ustawił kolejność jeden-dziewięć-zero-cztery i otworzył sejf.

– Urodziny Profesora? – zapytał i się zaśmiał. – No tej, powiedz pan!

– Tak, panie doktorze kasiarstwa, bo już przestałeś być studentem. – Heniek podał mu dłoń, a po tej błyskawicznej ceremonii podszedł do kasy i ustawił ją na kolejność zero-zero-zero-zero, czyli na tę, którą stosowali Niemcy.

Rozstali się pod Tczewem, obiecując sobie, że się kiedyś spotkają i zrobią razem skok, choć Heniek jak zwykle miał nadzieję, że to był ostatni włam, w którym brał udział.

Student i jego ekipa zapakowali się w pociąg, który jechał do Chojnic, Heniek poszedł zaś pod wskazany przez Beniowskiego adres, na Dworcową 19. Z zadowoleniem stwierdził, że na budynku wisiały trzy szyldy, największy pośrodku, informujący, że właścicielem jest Józef Słomion, a dwa mniejsze po bokach precyzowały, że chodzi o Towary Kolonialne i restaurację Poznańską. Obie firmy mogły się pięknie uzupełniać. *Zobaczmy, co pan Słomion oferuje* – pomyślał i wszedł do środka. Powitały go brawa Julka Beniowskiego i kapitana Jana Żychoń. Beniowski był w cywilu, a Żychoń, niezłe już wstawiony, w wojskowym mundurze.

– Słyszałem, że poszło dobrze – powitał Heńka Żychoń, wznosząc przy tym lampkę musującego wina.

– Poszło znakomicie – odparł Heniek i też uniósł kieliszek. – Szampan? – zapytał, przyglądając się bąbelkom.

– Nie, po tanioci, włoskie prosecco, bo już mnie co poniektórzy podliczają – zaśmiał się oficer. – Stale są zazdrośni o majątek żony i moje sukcesy.

– Za panią kapitanową! – zarządził Heniek.

Kiedy już podjedli, przeszli do szczegółów.

– Dał radę? – spytał Żychoń.

– Ten poznaniak?

– No tak, twój student – uśmiechnął się.

– Jak najbardziej, to już nie student, to doktor. Jak to mówią na uniwersytetach?

– Samodzielny pracownik naukowy?

– Skoro tak mówią, to pasuje! Jak najbardziej samodzielny, dobry ma słuch, nie pęka, doświadczony, tylko... Teraz będzie szalał po Poznaniu!

– Nie będzie – uśmiechnął się Żychoń. – I po Bydgoszczy też nie! Zawarliśmy z nim dżentelmeńską umowę, przecież jest tyle banków i kas w Warszawie, w Łodzi, na Kresach...

– Tobie chyba nie wejdzie w parady? – spytał kapitan Beniowski.

– Żarty się ciebie trzymają! Gdyby nie wy, nie podjąłbym się czegoś takiego!

– Będziemy teraz szukać haków na naszego nowego specja – powiedział bez cienia żartu Beniowski.

– Od razu haki! – zaprotestował Żychoń. – Drogi Juliuszu, my oferujemy wymianę uprzejmości, obie strony są zadowolone! Współpraca musi się opierać na wzajemności!

– To w takim razie nie wiem, co musielibyście mi zaproponować, bo ja już mam dość tej roboty. Nie te nerwy! – niespodziewanie wypalił Heniek.

– Za niespełna miesiąc kończysz dwadzieścia dziewięć lat, to zbyt wczesne przejście na emeryturę! – zaśmiał się Beniowski, biorąc stanowczość Heńka za żartobliwą zagrywkę.

– Ja mam trzydzieści jeden i czuję, że dopiero zaczynam – zaśmiał się Żychoń. Heniek nie miał pojęcia, że ktoś, kto był w Legionach i jest już kapitanem, może być tak młody.

– Może i tak, ale ja czuję, że w tym fachu mój czas mija. – Słowa te skierował nie do Żychonia, tylko do Julka Beniowskiego.

– A co będziesz robił? – dociekał Beniowski. – Masz inną profesję, zarabiasz na czymś? O ile mi wiadomo, to na kabarecie kokosów nie robisz. – Sposób, w jaki Julek to powiedział, nie spodobał mu się, a reszta jeszcze bardziej. – Z warsztatu wykolegował cię stryjek, została ci jeszcze kariera literacka, ale chyba hrabia Walewski, od kiedy rzucił się w wir zajęć dyplomatycznych, nie ma już tyle czasu na pisanie... Duet Jack Strong przestał istnieć, a szkoda, bo to były przyzwoite powieści, choć, muszę to przyznać, nieco zbyt autobiograficzne.

– I tu też wsadziłeś nos? – burknął Heniek.

– Lepiej dla ciebie, żebyś wiedział. Per saldo okazuje się, że tak jest lepiej.

– Co lepiej? Że mnie spod szkoły wygarnąłeś i pojechałem się bić o Śląsk?

– Aha! – zaśmiał się Beniowski, jakby usłyszał dobry kawał. – Ty pewnie mi teraz powtórzysz starą śpiewkę, że gdyby nie to, to byłbyś inżynierem po Wawelbergu, co? A może uważasz, że marną karierę zrobiłeś?

Heniek już się napiął, bo wiedział, że cokolwiek odpowie, jakąkolwiek szpilę wbije Beniowskiemu, to ten na koniec może przypomnieć, ile jego rodzina zawdzięczała ojcu kapitana, inżynierowi Ludwikowi Beniowskiemu.

Zdecydował się na cios poniżej pasa:

– Nie tego się spodziewał po nas twój ojciec, ale ja mam tę przewagę, że to ty jesteś jego synem!

Kapitan spurpurowiał, chwycił Heńka za klapy i przyciągnął do siebie, wydawało się, że chce mu się wbić w szyję zębami, jakby był wampirem, tymczasem Beniowski przysunął swe wargi do uszu Heńka i wychrypiął:

– To ja, kurwa, robię wszystko, żeby dorwać tego gnoja Bożyczkę, a ty mi, kurwa, takie fochy strzelasz?

– Pewnie tak tylko pieprzysz! – syknął Heniek.

– Ożeż kurwa! – To nie wróżyło nic dobrego i nie wiadomo, czy goście Poznańskiej nie byłiby świadkami szarpaniny, a może i bijatyki, ale wkroczył między nich Żychoń.

– Dość, panowie! Dla Polski lepiej, że robicie to, co robicie. A i dla was też, bo nie wyobrażam sobie was na normalnych posadach, wy chyba też nie. Prawda? – Nie usłyszał odpowiedzi, położył więc dłonie na ich ramiona i dodał: – Wiem, co mówię, bo się na tym znam! Uciekłem z domu i szkoły do Legionów, jak miałem dwanaście lat! A teraz idziemy do bufetu!

Emocje opadły, tym razem alkohol, którym zawiadywał kapitan Żychoń, nie podgrzewał atmosfery, ale działał jak balsam.

– Życie nasze toczy się na wysokich obrotach, bo wymaga tego od nas rozwój wypadków. Jak Hitler się umocni u władzy, jak wprowadzi wszystkie swoje porządki, to nie pozwoli nam zwolnić. Sądzę, że nie zadowolili się zwykłą posadą kanclerza, w końcu chciał być prezydentem. Rok temu przegrał z Hindenburgiem, który ma już osiemdziesiąt sześć lat, a na koniec kadencji będzie dziewięćdziesięciodwuletnim starcem! Zastąpi go pewnie wcześniej, bo on nie da rady dokończyć kadencji, a wtedy zobaczycie: Niemcy wstaną z kolan i wyprostują kark, i niestety nie przyłomocą z tej okazji łbem o parapet, za to nas to prostowanie może zboleć, i to bardzo. Najbliższa przyszłość będzie burzliwa, może nawet bardziej, niż to lubią nasze niespokojne charaktery.

I gadał tak z kwadrans, zwłaszcza o tym, co się dzieje w Gdańsku, gdzie brunatne koszule Hitlera zaczęły przejmować kontrolę. Taki udany wieczór, a Żychoń nie dał się Heńkowi nacieszyć, bo im więcej wypił, tym czarniejsze snuł wizje przyszłości. Obaj byli męczący, bo jeden musiał wkładać kij w mrowisko, a drugi straszyć szkopami. Zainicjował kolejny toast i wprowadził do gardła literatkę wódki. Chrzanić to wszystko, musi wracać do Warszawy, żeby pilnować interesu i Anastazji, którą mógł mu podprowadzić któryś z gości.

Poznań **Poniedziałek Wielkanocny 17 kwietnia 1933**

Tolek Grubiński nie czuł się jeszcze jak profesor, bo Profesor to był ten, co go nauczył operować stetoskopem. Ale już jak doktor, to się czuł! Oj, pobadałby sikorki tym sprzętem, ale na razie miał tu do zrobienia pannę w żelaznej sukience.

Już ja cię, kochana, rozdzwiczę – mrucał w myślach, wsłuchując się w dźwięk trybików. Wtedy w pociągu to się dziwił, że Profesorowi tak się pot perlił na czole, ale pomyślał przed skokiem, że skoro już ma być jak doktor z tymi słuchawkami, to musi mieć jakiegoś asystenta. Czuł, że pot już mu się przelewa przez brwi, ale na szczęście najmłodszy Kazimierczak zrobił, co do niego należało, i przetaił mu czoło. Jeszcze chwila i... Miał to! Otworzył kasę i stanął przy niej z dumą, jakby był hrabią na polowaniu, który ustrzelił niedźwiedzia i pozuje z nim teraz do fotki.

– Łe! – sapnął starszy Kazimierczak.

– Łe! – powtórzyli za nim jak echo dwaj młodszy.

– No to tera pakujcie te świecidełka – pogonił ich Grubiński. – No tej, ruszaj się – powiedział do młodego Kazimierczaka.

– Kiedy ja się tak zastanawiam, że to poniedziałek wielkanocny...

– Się trzeba było wczoraj zastanawiać. A na rezurekcji byłeś?

– Tak wcześniej? – Młody Kazimierczak się skrzywił.

– Za to dzisiaj w sam raz – zaśmiał się Tolek. – Jeszcze coś?

– Aleś mówił, że im obiecałeś, znaczy się komisarzowi Żbikowskiemu i tej całej reszcie, że jak się wyuczysz, to nie będziesz robił kas w Poznaniu.

– Ale przecież Niemca robimy, to się nie liczy, co nie? – zaśmiał się Tolek Grubiński i wszyscy wybuchli śmiechem razem z nim, bo przecież jak Niemca

się juchci, to żaden grzech, to przecież oczywista oczywistość!

Jurata **Lato 1933**

To był szczególny wyjazd do Juraty, bo pierwszy, podczas którego Stefa była całkowicie samodzielną osobą. Nie do wiary, jego siostrzyczka kończyła w tym roku dziewiętnaście lat! Do tego została absolwentką seminarium pedagogicznego i miała zacząć pracę. Samodzielnie, na Kresach w małej szkole, ale za to z zapewnionym mieszkaniem. Kopczyńce – w życiu nie słyszał tej nazwy, Stefa powiedziała, że to poważne miasteczko, bo powiatowe! Z Warszawy na Kresy, do województwa tarnopolskiego, do powiatu kopczyńskiego! Chicago, Paryż, Nowy Jork – to by zrozumiał, ale że tam, gdzie nie ma ani metra, ani tramwajów... Koniec świata. Na końcu świata.

– Ależ, Heniu, tam jest stacja kolejowa! – reklamowała miejsce swojego dobrowolnego zesłania. – I całkiem blisko do Zaleszczyk!

Szybko się okazało, skąd ten pomysł. Chciała być blisko Zosi Wyględy, kuzynki, którą traktowała jak drugą matkę, a jej syna Wicusia jak młodszego brata. Kuzynka Zośka w końcu znalazła solidnego faceta, Alojzego Skibickiego, wdowca z dwójką dzieci i posadą. I to nie byle jaką – na kolei! Kolej dobrze płaciła, a najlepiej maszynistom i zawiadowcom, a jak raz Alojzy miał objąć stanowisko zawiadowcy. I w tym był cały szkopuł, bo jego stacja była na końcu świata, aż w Husiatynie! Tam pociągi kończyły bieg, potem jeszcze parę kilometrów i granica z Sowiecami. Od dłuższego czasu tak kombinowali, a Heniek za bardzo był pochłonięty kabaretem, swoimi interesami i kobietami, żeby się połapać, co, kto i z kim! Alojzy pojechał tam pierwszy, nie tylko przygotował domek dla Zośki, Wicka i swoich dzieci, lecz także znalazł posadę dla Stefy. Heńkowi to wszystko wydawało się jakieś nierealne i szalone, jakby to on prowadził normalne i spokojne życie. Uważał, że Stefa nie da sobie rady, że przecież jest za młoda, niegotowa jeszcze...

– Ależ jest! – uśmiechnęła się Zośka. – Bo co ty tam wiesz, skoro ją widzisz tylko od święta i zabierasz na wakacje! To już dorosła, zaradna kobitka, mówię ci to ja, Zofia Wyględa, a za miesiąc już Skibicka, żona pana zawiadowcy stacji!

To były argumenty nie do zbicia. Jedyne, co mu pozostawało, to odegrać rolę głowy rodziny i zapewnić Zośce posag, a Stefie pieniądze na zagospodarowanie. Dał każdej po dwa i pół tysiąca, one się cieszyły, a on czuł się podle, bo ostatnio

o wiele większe sumy pochłonał jego cholerny teatrzyk. Trzeba będzie coś z tym zrobić, obiecał sobie, tak jak obiecywał od dłuższego czasu, ale przyzwyczyił się do tego życia, a poza tym pewnie w przyszłym miesiącu zacznie wychodzić na swoje.

Warszawa

1936

Sokołowski zamknął teczkę. Dla niego sprawa była jasna: szef Ekspozytury numer 3 w Bydgoszczy kapitan Żychoń odnosił kapitalny sukces, ale wnosząc z raportów kilku nadgorliwców, nie wszystkim się to podobało. Grupa oficerów próbowała na siłę wynajdywać jakieś nieprawidłowości, doszukiwać się niemieckich inspiracji. Dowody były praktycznie żadne, naciągane i statystycznie nieuzasadnione. Wyłowienie kilku fałszywie ich zdaniem brzmiących linijek spośród gęsto zapisanych opasłych tomów uważał za nadużycie. Gorzej, że ci, którzy nie poważali Żychonia, którym był on solą w oku, znaleźli sobie kolejny obszar nagonki – za wszelką cenę próbowali doszycić Żychonia do działalności rotmistrza Sosnowskiego. To było wprost niemożliwe, ale czuł, że w kolejnych raportach i uwagach do akcji Żychonia mogą zaatakować śmieiej.

Pracował wiele godzin, plecy miał obolałe, a nogi zdrętwiałe. Pora na spacer; w cywilnym ubraniu przejdzie się spokojnie po Ogrodzie Saskim, a potem pójdzie na kawę i coś słodkiego do Ziemiańskiej. Nie do tej słynnej przy Mazowieckiej, tylko do tej mniej obleganej, przy Wierzbowej, ma się rozumieć. Jak wróci, to zajmie się teczką oznaczoną kryptonimem „Neptun”.

Wolne Miasto Gdańsk

5 maja 1934

Miał trzydzieści dwa lata i był o rok młodszy od Chrystusa. *Czy on osiągnął tyle w moim wieku* – pomyślał, patrząc na swe odbicie w lustrze. Wyglądał doskonale w jasnym paradnym mundurze, który miał podkreślać jego wyjątkową pozycję – członka NSDAP z legitymacją o numerze 1924 i szturmowca SS o jeszcze niższym numerze. W SS było tylko 157 starszych stażem towarzyszy! Tych żyjących, ma się rozumieć, bo jakby odliczyć nieboszczyków, to kto wie jak by to

wyglądało. Nie każdy z nich jest za to gauleiterem! A on był i otrzymał tę godność od Führera NSDAP w wieku dwudziestu sześciu lat! Nie było młodszego towarzysza partyjnego, który zostałby szefem okręgu, a po dwóch latach mógł dodać, że nie było – mógł to podkreślić z pełną odpowiedzialnością i dumą – takiego, któremu powierzono by tak wrażliwą placówkę jaką jest Danzig! To tu będą miały miejsce sprawy historyczne, które pierw zdecydują o powrocie miasta i całego terenu Freie Stadt do Rzeszy, tysiącletniej Rzeszy!

A co będzie potem? Czy zostanie tu, w Danzig, czy może obejmie w Berlinie jakąś funkcję? Zostanie Reichsleiterem byłoby czymś zaszczytnym, ale tu jest księciem udzielnym, a wkrótce panem życia i śmierci. Przyjechał tu z jedną, małą walizką, a teraz... Teraz należał do najbiedniejszych obywateli miasta, a wkrótce będzie jednym z najbogatszych w Rzeszy. W Berlinie byłby jednym z wielu, a tu, jest... führerem? Aż przestraszył się tej myśli i swojej śmiałości, ale szybko się do niej przyzwyczaił. Tak! Tutaj w Freie Stadt Danzig jest führerem, i to nie tylko partyjnym! Najbliższe dni będą dniami jego chwały, wielka ceremonia ślubna, kościelna, podczas której poślubi o osiem lat od siebie młodszą Gertrudę Deetz. Lepszej partii nie mógł sobie wymarzyć, bo Gertruda była nie tylko córką zamożnego mieszczanina, lecz także aktywną działaczką partii! To będzie najważniejszy ślub w Rzeszy! W Langfuhr²³ już dekorowano kościół i jego otoczenie partyjnymi flagami, w końcu jednym z gości będzie sam Rudolf Hess, minister i zarazem jedna z najbardziej wpływowych postaci w Bund Deutscher Osten! A to nie koniec, o nie, w Berlinie odbędzie się ślub cywilny, i to nie w jednym z wielu urzędów, ale w Kancelarii Rzeszy, a Führer i Hess będą świadkami. Już teraz czują przed nim respekt, a za chwilę będą srać ze strachu w gacie! Obciągnął mundur i zahajlował. Ćwiczył ten gest, by był zarówno mocny, wojskowy, jak i pokazujący jego indywidualizm i pozycję. Adolf Hitler cudownie pozdrawia, czy to na wiecu, czy to w Bayreuth, czy w wannie. Bo on był przyjmowany przez Führera w czasie kąpieli, wszak jego sprawy należały do najważniejszych. Teraz spróbował pozdrowić tak, jak robi Hitler, tak z pozoru nonszalancko, ale z energią i niebywale płynnie. Powtórzył dwa, trzy razy i nawet wyszło całkiem udanie, ale lepiej się nie przyzwyczajać do czegoś, co jest znakiem firmowym wodza.

Warszawa
5 maja 1934

Minął rok od przejażdżki niemieckim wagonem pocztowym. Jeśli się coś zmieniło, to na gorsze. Klubów bezrobotnych²⁴ przybywało, a każdy z nich, każdy kolejny róg, na którym zbierali się ludzie pozbawieni nadziei na pracę, pęczniał w oczach. Choć mówiono, że to już koniec kryzysu, to gołym okiem było widać, że jest słabo i do mety tego nieszczęścia jeszcze daleko. Zamiast przyjmować, zatrudniać i płacić, dzień w dzień fabryki, biura, knajpy i zakłady rzemieślnicze zwalniały robotników, urzędników, kucharzy i kelnerów, nie pomagały chęci ani wykształcenie. Rodziny, w których utrzymywano służbę i pomoc domową, też zwalniały, ale kobiety trafiały nie do klubów bezrobotnych, tylko pod latarnię. Te, które miały szczęście, zahaczały się w kabaretach, ale szczęście Anastazji się powoli kończyło, bo i kończyła się Heńkowa flota.

– Słuchaj mała – powiedział Heniek któregoś ranka do Anastazji – to nie ma sensu...

– Jak to nie ma? Nie podobam ci się już? – Wstała i zaczęła się ubierać w to, w czym przyszła, a był to kostium Indianki, bo była nią w nowym programie Ameryki.

– Podobasz mi się. – Podniósł się z łóżka.

– To może jestem na ciebie za głupia? – Przestała się ubierać i znów poszła w kierunku łóżka, przysiadła na brzegu ubrana tylko w krótką skórzaną spódniczkę.

– Tego nie chciałem powiedzieć. – Nie okłamał jej, jeśli chciał o niej coś powiedzieć, to że jest cwana, że ciągnie z niego pieniądze i, takie miał wrażenie, rozgląda się za kimś, kto zaproponowałby jej lepsze życie.

– To w takim razie o co się rozchodzi? – mruknęła, przewracając się na drugi bok.

– Sprzedaję Amerykę!

– Ależ czemu? Przestaniemy się wtedy widywać. – Nie wypowiedziała tego ani jako przerażona wizją utraty pracy młoda girlaska, ani jako zatroskana kochanka, po prostu stwierdziła fakt: skoro on już przestanie być właścicielem Ameryki, to ta znajomość nie będzie już do niczego potrzebna!

Nie podjął jeszcze takiej decyzji, raczej się głośno zastanowił, bo myślał ostatnio nad sensem prowadzenia tego interesu, ale po reakcji Anastazji doszedł do wniosku, że może to wcale nie jest głupi pomysł. Miał już trochę dość tej wcidupnej gwiazdki, owszem, było miło, ale coraz bardziej zobowiązująco. Anastazja zaczęła się szarogęścić, jeszcze trochę, a zacznie się przedstawiać jako pani prezesowa. Zwolnić jej nie miał serca, choć to inny organ bardziej się jej

domagał, pora jednak było użyć mózgu, ruszyć umysł i wyjść z tej sytuacji. Porozmawiałby z nią o czymś innym niż modne rzeczy, wyszedłby w końcu ze swojej łoży i poszedł w miasto, nawet opera, za którą nie przepadał, wydałaby mu się ciekawą propozycją, popatrzyłby na napuszonych jaśniepaństwa, a potem poszedł do Adrii. Ale nie mógł, bo był niewolnikiem tego miejsca i powoli miał go dość, podobnie jak Anastazji, która była uosobieniem Ameryki.

– Idę się przejść – zakomunikował jej.

Nie odpowiedziała nic, trudno, pójdzie sam. Może to i lepiej, bo już się narozmawiali, a poza tym koło Domu Mody Hersego mogłaby się domagać jakichś nowych ubrań czy drobiazgów.

Wyszedł z domu, a na dole już czekał na niego Kosiorek. Stał przy aucie i liczył, robił to w wielkim skupieniu, rachował na palcach jak małe dziecko.

– Co tak liczysz? – powitał go Heniek.

– Ej, no! I się pomyliłem!

– To licz od nowa!

– No dobra... – Znów się skupił, można było powiedzieć, że liczy całym organizmem. – Prezesowa Leszczycka to będzie raz... – Kosiorek odchylił potężny palec. – Panna Glock to będzie dwa! – Doszedł kolejny palec. – No i trzy, bo trzy to ta mała, co się produkuje u ciebie w kabarecie! – Pokręcił z uznaniem głową.

– No i co, proszę księdza spowiednika? – Heniek był ciekaw, jaki będzie z tego morał.

– No akurat to mnie zupełnie nie o kościół się rozchodzi. Bo wiesz, mój drogi, słyszałem, że Tatarzy mają u nas meczet stawiać. – Rozłożył ręce. – Ja tam tych figur z pupą do góry, co odstawiają na tych dywanikach, nie rozumiem. Ale jedno wiem, że tam można trzy żony zaposiadywać!

– Nie mam żadnej. – Heniek machnął ręką.

– Jak patrzę, jak biegasz z wywieszonym ozorem, żeby wszystkim dogodzić... I mnie nie rozchodzi się o żadne tam fiki-miki – Kosiorek mówił z kamienną twarzą, za to jego dłonie inscenizowały damsko-męskie zbliżenie – bo to to pryszcz – wzruszył ramionami, po czym znów palcem wskazującym prawej dłoni przesunął przez otwór stworzony przez połączenie palca wskazującego i kciuka lewej dłoni – dla fachowca, a jak na ciebie patrzę, to na pewno nim jesteś, to parę minut, ale ta cała reszta... Kolacyjki, obiadki, a do tego jeszcze futrujesz w kabarecie. Możesz mieć z każdą z tych dam okoliczność, i to dwa razy dziennie, ale jak będziesz tyle jadł, to pęknie albo...

– Albo co?

– Albo będziesz, nie przymierzając, wyglądał jak ja! – Kosiorek dumnie wypiął brzuch. – Zwolnij, chłopaku, bo inaczej życie cię zwolni!

– Może i masz rację...

– To dokąd jedziemy?

– Donikąd, ja idę się przejść, a ty odwieź Anastazję do domu.

– Za jakie grzechy! – jęknął Kosiorek. – Żebym ja na stare lata takie szantrapy woził!

Heniek poszedł przez plac Napoleona w kierunku Ogrodu Saskiego, po drodze zjadł coś słodkiego i wypił dwie kawy w Ziemiańskiej. Miał cichą nadzieję, że spotka tam Broniewskiego, bo go lubił i na swój sposób podziwiał. Tak dyskretnie, po cichu, bo jakby w tajemnicy przed samym sobą. W końcu jego były dowódca z wojska kapitan Władysław Broniewski został sympatykiem komunistów, za walkę z którymi dostał Virtuti Militari. Z jednej strony budziło to sprzeciw Heńka, ale po części go jednak rozumiał, sam trzymał przecież z PPS, czyli na starość nie zostanie skurwysynem, tak to jakoś kiedyś tłumaczył Marszałek. Ale Marszałek mówił też, że trzeba skończyć z burdelem, jaki panuje w polskiej polityce, a Heniek miał wrażenie, że burdel był coraz większy, więc cała ta majowa heca sprzed ośmiu lat zdała się psu na budę. Pogadałby o tym wszystkim z Broniewskim, ale dzisiaj go w Ziemiańskiej nie zastał. Poeta nie przesiadywał tu, tylko wpadał do jednego z właścicieli – Albrechta – bo obaj pochodzili z Płocka i tam razem się uczyli w gimnazjum. A może po prostu siedzi, bo przecież komunistów zamykano do puszek za politykę, narodowców zresztą też. Posiedział przy kawie, wyszedł, kiedy zaczął się zapelniać stół na półpiętrze, kiedy słynni literaci zaczęli jak tukany w zoologu pochylać się nad swoimi filizankami, zwłaszcza Tuwim wyglądał jak jakiś egzotyczny ptak. Zaraz pewnie przyjdzie Fiszer, który z kolei był sępem, jeśli ktoś może sobie wyobrazić, jak wygląda otyły sęp, z krótką szyją i długą czarną brodą.

Heniek miał jakiś zły nastrój, bo wszystko go irytowało, dokuczał każdy szczegół. Na frasunek dobry trunek! Miał przez moment pokusę, żeby po sąsiedzku wpaść do Wróbla, zjeść, zapić, zapomnieć o kłopotach. Postanowił jednak nie pić, ale rozchodzić, jak to się robi ze zdrętwiąłą albo bolącą nogą, więc ruszył, tak jak wcześniej zamierzał, do Ogrodu Saskiego. Kiedy zagłębił się w alejkach, przystanął na moment przy jednej z ławek. Czy to było to miejsce? Chyba tak, choć krzewy i drzewa urosły od tego czasu, a ławka stała w nieco innym miejscu, o ile to wciąż ta sama ławka, bo minęło przecież ponad dziesięć

lat. Dzisiaj siedziały na niej dwie niańki z dziećmi, a dwie kolejne stały obok nich, poruszając to w przód, to w tył wózkami, w których kwiliły maluchy. Wtedy był kimś zupełnie innym, był bezrobotnym, który szwendał się po mieście, żeby matka się nie dowiedziała, że go wylali z roboty, a ławek nie okupowały niańki, tam siedziała ona – Ruda Maryśka, Zwabiony urodą dziewczyny i burzą jej rudych włosów, dosiadł się do niej, a kiedy zaczęli się całować, z krzaków wyszli cwaniacy, którzy udawali słuszne oburzenie z powodu zdrady, która dokonywała się na ich szemranym koleźce, który siedział w kryminale.

Skończyło się na bijatyce, w której z początku dawał radę, ale koniec miał być krwawy. Przed pocięciem nożami uratował go Franio Wlazło, kumpel z wojska, który okazał się szefem apaszy. I za sprawą nieudanego podrywu w Ogrodzie Saskim i odnowienia znajomości z Franiem Heniek wszedł na przestępczą drogę. Co by było, gdyby wtedy nie poszedł do ogrodu i nie przysiadł się do dziewczyny? Na pewno ktoś inny solidnie by oberwał, a on, przynajmniej tego dnia, nie zszedłby na drogę występku. Jak skończył Franio – o tym on sam wiedział najlepiej, jak skończyła Mańka – też, bo spotkał ją jakiś czas temu, była tylko wspomnieniem po dawnej piękności, zniszczoną, przepitą prostytutką z przestawionym nosem i powybijanymi zębami. Westchnął ciężko i pomyślał, że w sumie nie najgorzej wylądował, musi się tylko ogarnąć, uniezależnić od lokalu i Anastazji.

Usiadł na stojącej kilkanaście metrów dalej ławeczce, zapalił papierosa i zaczął planować przyszłość, ale nie mógł się skupić, bo patrzył na niańki. Były w różnym wieku, dwie młode, takie w wieku Heńka, a może i młodsze, i dwie starsze, które mogłyby być babciami dzieciaków. Na jednej z tych młodszych można było nawet zawiesić oko, może nie „nawet”, ale „koniecznie”. Spodobała mu się ta dziewczyna, blondynka z włosami zebranymi w kok i ukrytymi pod kapeluszem, miała jasną cerę, zadarty nosek i policzki pokryte piegami, ale dyskretnie, nie na indycze jajo. Ubrana była grzecznie, pod szyję, ale może właśnie dlatego pobudzała wyobraźnię. Mundurek niani nie był w stanie ukryć kształtnego biustu, a niewielki fragment między pantofelkami a rąbkiem spódnicy obiecywał zgrabne nogi. Aż westchnął w duchu i pomyślał, że zaczeka chwilę, była taka pora, że za chwilę mogły się pojawić matki dzieci, powracające ze wspólnego wyjścia do kawiarni albo do pobliskiego warszawskiego imperium mody, jakim był sklep Hersego. Przysiadł na ławce nieopodal i zapalił papierosa. Nie dopalił go do końca, a już wiedział, że stało się zgodnie z przewidywaniami, alejką nadeszły cztery młode damy, dwie z nich miały na tyle atrakcyjne

sylwetki, że na chwilę zapomniał o uroczej niani, szybko jednak przypomniał sobie afery z mężatkami, które miał na koncie. Ta myśl przysła mu do głowy w najmniej odpowiedniej chwili, bo jedną z nich znał, i to dobrze. Zmieniła fryzurę, nieco się zaokrągliła, ale nadal była piękna, może nawet piękniejsza niż cztery lata temu...

Na widok Marii Walewskiej najpierw poczuł coś jakby ukłucie ostrogą, wstał z ławki i chciał do niej iść, biec, ale nagle stanął, jakby ktoś zaciągnął hamulec. Nie, stanowczo nie, bo w uszach zabrzmiała mu jej propozycja zajęcia obok jej męża, z którym związek był tylko formalnością, pozycji kochanka, może nawet oficjalnego, jak to bywało na dworach. Powiedział wtedy „nie” i niech tak zostanie, chociaż pewnie inną tak wyglądającą mamusią i żoną byłby skłonny się zainteresować. Ruszył w drugą stronę, ale powstrzymała go ciekawość, chciał się dowiedzieć, które dziecko było jej. Panie zbliżyły się do niań i wtedy z ławki zeskoczył chłopczyk, żwawy blondynek, który biegiem ruszył w kierunku Marii. Wyskoczył w górę, a ona szeroko rozpostarła ramiona, widocznie przygotowana na taką reakcję chłopca. Przygarnęła, przytuliła, głaskała po płowej główce. Znał tego chłopca, pamiętał go ze zdjęcia, które stało kiedyś w pokoju mamy, a później babci, podpisane było „Henio w dniu czwartych urodzin, Warszawa 27 kwietnia 1908 roku”.

Miał ochotę zerwać się z ławki i podejść do Marii, ale opanował się i zamiast tego ruszył w kierunku pałacu Kronenberga. Jeśli się nic nie zmieniło, to powinien tam zastać Poldka. Hrabia wciąż czekał na przydział placówki i pracował w warszawskich biurach MSZ, które były porozrzucane wokół Ogrodu Saskiego. Dyplomaci zajmowali część remontowanego pałacu Brühla, kawałek pałacu Kronenberga, urzędowali też przy Miodowej i Wierzbowej. Po drodze usiłował jakoś odtajać, żeby nie wywołać na pałacowej portierni jakiegoś skandalu. Połączył się telefonicznie z biurem, w którym pracował Poldek, i pół godziny później szli przez plac Piłsudskiego, Heniek starał się być spokojny, ale w pewnym momencie Poldek przystawił palec do ust i powiedział:

– Henryku, krzyczysz tak, że słyhać cię chyba pod kolumną Zygmunta.

– Krzyczę, bo się czuję oszukany!

– Oszukany? – westchnął Poldek, spojrział na niego z wyrzutem. – Ależ co ty opowiadasz, jeśli już to niedoinformowany! Nikt cię nie oszukuje, ty sam się wprowadzasz w błąd przez błędną ocenę sytuacji!

– A co tu jest do oceniania i rozumienia?

– A to, że trzeba się nad tą sytuacją pochylić i odczytać ją tak, jak ona się

w rzeczywistości przedstawia, a nie tak, jak chciałbyś ją widzieć!

– Nie rozumiem.

– Ale ja rozumiem – uśmiechnął się Poldek. – Dokonując prostej psychoanalizy, dochodzę do wniosku, że chciałbyś być ojcem dziecka mojej siostry, co mi osobiście bardzo schlebia... – Kolejny uśmiech Leopolda Walewskiego był doprawdy czarujący. – Zatem to, co zobaczyłeś w Ogrodzie Saskim, to była tylko iluzja, projekcja twoich najskrytszych marzeń...

Heniek powstrzymywał się od komentowania, bo gdyby zaczął, to pewnie faktycznie usłyszeli by to pod kolumną Zygmunta.

– Nie irytuj się, mój przyjacielu. – Znow ten uśmiech, tym razem jakby z nutką wyrozumiałości, jaką się ma dla małego dziecka, które nie rozumie czegoś absolutnie jasnego, a dla dorosłych wręcz oczywistego. – Masz swoje lata, nie jesteś stary, ale w twoim wieku mężczyźni mają już domy, a jeśli nie domy, to dzieci! Trzydzieści lat! Trzydzieści lat, mój drogi Henryku! Czas na ustatkowanie się, na nowy etap, nawet jeśli tego nie chcemy, to musimy... – Tym razem na twarzy Poldka nie było uśmiechu. – Mnie też to czeka, żąda tego ode mnie rodzina, czeka na to służba dyplomatyczna, jeśli się ożenię, to może dostanę jaką ciekawą propozycję pracy w jednej z ambasad – rozmarzył się.

– To się ożeń z Leokadią. – Heniek starał się być złośliwy.

– A wiesz, Henryku, że to doskonały pomysł! – ożywił się Leopold hrabia Walewski.

– Żartowałem...

– Ale ja nie żartuję, tylko ona musiałaby ze mną podróżować, najpierw Paryż, ona tam pracuje, doskonali się, pewnie mógłbym tam dostać posadę – oczy mu błyszczały – ale co dalej? Na placówkach jest rotacja, co by było, gdyby wysłano mnie w nowe miejsce?

– Ty tak na poważnie?

– Jak najbardziej! A czemu nie miałbym poważnie mówić o panie Leokadii? – Spojrzał z wyrzutem i dorzucił jeszcze oskarżycielskie: – Co ty sobie o mnie myślisz, Henryku?!

– A o swojej siostrze? – Heniek zaciągnął się dymem papierosowym. – Też poważnie opowiadasz?

– Też, oczywiście, mój Henryku, że też! A do Leokadii jeszcze wrócimy, bardzo mi się ten pomysł spodobał!

– Nic mnie z nią już nie łączy, to nie moja siostra!

– Ale jakby rodzina, ale jak... no, myślę, że w jakimś stopniu bylibyśmy szwagrami – powiedział Poldek, po czym zrobił zakłopotaną minę, czując, że nie za bardzo spodobało się to Heńkowi.

– Przestań opowiadać kocopoły, konkrety, do cholery, konkrety – syknął do niego. – Czuję, że chcesz mnie wkurzyć, a jeśli ci się to uda, to ci naprawdę w ten hrabiowski łeb przypalantuję.

Poldek nie bardzo wiedział, jak na to zareagować, nabrał powietrza w płuca, ale bezradnie milczał, skończyło się na tym, że tylko ciężko westchnął.

– Tylko się nie zapowietrz! – mruknął Heniek. Już tylko z ubioru przypominał dżentelmena, bo mina, którą przybrała jego twarz, przypominała o tym, jaką drogę przeszedł i co zrobił, żeby kupić sportowe auto, zadatkować apartament w Prudentialu i nosić najlepsze ciuchy.

– Wierz lub nie, ale widziałeś moją siostrę w towarzystwie naszej kuzynki Klementyny Mariańskiej, tej od Huty Szkła Mariański, oraz... – Widząc, że Heniek zaciska dłonie tak, że bieleją mu kostki, postanowił przejść do rzeczy. – To żona Jana Mariańskiego – rzucił szybko, nie wymieniając, jak to planował, stopnia pokrewieństwa, który go łączył z kuzynką, i jeszcze rozlicznych interesów prowadzonych przez jej męża, co z pewnością w innej sytuacji by uczynił. – Jest ona matką Jadzi, która skończyła roczek, i czteroletniego Leopolda... – Uśmiechnął się wyraźnie wzruszony. – To na moją cześć! Mały Poldi czuje się bardzo opuszczony, bo Klementyna większą uwagę poświęca teraz Jadwisi, więc Maria jest teraz dla niego ukochaną ciocią!

Heniek milczał, wpatrując się uważnie w twarz hrabiego Walewskiego, jakby szukał w niej jakiegoś feleru, błędu, który pozwoliłby mu złapać go na kłamstwie.

– Mówię prawdę. – Poldek położył rękę na sercu.

– Tylko mi nie przysięgaj na Boga! – prychnął Heniek.

– Ależ ja jestem wierzący, mogę – zachnął się Walewski.

– Ale ja nie! – ostro uciął Heniek i dodał: – W tym tygodniu jestem ateistą, w przyszłym może uwierzę, a jak dobrze pójdzie, to jeszcze w tym roku wrócę na łono kościoła.

Poldek zrobił zdziwioną minę, nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć, i nie musiał, bo Heniek jeszcze nie skończył.

– Ty mnie farmazonów nie wstawiaj, nie jedź ze mną jak z frajerem, bo naprawdę stanę się niegrzeczny!

Leopold Walewski znów ciężko westchnął, ale zanim Heniek zdążył cokolwiek powiedzieć, wypalił:

– Mogę dowieść mojej uczciwości, że mówię prawdę, że nie okłamałem cię, Henryku...

– Taaak?

– Tak! Z ręką na sercu ci powtarzam, że widziałeś w Ogrodzie Saskim moją siostrę Marię w towarzystwie naszej kuzynki Klementyny Mariańskiej oraz dwójkę jej dzieci! – Zauważywszy piorunujący wzrok Heńka, błyskawicznie dodał: – Dzieci Klementyny Mariańskiej! Przysięgam na moją głowę! Na mój honor! Na naszą przyjaźń!

– Przysięgasz, że to były dzieci Klementyny Mariańskiej i tego, jak mu tam...

– Przemysłowca Jana Mariańskiego... – Hrabia odetchnął z ulgą, ale szybko zastrzegł: – Na pewno matką Jadwisi i Poldka jest Klementyna, za to, że ojcem obojga jest Jan Mariański... za to ręki nie dam sobie odciąć, sam wiesz, jak to bywa – zakończył z kwaśnym uśmiechem.

– No wiem – zgodził się Heniek, który od pewnego czasu miał coraz silniejsze przekonanie, że jest ojcem, tylko nie wie, kim jest jego dziecko i kto jest jego matką. – To nie był synek Marii? Przysięgnij!

– To nie był synek Marii, ja nie mam siostrzeńca!

Wcisło poklepał Poldka po ramieniu i powiedział:

– Przepraszam, ale mam ostatnio trochę problemów.

– Kto ich nie ma – zapytał retorycznie Poldek. – To może dasz się zaprosić do Lija? Chrystus wskaże nam drogę²⁵!

– Po pierwsze jak do Lija, to nie na ostrzygi, tylko na zupę rakową...

– Ależ nie musisz jeść! – zachnął się Poldek.

– Ale ja nie chcę na to patrzeć, na to całe akwarium ze skorupiakami i rybami – szybko odpowiedział Heniek i dodał: – I ja płacę, w końcu narobiłem niepotrzebnej awantury.

– No dobrze, w takim razie idziemy na drugą stronę Krakowskiego, do Simona i Steckiego, ale skoro zmieniłeś knajpę, to stawiam ja! Bo mam wobec ciebie pewne, i to całkiem niemałe, zobowiązania! A ty możesz mnie zaprosić do swojego kabaretu, podobno masz tam nie lada gwiazdkę!

– No mam – odpowiedział Heniek, zastanawiając się, czy Poldek mówił poważnie, czy też z niego żartował. Okaze się, przed nimi długi wieczór, który na szczęście przynajmniej po części sfinansuje hrabia Walewski. Heniek coraz

częściej myślał o pieniądzach, ale raczej o ich braku.

Zatoka Gdańska

5 maja 1934

Alojz Koljaczek sam już nie wiedział, kim jest. Znaczy się on sam wiedział, ale oni nie. Ci, co zarządzili i mieli państwo pod zarządem. Kiedyś cesarskie traktowali ich jak Polaków, jak szły tu jakieś pieniądze, pożyczki, wsparcie, to oni zawsze byli z tyłu. Byli biedniejsi, ich kutry częściej były z żaglem i wiosłami niż z motorem, mniej łowili, częściej ginęli, bo słabsze ich łajby były. Nie byli uważani za pełnoprawnych obywateli pruskiego państwa i nie mogło być inaczej, jak Niemcy mówili *Grüß Gott*, a jak mniej wierzące *Guten Morgen*, to od nich słyszeli *Niech bǎdzë pòchwòlony Jezës Christus* albo witej!

A teraz to są prawie jak Niemcy. Bo ich tu Polska zastała. Się tłumaczy, że nikt ich nie traktuje jak Niemców, ale za plecami to różnie gadają, i cokolwiek by mówili wprost, to i tak się czuje, że jest tu obcym u siebie. I on, i rodzina, i wszyscy inni Kaszubi. Przyjechali jak na kolonie do Murzynów i to w Gdyni widać najbardziej, bo tu tysiącami głodni, biedni albo po prostu cwani przyjeżdżają pieniądze robić. Się porobiło, że jak już obsiądą jakiś teren, to nagle Kaszubi czują się jak intruzi. A u siebie przecież są i jak to tak może być?

*Kón mô wikszǐ łep, niech sǎ jiscy*²⁶ – odpowiedział sobie Alojz w duchu. On musi zarobić i się nie martwi tym, kim jest, tylko kto go złapie z towarem. Bo łowienie ryb to jedno, a jeżdżenie z towarem drugie. Łowienie to już było, ot tak, z przyzwyczajenia i dla mydlenia oczu, bo jak kto go spyta: *Jakǎ môsz robòtǎ? Dze robisz?*, to on zawsze może odpowiedzieć słowami z piosenki: *Jem jò rëbòk z prapradzǎda Wic rëbaczëc mie wëpòdò*. No i dalej jest *rëbòk*, ale nie każdego dnia, bo z ryby się nie żyło tak dobrze jak z towaru. Ryba kosztowała tyle, ile kosztowała A z jakim towarem go złapią, to już loteria była, bo różne rzeczy woził, jak to przemytnik, bo Alojz Koljaczek był przemytnikiem.

Warszawa

Plac wyścigowy na Polu Mokotowskim

6 maja 1934

Kiedy trzy lata temu czytał „Kurierka”, który trąbił o biedzie kasiarzy, to się

jeszcze z tego śmiał, bo wtedy jego problemem było nie za co, ale jak umebluje swój apartament w Prudentialu. To larum go mocno ubawiło. Nawet sobie tę stronę wydarł i schował do szuflady. Po paru miesiącach wyjął złożoną stronę gazety, rozprostował i raz jeszcze przeczytał: *Wśród zawodowych „kasiarzy” zapanowała podobno nędza. Dokonywane obecnie wyprawy nie opłacają się, a nawet narażają na straty, ponieważ nikt już w kasach ogniotrwałych nie trzyma pieniędzy. Poczytywani dotychczas za potentatów w strefach złodziejskich „kasiarze” przerzucają się z nędzy na marne roboty.* To mu jeszcze nie groziło, ale z flotą robiło się cienko. A mogło być już całkiem źle, gdyby nie to, że Poldek zapowiedział, że wypłaci mu solidną premię, która mu się należała za pomoc w napisaniu powieści sensacyjnej. Ciekawe, że Beniowski wiedział nie tylko o istnieniu pisarskiego duetu Jack Strong, lecz także o tym, że na tych książkach można było zarobić porządne pieniądze. On, cholera, wszystko wiedział!

Gdyby Heniek podtrzymywał dawne znajomości z wyścigów, toby te pieniądze pomnożył. Ale znajomości się skończyły, a wpadka, którą zaliczył dwa lata temu Kosiorek, sprawiła, że na Pole Mokotowskie chodzili z Mieciem tylko z przyzwyczajenia, żeby się przewietrzyć i dla emocji, które zawsze tam panowały.

– Frontowego konia masz, idź na czoło, lebiego! – darł się Kosiorek, który postawił dla żartu jakieś grosze. – On nic nie ugra, jak nie będzie jechał na przedzie, finisz ma marny!

Okazało się jednak, że na ostatnich stu metrach koń wyszedł z piątego miejsca i wygrał. I Mietek Kosiorek też, ale wcale się nie cieszył.

– To ja już się nie znam. – Kręcił głową.

Po kolejnej gonitwie przeżywał jeszcze mocniej, bo konie wbiegły na metę całą grupą i sędziowie długo nie mogli ustalić kolejności.

– Całą oborą wjechali na celownik, ale mój za płatnymi miejscami – denerwował się, rwąc przegrany kupon.

Ostatnią gonitwę skwitował słowami:

– Miał mnie z miasta do miasta przyjść, na celowniku się elegancko i z przewagą zameldować, a ten szarpany, jechał do banku na klawo, aż stanął w pień i zamknął pole, jak już, cholera jasna, nie mogie! – ryknął i wyrzucił w górę porwane kupony, przyłączając się tym samym do chóru zawiedzonych graczy, których przegrane kupony fruwały nad trybuną jak śnieg.

– Ja na serce, tu kiedyś śmiertelnie zejde – mówił podekscytowany Kosiorek i chyba nie kłamał, bo miał na twarzy wypieki.

- To po co przychodzisz?
- Dla emocji! A pan szanowny?
- Żeby popatrzeć na takich jak ty!

Kiedy szli Polną do auta, podszedł do Heńka niepozorny, drobny, za to przyzwoicie ubrany człowieczek, który był wprost uderzająco podobny do Tuwima, tyle że ze dwadzieścia lat starszy. Też był kiedyś artystą, ale w zgoła innej branży – to kasiarz Samuel Liberman, kiedyś mistrz wytrychów, później nadawca robót. Miał ochotę szybko, ale z całą uprzejmością pożegnać starego kasiarza, pomyślał jednak o zatrważającym stanie swojej floty, którą przed pójściem na dno uratował literacki wyskok. Kosiorek poszedł do auta, a Heniek i Liberman udali się do słodkiej rotundy Lardellego. Zamówili po kawce, koniaczku i ciastku, a Liberman szybko przeszedł do konkretów. Pochylił się w jego kierunku i szepnął:

– Kolego... – zawiesił głos, jakby to „kolego” padające z ust starego kasiarza miało być jakimś honorem, zaproszeniem na niedostępny salon. – Są dwie piękne panny do zapoznania... – Popatrzył na niego, jakby szukał w jego oczach odpowiedzi, potwierdzenia, że wie, o co chodzi. Heniek oczywiście wiedział, o jakie panny może chodzić, ale czekał, co powie dalej. – To są nie tylko prima sort panny, ale i posażne! Z dobrych rodzin pochodzą, ale starych, można powiedzieć arystokratycznych – zaśmiał się, cmokając w palce jakby był żydowskim *szahenem*²⁷. – I co ty na to?

Teraz musiał odpowiedzieć, nie wypadało inaczej, nie mógł go zignorować, musiał wysłuchać, pochylić się nad propozycją starego kasiarza, który zapraszał go do skoku na dwie kasy pancerne z grubą zawartością.

– A jakie są te posagi? – zapytał z nadzieją, że będą to sumy niewarte zachodu.

Stary się zaśmiał, bo tylko na to czekał – na połknięcie haczyka.

– Nie ma lipy. – Wykrzywił usta w uśmiechu. – To nie są jakieś śmondaki, to poważna familia, więc każdej z nich kopsnęli po dwie dyszki! W przeliczeniu na złote polskie, bo tam są dwa i pół tysiące funtów od angielskiej królowej. Przy takim posagu to nawet elegancki kawaler zakręciłby się koło takich panien, nawet jakby to były kulawe raszple.

Wyglądał jak arystokrata, ale jak człowiek z towarzystwa zachowywał się tylko w sądzie, zresztą tam ta światowa mowa polegała na tym, jak to określił jeden reporter sądowy, że „pięknie milczał, dumając nad swoim losem, a kiedy mówił, to nie strzepił niepotrzebnie języka, wypowiadając się z lakoniczną elegancją”. Po prostu wiedział, że jak się odezwie, to czar pryśnie, więc mówił mało, nie to

co podczas zatrzymań, kiedy potrafił puścić w kierunku policjantów kilka wiązanek, których nie powstydziliby się handlarze z Kercelaka.

– Jak przyjdzie ochota, to i pies kota wychrobotą? – zaśmiał się. – Czterdzieści procent.

To ładny pieniądz, przy rosnących kosztach i wysychającym źródelku była to rzecz warta przemyślenia.

– A jak ta rodzina? Śpiąca czy nieśpiąca, z gruntu przystępna czy nie?

– Grunt dość miękkiej... – W głosie oferenta nie było już takiej pewności jak wcześniej.

– Miękkiej, bo bagnisty?

– Nie aż tak, ale i nie twardy! Ale rodzina śpiąca...

Zatem dostęp nie taki łatwy, a do tego ktoś tam stale czuwa.

– Sześćdziesiąt procent!

– O nie, kochany, sami tego nie zrobimy! Ja zaproponowałem ci uczciwie połowę, trzy dyszki, ja drugie trzy, informacja kosztuje, z niej w Warszawie można pobudować Dom Prasy, a w Krakowie to nawet pałac²⁸! – Widząc brak reakcji, dodał tonem kupca, który wyjaśnia damie, że zakup kolejnego w tym sezonie kapelusza jest absolutnie niezbędnym: – A poza tym wszystko co trzeba na miejscu.

Rzucił te sześćdziesiąt procent, bo czuł, że nie chce tej roboty. Trzeba ograniczyć wydatki, zaciągnąć hamulec, przestać szastać pieniędzmi.

– Pół na pół, niech stracę!

– Gdzie ta robota?

– W Gdańsku...

– A nie, to to nie, bo to poważny wyjazd jest...

– A kto mówił, że będzie lekko?

Fakt, mówił tylko, że będzie bogato.

– A kto w tym Gdańsku jest do zrobienia?

– Ci śmieszni ludzie od tego krzykacza Hitlera!

– NSDAP?

– No tak!

– Fy... fy...fy... Hoch... – Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, które usłyszał przed rokiem.

– Forster – uprzejmie podpowiedział Liberman.

– Forster! – niemal wykrzyknął Heniek.

Spojrzał jakby z niedowierzaniem na twarz Heńka, bo ten, do tej pory powściągliwy, nie potrafił powstrzymać błysku w oku. Heniek próbował odwrócić kota ogonem, pokazać, że to tylko zdziwienie, a nie zainteresowanie, ale stary kasiarz był już pewien – miał współnika do międzynarodowej roboty!

Gdańsk
Prezydium Policji
5 maja 1934

Radca kryminalny Christian Abell miał chandrę, czuł się jak lekarz, który nie uratował pacjenta. A tak właśnie czuje się policjant, któremu wypuszczają bandytę, co do którego nie miał wątpliwości, że to ktoś, komu się należy długa odsiadka, a nawet stryczek. I nie chodzi o zwykłą satysfakcję z tego, że się kogoś zamyka albo prowadzi na szafot, ale o tych, którzy mogą zapłacić najwyższą cenę za błąd prokuratora, sędziego albo przełożonego. W tym przypadku mylili się, a raczej chcieli się mylić wszyscy. To narastało od roku, z dnia na dzień było coraz gorzej, jeśli sprawy tyczyły się wybryków łobuzów w brunatnych koszulach. Bojówki SA i SS były, straszyły i przemycały, a najgorsze, że od kiedy rok temu NSDAP wygrało wybory, to miały też coraz dłuższe ręce i koneksje. Od paru miesięcy grasowała szajka, która zgwałciła kilka dziewczyn i kobiet, dwie z nich tego nie przeżyły, a każda, która życie ocalała, była okaleczona psychicznie i fizycznie. Dziwnym trafem były to albo Polki, albo Żydówki, a ostatnia ofiara dokładnie opisała jednego z trójki gwałcicieli. Kilka dni wytężonej pracy i Kukulka złapał drania, który pasował do rysopisu. Pod jakimś pretekstem zamknął go w areszcie przy Schießstange, zorganizowali konfrontację i dziewczyna go rozpoznała! Szybkie przeszukanie mieszkania tego łajdaka i znaleziono stanik, który wyglądał jak ten zabrany ofierze. Właściwie gotowi byli odtrąbić sukces, ale zaczęły się schody. Wszystko było źle, od procedury, przez to, że dziewczyna na pewno się pomyliła, po stanik, bo przecież każdy stanik wygląda podobnie. Na koniec ten skurwysyn dostał alibi, i to mocne, wręcz niepodważalne, bo poręczył za niego sam Albert Forster, szef hitlerowskiej partii na Gdańsk. Gauleiter NSDAP bez mrugnięcia okiem potwierdził, że Hauptscharführer Udo Apfel pełnił wartę pod jego domem.

Kukulka, który z gwałcicielami miał szczególnie na pieńku, wprost szalał, ale nie mogli nic zrobić. Co więcej, z góry przyszedł rozkaz, by się od Apfela

odczepić. Przegrali i wiele wskazywało na to, że będą coraz częściej ponosić takie porażki.

Warszawa

1934

Sytuacja się odwróciła – teraz to Heniek szukał Beniowskiego i chciał go namówić na wspólne przedsięwzięcie, a dokładnie to kapitana Żychonia. Kiedy popijali w Tczewie, Żychoń zaczął opowiadać o Gdańsku, a przede wszystkim o swoich wrogach z Wolnego Miasta. Pierwszym był Oskar Reile, zatrudniony z gdańskiej policji agent Abwehry, a drugim Albert Forster, szef hitlerowskiej partii na Gdańsk. Żychoń powiedział, że z chęcią by się dobrał do szafy tego dupka Forstera, bo chciałby się dowiedzieć, komu płaci łapówki, a tym samym kto jest w jego agenturze. Heniek zjeździł pół Warszawy, zanim się dowiedział, gdzie go znaleźć, i było dobrze po dziesiątej, kiedy wpadł do luksusowego lokalu Ritz, który mieścił się w Alejach Ujazdowskich. Wydumana, aspirująca nazwa, on by dał szyld Pod Dwoma Dwójkami albo po prostu Dwójki, bo restauracja mieściła się w kamienicy pod numerem dwudziestym drugim.

Był elegancko ubrany, ale szwajcar zastąpił mu drogę, z hałasu dochodzącego ze środka wynikało, że musiała się tam odbywać jakaś impreza zamknięta, bo goście zachowywali się bardzo swobodnie. Chciał już przekonywać cerbera łapówką, ale wypatrzył go major Bieliński.

– Kogóż to moje piękne oczy widzą! – zaśmiał się i balansując, zbliżył się do Heńka, co było znakiem dla szwajcara, że ma go wpuścić do środka.

Wszedł do niezwykle strojnego miejsca – wystrojony lokal, wystrojony kierownik sali, wystrojeni goście. Z miejsca było widać, że w Ritzu zostawić stówkę na stolik to jak wypuścić dyszkę w szynku. Tyle że w szynku kogoś, kto laźby na czworakach po podłodze, pognano by do domu, a tu džentelmen szlifował posadzkę rękawami eleganckiego ubrania. Smoking wyglądał na zrobiony z pierwszorzędnego materiału, ale rozmach, z jakim poruszał się jego właściciel, i pobrudzona winem podłoga groziły, że na kolanach i łokciach ubranie będzie mocno zdefasonowane. Elegant na przemian szczekał i miauczał, wydawał też całkiem ludzkie posapywania i co rusz starał się podbiec i złapać jedną z pań za nogę. Damy piszczwały, odskakując i rewanżując mu się kopniakami, co niezmiernie bawiło towarzystwo, w tym i pełzającego po posadzce kotopsa w smokingu.

- No i co, Heniu? – zapytał major. – Jak to widzisz?
- Widzę, że zaraz smoking będzie się nadawał na szmaty.
- To się kupi nowy! Przecież to pułkownik Miedziński, stać go!
- Ten Miedziński od poczt i telegrafów?
- Ten sam! Stać go, ha, ha, ha, ha!

Tak, było go stać jak mało kogo. Lubieżny kotopies, a może piesokot, który dalej warcząc, mrucząc, poszczekując i miauczając, wpełził pod stolik w poszukiwaniu damskich nóżek, zrobił parę złotych interesów.

To za jego ministrowania powstała *Tajemnica skrzynki pocztowej*, film kłapa, na którym zarobiła grupa cwaniaków, a zarobili, bo pieniądze na tego gniota dała poczta, będąca pod zarządem ministerstwa, za którego sterami stał Miedziński. To była klęska, choć grali Bogda, Marr, Mierzejewski, a nawet Zelwerowicz i Węgrzyn! Ale miała być, bo nie chodziło o to, żeby się to komuś podobało, tylko żeby farmazony zarobiły pieniądze. Mózgiem operacji był niejaki Edward Ruszczewski, inżynier, który miał wejścia w ministerstwie i w Polskiej Agencji Telegraficznej. Obie instytucje dały poważne pieniądze tylko dlatego, że stałym rekwizytem tej filmowej porażki była skrzynka pocztowa! Czy minister Miedziński mógł o tym nie wiedzieć? Musiał wiedzieć, bo Ruszczewski był na czarnej liście Ministerstwa Spraw Wojskowych, które miało inżyniera za szantażystę i oszusta. Ważniejsze było jednak to, że Edward Ruszczewski był kolegą Miedzińskiego z lat studenckich. Już wcześniej, podczas budowy poczty w Gdyni, wyparowały ponad trzy miliony złotych, a koszty filmu przekroczone o ledwie dwieście czterdzieści tysięcy, za które można było nakręcić sześć obrazów, które nie tylko trzymałyby się kupy, lecz także przyniosły zwrot. Dopiero po tych cyrkach odwołano Miedzińskiego, innego wsadzono by do paki, a o nim Marszałek powiedział tylko, że nie ma głowy do polityki.

Patrząc na to szczególne zjawisko z życia wyższych sfer, Heniek zapomniał, po co tu przyszedł. Wkrótce jednak przypomniał mu o tym sam Beniowski. Zauważył Heńka i podszedł do niego ubrany we frak.

- Co tu robisz? – zagadnął.
- Że ja czy że w tym stroju? – Elegancki garnitur Heńka prezentował się wobec fraków dosyć skromnie.
- Jedno i drugie. Coś ważnego?
- A jak myślisz?
- Pewnie tak – westchnął. – Stało się co?

– Dopiero się może stać, mam propozycję wejścia do spółki.

– Jaki procent będę z tego miał? – zapytał Beniowski.

– Z twojej części cały. – Heniek przedstawił złożone równanie matematyczne, ale kapitan chwycił w mig.

– Rozumiem, że ciebie i tego, który ci nadał temat, interesuje gotówka...

– A was papiery.

– Skąd wiesz, że nas, uważasz, że muszę się z kimś dzielić?

– A jak ci powiem, że frajer, którego mamy zrobić, nazywa się Forster... – Beniowski uniósł brwi. – Albert Forster, z zawodu przydupas Hitlera w mieście wciąż wolnym Gdańsku.

– Masz rację, to spółka, w której kierownikiem musi być Janek Żychoń.

Sprawy poszły błyskawicznie, bo trzeba było działać błyskawicznie. W Gdańsku zaczęły się już przygotowania do ślubu gauleitera Forstera. Skoro tamci zaczęli, to i Heniek z ekipą musieli gonić czas. Termin wymyślił Liberman, a raczej posklejał go z tego, co dostarczyli mu informatorzy.

Wszystko działo się na gwałt, bo Samuel Liberman dowiedział się o kasach z biura Forstera przypadkiem podczas pobytu w Zoppot. Spędzał tam czas w kasynie, trochę się zgrał i od słowa do słowa zgadał się z ludźmi, którzy wiedzieli to i owo. Szybko zbadał możliwość przeprowadzenia operacji i brakowało mu tylko jednego – kozaka, który miałby małą, sprawną ekipę. Znał takich, ale w Warszawie; wielu, ze Szpicbródka, Stemplem i Weissem na czele siedziało, zresztą to byli specjaliści od podkopów i przebijania się przez ściany, a tu chodziło o połączenie lipkarstwa z kasiarstwem. Adam Stempel, największy z nich akrobata, nie dość, że siedział, to jeszcze miał uraz do takich zabaw. Parę lat temu zleciał w Poznaniu z dachu i złamał nogę. Liberman już zwątpił w to, że kogoś znajdzie, ale spotkał na wyścigach Heńka.

– Nie wystawi nas? – zapytał Beniowski, kiedy następnego dnia spotkali się z kapitanem Żychoniem, by ustalać szczegóły.

– Nie ma mowy – odpowiedział za Heńka Żychoń. – Żydzi i Polacy mają w Gdańsku przegwizdane, gmina żydowska powoli myśli o tym, żeby się gdzieś przenieść. I to razem, a nie osobno. Ale to „razem” może oznaczać połowę tego, co było kiedyś, bo już teraz emigracja jest wielka, do Palestyny, do Ameryki, do Europy, wszędzie, gdzie się da, tylko nie do Niemiec. Z dnia na dzień jest coraz gorzej, ten Forster to wyjątkowy skurwysyn.

– Liberman mówił mi mniej więcej to samo – wtrącił Heniek.

– Jak to zrobicie? – spytał Żychoń. – I jak mogę pomóc? Ale uprzedzam, że chociaż mam swoich ludzi w Gdańsku i w przystaniach rybackich, to niestety nie mam w policji nikogo, kto dałby konkretne wsparcie. Jeśli chodzi o drobiazgi, to owszem.

– To będzie robota na słam. – Patrząc na zdziwione miny obu kapitanów, Żychonia i Beniowskiego, dodał: – Zrobimy tych szkopów, jak będą kimać. Będzie pssssss – Heniek wypuścił powietrze z ust, jakby te były wentylem w dętce – nauka w służbie człowieka, jak mówi mój kierowca.

Obaj wojskowi pokiwali głowami i najwyraźniej pomysł im się spodobał, bo każdy z nich się szeroko uśmiechnął.

– Mamy załatwić gaz? – spytał Żychoń.

– Już załatwiony. Liberman nie tylko nadał robotę, ale i pomaga ją organizować.

– Może nawiążę kontakt z jego ludźmi – zastanowił się Żychoń.

– Pewnie byłoby warto, ale to Żydzi...

– No tak, zwijają żagle, zresztą Polacy też mają coraz gorzej. Pamiętasz – zwrócił się do Heńka – co mówiłem rok temu w Tczewie?

– Pamiętam – powiedział niechętnie Heniek, bo faktycznie wtedy w restauracji Poznańskiej słuchał piąte przez dziesiąte, jak uczeń, który czekając na przerwę, olewa wykład nauczyciela.

– Sprawy przyśpieszyły, Hitler rządzi w Niemczech, a NSDAP w Gdańsku. Mamy tam przyjaznego prezydenta senatu Hermanna Rauschninga, o dziwo z NSDAP, ale nie sądzę, by dociągnął do końca roku. Oni dziczeją z każdym dniem i czasem myślę, że szachy i zagrywki jak z Conan Doyle’a już się skończyły, w tym przypadku nie wahałbym się przed mokrą robotą, żeby się odwinąć choćby za tego biednego Jerzyka.

– Za jakiego jerzyka? – Beniowski pokiwał głową, ale Heniek nie znał sprawy.

– Władysław Jerzyk, marynarz ze statku Kopernik, którego szwabskie syny pocięły na Wielkanoc trzy lata temu. Pobili go, wycięli na piersiach swastykę, a banderę z Kopernika podarli. Ledwo chłopak przeżył, a do tego ma pamiątkę do końca życia. Za to mógłbym tego świnię gauleitera odstrzelić.

Kapitan Żychoń był w bojowym nastroju, który podgrzewał kolejnymi kieliszkami wina.

– Ale to nie on? – spytał Heniek, a Beniowski się z tego pytania zaśmiał.

– Na pewno nie on, ale ja mam taką logikę, że chociaż jesteś w połowie

Niemiec, to ja cię za to nie winię. Nawet jak ktoś jest Niemcem po matce i ojcu też nie, ale jak już jest zwolennikiem Hitlera, a w szczególności bojówkarzem, to jest dla mnie podejrzanym, a jak ktoś jest ich szefem...

Heniek pokiwał głową, Żychoń miał rację, ale jeśli faktycznie tak się mają sprawy, to co będzie za rok, dwa?

Gdańsk, port **7 maja 1934**

Robert Fraj urodził się w roku 1910, ale dopiero od paru lat czuł się Polakiem. Wcześniej czuł się Gdańszczaninem, tyle że takim, który mówi w domu po polsku. Z czasem się okazało, że to nie zawsze było dobrze widziane, co więcej, wręcz utrudniało życie. Ileż razy w urzędach poprawiano nazwisko, jak na poczcie dziwiono się, że Fraj nie pisze się Frei. Dziwactwo, błąd, żart jakiś. Ale na tej poczcie tak nie było, na Polskiej Poczcie w Wolnym Mieście Gdańsk, w oddziale Gdańsk 3, czyli w porcie. Wszyscy i tak mówili na nią Poczta Morska, bo taką w końcu była. Tu nikt nie przekręcał i nie poprawiał pisowni jego nazwiska, tu się mówiło po polsku. Cieszył się z tej pracy.

A wszystko zaczęło się od tego, że sześć lat temu, zaraz po maturze poznał Jana Żychonia, referenta z polskiego Komisariatu Generalnego. To on mu załatwił posadę na poczcie. Najpierw Robert urzędował w głównym gmachu przy placu Heweliusza – dobre eleganckie miejsce, do którego chciałby kiedyś wrócić, ale na razie bardziej potrzebny był tu, w porcie, tak zdecydował Żychoń, który krok po kroku prowadził jego karierę i, jak się okazało, także pracę agenturalną. Pod przykrywką referenta w Komisariacie Generalnym RP Żychoń rozbudował i zreorganizował struktury wywiadowcze, a jego placówka nazywana była Biurem Informacji Gdańsk. Wiedzieli o tym tylko wtajemniczeni, podobnie jak o tym, że w Komisariacie Generalnym był zakonspirowany Wydział Wojskowy. O tym, że w strukturach wywiadu był on Ekspozyturą nr 7 Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, Robert Fraj już nie wiedział. Dostał za to polecenie, żeby udzielić pomocy ludziom Żychonia, którzy przyjadą pojutrze do Sopotu. Ma ich zabrać z Kasino-Hotel i pokazać Gdańsk. Jednocześnie miał – kolejny już raz – zrobić rozpoznanie domu przy Hundegasse²⁹ 52. Wielokrotnie zbierał i uaktualniał informacje o tym miejscu, bo właśnie tam miał swoje biuro gauleiter NSDAP Albert Forster.

Warszawa 9 maja 1934

Byli gotowi do wyjazdu, a Mietek Kosiorek nawet się specjalnie na tę okazję ubrał. Heniek popatrzył na kierowcę, zlustrował go od stóp do głów i uznał, że wygląda źle, to znaczy perfekcyjnie!

Ubrany zwykle z przedmiejskim szykiem szofer, tym razem prezentował się jak nowobogacki przyjezdny, jeden z wielu, których wypluwają każdego dnia dworce Warszawa Główna, Wschodnia i Wileńska.

– Czy wyglądam jak cham ze złotym chomątem? – Spojrzał badawczo na Heńka. – Czy może jak świnia w kamizeli?

– Gdybyś się ubrał najlepiej jak potrafisz, tobym ci tego nie powiedział, bo mam za duży szacunek dla ciebie – uśmiechnął się Heniek. – Ale skoro się odwaliłeś zgodnie z zamówieniem jak stróż w Boże Ciało, to ci powiem, że wyglądasz źle jak trzeba!

– No ja myślę! – zachnął się Kosiorek. – Bym się tak poświęcał w tych trumniakach. – Skrzywił się, wskazując palcem na błyszczące lakierki. – Tak niewygodne buty to tylko na pogrzeb. Stopy bołą, a szyk znika wraz z wejściem na chodnik przy kamienicy, w której urzęduje leniwy cieć, a takich – znów się skrzywił niemiłosiernie – to jest całkiem sporo. Się kurzy, a wtedy buciki w try miga wyglądają jak szyba auta, które wali po wiejskiej drodze. Dęta elegancja kończy się wtedy jak ręką odjął, bo na lakierkach każdy pyłek widać z kilometra.

– Spisałeś się na medal, wyglądasz... – Heniek próbował sklasyfikować okaz, jakim był teraz Kosiorek.

– Jak ci, którzy robią popisy w nocnych lokalach, napatrzyłem się na takich, czekając na Szpica i ciebie, poza tym... – uśmiech rozjaśnił jego jowialne oblicze – wielu ludzi z naszej branży nosi się, jakby chcieli zrobić Dymszy konkurencję, chcą wyglądać aligancko, a wyglądają jak byle ćwoki, których chwilowo mamona nawiedziła. Ja tego błędu nie popełniam, chyba że na zamówienie, po latach praktyki u Szpicbródki to ja mógłbym w magazynie mody hrabiom z Grójca porady dawać!

Fakt, Kosiorek potrafił się ubrać, nawet jeśli nieco zawadiacko, przedmiejsko, to był w tym urok i szyk. Praca u Szpicbródki zrobiła swoje, ale ciekawe, jak wyglądał osilek z Kamionka, zanim Stanisław Cichocki to i owo mu podpowiedział. O to wolał już nie pytać, bo mógł to sobie wyobrazić, on sam na początku też nie potrafił się ubrać i pewnie gdyby nie dobre szkoły, wizyty

u Beniowskich i w końcu współpraca ze Szpicbródką, to w Ameryce zachłysnąłby się stylem tamtejszych gangsterów. Jak by teraz wyglądał? Kanarkowy garniak, liliowa koszula i złoto, dużo, dużo złota!

Sopot, Kasino-Hotel

10 maja 1934

Szef recepcji Herman Störl był doświadczonym fachowcem, który potrafił czytać w klientach jak w otwartej księdze. Tych z Polski czytało się najłatwiej, byli jak albumy położone na stole w jadalni, z ilustracjami, które mówiły o nich wszystko, a gdyby ktoś był mało domyślny, to z pomocą przychodziły mu jeszcze napisy objaśniające tłustym drukiem. W zasadzie każdy z nich był z grubsza taki sam, przynajmniej w dniu przyjazdu i zameldowania. Każdy był pełen werwy i nadziei, bo każdy przyjeżdżał tu wygrać, choć dla każdego wygrana miała oznaczać coś zupełnie innego. Wielu z nich meldowało się tutaj po raz kolejny – ich twarze pamiętał doskonale, bo miał do tego swoisty talent! Niektórzy mówili, że powinien się zatrudnić w policji albo jako pracownik kasyna. Do policji nie chciał iść, to znaczy chciał, ale strach go obleciał, jak pomyślał o tym, co się dzieje w ciasnych uliczkach gorszych dzielnic. Policjanci nie ginęli, ale mimo wszystko się bał, nie chciał być jednym z nielicznych, którzy polegą na służbie. Co do kasyna to starał się, ale nie dostał posady, a jak już mógł ją mieć, to go to nie interesowało. Paskudna, męcząca, przeważnie nocna robota, a on się dochrapał stanowiska szefa zmiany, miał dobre pieniądze, kierował innymi i nie musiał siedzieć po nocach.

Tego pierwszego pamiętał, był tu trzy, może... Tak był tu cztery lata temu, przyjechał wtedy z całą rodziną, on Amerykanin, reszta Polacy. Majętny klient, trochę wygrał w karty, interesowały go morze, molo i plaża, ale ten drugi... Oj, to będzie dochodowa postać! Typ nowobogackiego Polaka, jak to oni mówią? Zastaw się, a postaw się! Ubierze się taki bogato, a mało gustownie, będzie hałasował, gadał pierdoły, ale w przeciwieństwie do Haasa, bo przypomniało mu się, że ten Amerykanin nazywał się Haas, zostawi tu pełen portfel i coś ekstra. Tu ludzie potrafili przegrać! Kto wie, może to kolejny kandydat do tego, żeby zadyndać nad ranem w alei prowadzącej do Adlershorst³⁰, albo do nieszczęśliwego wypadku, jakim było przypadkowe utonięcie po upadku z mola. Średnio jeden, dwóch takich w miesiącu, a w tym przecież jeszcze nie było takiego przypadku, więc postawny, hałaśliwy Polak wydał się Störlowi

kandydatem na samobójcę. Trzeciego nie potrafił sklasyfikować, ale gdyby miał tak na szybko, to uznałby go za wojskowego. Tak, to pewnie wojskowy, bo wielu ich przyjeżdża z Polski poszaleć w kasynie.

Gdańsk **11 maja 1934**

Cały czwartek goście dochodzili do siebie, bo przyjechali tu samochodem. Nie był to dobry pomysł, koleją było o wiele szybciej i wygodniej, ale auto miało im być potrzebne do skoku na biuro NSDAP.

– Prowadzi pan motor? – Robert Fraj skierował to pytanie do Kosiorka, który został mu przedstawiony jako kierowca.

– Tak – potwierdził ku zadowoleniu gdańszczanina i zaskoczeniu Heńka, ale po pauzie dodał: – Ale tak za kierownik, jak rower, i najchętniej po chodniku.

– Szkoda, bo miałbym dla panów motor, wtedy auto zostałyby pod hotelem i byłoby kolejnym elementem alibi.

– Ale ja prowadzę – powiedział Heniek. – A jaka to maszyna?

– Angielskie BSA.

– Podobno dobre maszyny.

– Bardzo dobre! Ma dwadzieścia osiem koni!

– No to mnie uciągnie – zaśmiał się Kosiorek. – A teraz, jako że nieco zgłodnieliśmy, pokaż pan, gdzie tu można zjeść!

Poszli na Am Brausenden Wasser³¹ do knajpy o swojsko brzmiącej nazwie Kubicki Café International. Mimo ciężkich czasów wybór był duży, trzeba tylko było mieć pieniądze, a oni akurat mieli. Heniek i Robert Fraj zamówili zepeliny, Beniowski rybę, a Mietek Kosiorek wielką golonkę.

– A co tu się pije? – zapytał.

– Piwo! – Odpowiedź Fraja bardzo się Kosiorkowi spodobała.

Kiedy wychylili po kufle artusa i kiedy Kosiorek chciał w przypiływie patriotycznego obowiązku – bo dowiedział się, że założyciel Zjednoczonych Browarów Gdańskich, z których pochodziło piwo, nazywał się Barczewski – zamówić kolejny kufel, wtrącił się Beniowski.

– A może by tak goldwasser?

– Jeśli tak, to chodźmy na Breitgasse³², to pięć minut stąd.

– A czemu tam? – Kosiorkowi przypadł do gustu lokal Kubickiego.

– Bo tam w kamienicy jest Likörfabrik der Lachs, a w niej wszystko, co najlepsze, i goldwasser, i machandel.

Pić w manufakturze likieru! Nawet Mietek Kosiorek, który nie považał „kolorowych wynalazków”, uznał, że to warte zachodu.

Po pięciu minutach byli na miejscu, a przy okazji zobaczyli słynny gdański Żuraw, portowy dźwig stojący nad Motławą. Wnętrze lokalu było bardzo eleganckie, chociaż przywodziło na myśl zaułek – nad barem był wykusz z oknem.

– A co to jest, jakaś panienka z okienka się do nas wychyli? – zaśmiał się Kosiorek.

– Tam jest pokój kierownika, ma dwa okienka, jedno na bar, a drugie na manufakturę – wyjaśnił Fraj.

– Żeby goście grandy nie narobili, a robotnicy nie objali się w robocie. – Kosiorek pokiwał z głową uznaniem. – Niemiecki porządek!

– Gdański, niech pan tak nie mówi przy oberze. – Fraj wskazał potężną postać, która zmierzała w ich kierunku. – Pan Arkadius Onasch to danziger, jak kiedyś większość ludzi w tym mieście.

Ober zapytał, czy chcą stanąć przy barze, czy zająć stolik. Zdecydowali się na to drugie.

– Prosit, panowie! – Beniowski wzniósł toast i nagle zobaczył, że w wódce pływają błyszczące drobiny. – Słyszałem o tym, ale nigdy nie piłem. To jest wyśmienite!

– Skąd takie cudo? – zaciekawil się Kosiorek.

– Z dawnego bogactwa i zwyczaju – wyjaśnił Fraj. – Mieszczanie, jak przechodzili koło fontanny Neptuna, wrzucali do niej złote monety, a że jakiś czas to trwało, to nastąpiła cudowna przemiana wody i złota w goldwasser!

– To ile trzeba trzymać złotą monetę w butelce z wodą, żeby z tego była wódka?

– Tego nie wie nikt, ale wiadomo, że bez pomocy Neptuna raczej nic z tego nie będzie, bo to Neptun z fontanny przez swój trójząb tego dokonał!

– Formalnie lepsza bajka niż ta nasza z bazyliżkiem!

– A jak było naprawdę? – spytał Heniek.

– Ten przepis ma ponad czterysta lat! Przywiózł go tutaj ze sobą menonita Ambroży Vermoolen! W szesnastym wieku zjechał do Danzig z recepturą, i to

niejedną, ale ta podbiła nasze serca i od tamtej pory goldwasser jest trunkiem miasta Danzig!

– Menonita znaczy się Holender? – zastanowił się Heniek.

– Prędszej Niemiec, na początku byli Holendrzy, a później większość z nich z Niemiec przyjechała – powiedział Beniowski.

– Vermoolen to akurat z Belgii, nie pamiętam nazwy miasta, ale wiem, że to teraz Belgia, ja już nieraz tę historię słyszałem – zaśmiał się Fraj.

– Teraz Belgia, a wtedy? Może Niderlandy, a może pod Hiszpanami, tam bałagan był. – Beniowski szukał dat w głowie, ale przerwał poszukiwania, wznosząc kolejny kieliszek. – Prosit!

Ober zachwalał i inne likiery, zwłaszcza machandela, ale Beniowski zakończył dobrze zaczynający się wieczór.

– Wracamy do Zoppot, jutro czeka nas długi dzień.

Langfuhr **12 maja 1934**

Gauleiter z zadowoleniem patrzył na kościół we Wrzeszczu, który był udekorowany czerwonymi flagami i szarfami ze swastykami. Pięknie, aż łyzy cisnęły mu się do oczu, a Rudolf Hess to chyba zauważył! Co tam Hess, co tam ślub tutaj, w Danzig – za parę dni w Berlinie, w Kancelarii Rzeszy przyjmie ich Führer! Tam wezmą ślub, kameralny, nie będzie przecież takich tłumów jak tutaj, nie będzie szpalerów SA i SS, za to będzie Adolf Hitler, który z Rudolfem Hessem uczyni im zaszczyt bycia świadkami.

Ileż honorów spotkało go w ostatnim roku... Wyliczał je sobie w pamięci, odczuwając coś na kształt rozkoszy – powołano go do Pruskiej Rady Państwa, został członkiem Reichstagu, nadano mu honorowe obywatelstwo miasta. A to nie koniec; słyszał, że Führer ma dla niego prezent ślubny. Słyszał, ha, ha, ha, przecież już go nawet widział, bo w Gdańsku nic się przed nim nie ukryje, a już na pewno nie to, że na Bohnsack partia buduje willę. Taaak, to będzie piękny prezent, Führer wie, jak docenić gauleitera Danzig. Musi jeszcze przekonać go do tego, że trzeba się natychmiast pozbyć tego miękkiego durnia Ruschninga. W Freie Stadt Danzig, gdzie rządzi gauleiter NSDAP, nie ma miejsca na kogoś takiego jak żaloszny Hermann Ruschning, który zamiast gonić Żydów i Polaków, popiskuje o równych prawach. To niesłychane, że ten wchodzący polaczkom

w tyłek czopek, jest członkiem NSDAP! Już dzisiaj podczas wesela porozmawia o nim z Hessem.

I o Splecie także, koniecznie. Obiecał przecież wikaremu Splettowi, z Oliwy, od którego wynajmował na początku pokój, że załatwi mu biskupią tiarę. Załatwi! On został najmłodszym gauleiterem, to znaczy, że Carl Maria zostanie biskupem przed czterdziestką! Tak czy owak, nie może być tutaj ktoś, kto jest Polakiem, nazywa się Edward Aleksander O'Rourke! To jakaś kpina, i zrobi z tym porządek. Tak, we Freie Stadt Danzig zapanuje porządek, SA i SS zaczną go wprowadzać od jutra, bo dzisiaj niech chłopcy też mają swoje święto, *Sieg heil! Sieg heil! Sieg heil, heil, heil!!!*

Sopot, Kasino-Hotel

Herman usłyszał, że w sali, w której grano w ruletkę, panowało poruszenie. Właśnie przypadła mu dziś pierwsza od dawna wieczorna zmiana, więc po drodze do hotelu wstąpił do kasyna. Żeby do niego dotrzeć, trzeba było przejść kilkadziesiąt metrów łącznikiem, ale jeden z krupierów był mu dłużny parę guldenów, więc postanowił od razu załatwić sprawę i odebrać dług. Pieniądze żadne, ale Störl słynął ze skrupulatności. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że w kasynie panuje małe zamieszanie. Krupierzy i kelnerzy próbowali uspokoić podpitego gościa z Polski, dokładnie tego, którego typował na zgranie się do końca. Była dopiero ósma, a on już był pod dobrą datą i wychodziło na to, że jeśli się nie zgrał do tej pory, to już tego nie zrobi.

– Dalej mnie jazda, ja nie takie rzeczy w Monte Karolo robiłem! – krzyknął Kosiorek, odtrącając obsługę i próbując się wdrapać na stół do ruletki.

– W Monte Carlo, łaskawy panie – powiedział kierownik sali po polsku, ale jeśli by te słowa przenieść na papier, to musiałyby być zapisane gotykiem, tak mocno niemiecki i żelazny był jego akcent.

– No przecież mówię, złociutki, że w Monte Karolo!

Tym razem, by uniknąć upadku, próbował wejść po krześle, ale zamiast wejść, odleciał w tył.

– Olaboga, kurtka na wacie, ja frunę! Lecę, kurwa, jak pragnę zdrowia, Jezuuuuu!

I to były jego ostatnie słowa. Upadłby, gdyby nie silne dłonie, które chwyciły go pod boki, po czym, ciągnąc po podłodze czubkami lakierków, odstawiły go do

pokoju.

– Bardzo przepraszamy – powiedział Haas, kiedy mijali portiera. – Na co dzień prowadzi takie nudne, uporządkowane życie, a kiedy wyrwie się spod kurateli żony, to...

– Rozumiem, rozumiem, ważne, że Herr Kosiorek nie zrobił sobie krzywdy. – Recepcjonista Störl był bardzo usłużny, a wprowadziły go w samarytańsko-spolegliwy nastrój nie tylko napiwki, lecz także znakomity akcent Amerykanina. W sumie każdemu się zdarza trochę zapomnieć, ale lepiej by było, gdyby ten człowiek, którego wynosili, nie obrzygał pokoju.

Kiedy wydawało się, że po wejściu do apartamentu, który zajmowali Heniek, Beniowski i Kosiorek, ten ostatni zostanie rzucony na łóżko, Kosiorek nagle ożył i zapytał:

– To jak? Dobrze odegrałem małpę?

– Perfekcyjnie! – odpowiedzieli zgodnie kapitan i kasiarz.

Trasa z Wrzeszcza do Gdańska

Wachmistrz Kukulka nie chciał, by go rozpoznali, naciągnął więc czapkę na oczy, postawił kołnierz i udawał, że śpi. Mógł spać, bo było już późno, ludzie wracali z Wrzeszcza do centrum Gdańska, bo nie każdy się załapał na wesele gauleitera. Oczywiście chłopcy z SA i SS oraz członkowie partii popili, mieli to od swojego z dnia na dzień coraz tłustszego gauleitera. Kto wie, może i naprawdę by przysnął, ale przed chwilą Hauptstraße³³ śmignął motocykl, który z wyciem silnika minął tramwaj. *Piękna, silna maszyna* – pomyślał Kukulka.

Gdańsk Hundegasse 52

Obowiązki były podzielone, role rozdane. Beniowski został w hotelu, miał się pojawiać od czasu do czasu na recepcji i prosić o środki na ból głowy, zagadywać recepcjonistę, żalić się na kolegę, który srogo popił. Miał kursować z hotelu do kasyna, robić ruch, przypominać, że ten straszny pijak to członek ekipy, która zamiast się bawić, musi się nim opiekować. Tymczasem zmartwychwstały pijak, czyli Kosiorek pojechał z Heńkiem na robotę. Miał tylko pilnować maszyny,

czekając dwie ulice dalej, całą resztę załatwiał Heniek, mając na świecy³⁴ gdańszczanina Fraja. Wszystko wyglądało prosto i takie było.

Trzymając się planu Libermana, Heniek wszedł do sieni. Miał przy sobie tylko plecak z butlą, maskę gazową, wytrychy i załatwioną przez Fraja broń. Minął wejście do drukarni Gustava Piechowskiego i wspinał się schodami w górę. Stał pod drzwiami biura gauleitera, założył maskę przeciwigazową i przez dziurkę od klucza zaczął wpuszczać gaz usypiający. Teraz był kluczowy moment akcji, jeśli go ktoś nakryje, to nawet browning mu nie pomoże. Jak raz skrzypnęła deska w podłodze, cholera, na pustej klatce schodowej zabrzmiało to prawie jak strzał, i do tego ten syk gazu... Usłyszał, że po drugiej stronie drzwi ktoś się poruszył.

– *Udo, Frank, Holger? Komm herein! Komm!*

Co teraz zrobić? Wygląda na to, że drzwi są otwarte, może by więc wpaść z browningiem i wziąć ich na muszkę?

– *Komm, komm, freunde!* – Głos domagał się, by wszedł. – *Offen!*

Heniek szybko włożył otwartą butlę do plecaka, nabrał przefiltrowanego przez maskę powietrza w płuca i wszedł do środka, mierząc z browninga. Niemiec w brunatnej koszuli z dystynkcjami SS kompletnie zbaraniał, kiedy zobaczył postać w masce przeciwigazowej i z bronią w lewej ręce, a prawą przykładającą do maski w nakazie milczenia. Heniek zbliżał się do niego, licząc na to, że tamten nie zrobi niczego głupiego. Esesman stał, po czym wykonał ruch i... zwał się z hukiem na podłogę. Wtedy z pokoju rozległo się zadane zaspanym głosem pytanie:

– *Was ist das?*

Tu już nie było czasu na jakieś finezyjne zagrywki. Przyczał się przy drzwiach i zadał cios kolbą browninga. W korytarzu leżało już dwóch szturmowców, czyli – jeśli Liberman miał dobre informacje – cała nocna obsada biura gdańskiego gauleitera NSDAP.

Dla pewności sprawdził wszystkie pomieszczenia i okazało się, że jest jeszcze kobieta. Spała i spać będzie dalej, bo podstawił jej pod nos butlę z gazem. Teraz jeszcze ci dwaj, lepiej ich zagazować, uśpić, niż krępować, szkoda na to czasu. Były teraz dwie niesprzyjające okoliczności – po pierwsze nigdy nie pracował w masce przeciwigazowej, po drugie tamci się tutaj kogoś spodziewali. Zamknął drzwi wejściowe na zasuwę i ruszył do kas. Pierwsza „panna z posagiem” była faktycznie dość łatwa. Popracował wytrychami i po paru minutach miał plecak wypełniony dokumentami. Teraz druga „panna”, która powinna mieć flotę. Tu musiał użyć czterech cyfr kodu, przygotował się do tego starannie, miał nie tylko

stetoskop, lecz także spisane na kartce kombinacje, które zaproponował Beniowski.

0962 – Otton I koronuje się na cesarza *Heiliges Römisches Reich*³⁵.

1871 – wygrana wojna prusko-francuska, zjednoczenie Niemiec.

1889 – urodziny Hitlera.

– No to jedziemy – powiedział sam do siebie – Zero-dziewięć-sześć-dwa... dupa – syknął. – To może spuszczenie łomotu Francuzom i II Rzesza? Jeden-osiem-siedem-jeden... Też nie! Ostatnia szansa i trzeba zakładać stetoskop.

Ustawił jeden, potem osiem, następnie...

Z dołu rozległ się wrzask, ktoś śpiewał tę parszywą hitlerowską piosenkę.

Robert Fraj zauważył ich, gdy wylaniali się z za rogu Bertholdsche Gasse³⁶, szybko się zorientował, kim są, że to członkowie SS wracają ze ślubu wodza, więc musi teraz gwizdnąć, ale chyba nie są tacy głupi, tak zamroczeni wódką i piwem, by nie pojąć, że stoi na świecy. Trzeba odwrócić uwagę i równocześnie ostrzec, ale tak, żeby się nie połapali, w czym rzecz. Miał już gwizdnąć, gdy nagle olśniła go myśl, już wiedział, co zrobić!

Die Fahne hoch! Die Reihen fest geschlossen!

SA marschert mit ruhig festem Schritt.

Kam'raden, die Rotfront und Reaktion erschossen,

Marschier'n im Geist in unser'n Reihen mit.

Darł się na całe gardło i szedł marszowym krokiem, tupiąc jak koń. Zamurowało ich, ale tylko na chwilę. Ten największy, blondyn z zakolami ryknął jak syrena okrętowa:

– Zamknij się, ty czerwona kurwo!

– Jestem Polakiem – zaśmiał się.

Zamurowało ich po raz drugi i to była ostatnia chwila na to, by wiać; narobił hałasu, a teraz musi ratować skórę i odciągnąć tych dupków z Schutzstaffel jak najdalej od biura gauleitera. Ruszył więc biegiem, a oni za nim, był trzeźwy i nie miał za sobą wyczerpującej nocy, więc utrzymywał bezpieczną przewagę.

Heniek rozpoznał, że tym nocnym krzykaczem jest Fraj.

Chorągiew wznies! Szeregi mocno zwarte!

SA to marsz: spokojny, równy krok.

A rozstrzelani przez komunę i reakcję

Są pośród nas, i dumny jest nasz wzrok.

Może jeszcze zdąży. Jeden, osiem, raz jeszcze osiem i dziewięć. Alleluja, Adolf Hitler jest jego panem i miłością! Panna poddała się oblubieńcowi, drzwi się otworzyły, ale z dołu dochodziły niepokojące odgłosy.

– Zamknij się, ty czerwona kurwo!

A zaraz potem:

– Jestem Polakiem.

Później był już tylko tupot nóg, chłopak odciągnął ich, pobiegli za nim. Wyjął pieniądze z kasy, zawiązał plecak, schował browninga tak, by móc jak najszybciej go wyjąć, i ruszył w dół. Ulica była czysta. Oby mu się udało, musi się udać, tamci chrypieli jak pijacy, więc nie ma mowy, żeby go dogнали.

Robert nie forsował tempa, by goniący zbyt szybko nie zrezygnowali, stał się ich odciągnąć, a nie zgubić. Dobrze, że nadeszli od Bertholdsche Gasse, bo mógł uciekać nie w kierunku Krowiej Bramy i Motławy, tylko w kierunku torów, tam ich zgubi. Spojrzał w tył, wyraźnie słabli, odwrócił głowę z powrotem i... dostał w dyńkę, nie stracił przytomności, tylko go zamroczyło. Wstał, ale zatoczył się jak pijany, wszystko przez to, że nie zauważył szyldu, który opadł, przydzwonił o niego głową i zanim się pozbierał, doszli go, dostał raz i drugi, zawlekli go w jakiś zaułek.

– Chodź, polaczku, zrobimy ci pamiątkę!

Wierzgał, miotał się, ale jedyne, co ugrał, to parę strzałów z piąchy na uspokojenie, kop w nerki i podarta koszula. Skończy jak ten Jerzyk, ze swastyką na piersiach.

– Co, Holger, chcesz ozdobić tę polską świnię jak tego marynarzyka? – zarechotał łysy.

– No tak, *mein Hauptscharführer!* – służbiście odpowiedział brunecik, który miał ochotę pociąć Roberta nożem.

– Słaby pomysł – skrzywił się łysy, którego brunecik tytułował *Hauptscharführerem*.

– A co lepsze, wsadzić mu pogrzebacz w dupę? – zaśmiał się podgolony blondyn. Trzymał w ręku żelazny pręt, który, skoro miał taki pomysł, musiał być pogrzebaczem.

– Z pogrzebaczem w dupie byłby cacy. I to jest dobry pomysł – zarechotał Hauptscharführer – ale pogrzebacz w dupie nie wyklucza swastyki na klacie!

– Jak mu wsadzimy pogrzebacz w dupę, to zdechnie, a on ma słać niemiecką Rzeszę i jej wodza Adolfa Hitlera. Martwy się do tego nie przyda, ze swastyką w miejscu, w którym miał ją ten marynarzyk, też nie. Przecież założy podkoszulek, koszulę, kapotę, cokolwiek i efekt znika – skrzywił się brunet.

– O kurwa... – zawył z podziwu łysol i przerzucił nóż z lewej do prawej ręki. – O kurwa! Wytniemy mu swastykę na czole – ucieszył się!

– Ale w dupę bym mu coś wetknął, bo to nie tylko złodziej, ale i kurwa. – Typ z pogrzebaczem nie ustępował.

– Możesz mu wtykać, co chcesz, tylko pamiętaj, że jesteśmy z SS, a nie z SA – zaśmiał się łysol i po chwili cała trójka rechotała ze śmiechu.

– Co by mu wetknęli ci z SA, to wiadomo – zanosił się podgolony blondyn, wymachując pogrzebaczem. – Jasna sprawa, że każdy jeden by mu to zrobił! – zaśmiał się, po czym dodał: – Ale my nie jesteśmy pedały Röhma!

– Nie, z nimi trzeba będzie skończyć – powiedział łysol, kiedy już przestali się śmiać.

– Ale jak już mam pogrzebacz, to mogę go pięknie wykorzystać, no inaczej trochę. – Blondynek był mocno przywiązany do kawałka żelaza, który trzymał w ręku. – Rozpalmy ogień, rozgrzałbym ten pręt i przypalił mu rękę, żeby się nauczył szacunku!

I to było ostatnie, co powiedział, bo dostał potężny cios w głowę, dwaj pozostali zdążyli zareagować, ale nie przyniosło im to żadnej korzyści. Postać, która wyłoniła się z ciemności, młóciła powietrze jak jakaś maszyna.

Zapłonęła zapalniczka, ten ktoś był postawnym, silnym mężczyzną, który wyglądał na gościa z freikorpsu albo bojówkarza. Nie był jednak żadnym z nich, bo nie pobiłby esesmanów.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Bo ten, Udo Apfel – wskazał na Hauptscharführera – to gwałciciel, ale od roku gwałciciele w takich wdziankach czują się bezkarni.

Hauptscharführer Udo Apfel jęknął, chciał coś powiedzieć, ale Kukulka dał mu kopniaka pod żebra. Zamiast mówić, esesman z trudem łapał powietrze.

– Pojechałem do Wrzeszcza, żeby sprawdzić, jak się prowadzicie. Dawno nie było żadnego gwałtu, a dzisiaj była okazja do wypitki, wy lubicie najpierw dodać sobie odwagi, nieprawdaż?

Wachmistrz Kukulka nie był zainteresowany odpowiedzią, bo znów kopnął esesmana, ten jęczał i łapał powietrze, policjant ciągnął:

– W pewnym momencie mnie rozczarowaliście, bo ja wziąłem dzień wolny, a tu – rozłożył ręce – trójka Hauptscharführera Apfela idzie do biura pana młodego! Prawda, że pięknie wyglądał w tym jasnym mundurze? Obciągnąłbyś mu, i Hitlerowi też, prawda?

I znów uspokajający kopniak, i znów Udo Apfel był jak wyciągnięta na brzeg ryba.

– Inaczej sobie to wszystko wyobrażałem, ale nie mogę narzekać, tak też jest całkiem miło. Twoi kolesie są teraz nieprzytomni, więc może powiesz mi coś, czego byś się wstydził w ich obecności?

– Poża... – Apfel nie dokończył bo Kukulka zatkał mu usta i jednocześnie ukarał za pyskowanie przypaleniem policzka. Gdyby nie silny ucisk, to wrzask Apfela doleciałby aż nad Motławę, bo Kukulka nie przyłożył żarzącego się papierosa na chwilę, tylko wypalał nim dziurę. Udo Apfel wierzgał nogami, ale wachmistrz przestał dopiero wtedy, kiedy papieros zgasł.

– Coś mówiłeś? – zapytał Hauptscharführera, który był już na granicy omdlenia z bólu.

– Że nie zrobiłem tego sam...

– To wiem, wiem – mówił łagodnie Kukulka, jakby chciał go zachęcić do jakichś romantycznych wyznań. – Było was trzech, ale Ruta rozpoznała tylko ciebie, a ci dwaj pozostali?

– To oni. – Apfel spojrzał w kierunku Franka Pastörsa i Holgera Franza, którzy zaczęli dawać jakieś oznaki życia.

– No, brawo, bardzo mi pomogłeś! – To mówiąc, poklepał esesmana otwartą dłonią.

– Wszystko odwołam – wychrypiał. – Gauleiter cię załatwi, wyruchamy twoją żonę, a ty zgnijesz w pierdłu!

– Nie mam żony – odparł Kukulka, który po zakończeniu przesłuchania stał się innym człowiekiem.

– No to twoją siostrę!

Kukulka nie odpowiedział nic, tylko wymierzył Apfelowi siarczysty policzek,

a ten, zamiast zawyć z bólu, zwalić się na ziemię, wyskoczył nagle w górę, jakby wyprostowały się pod nim jakieś sprężyny, błysnęło ostrze noża, który wyciągnął z cholewy buta, Kukulka jęknął z bólu.

– Teraz – krzyknął Apfel. – Teraz! – rzucił do swoich towarzyszy.

Pastörs poszedł, a raczej popełził mu na pomoc, a zamroczony Franz próbował stanąć na nogach, przy czym wyglądał jak pijany goryl. Kukulka odskoczył Pastörsowi, który chciał go chwycić za nogi, doskoczył do Franza, zrobił unik przed jego anemicznym ciosem, po czym pchnął go z całej siły na Apfela, który zamierzał wbić Kukulce nóż, ostrze nie trafiło jednak wachmistrza, tylko utkwilo w plecach Holgera. Tymczasem pobity przez esesmanów Fraj przyłączył się do walki, wziął w rękę pręt, który Frank Pastörs obiecywał mu wsadzić w tyłek, i kiedy Niemiec chciał doskoczyć do Kukulki, potężnym ciosem rozplątał mu czaszkę, bryzgnęła krew z drobinkami kości i mózgu. Apfel nie zdołał ponowić ataku, bo ledwie zdążył wyciągnąć nóż z ciała Holgera Franza, Kukulka użył kolby pistoletu, po raz drugi w ciągu sekund rozległ się nieprzyjemny trzask pękającej kości.

– Zabiłem go! – powiedział, ale zupełnie bez żalu w głosie Fraj.

– Pewnie tak... – mruknął Kukulka. – Pewnie tak, chłopaku, tym dwóm też chyba nic nie pomoże. – Pochylił się nad leżącymi szturmowcami. – Ten jeszcze zipie, ale kolega trafił go w wątrobę, to koniec, Apfel też się nie wywinie sprawiedliwości, minuta, dwie i dołączy do Horsta Wessela, a tego trzeciego to już nawet nie ma co oglądać, jak się widzi mózg, to znaczy że po wszystkim.

Od drgających ciał bił przeraźliwy smród, Kukulka o mało nie zemdlął.

– Posrali się, tak wygląda śmierć, nie ma w tym nic wzniosłego.

– Co teraz? – Dopiero teraz zaczęło docierać do Fraja, co się stało. – Uciekamy!

– Stój, nie uciekaj, bo cię będą gonić – powiedział spokojnie Kukulka. – To oni muszą uciekać, to znaczy jeden z nich. Najlepiej, jak to będzie Apfel, a już idealnie, żeby mu się udało.

Kukulka wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wyjął z zastygającej dłoni Hauptscharführera Apfela nóż, którym przypadkiem ugodził kolegę.

– Co pan chce zrobić?

– Chcę... – zamyślił się – zrobić smutny finał pijackiej burdy, w której trzech morderców-gwałcicieli pozabijało się nawzajem.

– Co takiego zrobili?

– Zgwałcili kilka Polek i Żydówek, z których dwie nie przeżyły, ale gauleiter

Forster dał im alibi i wyciągnął Apfela z celi, a zwolennicy NSDAP z Prezydium Policji ukręcili sprawie łeb. Wyglądasz mi na tutejszego, to ci chyba nie muszę tłumaczyć.

– Co dalej?

– Dalej to trzeba pozbyć się trupa Apfela. Obciążymy go nieobecnością, skoro go nie ma, to przeżył, tak uznają śledczy, a jeśli żyje, to wtedy powinien się zgłosić na policję. Nie zgłosi się, bo jest mordercą i ucieknie, my go „uciekniemy”. Nie będzie trudno, elegancki jest, nie krwawi. Musisz mi pomóc, koniecznie, bo widzisz, ja mam za duże stopy.

– Co mam zrobić?

– Zdejmiemy Hauptscharführerowi buty, wyczyścimy ślady, a ty w tych butach zrobisz ich tyle, ile trzeba, żeby wyglądało na bójkę. Jego wrzucimy tam, gdzie go nikt nie znajdzie, a nóż porzucimy tak, żeby nie był za bardzo na widoku, ale żeby ktoś go znalazł. Rozumiesz?

Fraj kiwnął głową.

– Tylko mi się nie porzygaj, bo popsujesz cały ten misterny plan.

Pod sklepem Kukulka zobaczył stragan na dwóch dużych kołach, pomajstrował przy kłódce i po chwili był posiadaczem całkiem wygodnego wózka do wożenia trupów. Odciągnie go w jakieś dyskretne miejsce, sprowadzi auto, co to dla niego, a potem podwiezie martwego pasażera gdzie trzeba. Ma na to całą noc.

Gdańsk **Okolice fabryki margaryny**

Taksówkarze i dorożkarze czekają na postojach, a on, rybak przemytnik Alojz Koljaczek, miał swoje miejsce na Martwej Wiśle, w zatoczce niedaleko fabryki margaryny Amada. Tam, jeśli był ostrożny – a był, i nie chciał się rzucać w oczy – niczego więcej nie pragnął, podłączał się pod bałagan i bezkarność niemieckich szmuglerów z NSDAP. Hitlerowcy mieli tu swój kanał przerzutowy przede wszystkim broni, ale i wszystkiego, co mogło dać zarobić SS- i SA-manom. Tu nie było drobiazgów takich jak na lądowej granicy, żadnego masła, kielbas, owoców, które były w Polsce o wiele tańsze. Oni podobnie jak Koljaczek celowali w alkohol i papierosy, ale prawdziwe pieniądze robili na morfinie. Prezydium Policji udawało, że o tym nie wie, i żeby przypadkiem nie wyszło na to, że

czegokolwiek może się dowiedzieć, pracujący w policji rezydent Abwehry Oskar Reile zadbał o to, by te okolice patrolowali tylko zaufani ludzie. W praktyce oznaczało to, że trzymali się oni od Amady i tego fragmentu Martwej Wisły z daleka, a ich rolą było przede wszystkim utrudnianie życia polskiej służbie celnej. Alojz nie wchodził im w paradę, jego mała łódź nie rzucała się w oczy, miał klientów, którzy wiedzieli, gdzie go szukać. Tej nocy zdębiał, bo z krzaków wyszedł człowiek, który nie powinien się tu pojawić – wachmistrz Kukulka z Kripo.

– Czego chcesz? – zapytał na powitanie.

– Słaty długu.

Tego się mógł spodziewać, bo kiedyś Kukulka mu odpuścił, nie wiedział dlaczego, czasem mądrzy gliniarze odpuszczają płotkom, po to, żeby złapać rekiny. Ale takich jest niewiele, częściej skurwiel woli złowić całą sieć drobnicy, żeby się wykazać łatwym sukcesem albo dla podtrzymania sztamy z rekinami, zwykle chodzi o jedno i drugie. Kukulka taki nie był.

– To wiem, ale czego chcesz, co mam zrobić?

– Chcę, żebyś zabrał coś na morze i tam to zostawił. W sieci, porządnie obciążone. Rozumiesz?

Nie pytał, rozumiał, a kiedy worek z ludzkimi zwłokami spoczął w łodzi, wachmistrz powiedział na do widzenia:

– Nikt, kogo byś choć przez chwilę pożałował. Jesteśmy kwita, Koljaczek.

Wpłynął w mrok Martwej Wisły, dzisiaj był tu sam, ci z NSDAP mieli swoje święto, tej nocy bawili się na weselu swojego gdańskiego wodza.

Kiedy wypłynął daleko od brzegu, rozwiązał worek, bo był ciekawy, kogo ma się pozbyć. Jeśli mundur był jego, to nie żałował nawet przez chwilę. Dorzucił ciężarków, zamotał w sieć, wyrzucił za burtę i splunął.

Abell miał wrażenie, że Kukulka wie coś więcej o tej sprawie. Znał go na tyle dobrze, że wyczuwał w nim coś dziwnego, czego nie potrafił określić dokładniej ponad to, że był inny niż zwykle. I sprawa też była inna niż zwykle. Na miejsce przyjechali najważniejsi ludzie z Prezydium Policji, pojawił się nawet osobiście gauleiter Forster oraz jego weselny gość Rudolf Hess. Stali z boku, byli wyraźnie poruszeni, ale nie było w tym wzruszenia czy żalu z powodu śmierci Rottenführera Holgera Franza i Sturmanna Franka Pastörsa oraz zaginięcia Hauptscharführera Udo Apfela. Była w nich złość, a nawet wściekłość, o której

przyczynach radca kryminalny Abell dowiedział się dopiero kilka tygodni później. NSDAP nie udało się zatuszować do końca kompromitującego zdarzenia, jakim było okradzenie kasy przez trójkę członków Die Schutzstaffel der NSDAP. Cała trójka tego piła na weselnym festynie, później poszli odwiedzić kolegów, którzy wylosowali wartę w biurze. Obu – młodego anwärtera Thielen i starego kamrata Scharführera Mussnuga znaleziono zatrutych jakimś gazem. Coś bredzili, niewiele pamiętali, Thielen głądził coś o człowieku w masce przeciwigazowej – to jasne, że musiał mieć maskę, inaczej padłby obok nich, Mussnug i dziewczyna z Bund Deutscher Madel³⁷, którą sobie sprowadzili, nie pamiętali zaś kompletnie nic. Nie trzeba było jednak specjalnej przenikliwości, by odtworzyć przebieg wydarzeń. Pastörs, Franz i Apfel włamali się do kasy, zabrali papiery i kosztowności, a później przy podziale łupów Apfel postanowił zgarnąć pełną pulę. Nie wiadomo było tylko, czy był to zwykły rabunek, czy też Hauptscharführer Udo Apfel był agentem polskiego albo sowieckiego wywiadu.

Jurata **23 maja 1934**

Po skoku zafundowali sobie dwutygodniowe wiosenne wakacje w Juracie. Robert Fraj powoli dochodził do siebie, a Kosiorek odnalazł przyjemność w chodzeniu boso po plaży. Buty związał sznurówkami i powiesił na szyi, spodnie zawinął i brodził kilometrami wzdłuż brzegu. Heniek postanowił, że latem Miecio będzie mógł zabrać tu żonę i córkę. Kiedy mu o tym powiedział, to Kosiorek prawie zaczął skakać z radości, nie przypuszczał, że sprawi mu tym taką frajdę. Z kolei Samuel Liberman, choć przypadająca mu suma trzydziestu tysięcy złotych przewyższała to, czego się spodziewał, to jednak czymś się smucił.

– Czemu pan kolega taki skwaszony? – zapytał Heniek, kiedy Liberman wpadł do niego zainkasować swoje pieniądze.

– Jest wiele powodów – uśmiechnął się. – To, co się wyprawia, jest smutne jak cholera. Smutne i przerażające. To, co z Żydami robią w Niemczech i tam – wskazał w kierunku zatoki – w Gdańsku, to jakiś sen straszny, koszmar. Dlatego ja miałem te wszystkie informacje, bo każdy Żyd, każdy Polak chce zaszkodzić ten gauleiter. To szatan i ja żałuję, że my nie mogliśmy zrobić tego tak, żeby go zabić. – Machnął ręką i smutnymi oczyma popatrzył na Heńka. – Czy to samo będzie w Polsce?

Heniek nie potrafił mu odpowiedzieć, ale widział, co się wyprawia, że po śmierci Marszałka jego zwolennicy zaczęli się kumplować z narodowcami i mówić jak oni, a ci narodowcy, którzy nie chcieli przystąpić do Czwartej Brygady, poszli w swojej nienawiści jeszcze dalej i coraz głośniejsze zachwycali się Hitlerem.

– Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy – ni stąd ni z owąd pożegnał się z Libermanem słowami Piłsudskiego.

Jeszcze tego samego dnia spotkał się z Żychoniem i Beniowskim. Umówili się w Lido, bo tam połączenie telefoniczne było lepsze niż z większości poczt w Polsce. W końcu przez Juratę prowadziła linia telefoniczna, która obsługiwała także rezydencję prezydenta, a stałymi gośćmi lokalu byli Smosarska, Kiepusa, Bodo, siostry Halama oraz politycy i generałowie. Odwiedził to miejsce także Marszałek, co skończyło się tak, jak w przypadku setek zajazdów napoleońskich, które swój przydomek wzięły od tego, że cesarz Francuzów, wiejąc spod Moskwy, przejeżdżał koło nich galopem. Tak samo było z Marszałkiem – gdyby nocował i jadał w miejscach, które się do niego przyznawały, to pewnie zabrakłoby dni w jego życiorysie na pobyt w carskich więzieniach.

– Bardzo udana akcja – powitał go Żychoń. – Dopiero teraz nam się pięknie rozwinęła i spuentowała. Oni myślą, że to Sowietom, bo polskiego wywiadu nie byłoby stać na taką akcję. A swoją drogą, to ten wachmistrz Kukulka, załatwiając swoje porachunki, oddał nam bezcenną przysługę! Najchętniej bym go odznaczył, jakoś nagroził, pogratulował, ale nie wiem jak! Poza tym jakbym mu powiedział, że przy okazji pomógł polskiemu wywiadowi, to chyba nie byłby szczęśliwy.

– Mam pewien pomysł – powiedział Heniek – tylko niech pan ustali jego adres.

Żychoń powiedział, że pomoże, a Heniek wyjaśnił, jaki ma plan.

Gdańsk

3 czerwca 1934

Robert Fraj czekał na niedzielę z utęsknieniem. Trzymać w domu dwieście funtów to nie lada jakie wyzwanie i pokusa. Góra pieniędzy! Ponad trzy tysiące gdańskich guldenów albo ponad pięć tysięcy złotych polskich, jakieś cztery lata pracy listonosza, w którego miał się dzisiaj zabawić. Trochę go obleciał strach, ale bał się nie o swoje pokusy, lecz o postęпки innych. Najbardziej Niemców

w brunatnych koszulach, bo ataki na Polaków i Żydów stawały się coraz częstsze. Miał na początku plan, by wziąć dyżur za któregoś z listonoszy, ale mundur już nie chronił, wprost przeciwnie, ludzie z Poczty Polskiej pracowali w ciągłym napięciu. W niedzielę, kiedy ludzie siedzieli w kościołach, ruch był mniejszy, mógł uniknąć wścibskich oczu sąsiadów. Wyszedł z domu z wsadzoną za pazuchę kopertą, w której było dwadzieścia dziesięciofuntowych banknotów. W kościołach biły dzwony. Kiedy podszedł pod drzwi Kukulki, szybko się rozejrzał i wcisnął kopertę w szparę w drzwiach. Wtedy usłyszał, że z wnętrza dochodzi jakiś odgłos. Nie czekał, co będzie dalej, puścił się biegiem, ale nikt go nie gonił.

Tapiau³⁸, Prusy Wschodnie **Szpital dla psychicznie i nerwowo chorych**

8 czerwca 1934

Die Provinzial-Heil- und Pflegeanstalt Tapiau, Okręgowe Sanatorium i dom opieki w Tapiau – tak brzmiała oficjalna nazwa ich zakładu, ale prawda była taka, że przez mieszkańców pruskiego miasteczka zespół ceglanych budynków nazywany był nie inaczej jak Psychiatrisches Krankenhaus. Szpital psychiatryczny to też nie była najgorsza nazwa. Najbardziej pasowała Dom dla obłąkanych. Siostra Birgit miała czasem dość tej pracy, przechodzenia przez korytarze grozy, patrzenia na postacie, na których widok ludzie w sali kinowej krzyczeli ze strachu. Ci niebezpieczni, bo i tacy się trafiali, skrępowani byli pasami, odizolowani, aby nie zrobili krzywdy innym lub sobie. Dla wielu potwory, dla niej nieszczęśliwi ludzie, nieuleczalnie chorzy, którzy przeżywali tu swoje piekło na ziemi. I ci agresywni, o skłonnościach do autodestrukcji, i ci bezradni, jak zagubione, niepotrafiące przeżyć bez pomocy dzieci. A czasem nawet nie dzieci, ale duszyczki, które poziomu dzieci nigdy nie osiągnęły. I była też ich arystokracja z Tapiau – stara Helga, która uważała się za carycę Katarzynę, i dla odmiany jej protagonistka młoda Leni – Róża Luksemburg. Był jak pewnie wszędzie Rudolf Valentino, była i Mata Hari, która się bała rozstrzelania i próbowała emablować odkrytą piersią pielęgniarki, w których widziała więziennych strażników. Był swojego czasu i Charlie Chaplin. Zawsze, odkąd pracowała tu Birgit, był wśród pensjonariuszy jakiś Napoleon, a bywały chwile, że urzędowało naraz nawet dwóch Bonapartów. Ostatnio trafił tu Adolf

Hitler.

Czy i jego wysterylizują? Coraz głośniej się o tym mówi. Zapyta o to doktora Fabriciusa, który jeździ często nie tylko do Danzig, lecz także do Königsbergu, a przy okazji powie mu, kto wysłał tę tajemniczą kopertę, w której było dwieście funtów! Dwieście funtów to majątek, który bardzo się przyda szpitalowi i warto byłoby za niego podziękować, tyle że darczyńca był anonimowy. Był, ale już nie jest. Porównała zapiski, zestawiała dokumenty i ma pewność, że te wielkie pieniądze подарował im wachmistrz Kukulka.

Piękny gest, tylko jak go było na to stać?

Jurata Lato 1934

Do Lido w Juracie Heniek wrócił latem, z okazji rodzinnych wczasów. Chodził tam na kawę i nie tylko, bo zjechała prezesowa Leszczycka. Było miło. Już nie tak miło, ale także sympatycznie było, kiedy spotkał tego pisarza Dołęga-Mostowicza. Nie wytrzymał i przysiadł się do niego w kawiarnianym ogródku.

– Pobjemy trochę grochem o ścianę?

– Zna pan moją rubrykę³⁹?

– Wiem, że jest. Czytam pana powieści, lubię je, nie wszystkie, ale za felietonami nie przepadam.

– Czemu?

– Może się uprzedziłem, zanim zacząłem?

– Czemu?

– Jedna z moich przyjaciółek powiedziała, że narzeka pan na życie rodzinne, że domy przypominają hotele... Pańska rodzina jest inna?

Dołęga-Mostowicz uśmiechnął się tylko.

– Celne, bolesne nawet...

– Bo pan nie ma rodziny, prawda?

– Pan chyba też jej nie ma?

– Ale ja nie krytykuję innych, nie pouczam.

– Ktoś musi. – Dołęga-Mostowicz powiedział to bez cienia wahania, z taką pewnością jak ksiądz, który mówi z ambony o czystości, myśląc równocześnie o swojej gosposi.

– Jest pan jak klecha, nie ma pan rodziny, z celibatem na bakier, ale udziela pan cennych rad.

– Robię to, co uznaję za stosowne.

– Ja także, dlatego nie czytam pańskich felietonów.

– A ja pańskich! – Dołęga-Mostowicz postanowił obrócić wszystko w żart.

– W sumie to nie powinienem pana krytykować, ale raczej dziękować – powiedział Heniek, jednocześnie dając znak kelnerowi. – Wybawił mnie pan z kłopotu.

– A to z jakiego? – zdziwił się pisarz.

– Miałem pewien interes, którego nie potrafiłem się pozbyć, a przy okazji pozbyłem się jeszcze jednej rzeczy.

– Pan wybaczy, ale nie rozumiem!

– Przepraszam, ale straciłem głowę, zaczepiłem pana, bo go doskonale znam, każdy pana zna, ale pan mnie nie musi. Nazywam się Henryk Haas, byłem właścicielem Ameryki!

– To pan?!

– Tak to ja, człowiek, z którego zrobił pan Jana Winklera.

– Rozumiem, ale to czysty przypadek, ja zacząłem pisać, jak pan jeszcze nie prowadził lokalu.

– I już go dzięki panu nie prowadzę, trochę mnie to wszystko męczyło, to zagładanie do mojej łóży, a czasem bezczelne pytanie, czy jest Załkind!

– To akurat wiem – uśmiechnął się Dołęga-Mostowicz – ale panu nie powiem!

– Ten lokal... ja się tam uwikłałem w parę spraw. – Heniek zrobił znaczącą minę. – Pan rozumie... A do tego dochody nie były zbyt imponujące.

– To był dość głośny lokal, niech pan nie mówi, że to nie był dobry interes!

– Tylko wtedy, kiedy tuż przed ostatnią gwiazdką film wszedł na ekrany. Karnawał był mój, trochę się odkułem, ale ta szczególna popularność mi nie odpowiadała. Reputacja gangstera i gwałciciela to nie jest to, o czym się marzy, i trzeba było to sobie po dwóch latach jasno powiedzieć, ale gdyby nie powieść i film, to pewnie dalej bym w to brnął, bo wszyscy mnie klepali po plecach i mówili, że to dobre miejsce. Tak, to było dobre miejsce, tylko każdy miesiąc działalności Ameryki kosztował tysiąc złotych. Razem z wkładem w urządzenie lokalu straciłem parędziesiąt tysięcy, ale chciałem jak hazardzista odegrać się i postawić na swoim. Jak publika zaczęła się rozpytywać o właściciela lokalu Winklera, to postanowiłem sobie dać z tym spokój. Taki rozgłos nie był mi

potrzebny.

– Sądzi pan, że jak któryś aktor zagra doktora, to ludzie go będą zaczepiać na ulicy i prosić o recepty?

– Ja myślę, drogi panie, że jak się trafi aktor, którego ludzie skojarzą z księdzem, to będą prosić o poradę duchową i spowiedź, zwłaszcza panie, ale pod warunkiem, że będzie przystojny.

Zaśmiali się obaj, bo zabawne to było, ale pisarz się zamyślił i spytał:

– A ta druga rzecz, której pan się pozbył?

– Wąsy! Zdaniem publiczności Winkler nie miał wąsów!

– Zdaniem publiczności to inaczej powinienem poprowadzić tę historię, sąsiedzi pukali do mojego mieszkania i prosili, żeby Winkler poniechał Julki. Oni się bali tego, co się stanie, ale byłem niezłomny! To ci odważniejsi, bo inni składali prośby przez pokojówkę... O ulicy, kawiarniach, kinie już nie wspomnę, każdy tę książkę chciał za mnie dokończyć.

– Pewnie najbardziej ci z Ziemiańskiej?

– Nie považam tego miejsca, bo tam mnie nie szanują. Wyniośli zazdrośnicy! Moraliści od siedmiu boleści! Krytykują mnie zresztą wszyscy, z każdej górki, półpięterka i ważnego stolika z jedynie prawdę mówiących kawiarni. A każdy za co innego, ostatnio za takich silnych ludzi jak pan! Piszą, że to, co robię, jest amoralne, że ludzie zamiast się brzydzić, kibicują łajdakom, którzy są bohaterami moich powieści, że uczę ludzi wszetecznego, przestępczego życia, wskazuję drogę, a raczej manowce, przez które odurzeni atrakcyjnym złem czytelnicy będą szli na skróty do majątków i karier.

Widać było, że wspomnienie świątka literackiego zdenerwowało Mostowicza, ale nagle się odprężył i zaśmiał.

– Ktoś ich pięknie opisał, ten Jack Strong i seria o agencie Kovalu, bardzo smakowite, zwłaszcza Fiszer! Szkoda, że przestali, szkoda, że ich nie mogę wyściskać i wypić bruderszaft.

– Wystarczy, że wzniesiemy toast – zaproponował Heniek. – Ja też bardzo cenię tę serię, choć gdzie Kovalowi do Dyzmy!

Kończyli już rozmawiać, kiedy pojawiła się Stefa, przeszła obok i pomachała, była z jakimś młodszym towarzystwem.

– Piękna kobieta! Kto to jest? – żywo się zainteresował pisarz. – Pańska kochanka?

– Skąd, to siostra.

– Przedemną nie musi pan udawać – zaśmiał się Dołęga-Mostowicz.

– To siostra – powtórzył, wstając od stolika i ściskając rękę na pożegnanie – czy pan chce w to wierzyć, czy nie.

Sam by pewnie sobie nie uwierzył, ale tak było! Jego siostra była już dorosłą i samodzielną osobą i przyjechała tu na wakacje. Na razie sama, jutro ma dojechać Kazimierz Majewski, kierownik szkoły, w której pracuje. Przyjedzie, żeby oficjalnie poprosić go o rękę Stefy, bo jej już się oświadczył, a ona oświadczyły z radością przyjęła. Ich ojciec nie żyje od czternastu, a matka od dziewięciu lat, więc to Heniek jest głową rodziny i on pobłogosławi ten związek.

Ślub Stefy i Kazimierza miał się odbyć w październiku, więc wrzesień Heniek zamierzał poświęcić na urządzenie się w Prudentialu. Prawie wszystko było gotowe, tylko nie było jeszcze lokatora, który chciał się wprowadzić, gdy wszystko będzie dopięte na ostatni guzik. Za projekt odpowiadała panna Glock, i była z niego bardzo dumna, Poldkowi też się podobało, chociaż znajdował w lokalu Heńka słabe punkty.

– Piękne mieszkanie, bez przepychu... – Poldek zrobił żalostną minę kogoś, kto coś utracił. – Bo ja nie mogę się oprzeć starym przyzwyczajeniom. Podoba mi się twoje mieszkanie, uwielbiam je, ale kocham też apartament Waszyńskiego. Filmy Michała⁴⁰... cóż, kwestia gustu, ale ten przepych jego apartamentu! Żyrandole, marmury z Carrary, no i ci kamerdynerzy tacy przystojni!

– U mnie nie ma kamerdynerów!

– I dlatego wolę lokum Waszyńskiego, ale od ciebie widok przedniejszy.

Kamerdynerów u Heńka nie będzie, i nie będzie też, przynajmniej na razie, żadnej stałej lokatorki. Z doskoku również, bo Irena przyjechała do Warszawy tylko po to, żeby się przepakować i wyjechała do Zaleszczyk. Korciło go, by wyruszyć za nią, ale pojechała tam z mężem, który na polskiej Riverze załatwiał jakieś ważne interesy z kontrahentami z sąsiedniej Rumunii. Trudno, co zrobić, trzeba będzie poczekać na powrót Aldony, która w Wenecji już chyba zapuściła korzenie.

Kiedy szedł hallem do drzwi wejściowych, portier podał mu telegram, który przyszedł niemal przed chwilą.

Włosi są tacy nudni STOP Przyjedź do Wenecji STOP Jestem tu do połowy października STOP Aldona STOP

Włosi się jej znudzili. Pod koniec sierpnia! Bo przecież jest tam od marca, więc nic dziwnego! I pewnie nie tylko Włosi. Pół świata tam zjeżdża, sama tak mówiła.

Odku! się, znów go było stać na wiele – kupił więc bilet lotniczy do Wenecji – brawo LOT! – i poleciał. Sam, chociaż chciał zabrać Beniowskiego, ale ten nie mógł, bo miał swoje interesy. Jakie? Szpiegowskie czy handlowe? Pewnie i takie, i takie, jak to on, wszystko jedno jakie, po prostu nie mógł, jego strata. I to jaka! Mieszkał na Lido, chodził się kąpać na Lido i kochał się na Lido, bo tam mieszkała Aldona Glock. Mieszkała ładnie, ale skromnie, a on – bo przecież znów go było stać na wiele – po pobycie w Juracie (owszem, kawiarnia i restauracja Lido było luksusowe, ale jego domek dość skromny) postanowił zaszaleć i wziął pokój (nie apartament, trzeba trochę oszczędzać!) w hotelu Excelsior. Zbudowano go i urządzono na podobieństwo pałaców indyjskich, więc pokoje były tak ogromne, że w apartamencie pewnie by się pogubili, a oni przecież nie chcieli się gubić! Po prostu szaleństwo, które Aldona wytłumaczyła krótko: Na Lido mistrzowskie libido! Ale to nie ona wymyśliła, podobno Wańkowicz, jak *Cukier krzepi* i te wszystkie inne hasła. A ich krzepiły wino, plaża, zwiedzanie tego niezwykłego miasta i sztuka, bo w końcu Aldona Glock przyjechała tu dla sztuki. Zwiedził polski pawilon, Aldona przedstawiła go jego kierownikowi Mieczysławowi Treterowi. Pływali gondolą, a raz nawet byli na koktajlu u prawdziwego księcia. W Warszawie był jeden pałac na wodzie, a tu każdy jeden i podpływało się do nich, jakżeby inaczej, gondolami. To było ciekawe doświadczenie, ten książę Failer był niezwykle otwarty, inny niż napuszeni polscy notable, bo nawet taki artysta i filozof jak Fiszer był strasznie nadęty, a Conte Failer całkiem miły człowiek i mogli sobie porozmawiać i po niemiecku, i po angielsku. Aldona powiedziała, że to wyjątkowy człowiek i że niech Heniek nie robi sobie nadziei, że wszyscy tutaj są tacy. Na koniec wybiegli mały książę Orazio i... Heniek zobaczył w oczach Aldony jakiś błysk, sygnał, że także ona, niezależna, czasami twarda, niebezpiecznie nabrała macierzyńskich odruchów. Ale nie dlatego wyjechał, po prostu musiał się przygotować do ślubu siostry. Wbrew tradycji ustalili, że ślub nie odbędzie się w miejscu, z którego pochodzi panna młoda, lecz tam, gdzie ona i pan młody pracowali, bo był rok szkolny i nie mogli tracić czasu. A czas ich poganiał, bo nauczycielce nie wypadało mieszkać z kierownikiem szkoły bez ślubu!

Warszawa
26 października 1936

Autor raportu do raportu Żychonia, a raczej pamflecista i producent kolejnego

donosu i pomówienia – tak zaczął o tym myśleć major Sokołowski – najmłodszy w stawce sygnalistów porucznik Krzysztof Witek dał z siebie wszystko. Czuć było rękę i inspiracje starszych kolegów – majora Stefana Rój-Kordyjewicza i kapitana Edward Rachonia. Mało konkretów, a wiele pytań i wszechobecna zazdrość. Oczywiście podważali sukcesy zarówno akcji kontroli poczty jadącej do Prus Wschodnich, jak i to, co się wydarzyło w Gdańsku. Sokołowski był pewien, że Heniek nie wziął udziału w skoku za darmo, że musiał się podzielić ze swoim kontaktem (pseudonim Stary Rabin), ale porucznik Witek zrobił z tego główny punkt programu. Rozwodził się także nad okrutnym mordem dwóch bogu ducha winnych esesmanów, jakby nie chciał zauważyć, że Niemcy szaleńczo starali się ukryć uporczywie krążącą w kręgach gdańskiej władzy wersję o agenturalnej działalności Hauptscharführera Udo Apfela. Notabene ten człowiek był wcześniej podejrzany o gwałty i morderstwa. Byli tak dokładni – myślał „dokładni”, bo nie wierzył, że to porucznik Witek był wyłącznym autorem donosu – że zaznaczyli, że Henry Haas alias Henryk Wcisło wyjechał na blisko miesiąc do Wenecji. Co tam robił? Sprzedawał Polskę Niemcom i Sowietaom, tak stało napisane między wierszami. Ten fantasta wysnuł nawet wniosek, że skoro nie było wtedy w kraju Beniowskiego, to znaczy, że był wtedy w Wenecji, a raporty o jego działalności w Berlinie są nieprawdziwe.

Oj, *koledzy z referatu Wschód, weźcie się do roboty!* – pomyślał Sokołowski, po czym zadzwonił do oficera dyżurnego. Szkic swojej opinii miał już gotowy, może oddać dokumenty, wyspać się w domu, a jutro postawić kropkę nad i. Zamknął notatki w sejfie i pomyślał o wygodnym łóżku, po którym nie będą go bolały plecy, a także o dobrym, domowym śniadaniu i kawie. Zasłużył na nie, mógł jechać do domu, choć sposobu, w jaki sobie poradzi z raportem, jeszcze nie miał.

Wychodząc, spostrzegł, że musiało się wydarzyć coś nadzwyczajnego, jakaś sytuacja kryzysowa, bo mimo późnej pory podjeżdżały pod pałac auta z oficerami. Był i sam szef wywiadu pułkownik Pełczyński, major zasalutował mu, a pułkownik nie ograniczył się tylko do powitania.

– „Echo de Paris” napisało o naszych dostawach broni do Hiszpanii, w świat poszła informacja, że handlujemy z socjalistami. Mam nadzieję, że pańska opinia jest gotowa?

– Tak jest, panie pułkowniku – zapewnił major.

– Zatem, jak ustaliliśmy, jutro o trzeciej po południu w moim gabinecie.

Każdy poszedł w swoją stronę, a Sokołowski pomyślał, że sytuacja przemysłu

musi być naprawdę zła. Wiedział o tym, że stronnictwo generała Franco nie ma pieniędzy, że całe złoto Hiszpanii trzyma w rękach republikański rząd, ale mimo wszystko... Nie był bardzo zdziwiony, bo taką opcję zakładał jako najpewniejszą, ale też uznawał ją za dość śmiałą. Ten kryzys i dodatkowe zamieszanie wokół sprawy były mu nawet na rękę. Ciekawe, co usłyszy od Strasburgera. A zatem jutro o dziesiątej rano będzie wszystko wiedział. Albo i nie, bo przecież może się zdarzyć tak, że detektyw nie będzie miał dla niego żadnej pożytecznej informacji.

ROZDZIAŁ V

*Nie trzeba nam od Was uznania
My ster trzymamy dziś nasz czas
A dla Was znowu dni kołatania
Was coraz mniej, wciąż więcej nas.*

*Balansujcie, dopóki się da, a gdy się już nie da, podpalcie świat.
Józef Piłsudski*

Warszawa
26 października 1936

Po dwóch nocach spędzonych w pałacu Saskim major Sokołowski w końcu wygodnie się wyspał. Mimo napięcia, które mu ostatnio towarzyszyło, i świadomości, co może przynieść kolejny dzień, sen miał spokojny. Już dawno temu nauczył się tak kontrolować swój organizm, że nawet jeśli działy się rzeczy, które zwykłego śmiertelnika pozbawiłyby snu, on radził sobie z tym bez proszków i nalewek. Uczynił ze snu jeden z obowiązków, narzędzi żołnierskiego i szpiegowskiego rzemiosła, bo kto się nie wyśpi, ten później nie będzie miał sił do walki, ten nie będzie sprawnie myślał. Jego walką miała być opinia do raportów porucznika Witka oraz materiałów, które przez lata zgromadzono przeciwko Beniowskiemu i Żychoniowi. Nie mogąc w nich uderzyć bezpośrednio, trafią rykoszetem, przez Heńka.

Nie miał przy sobie notatek, bo nie wolno ich było wynosić z siedziby Dwójki, ale pamięć miał znakomitą, a sprawę w większości przemyślaną. Brakowało mu jednak paru szczegółów, które naświetliłyby, o co naprawdę chodzi w tej sprawie. Miał nadzieję, że za pół godziny otrzyma wskazówki, których nie mógł znaleźć w archiwalnych materiałach oraz raportach i analizach sporządzonych przez oficerów Dwójki. Nie gorączkował się, przynajmniej na zewnątrz chciał wyglądać jak najbardziej zwyczajnie, by nie przenosić napięcia na Ludwikę.

Zakopane
20 marca 1936

Heniek wrócił z nart ledwie żywy, bo zjazd wycisnął z niego ostatki sił. *Niedobrze* – pomyślał, bo kiedyś zwałiby się na łóżko, zastanawiając się, że może kiedyś, w przyszłości, nie trzeba będzie wchodzić z ciężkimi deskami pod górę, tylko wyniesie na nią narciarza balon, winda, a może kolejka.

No i wynosiła!

Od blisko tygodnia jeździły z Kuźnic na Kasprowy Wierch wagoniki, dzięki czemu uprawianie narciarstwa stawało się o wiele prostsze. Może dlatego przed porannym wyjściem w góry, które przesunęło się w okolice południa, była inna wspinaczka, równie mozolna i wyczerpująca siły. Przez wąwóz Krupówek, ścianę Trzaski, Morskie Oko aż na Przełęcz... Na tej ostatniej stacji literat Makuszyński kwękał, że pod nowym zarządem to już nie jest to, że za Karpia to była prawdziwe miejsce z duszą, a inni dołączali do lamentu, że to już nie to Zakopane i nie te góry, że wszystko przez natłok gości i ten diabelski wynalazek – kolejkę linową.

Ale właśnie kolejka ośmielała do dłuższej gry w brydża, tańców i nowych butelek, które znikwały w takim tempie, jakby to nie alkohol z nich płynął, tylko oranżada. Wszystko to wyczerpywało ponad miarę, bo był to sport równie ciężki co podchodzenie z nartami pod górę. Umęczony padł na łóżko i zasnął, przecież trzeba było odpocząć po nartach i przed wieczorem, który jeszcze w czasie jazdy kolejką był planowany przez narciarską brać.

Ze snu wyrwał go jakiś wrzask z Krupówek, to chyba któryś fiakier o mało nie rozjechał kogoś saniami i stąd to zamieszenie. Dopiero wybudzony przez uliczną awanturę, usłyszał niezwykle dyskretne pukanie do drzwi. Kto to może być, a raczej kim ona może być...

Bo to musiała być kobieta, mężczyzna by tak nie pukał. I Aldona Glock też nie, zresztą miała zjechać do Zakopanego później. Ki czort? Nagle olśniło go i zarazem przeraziło, jak film wróciło to, co wydarzyło się w dwóch odsłonach, sześć lat temu i sześć dni temu. Jak dwa sceniczne akty, po których przychodzi trzeci, finałowy.

Pierwszy wydarzył się w roku 1930, kiedy to wrócił do Polski z Ameryki. Jego domem był wtedy pokój w hotelu Grand przy Senatorskiej i czuł się w nim znudzony i samotny. Kiedyś wracając wieczorem, zobaczył kobietę, która sprawiała wrażenie, jakby na kogoś czekała. Podeszła do niego i poprosiła o ogień, więc wyciągnął z kieszeni zapałki i gdy zbliżał się z ogniem do damskiej cygaretki, którą trzymała w dłoni ubranej w elegancką rękawiczkę, usłyszał:

– Gdzie będzie bliżej? Do mnie czy do ciebie?

Oniemiał, on zrobił pierwszy krok, a ona drugi trzeci, piąty i dziesiąty, jakby pędem zbiegała po schodach, jakby... jakby była dziwką? Nie, stanowczo nie, mieszkała od kilku dni w hotelu, a obsługa zwracała na panienki uwagę. Zresztą nie ten typ, zdecydowanie nie.

Była zgrabna, elegancka, dobrze ubrana, nie wyglądała na zdesperowaną,

raczej sprawiała wrażenie, że wybrała go spośród innych.

On też pragnął, może nie jej, po prostu chciał kobiety, więc mogła być ona.

Rano się rozstali, ona się spakowała i wyjechała do domu, który był nie wiadomo gdzie. Skąd miał wiedzieć, skoro nawet nie znał jej imienia!

Akt drugi rozegrał się sześć dni temu w wagonie restauracyjnym pociągu jadącego do Zakopanego. Zobaczył ją i... inne włosy, krótsze, wciąż wspaniała, tak, to ona!

Jego hotelowy romans z Grandu!

Podszedł, by się przywitać i przedstawić, bo wtedy nie było na to czasu, a przede wszystkim chęci z jej strony.

– Pewnie masz o mnie jak najgorsze mniemanie... – zaczęła zamiast powitania.

– Mam o tobie jak najlepsze wspomnienia – odpowiedział, całując ją w dłoń.

– Nie myśl, że ja... – zaczęła skrepowana.

– Ani ty nie myśl, że ja za każdym razem nie znam imion swoich kobiet, nazywam się Henryk.

– Grażyna – odpowiedziała i po chwili dodała: – Grażyna Marczevska. Tamta noc była niezwykła... – powiedziała niepewnie, bo najwyraźniej wspomnienia i spotkanie mocno ją onieśmiały.

Popatrzył jej w oczy, chciał pogłaskać ją po policzku, pocałować, przytulić. Zbliżył się do niej, bo zobaczył w jej oczach taką potrzebę, ale Grażyna cofnęła się o krok.

– Tamta noc była niezwykła i jedyna taka... – powiedziała to stanowczym tonem, ale miał wrażenie, że bez przekonania. – Miałam wtedy kłopoty rodzinne, uciekłam z domu.

– A dzisiaj?

– A dzisiaj jestem tu z mężem i dziećmi, żegnaj, Henryku – powiedziała i odeszła.

Dogonił ją.

– Weź to, to moja karta wizytowa, gdybyś kiedyś miała kłopoty...

– Dziękuję, ale ja już nie mam kłopotów. – Uśmiechnęła się, ale oczy miała smutne.

Poszedł za nią, zobaczył, jak podchodzi do około czterdziestoletniego eleganckiego mężczyzny, który stał z dwójką kilkuletnich dzieci, chłopcem i dziewczynką. Ubrany był na sportowo, ale raczej był to paradny turysta, a nie

prawdziwy sportsmen. Nie przypadł mu do gustu, Heniek nie wiedział dlaczego, ale czuł do niego niechęć. Kartę wizytową dał jednak, zanim go zobaczył, i nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił. Bo miała smutne oczy? Pewnie dlatego, że kłopoty to jego specjalność, nie spodziewał się jednak, żeby kiedykolwiek jeszcze się spotkali. W Chabówce ich wagony zostały rozłączone, ona z mężem i dziećmi pojechała do Krynicy, on do Zakopanego.

A teraz pukanie do drzwi. Czyżby znów jej życie było na zakręcie? Była smutna, mąż sprawiał wrażenie władczego człowieka, a on pochopnie złożył deklarację – jeśli będziesz w potrzebie, możesz na mnie liczyć – brzmiały mu w uszach jego własne słowa sprzed niespełna tygodnia. Rzuciła wszystko, wsiadła w pociąg do Krakowa, przesiadła się w Chabówce i jest teraz pod jego drzwiami? Nonsens! A jeśli nie? Co by to oznaczało, co jej obiecał? Że znów się prześpią, jak wtedy w Grandzie, kiedy uciekła od męża? A może że powinien go obić, a może zabić? Pukanie nie ustawało, stało się może odrobinę mocniejsze, odważniejsze, a może bardziej desperackie. Skąd wiedziała, gdzie mieszka? Szybko sobie odpowiedział – Zakopane jest małe i wszyscy o wszystkich wiedzą, żadna filozofia odnaleźć tu innego turystę.

– Zaraz, już idę – rzucił w kierunku drzwi i wstał z łóżka. Podszedł, przekręcił klucz, nacisnął klamkę i...

– Ratuj mnie! – powiedziała Zuzanna. – Ocal mnie, tak jak ja cię ocaliłam!

W pierwszej chwili pomyślał, że to żart, psikus, ale kiedy Zuzanna, kobieta, która ocaliła go podczas zamachu na Kozłówce, skończyła mówić, usta wykrzywiły się jej w podkówkę, rzuciła mu się na szyję i zaczęła płakać.

Pół godziny później leżeli obok siebie w łóżku.

– On nie może mi robić takich rzeczy, nie może, nie powinien! – mówiła z pasją Zuzanna, która już nie nazywała się Orłowska, lecz Bonikowska, bo takie nazwisko przyjęła po mężu.

– Ty jemu także – uśmiechnął się Heniek, gładząc ją po włosach.

– To był z mojej strony akt desperacji! – powiedziała to z pełnym przekonaniem.

– No to pięknie! Jestem pogotowiem dla desperatek. – Zaśmiał się głośno.

– Nie! Jesteś przyjacielem, który pozwolił mi przetrwać ciężkie chwile! Poza tym ja ciebie też kiedyś uratowałam!

Bez dwóch zdań tak było, kiedy na Kozłówce niczym amazonka szyła z łuku do jego prześladowcy. Wtedy nie myślał o czymś takim jak rewanż, a raczej o szybkim podboju. Spodobała mu się, i to zdecydowanie, jak kiedyś Leokadia

Rostocka, kiedy ją wypatrzył w księgarni u Gebethnera i Wolffa... W przypadku Leokadii była to długa kampania, bardzo długa, która przyniosła niespodziewane potyczki. Tu wszystko skończyło się rach-ciach, kiedy powiedziała, że jest mężatką.

– A skąd wiedziałaś, że tu jestem? Jak mnie znalazłaś?

– Oglądasz się za innymi kobietami, to trudno, żebyś dostrzegał stare przyjaciółki. – Słowo „stare” wypowiedziała tak, jakby w jego oczach była kobietą w zaawansowanym wieku.

– Niemożliwe! – powiedział to głośno, bo przecież gdyby tylko na moment znalazła się w zasięgu jego wzroku, to z pewnością by zauważył. – A mogę wiedzieć, kiedy cię tak straszliwie zlekceważyłem?

– Siedziałaś u Trzaski, a ja przechodziłam Kościuszki, i zajrzałam w werandę, a ty byłeś pochłonięty rozmową z jakimś towarzystwem, z przeważnie żeńskim towarzystwem – powiedziała z takim wyrzutem, jakby wtedy w jakiś szczególnie brawurowy sposób emablował żeńską ósemkę wioślarską AZS, i to na dodatek ze sterniczką, przede wszystkim ze sterniczką, bo to była taka drobna, ale obdarzona donośnym głosem kobietka, jak to sterniczka.

– Po prostu rozmawiałem, był wieczór, a ty szłaś ubrana w żakiet, czapkę i szalik, a ja siedziałem tyłem do okna!

Zuzanna zrobiła minę, którą można było zatytułować „to bez znaczenia”.

– I pewnie poszłaś szukać męża, dowiedziałaś się o wszystkim, noc przepłakałaś, a rano zapukałaś do moich drzwi.

Oczy Zuzanny mówiły „dokładnie tak było, więc po co o tym mówić”, ale Heniek ciągnął dalej.

– Wyrównałaś przy mojej pomocy rachunki i jest ci teraz lżej?

Mężczyzna musiałby na precyzyjnie postawione pytanie odpowiedzieć, ale ona była kobietą, słabą i bezbronną, która w swej bezbronności i bezsilności potrafiła z łuku upolować bandytę, a całokształtem swego uroku czynić mężczyzn bezradnymi. Więc nic nie powiedziała, po prostu przytuliła się do niego, i to nie tylko ramionami, lecz także zarzucając nogę na jego biodro, jakby chciała tą klamrą złączyć ich z łóżkiem. Na coś takiego nie było siły.

Ona wtulała się w niego, a on się zastanawiał, kim dla nich jest i dlaczego pojawiają się jedna za drugą. I nie miał na myśli przelotnych miłostek, tego niespodziewanego finiszu kabaretowej nocy i przebudzenia się obok geparda Josephine Baker, nie liczył też w ten poczet Anastazji, bo to było płytkie i bardzo interesowne, on kierował się wygodą, a ona robiła karierę. Myślał o tych,

z którymi łączyło go coś więcej, co trwało jakiś czas, o kobietach, które stale wracały – Aldona Glock, Irena Leszczycka, a teraz, tak, wiedział to, także i spotkana w pociągu Grażyna, i leżąca obok niego Zuzanna. To nie jest koniec, czuł to i pragnął odwrócić los, ale jak? Chciał ich! Dlatego grupa stałych kochanek nie malała, ale wprost przeciwnie. Czy to dlatego, że zadowalała się każdą kobietą, odpowiadał na każdą propozycję? Ależ skąd!

On ich wszystkich pragnął, ale wybrał je spośród setek, które spotykał, nie było takiej, o której by pomyślał, a ona nie byłaby jego! To tak działało! Leszczycką zobaczył na Legii i poczuł do niej pociąg, mimo że była o kilka lat od niego starsza, myślał o niej, szedł na brydża z jakąś bliżej nieokreśloną nadzieją, a ona tę nadzieję spełniła. Z innymi było podobnie, wystarczyło, że pomyślał, zaczął się przyglądać, cokolwiek powiedział, one już to czuły! Wysyłał sygnał i były jego, nawet jeśli w międzyczasie się rozmyślił.

Jedyną, która właściwie przyszła jak po swoje, była Aldona Glock, a jedyną, o którą zabiegał – Leokadia.

Z Marią Walewską było inaczej, wymarzył ją sobie, ale ona spletała mu psikus, oddała mu się, ale tylko raz. Zdał sobie sprawę, że tęskni za tymi, które są nieosiągalne, za Leokadią i Marią. Tęskni, ale czy kocha?

– O czym myślisz? – zapytała Zuzanna.

– O tym, że twojemu mężowi należy obić mordę.

– No i tego niestety nie możesz zrobić. Ani go zabić, choć wiem, że jak prawdziwy dżentelmen wyzwałbyś go na pojedynek i pokonał...

– Raczej nie na szable!

– Nawet na szable! Wygrałbyś, ale nie rób tego, bo być wdową to nic, ale osierocić dziecko?

– Słucham?

– Jestem w ciąży, przyjechałam, żeby mu o tym powiedzieć, chciałam mu zrobić niespodziankę, powiedzieć to w rozmowie, a nie przez telefon, tymczasem on mnie zdradził!

Zamurowało go, bo nie było nic po niej widać. Tego jeszcze nie grali!

– W pierwszym miesiącu – poinformowała go.

– Rzuć go. – Tylko tyle przyszło mu do głowy i kiedy doszło do niego, co powiedział, to pomyślał, że teraz ona powie „tak, mój miły, tak, uczynię to natychmiast i wprowadzę się do ciebie”... Cholera, znów wyskoczył z deklaracją, ale przecież kiedy każdej z nich coś mówił, to absolutnie w to wierzył, nawet jeśli

to była fantazja, i przecież gdyby przyszło co do czego...

– Dziecko go zmieni, mama mówiła, że mój ojciec się zmienił, że się uspokoił... – Jego propozycja została odrzucona już na etapie wstępu, bez rozwinięcia, zaproszenia i szczegółów. W sumie powinien czuć ulgę, że się nie wkopał, ale było wprost przeciwnie.

Dziecko go zmieni, a guzik prawda – pomyślał Heniek. *Tacy się wcale nie uspokajają, tylko matka opiekująca się dzieckiem mniej widzi i nie ma czasu na podejrzenia czy śledztwa, to kobiety się zmieniają, a nie faceci.* Ale nie powiedział jej tego, bo wiedział, że to daremne.

W Zakopanem już się więcej nie spotkali, wrócił do Warszawy, a w wagonie restauracyjnym – poszedł tam oczywiście za Chabówką, już po dołączeniu wagonów z Krynicy, bo było to silniejsze od niego – nie spotkał Grażyny Marczewskiej.

Żadnych sensacji, premiery, równoległe życie na dochodzonego z Ireną i Aldoną, brydżki, wódeczki, a czasem nuda. Bo praktycznie nie miał żadnych obowiązków, znów czuł się jak rentier i bywały dni, w których nie za bardzo wiedział, co robić z czasem. Jeszcze nie tak dawno temu poszedłby do siebie, czyli do Ameryki, ale Ameryka się skończyła. Dla niego się skończyła, bo dla wielu zaczęła na nowo, zwłaszcza dla Aliny Chrabąszcz, która podbijała publiczność pod scenicznym pseudonimem Anastazja. Nauczyła się w końcu tańczyć, a jej kostiumy stały się jeszcze skąpsze, i właśnie to otworzyło serca i portfele widzów, którzy walili do Ameryki drzwiami i oknami. Doceniał to nowy właściciel lokalu Władysław Zylberg, który był oczywiście tym najważniejszym z widzów i wielbicielami Anastazji. Nie przeszkadzało mu, że miał żonę, a i żona Sara zdawała się tego nie zauważać, bo po co byłoby komplikować sobie swoje dostatnie i wygodne życie. W końcu, wychodząc za potentata handlu ceratą, nie oczekiwała niczego innego, a z czasem dostała więcej, niż się spodziewała, bo Władysław nie osiadł na laurach, tylko rozszerzył swe interesy o wyroby szmuklerskie i pasmanteryjne. Zarobił, więc stać go było na teatrzyk, a ona dzięki temu miała więcej czasu, latem siedziała z dziećmi w Otwocku, jeździła też do uzdrowisk. Był to rozsądny kompromis, zresztą pociągu do męża nigdy nie czuła. Po prostu małżeństwo z rozsądku, jedno z wielu, i była to ta z kilku fundamentalnych spraw, w których chrześcijanie i starozakonni byli niezwykle zgodni.

Warszawa Marzec 1936

Zmieniło się u Aldony Glock, została projektantką wnętrz, podróżowała jeszcze więcej i żeby się z nią spotkać, trzeba było uważnie patrzeć w kalendarz. *To jest właśnie ten dzień* – pomyślał z zadowoleniem, zdzierając kartkę. Staął w oknie, popatrzył na Warszawę z wysokości Prudentialu, po czym spojrzął na zegarek i powiedział sobie: *już czas, kawę wypiję z Aldoną*. Wziął szybki prysznic, ubrał się, zjechał windą na parter i szybkim krokiem poszedł na Królewską.

Kiedy wszedł do kawiarni Instytutu Propagandy Sztuki, to w pierwszej chwili myślał, że albo się przewidział, albo jakiś kolejny ekscentryk daje tu swój popis. Przy stoliku siedział facet, który pił do lustra! Dopiero po chwili zorientował się, że przy stoliku, siedzą bliźniacy, którzy równo, jak figurki z szopki albo dziecięca zabawka, wychylili jak na rozkaz po kieliszku nalewki. Niedowierzając temu, co zobaczył, zwolnił i przyglądał się im, szukając jakiegoś szczegółu, którym by się różnili. Na próżno! Nawet ubrania mieli takie same, kropka w kropkę: niebieskie marynarki, białe koszule, czerwone krawaty z identycznie zrobionymi grubymi węzłami, szare flanelowe spodnie, a na stoliku leżały popielate kapelusze... To było wprost niemożliwe, bo i buty mieli identyczne. Brązowe, jednakowo schodzone i brudne, jakby wspólnie przemierzali te same błotniste uliczki, a potem schodzili na piaszczyste drogi. Heniek miał wrażenie, że bierze udział w kabaretowym spektaklu albo towarzyskiej zgrywie i za chwilę wyskoczy ktoś i zacznie się z niego śmiać. Musiał wyglądać co najmniej głupio i wpatrywać się w nich, jakby widział ciele o dwóch głowach, bo odprowadzili go wzrokiem, w którym było ni to zdziwienie, ni to pytanie, a w końcu wzruszyli ramionami i przeszli nad tym do porządku dziennego, za to panna Glock, która na niego czekała, powitała go śmiechem.

– Żebyś ty widział swoją minę! To bliźniacy, nie widziałeś nigdy bliźniaków?

– Nie raz i nie dwa, ale nigdy nie widziałem takich, którzy nie tylko wyglądają, ale i działają, jakby byli lustrzanymi odbiciami.

– Czyżby? A nie pamiętasz tych obrazów, które ci się podobały w Wenecji?

– To oni! – Jak mógł nie skojarzyć! Obrazy faktycznie mu się podobały, a powinien zapamiętać, że każdy z nich malowali razem. – Faktycznie, gapa ze mnie. Po prostu nie przypuszczałem, że mogą być aż tak do siebie podobni!

– Bracia Sidenbeutel są jak jeden organizm.

– Nawet fryzury... – Heniek dyskretnie spoglądał na ich pokryte brylantyną

włosy.

– Ich popisowy numer to wizyta u fryzjera. Najpierw wchodził jeden, poddawał się zabiegowi strzyżenia i ułożenia włosów, płacił i wychodził, a po kwadransie przychodził drugi i narzekał, że to tandetna robota, bo jeden powiew wiatru wystarczył, by wyglądał jak strach na wróble. Fryzjer oglądał i faktycznie! Były niedoróbki, chwycił za nożyczki, poprawiał, nacierał brylantyną...

– Jak w jakimś filmie!

– Cóż to dla nich, na Akademii płacili tylko jedno czesne! Żeby oszczędzić pieniądze, zapisali się na studia jako jedna osoba, na zajęcia chodzili na zmianę, a w domu wymieniali się informacjami z wykładów i ćwiczeń. W końcu ich jednak przyłapano, ale kolegów z Bratniaka i rektora tak urzekła ta historia, że zdecydowano, że nie zostaną wydalenieni z akademii, i pozwolono im studiować, tak jak chcieli, jako jednej osobie. Urocze, nieprawdaż?

– Nie chce mi się wierzyć. – Heniek pokręcił głową.

– To nie wierz – uśmiechnęła się panna Glock, która chwyciła go za dłoń i patrząc w oczy, powiedziała: – Czy to naprawdę istotne?

– Co?

– Czy to prawdziwa, czy wymyślona historia. Ważne, że piękna!

– A czy ty i oni...

– Henryku, o takich sprawach się nie mówi, więc ci tylko wyjaśnię, że to moje marzenie, ale czy spełnione, czy nie, to niech to pozostanie moją słodką tajemnicą. À propos, u mnie czy u ciebie?

U niego, bo nieco bliżej i nieco szybciej, na tyle szybciej, że nie zdążył zamówić kawy, zostawił pieniądze na stole, a kiedy wyszli z kawiarni, ucieszył się na widok taksówki.

– Do Prudentialu proszę! – zarządził.

– Do Prudentialu? – zachrypiął jaśniepan szofer. – Do Prudentialu?

Nie dodał „panie, to dwa kroki stąd, co ja zarobię? Tyle, co za złamanie taksometru”, ale pewnie zaraz to zrobi.

– Nie cierp pan, to kurs za piątką, masz pan kasztelankę i jazda!

Heniek podał banknot pięciozłotowy, na którym była reprodukcja portretu *Kasztelanka* Jana Matejki. Kierowca chuchnął w banknot i od razu przemówił innym głosem.

– No to jadziem, szanowni państwo – powiedział z takim entuzjazmem, jakby

to on był pasażerem, którego miano zawieźć pulmanem⁴¹ na wywczasy. Zapуścił silnik, zatrąbił klaksonem i ruszyli. Najpierw taryfą, potem windą, a na koniec do pięknej, nowoczesnej łazienki, którą urządził sobie Heniek.

Potem się już nie śpieszyli, zasnęli w łóżku i spali jak zabici, aż wyrwał ich ze snu telefon.

Nawet nie spojrzął na zegarek, tylko zaczął pełznąć po łóżku, żeby uderzyć słuchawką o widełki i w ten sposób zakończyć rozmowę. Zrobił to! Wtedy z łóżka zerwała się Aldona.

– Mój Boże, Jezu Chryste! – jęknęła.

– Słucham cię, córko – odezwał się Heniek podniosłym głosem.

– Nie wygłupiaj się! Myślałam, że się zorientowałaś, że jestem ateistką.

– Ale taką, która wzywa Boga... Zatem słucham pani!

– Gdybyś był Bogiem, tobyś cofnął czas o kwadrans, mam spotkanie, na które nie mogę się spóźnić! Zaspałam, jak można zasnąć w środku dnia!

– Można, oj, można – powiedział, przeciągając się nagi.

– Ale ja nie mogę! – krzyknęła jak nie ona, wysokim głosem maturzystki, która nie może darować papie, że ten pogonił jak psa przystojnego podchorążego.

– Gdzie, o której?

– Na Saskiej Kępie, za dwadzieścia minut, mam dobierać obrazy do willi! Może nawet dostanę zlecenie na wystrój wnętrza, meble, lampy.

– Zdążymy – powiedział, ubierając się. – Kosiorek czeka z autem na dole.

Odświeżyli się, ubrali, zjechali windą i pewnie by wybiegli, ale konsjerż niemal w locie przekazał Heńkowi kopertę.

– Dzień dobry, panie Haas, dzwonił pan Beniowski, domagał się stanowczo, by pana poinformować...

Heniek schował kopertę do kieszeni i wybiegł z Aldoną, Kosiorek odpalił silnik i ruszyli w kierunku Saskiej Kępy.

Nie czekali na nią, bo inżynier budujący willę, jeszcze nie stary, ale szpakowaty i przystojny, obiecał, że odwiezie Aldonę do miasta. Obiecywał w obecności żony, która tym samym autem będzie wracała do miasta, zatem Heniek spokojnie mógł się oddalić. Cholera, był o nią coraz bardziej zazdrosny!

Dopiero teraz przypomniał sobie, że Beniowski zostawił mu wiadomość.

Zajrzał i przeczytał:

Pan Juliusz Beniowski prosi o przyjście do jego biura. Sprawa pilna!

Beniowski przeniósł się z Pasażu Luxenburga na róg Świętokrzyskiej z Mazowiecką, do kamienicy Ostrowskiego. Widzieli więc jeden drugiego z okien, Heniek patrząc w dół ze swojego drapacza chmur, a Beniowski z wykuszu w narożnej wieży kamienicy, z tym że musiał mocno zadzierać głowę w górę.

Mietek Kosiorek wysadził go pod wejściem, Heniek wszedł do środka i dla sportu wbiegł na piąte piętro. Wszedł do biura, gdzie powitała go sekretarka Julka, panna Głowacka. Była piękna, ale... nie w jego typie. Patrzyła na niego bardzo obiecującym wzrokiem, ale skonstatował, że to nie jest tak, że chciałby mieć każdą kobietę, że mógłby... no, wiadomo co, jak leci.

– Dzień dobry, szef mówił, że jest pilna sprawa.

– Mówił ze dwie godziny temu. Czekał na pana, ale musiał wyjść, powiedział, że odwiedzi pana wieczorem.

Podziękował i wyszedł, wróci do domu, włączy radio, coś poczyta, odpocznie, wpadnie Julek Beniowski, oby tylko nic ważnego. Napiją się, ale bez przesady, pójdzie spać i tak się skończy dzień. Spokojnie i bez szaleństw.

Najważniejsze, żeby się nie przywiązywać do swoich planów – pomyślał, kiedy wieczorem portier poinformował go, że ma gościa, a w drzwiach zobaczył nie Julka, tylko Aldonę.

– Ależ to cudowna robota! I wyzwanie, i baaardzo dobre pieniądze – krzyknęła i powiesiła mu się na szyi. – Idziemy w miasto, ja stawiam.

Co robić, poszli. Na koniec wylądowali u niej, bo wyjeżdżała na dwa dni i musiała się spakować.

Heniek wyszedł od panny Glock koło południa, nie dlatego, że tak chciał, ale musiał. Pospałby sobie, ale Aldona musiała jechać na dworzec i nie chciała, żeby ją odprowadzał, bo czuła się niezależna i nie potrzebowała takich dętych czułości.

– Lepiej mi powiedz, że mnie kochasz.

– Kocham cię!

– Mów, kiedy cię o to nie proszę!

Pewnie prawda była taka, że nie jechała tam sama i zapewne jakiś młody,

przystojny artysta, jeden z zastępów jej niewolników zajedzie po nią taksówką i zniesie walizkę. Trudno, co zrobić, nie była przecież jego żoną. Wyszedł więc z kamienicy przy Kopernika i poszedł w kierunku Prudentialu. Mniej więcej w połowie drogi, przy Nowym Świecie 58 był Savoy – doskonale miejsce na późne śniadania, bo ktoś wpadł na genialny pomysł, by serować je od południa do pół do drugiej! O pierwszej zaczynało obowiązywać menu obiadowe, więc śniadanie można było potraktować jako przystawkę. Wpadał tu dość często, ale zawsze dawał się zaskakiwać cenami, jajecznicą na boczku kosztowała trzy złote, a obiad – pomidorowa albo rosół, a do tego sztuka mięsa z ćwikłą – cztery złote. Było to dość zdumiewające, ale jadł i nie pytał, nie jego interes. Kiedy się zastanawiał, czy zakończyć na jajecznicy, czy też płynnie przejść w dania obiadowe, podszedł do niego kierownik sali.

– Czy pan Haas?

– Tak, owszem, we własnej osobie.

– Telefon do pana, dzwoni pan Beniowski.

Heniek podszedł do bufetu, na którym stał aparat, i zapytał:

– Śledzisz mnie?

– Nie. – Głos miał podirytowany.

– To bardzo miło, ale skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Bo byłeś u panny Glock, z nią cię widziano, jak wychodziłeś wieczorem z domu, a swoją drogą, miałeś się ze mną spotkać! – Robił mu wyrzuty jak zazdrosna żona! – A skoro nie było cię rano ani w domu, ani w Adrii, ani w Winiarni Ziemiańskiej, to poszedłem na Poczta Główną i wybrałem numery lokali, w których mógłbyś jeść śniadanie. Najpierw zadzwoniłem do Fauna, a później tu i trafiłem. Czekaaj tu na mnie, za pięć minut będę.

– Zamówić coś?

– Wedle uznania.

No to zamówił po rosole i befsztyku komierowskim, desery i napoje spadną na Beniowskiego, bo to on ma do niego interes.

– A skoro byłem u panny Glock, to dlaczego nie zacząłeś od niej?

– Nie doceniasz mnie – zaśmiał się Beniowski. – Wyjazd delegacji z Instytutu Propagandy Sztuki oraz polskich artystów i marszandów nie jest tajemnicą, zresztą – szepnął – i tam Dwójka kogoś do tego wyjazdu dołożyła.

– No dobrze, czego znów ode mnie chcesz?

– Ja? – zdziwił się kapitan. – Kompletnie nic. Patrol KOP-u znalazł ciało na

granicy...

– I co w związku z tym, co ja mam z tym wspólnego?

– Czytałeś Sherlocka Holmesa, to dedukuj!

– Antek?

– Jak najbardziej nie!

– W takim razie... Elżbieta Reniakowa?!

To była sowiecka agentka, która zniknęła po śmierci swojego męża, udawanego, bo też był sowieckim szpiegiem, oraz po aresztowaniu kochanka, morfinisty Mariana Stróżyńskiego, który dla nich pracował.

– Brawo ona – zakpił Heniek.

– Czyli tak jak przypuszczaliśmy, chciała uciec do Sowietów, żadna sensacja, ale warto wiedzieć.

– I co w związku z tym?

– Nie kręć nosem, przez ten miesiąc wydarzyło się coś, co cię powinno zainteresować.

– Opowiadaj!

– Nie do końca byliśmy pewni, czy to ona, minęły cztery lata, zgadzały się wzrost, kolor resztek włosów, czas, w którym nastąpiła śmierć. Defensywa ruszyła z jej zdjęciem po okolicznych miejscowościach. Rozpoznano ją, podróżowała z młodym facetem, rysopis i wiek kogoś mi przypominał, więc dałem policji cynk, czyją fotografię powinni dołożyć do kompletu. Może nienadzwyczajna była, bo z dokumentów wojskowych, ale bez pudła rozpoznano kanoniera Bożyczkę.

– Nie wierzę, że to Antek! – Nie wierzył, tak jak nie wierzył, że zobaczył go na paryskiej fotografii przedstawiającej działaczy Monarchistycznej Organizacji Centralnej Rosji i sowieckich agentów.

– To uwierzysz, defensywa dostała zgodę na ekshumację, odbędzie się jutro na cmentarzu Wolskim – powiedział, ze spokojem smakując rosół.

Warszawa
Ulica Oczki, Zakład Medycyny Sądowej
Kwiecień 1936

Gdy Heniek zobaczył zakład medycyny sądowej, to się zdziwił. Całkiem

przyjemny dworek, a może nawet pałacyk przy ulicy Oczki, ale już wejście do środka nie było niczym przyjemnym. Zimno, szczególny zapach, wreszcie świadomość, że jest to lokal, w którym się grzebie w trupach.

Weszli do sali, w której na kamiennym stole leżało coś, co kiedyś było człowiekiem, a dzisiaj było nędznymi resztkami, które dobrotliwie przykryto prześcieradłem.

– Józef Potocki – przedstawił się doktor ubrany w sekcyjny fartuch, a po chwili się uśmiechnął. – Znamy się z brydza u pani prezesowej!

Tak, w istocie, znali się, grali nawet parę razy w parze, ale teraz czuł do niego niechęć i nieufność, jakby z góry zakładał, że jest częścią jakiegoś spisku.

– To ja prowadziłem sekcję i mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie są to szczątki Antoniego Bożyczki.

– Ale jak! – nie wytrzymał Heniek, który pogodził się ze śmiercią przyjaciela, przyjął do wiadomości przedśmiertne wyznanie Frania, że to nie on był mordercą matki, ale w żaden sposób nie mógł uwierzyć, że zabójcą mógł być Antek.

– Czy pana przyjaciel miał w dzieciństwie jakieś złamanie – doktor zapytał jak belfer, czyli znając prawidłową odpowiedź.

– Tak, pamiętam, jak wywinął orła na ślizgawce i złamał rękę!

– Prawą czy lewą?

– Prawą!

– *Voilà!* – powiedział Potocki, odchylił prześcieradło i lewą, ubraną w rękawiczkę dłonią uniósł przedramię trupa jak upiorne trofeum i okręcał je w ostrym świetle lampy.

– Jest pan kolejną osobą, która potwierdza, że zaginiony Antoni Bożyczko miał w dzieciństwie złamaną rękę. A tu nie ma żadnych śladów! Dla pewności, bo pamięć ludzka jest zawodna, zbadałem oba przedramiona...

– A czy pan... – zaczął Heniek, ale doktor uciszył go gestem dłoni.

– Ja też mogę się pomylić, ale od czego jest konsylium, od czego aparaty rentgenowskie! Nie tylko ja przeprowadziłem badania, każdy z kolegów stwierdził to samo, a dla pewności dokonaliśmy prześwietlenia. Ten człowiek, kimkolwiek był, nie miał złamanej ręki. Poprosiłem urząd śledczy, by sporządził listę zaginionych w tym okresie ludzi, pewnie kogoś dopasujemy. Wszystko wskazuje na to, że Antoni Bożyczko zabił kogoś swojego wzrostu, podobnej postury i koloru włosów, zmiażdżył twarz, nałożył na nieboszczyka swoje

ubranie i wrzucił do wody, by zmylić policję. Udało się, ale prawda wyszła na jaw. A pańską matkę zamordował, bo go rozpoznała, zapewne włamał się, zastał ją i nie mógł przestać jedynie na obezwładnieniu.

Heniek znów chciał coś dodać, ale doktor Potocki jakby był na to przygotowany.

– Jeśli podaje pan w wątpliwość, czy jest to akuratne ciało, to rodzina była obecna przy ekshumacji. To ten grób, to były szczątki tej właśnie trumny, zgadzały się także sprzączka od paska oraz guziki, bo zwłoki ubrano w strój wyjściowy z najlepszymi dodatkami, jakie miał domniemany Bożyczko.

Wyszli na ulicę, a Heniek dalej jakby nie chciał zrozumieć, co usłyszał.

– Kto to, do cholery, jest?!

– Doktor Potocki – powiedział ze spokojem kapitan. – Jeden z czołowych patomorfologów.

– Wiem! Dlatego wiem także, że nie jest detektywem. – Heniek nie ustępował.

– To mało wiesz, widocznie tracisz głowę dla Ireny Leszczyckiej i nie dostrzegasz innych ludzi.

– Możesz sobie darować!

– A ty, skoro go dość regularnie widzisz, powinieneś wiedzieć, że to także kryminolog, i to jeden z lepszych, uczeń samego profesora Grzywo-Dąbrowskiego i współpracownik Kornela Strasburgera. Komisarz Strasburger podziela jego zdanie.

O ile nazwisko profesora nic Heńkowi nie mówiło, to Strasburgera znał i jego kompetencje uważał za faktycznie wysokie. Coś mu jednak nie pasowało.

– Strasburger już nie jest w policji.

– Nie jest. – Spokój Beniowskiego mógł wyprowadzić z równowagi. – Ale ma biuro detektywistyczne, a zresztą co ja ci będę tłumaczył, przecież wiesz, że to mój stary kumpel jest, pracowałeś dla niego, więc jasna sprawa, kto zacz i jakie ma kompetencje, niezależnie, czy jeszcze pracuje w policji.

Jasna sprawa! Wcale nie jasna, nie mieściło mu się to wszystko w głowie, dzisiaj potrzebował nie seksu, tylko ciepła, ale gdzie tam! Leszczycki w Warszawie, więc Irenę może sobie zobaczyć w operze, a Aldona w Pradze. Najgorsze było jednak to, że teraz wszystko ułożyło się w jedną całość, a on będzie musiał się przyznać do błędu i powiedzieć Beniowskiemu, że nie wspomniał mu o fotografii, którą widział w paryskim mieszkaniu hrabiego. Teraz nie miał wątpliwości, że Ardanowicz, kurier Monarchistycznej

Organizacji Centralnej Rosji to Antek Bożyczko. Ale był głupi, że wierzył do końca w jego niewinność!

Jedno, co warto, upić się warto

Czystą z kroplami

To jedno, co warto.

No i upił się jak rzadko kiedy. Portierzy, którzy pracowali w Prudentialu, mogli komisyjnie ogłosić, że pan Haas stał się najbardziej pijanym lokatorem w krótkiej historii najwyższego z warszawskich domów.

Warszawa **16 kwietnia 1936**

Z rana często chodził do kawiarni w Adrii, ale nie sława tego miejsca go tam przyciągała, tylko wygoda i oryginalność. Obszerny hall, ale nie tak monumentalny jak wewnątrz Lourse'a, i nowocześnie urządzony zimowy ogród, w którym były nie tylko roślinność i naturalne światło, lecz także ptaki! Czytać przy słonecznym świetle gazetę i wsłuchiwać się w śpiew ptaków! Takie rzeczy tylko w Adrii, a do tego bliskość baru amerykańskiego. Tak zaczynał się dzień w najmodniejszym warszawskim lokalu, bo na wieczór schodziło się do sali dancinowej. Adria miała jeszcze jeden plus – leżała blisko Prudentialu, więc nadawała się w sam raz na poranny spacer, dzięki czemu nie musiał robić śniadania ani kawy w domu. Był osobą wielu talentów, ale choć lubił dobrze zjeść, to jednak ani nie gonił za wyszukanymi kulinariami, ani nawet nie próbował sobie radzić w kuchni, mógłby co najwyżej obierać ziemniaki. Wszedł do wnętrza, zdjął kapelusz, zajął miejsce przy stoliku, zamówił kawę i rogaliki, wziął do ręki gazetę i zaczął czytać.

Porykiwania Hitlera, Włosi w Abisynii, Mussolini już chyba wziął górę nad Hajle Syllasje, wszędzie strajki, w Hiszpanii gorąco w polityce. No właśnie, w końcu musi się wybrać i zobaczyć tę ziemię i żeby się dowiedzieć, co sprzedaje! Ubawiło go to, ale już to, co zobaczył w kronice towarzyskiej, wyprowadziło go z równowagi.

Gwiazdą tego sezonu była w Krynicy hrabina Maria Walewska, która zakończyła rozwodem małżeństwo z hrabią Fryderykiem Overathem. Małżonkowie, w co trudno uwierzyć, znając burzliwy finisz ich pożycia, mieli się rozstać w sposób cywilizowany i pozostają ze sobą w b. dobrych stosunkach,

choć romans p. Overatha z artystką Niną Veratti był aż nadto głośny. Może to dlatego, że mają wspólne dziecko, córeczkę Leopoldynę (lat 5).

Na zdjęciu Maria była z dziewczynką. Czy była do niego podobna? Aż nadto!

W ciągu dwudziestu minut był na Czackiego i walił do drzwi Poldka.

– Przypalantować ci w ten hrabiowski łeb? – zaproponował na powitanie.

– Henryku! – Poldek był równocześnie oburzony i przestraszony. – Nie bądź wulgarny i agresywny, niektórych to pociąga, niektórym imponuje, ale mnie przeraża!

– Dopiero teraz się przerażysz! – Heniek chwycił hrabiego za poły bonzurki i potrząsnął nim.

– Co tu się dzieje?! Spokój, bo wezwę policję, poza tym mam broń. – Niespodziewanie w przedpokoju pojawił się mężczyzna, dość postawny i z rewolwerem w dłoni. Był ubrany w białą koszulę ze stójką oraz zielone bryczesy i oficerki.

– Ja też mogę zadzwonić na policję, mogę prosić o aparat? – odciął się Heniek, ale jednocześnie zwolnił chwyt. – Chociaż nie... – uśmiechnął się, bo w sprawie wojskowego, co mi grozi bronią, to raczej na żandarmerię, prawda?

– Henryku! Jesteś nieelegancki, to nie w twoim stylu, to pachnie szantażem! – Poldek sprawiał wrażenie szczerze oburzonego, a wojskowy na te słowa odwiódł kurek rewolweru.

– Wpakuję ci kulkę i powiemy policji, że złapaliśmy włamywacza! – warknął wojskowy.

– Władku... – Leopold Walewski spojrzał na wojskowego – nie bądź zazdrosny, to nie o mnie ani o ciebie się rozchodzi, tylko, jak sądzę, o moją siostrę!

– Nie inaczej – powiedział spokojnym już głosem Heniek. – Tu chodzi o twoją siostrę.

Wojskowy chrząknął i schował rękę z bronią za siebie.

– Władku, pozwolisz, że wyjdziemy z moim przyjacielem Henrykiem na dół i rozwiążemy w kawiarni to niemal rodzinne nieporozumienie!

– IPS? – zaproponował Heniek.

– Bliżej będzie do Zodiaku, to przy Traugutta, też dla artystów, niezwykle oryginalne i wygodne miejsce.

Już na wejściu Heniek mógł zobaczyć, że to lokal inny niż wszystkie. Szatnię trzymał Murzyn! Mieszkał w Ameryce, więc nie zwrócił na niego szczególnej

uwagi.

– Serdecznie witam sianownego pana! – wypalił na powitanie hebanowy szatniarz i dopiero wtedy Heniek go zauważył. Pewnie gdyby się odezwał po angielsku...

– *Do you speak english?* – zapytał szatniarza.

– A muszę? Bo ja, sianowny panie, niespecjalnie szprecham w obcych językach, bo ja od dzieciaka mieszkam w naszej kochanej Warszawie! Diak się nazywam, ale jak panu wygodnie, to mów mi pan Darek, tak we wojsku do mnie mówili.

– To byłeś w wojsku?

– Służyłem w lotnictwie!

Diak był ubrany w szykowny granatowy strój, w tym samym kolorze były suknie kelnerek, które w zależności od pozycji i funkcji miały białe albo złote fartuszki.

W lokalu można było nie tylko wypić kawę i koniak, lecz także zagrać w bilard. Sala do gry była za kotarą, a na graczy czekały kije. Poszli właśnie tam, bo było mniej ludzi, a ci, którzy się tam znaleźli, byli całkowicie pochłonięci grą.

– Przeszło ci? – zaczął Poldek.

– Nie. To, że się uspokoilem, nie znaczy, że mi przeszło. Po cholere mnie oszukujesz?

– Ja?

– Ty! A kto przysięgał, że twoja siostra nie ma dziecka?

– O, przepraszam! – Poldek uniósł ręce. – Nic takiego nie mówiłem!

– Mówiłeś!

– Wiem, co mówię – westchnął Poldek. – Mówiłem, że dziecko mojej siostry nie jest moim siostrzeńcem...

– Ach tak... – W oczach Heńka kipiała złość.

– No tak, ja mam siostrzenicę, jej się nie wypierałem. – Poldek mówił to ze swadą adwokata, który tłumaczy sądowi, że jego klient, owszem, obciął głowę, ale nie piłą, tylko siekierą, a poza tym gdyby nie zaniedbania ze strony poszkodowanego, to jakoś by się ją dało doszyć.

– Traktujesz mnie jak jakiś papuga wsiowego policjanta, który próbuje wsadzić do kicia pojedynkujących się arystokratów.

– Zobaczysz Leopoldynę i zrozumiesz, zgoda? Stoi?

– Kiedy, gdzie?

– Tak ze dwie godziny, o ile masz pod ręką auto. – Heniek kiwnął głową, że tak. – W takim razie jedziemy do Konstancina. Jedziemy?

– Jedziemy!

– Tylko muszę powiedzieć rotmistrzowi, że plany na wieczór się zmieniły – powiedział z kwaśną miną, po czym z nadzieją dodał: – Chyba że pojedziemy jutro rano?

– Jak kocha, to poczeka – uciął Heniek.

– W tym problem, że sam nie wiem...

Przed chwilą miał ochotę mu przyłożyć, ale beznadziejnie smutna mina Poldka rozmiękczyła Heńka.

– O której jutro?

– Przyjacielu!

– O której?

– Dziewiąta rano, dziękuję ci, prawdziwych przyjaciół...

– Daj spokój, śmigaj, póki ci ta kawaleria nie odjedzie na inny poligon!

Leopold Walewski zarumienił się, chciał się jakoś odciąć, ale dał spokój, faktycznie, przystojny rotmistrz wcale nie musiał na niego czekać.

Warszawa 26 października 1936

Sokołowski ruszył z Szopena do Chopina, mieszkał bowiem w kamienicy Spokornego, która stała na rogu Ujazdowskich i Szopena, a umówił się ze Strasburgerem pod pomnikiem kompozytora w Łazienkach. Obaj byli punktualni, po minie detektywa było widać, że coś dla niego ma.

– Czołem, panie majorze, nie było lekko – zaczął Strasburger, jakby chciał podkreślić, że dokonał tytanicznej pracy, która choć nie zakończyła się jakimś spektakularnym sukcesem, to jednak należy ją docenić, bo i tak była czymś z pogranicza niemożliwości. – Przez pierwsze dni nie zebrałem żadnych informacji poza jedną, że nie ma go w Warszawie, ale zdarzył się cud, który zresztą przewidywałem. W niedzielę, po sąsiedzku, przy Bagateli grywa się w brydża...

– U prezesostwa Leszczyckich, o reszcie też wiem.

– To w takim razie przejdę do sedna sprawy. Zapytałem panią prezesową wprost, czy wie, co się mogło wydarzyć. I owszem, wydarzyło się i jeśli pan go dobrze zna, a przypuszczam, że tak jest, choć nie osobiście, to ta historia pana nie zaskoczy.

Strasburger zapalił papierosa i zaczął opowieść.

Warszawa **17 kwietnia 1936**

Spotkali się rano. Heniek stał przy swoim aucie, pałac papierosa. Kiedy nadszedł Poldek, zauważył, że jest nie tylko niedospany, lecz także smutny.

– Dostałeś kosza? – rzucił Heniek.

– Henryku! – uniósł się Walewski.

– A co ja jestem, ksiądz proboszcz czy twój przełożony z MSZ-u, żebyś się tak krygował?

– Gdyby to jeszcze był mój przełożony. – Machnął ręką. – O co innego chodzi. Nie dostałem kosza, ale on wyjeżdża!

– Przecież i ty wyjeżdżasz.

– Ale nie wiadomo kiedy.

– A ja cały czas samotny, a jak się trafiają dziewczyny, to wyjeżdżają albo wychodzą za mąż, a potem się rozwodzą i wychowują samotnie moje dziecko. Dość mazgajenia się, dokąd jedziemy?

– Do Konstancina, tam Mariańscy mają swój letni dom.

– To znaczy, że się im powodzi!

– Nasza kuzynka nie wyszłaby za byle kogo!

– W to nie wątpię, gdyby tak było, tobyś był moim szwagrem!

– Henryku! Nie musisz mi stale tego przypominać!

– To życie mi o tym stale przypomina, a jakbyś zapomniał, to masz mnie przekonać, że nie jestem ojcem twojej siostrzenicy!

– Zapewniam cię, że nie jesteś ojcem mojej siostrzenicy! Przysięgam!

Po trzech kwadransach, z których tylko fragment przypadał na wygodną, asfaltową szosę, na której warszawscy entuzjaści motoryzacji urządzali wyścigi i na której Heniek parę razy użył mocy swojego auta, aby pokazać ścigantom, że nie mają do kogo startować, dojechali do murowanej willi ozdobionej

drewnianymi werandami.

– To tutaj, zapraszam! – powiedział Poldek.

– Żartujesz!

– Nie żartuję. Chcesz się przekonać czy nie?

– A nie możemy...

Chciał zaproponować jakieś podkradanie się, zajście domu od tyłu, ale wtedy usłyszał:

– Jesteście!

Do furtki szła Maria! Wyglądała lepiej niż kiedykolwiek.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, sześć lat! – powiedziała, jakby nie było wtedy awantury.

– Ja również... – Heniek był skrępowany, bo na widok kobiety, którą odsądził od czci i wiary, mocniej zabiło mu serce.

Teraz modlił się, żeby Poldek nie palnął jakiegoś głupstwa, na przykład „bo wyobraź sobie, droga siostrze, że Henryk przeczytał wczoraj w gazecie, że jesteś wolna i...”.

– Bo wyobraź sobie, droga siostrze, że Henryk przeczytał wczoraj w gazecie – usłyszał i poczuł, że za chwilę go zabije, on wiedział o tym, musiał sobie z tego zdawać sprawę, ale z miną zadowolonego z siebie idioty ciągnął dalej – ...że ma dzisiaj w kasynie grać Orkiestra Golda i Petersburskiego!

Cieszył się, przewracał oczami, a Heniek mało nie padł trupem.

– Coś się stało, mój przyjacielu? – zapytał z troską Poldek. – Bo coś marnie wyglądasz, przemęczasz się, mój drogi. Bo musisz wiedzieć, że ten nasz Heniek to cały czas niezwykle popularna postać, lew salonowy!

– À propos, a co się stało z tym lwem, który mieszkał na Nowym Świecie? – zapytała Maria.

– Zdechł w Milanówku, wyjazd z miasta mu nie służył. – Heniek postanowił zakończyć ten festiwal słodkości, który zaserwował Poldek. I wtedy z ganku domu zbiegła ta sama dziewczynka, którą widział na zdjęciu w gazecie, i poczuł, że zabiło mu mocniej serce i że wcale nie ma zamiaru tego drania mordować.

– Wuuuuuujek – krzyknęła mała i podbiegła nie do Poldka, tylko do Heńka, przytuliła się do niego mocno, tak mocno, że spadł jej kapelusik, ukazując rude loki.

Kiedy wracali po parkowym występie Golda i Petersburskiego do Warszawy, Heniek milczał, a Poldek triumfował.

– Małe dzieci są podobne do siebie, można się pomylić, zwłaszcza że fotografie są przeważnie czarno-białe, a druk marny. Ale przekonałeś się. Jak widzę – spojrział na Heńka wzrokiem badacza – nie jesteś rudy, ale może byli rudzi u ciebie w rodzinie? Po twojej minie zgaduję, że nie – uśmiechnął się triumfująco. – W naszej także, za to były mąż Marii, ten dureń Overath...!

– Jest rudy?

– Jak lis! Do tego kompletny idiota! Ta aktorka wymogła na nim rozwód, będą mieć dziecko i majątek uleciiii – śpiewnie zakończył Poldek. – A jak po latach odbierasz moją siostrę?

– To wciąż piękna kobieta, nawet piękniejsza niż kiedyś.

– I nie ma zamiaru wychodzić za mąż. – Leopold hrabia Walewski zrobił znaczącą minę.

– Ale ja chcę się żenić.

– Henryku!

– Takie mam plany.

– Ale z kim?

– Tego właśnie nie wiem, ale już wiem, że nie będzie to twoja siostra.

– Mówisz tak na przekór, wydawało mi się, że w skrytości ją kochasz!

Nic nie odpowiedział, wjechali na asfaltową szosę, która prowadziła do Warszawy, i nadusił pedał gazu, mijając z rykiem silnika przygodnie napotkanych rajdowców. Szalał po szosie, żeby skończyć tę rozmowę, bo co miał powiedzieć? Wszystko, tylko nie prawdę! A prawda była taka, że kochał i Marię, i Aldonę, i Irenę.

– Ja wszystkie was dziewczynki, całooooować chcę!!! – zaśpiewał, mijając kolejny samochód.

Po drodze umówili się na jakiś bankiet, było tam nudno, wszyscy rozprawiali o zbliżającym się odświeżeniu pomnika Kilińskiego i polityce. Ale Heniek i Poldek stworzyli wesołą, pijacką kompanię, bo spotkali – a jakże – pułkownika Bielińskiego i, co było niezwykle niespodzianką, Aleksandra Nowickiego. Były wojskowy zjechał z Paryża, by przygotować jakiś kongres prometejski.

– Zjazd Językoznawców Narodów Ujarzmionych ZSRR, tak to się nazywa panowie – wytłumaczył.

A później już tylko opowiadali sobie dowcipy, plotkowali, wymieniali uwagi

o autach, damach i miejscach wartych odwiedzenia.

– Panowie, zwijamy żagle – zarządził Nowicki. – Ja bym usiadł przy stoliku, bo jedzenie tu nienadzwyczajne, a stęskniłem się za polską kuchnią! Proponuję Victorię, cicho i spokojnie, bez kabaretów, tłumów. Zapraszam!

Poszli we dwójkę z Heńkiem, bo nie wypadało, żeby tak we czterech naraz, żeby gospodarze nie poczuli się urażeni tym, że chcą organizować sobie konkurencyjną imprezę. Pułkownik Bieliński i Poldek mieli dojść później, za jakiś kwadrans.

Skręcili z Kredytowej na plac Dąbrowskiego i szli stroną należącą do ulicy Jasnej. Mijając hotel Victoria, dostrzegli przez szyby, że na sali restauracyjnej jest jakiś ruch, Heniek stwierdził, że właśnie zamykają, ale Nowicki uznał, że wszystko jest jeszcze pod parą.

– Victoria hotel! – zaśmiał się Nowicki. – To nie jest hotel z moich snów, ale restauracja jest otwarta, popatrz!

Nagle zza szyby, z wnętrza lokalu poszedł śpiew:

*Nie chcemy już od was uznania,
Ni waszych słów, ni waszych łez,
Skończyły się dni kołatania,
Do waszych serc – jebał was pies!*

– Dobra nasza, otwarte, a oni wyglądają na cokolwiek zmęczonych, więc będą się zawijać. O, nawet kobieta z nimi jest, wygląda, jakby to wszystko kończyła – zdał raport Nowicki.

Faktycznie, przez szybę było widać, jak przy stoliku siedzi czterech oficerów, była z nimi kobieta, ale czy ładna, czy nie, nie można było dostrzec, bo siedziała tyłem do ulicy.

– Może otwarte specjalnie dla nich – zastanowił się Heniek.

– To im wydam rozkaz, w końcu jestem pułkownikiem – zaśmiał się Nowicki.

– Gdybym nie odszedł dziesięć lat temu z wojska, to byłbym generałem!

– A jakby car nie upadł, to może nawet byś był *general-feldmarszał!* – zaśmiał się Heniek.

– Nie inaczej, nie inaczej. – Pułkownik Nowicki odpowiedział śmiechem i poklepał Heńka po plecach.

Byli w doskonałych nastrojach, a pustawe wnętrze Victorii wprost zachęcało do wejścia.

– Zamknięte – powiedział stojący przy drzwiach kelner.

– Jak zamknięte, to zmiataj pan do domu! – zaśmiał się Heniek. – Co pan tu jeszcze robi?

Aleksander Nowicki nie wdawał się w rozmowy z personelem, po prostu usiadł przy stoliku i machnął na kelnera.

– Zamknięte! Nie słyszysz pan, co mówił kelner? – Do Nowickiego podszedł porucznik trzymający w ręku kij bilardowy.

– A ja widzę, że otwarte – odparł spokojnie Nowicki, moszcząc się w krześle. – Kelner! Kelner! – zawołał.

– Proszę mnie nie lekceważyć – syknął porucznik.

– Nie lekceważę pana, panie poruczniku, ale za to pan przeszkadza mi w złożeniu zamówienia.

– Wstań, jak mówisz do oficera, chamie! – Porucznik nie tylko powiedział co powiedział, nie tylko użył podniesionego głosu, lecz także uderzył kijem o parkiet.

– Tak, kochany, to nie będziemy rozmawiać. – Nowicki dalej zachowywał spokój, a kątem oka dostrzegł, że Heniek przerwał negocjacje z kelnerem i ruszył w ich kierunku. Wcześniej podeszła kobieta, która była z oficerami, złapała kapitana za rękaw.

– Marian, daj spokój, pójdźmy do domu...

Wtedy nadszedł Heniek. Przyglądał się jej uważnie.

– O! Pani Diana, moja wybawicielka! – Bo to przecież była Zuzanna Bonikowska, łuczniczka z Kozłówki, która swoimi strzałami z łuku uratowała mu życie.

– A pan to kto? – burknął kapitan.

– Przepraszam najmocniej, nie przedstawiłem się, Henryk Haas!

– To niech pan, panie Haas, zabierze stąd swojego przyjaciela, ale już, bo mnie denerwuje.

– Marian, chodźmy do domu... – prosiła Zuzanna.

– Nie wtrącaj się, rozumiesz?

– Może tak grzeczniej? Jesteś pan oficerem i mówisz do kobiety! – przypomniał o sobie Nowicki, który dalej siedząc, włączył się w rozmowę.

– Kim ty jesteś? Tobie też uratowała życie? – Kapitan zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Jestem pułkownik Aleksander Nowicki – powiedział ze spokojem i wstał od stolika, po czym podszedł do kapitana i zmierzył go wzrokiem jak kogut.

– Z którego pułku?

– Z pułku, z którego wylaliby cię na zbity pysk za kompromitowanie munduru i sztandaru!

To był koniec rozmowy, kapitan próbował uderzyć Nowickiego kijem bilardowym, ale Zuzanna go powstrzymała, za co pchnął ją tak mocno, że padłaby na podłogę, ale Heniek złapał ją pod ramiona.

– Naprawdę jesteś bydlak. – Nowicki pokręcił głową. – *Swołocz, nastojaszczyj swołocz!*

W tej chwili byli już przy nich dwaj oficerowie, którzy zawrócili z sali bilardowej.

– Kapitanie, ten obejmuje pańską żonę!

– Skarżypyta i lizus – zaśmiał się Nowicki.

Heniek też się zaśmiał, ale po chwili nie było mu do śmiechu. Nowicki podjął się próby mediacji, ale wcześniej kapitan spoliczkował Heńka, a pułkownik o mało nie oberwał kijem bilardowym od jednego z oficerów. W tym momencie było już po wszystkim, działo się jak na westernie podczas łomotaniny w saloonie, brakowało tylko kapeluszy, dziwek w rozłożystych sukniach i pianisty, ale reszta była taka sama.

Pułkownik Nowicki złapał leżącą na stole kulę bilardową i użył jej jak kastetu. Porucznik, który go wcześniej zaatakował kijem, osunął się na podłogę, wtedy drugi z bilardzistów dosięgnął Nowickiego kijem, ale nie ogłuszył go, wręcz przeciwnie, bo rozjuszony pułkownik rzucił się na niego jak zapaśnik, siłą rozpędu zmiotł dwa krzesła. Na policzek, który dostał od oficera Heniek, zareagował w sposób, którego się tamten nie spodziewał.

Żadnej szermierki na pięści czy francuskiej walki, bo ani w boksie, ani w zapasach nie zaczyna się walki od kopniaka. Bonikowski dostał z podeszwy w klatkę piersiową i odepchnięty z wielką siłą, bezwładnie poleciał w tył, przewracając krzesło i strącając ze stołu butelkę. Wtedy na Heńka ruszył porucznik z kijem bilardowym i pewnie zrobiłby mu krzywdę, gdyby nie Nowicki, który rzucił w niego talerzem. Na chwilę oszołomiło to „bilardzistę”, co wykorzystał Heniek, blokując jego kolejne uderzenia krzesłem.

Krzesło pojawiło się także w rękach czwartego uczestnika walki, który zaskoczył pułkownika. Nowicki dostał potężny cios krzesłem, mebel się rozleciał, dawny ułan Lejbgwardyjskiego Pułku Ułanów Jego Wysokości, który

w bitwie pod Nidzicą dokonał niemal samobójczego kontrataku, za co dostał *Gieorgijewskij Kriest*, a później w polskim wojsku przeprowadzał szarżę sięjące popłoch wśród bolszewików, tylko się otrzepał, po czym odwrócił się, chwycił porucznika za poły munduru i rzucił nim jak szmacianą lalką. Wojskowy przeleciał w powietrzu ze dwa metry, i wylądował na blacie stołu. Pełen zastawy mebel złamał się pod impetem padającego ciała, rozległ się trzask drewna, połączony z brzękiem tłuczonego fajansu i jękiem porucznika.

Tłukła się cała kompania, bo ten, którego na początku pułkownik poczęstował kulą bilardową, ledwie co przeszedł z parteru na czworaki. Chciał się podnieść, ale zaraz opadał na cztery łapy.

Kierownik hotelu wiedział, że już nie ma na co czekać, wcześniejszy telefon na policję niczego by nie załatwił, policja nic by nie wskórała, ale teraz musieli przyjechać, bo w lokalu odbywała się prawdziwa, regularna bójka.

Wtedy do akcji przystąpił najstarszy stażem pracownik hotelu Victoria, portier Wacław Pęga. Weteran Victorii, który zaczął w niej pracę jeszcze w ubiegłym wieku, chciał odkręcić hydrant, ale wtedy kapitan wyszarpnął pistolet i próbował zastrzelić Heńka. W ostatniej chwili, rycząc jak tur i poruszając się jak to legendarne zwierzę, pułkownik Nowicki z dwoma uwieszonymi na sobie przeciwnikami wbiegł w kapitana Bonikowskiego.

Rozległ się huk, Heniek nie doznał uszczerbku, bo Bonikowski został wytracony z równowagi, ale portier, który celował w nich z za baru, padł zalany krwią. Kula przeznaczona Heńkowi dostała się Wacławowi Pędze.

– Ty skurwysynu! – krzyknął Heniek i posłał najpierw prawego prostego na nos, a później sierpa na szczękę kapitana Bonikowskiego.

W tej samej chwili Nowicki złapał za włosy tarzających się z nim po ziemi napastników i obił ich głowami. Właśnie wtedy trafiony kulą bilardową oficer wstał w końcu i tocząc błędnym wzrokiem po sali, przyjął bokerską postawę. Był teraz jedynym zdolnym do walki zawodnikiem swojej drużyny, pozostali mieli już dość. Teraz można było ruszyć do rannego portiera, była już przy nim Zuzanna.

– Spokojnie, panowie, nic mu nie będzie, znam się na tym, jestem po szkoleniu sanitarnym!

– Przecież się wykrwawia! – lamentował kierownik sali.

– To nie krew, to wiśniówka, w którą trafiła kula, jest lekko skaleczony szkłem, ale to wszystko.

– Przepraszam, ja zawsze robię zamieszanie – powiedział Heniek do

Zuzanny.

– Ktoś go kiedyś musiał przywołać do porządku – odpowiedziała. – A teraz uciekajcie!

Tak właśnie zrobili. Ulotnili się błyskawicznie, bo kiedy wyszli z hotelu, przed drzwiami pojawiła się dorożka, którą przyjechali pułkownik Bieliński i Poldek Walewski. Jadąc Jasną w kierunku placu Napoleona, minęli się z patrolem policyjnym.

Strasburger skończył opowiadanie i dodał jeszcze swoje podsumowanie.

– Typowe, nieprawdaż? Bo jakiegokolwiek nazwisko by nosił, jakiego paszportu używał, to kończyło się tak samo. Z Warszawy w roku dwudziestym siódmym zwiął, bo jeden z kolegów z urzędu śledczego był o niego zazdrosny, trzy lata później uciekał z Ameryki, bo też wpłatał się w dość karkołomny romans.

– Tej sprawy akurat nie znam.

– Nic szczególnego, każdemu może się zdarzyć romans z matką i córką, których mąż i ojciec ma znajomości w urzędach federalnych – zaśmiał się Strasburger. – Więc to, co się stało w Victorii, to można powiedzieć normalka. Najpierw go ścigał urząd śledczy, później federalni, a teraz przyszedł czas na Dwójkę, tak to chyba wygląda.

– Bardzo panu dziękuję, teraz wszystko zaczyna mi się układać w głowie.

– To jeszcze nie koniec, za pół godziny zaczynam spotkanie, które powinno pomóc w ustaleniu jego miejsca pobytu, proponuję spotkać się w południe w Wyścigowym przy Pięknej – zaproponował Strasburger.

– Dobrze, bo mieszkam blisko – zgodził się Sokołowski.

– Przecież wiem, panie majorze – uśmiechnął się były komisarz policji.

Spotkanie ludzi, którzy wiele wiedzą, a nawet jeśli nie wiedzą, to szybko mogą ten stan rzeczy zmienić, skończyło się. Major szedł do domu, myśląc o tym, czy zdąży napisać swoją opinię, a w zasadzie czy zdąży wydać wyrok. Zdąży, z pewnością zdąży, ale czy oni zdążą się zmienić? Oni, to znaczy ci, którzy wskazują kierunek, dają przykład i zapewniają – nie tylko tak mówią, lecz także są o tym przekonani – przyszłość.

Był majorem kawalerii, szwoleżerem, potrafił narozrabiać, czasem – jeśli było towarzystwo – lubił wypić, ale kiedy po paru latach przebywania za granicą przyjechali wraz z Ludwiką na ostatnią sobotę karnawału do Warszawy, to

mocno się zdziwił. Spędzali tę noc w gronie przyjaciół, a jako że było ich wielu i dawno niewidzianych, a do tego była moda, by jak dawniej kuligiem jeździć od dworu do zaścianka, od zaścianka do pałacu i tak do utraty tchu, to odwiedzili kilka balów. Byli u artystów, cyklistów, w prywatnym domu i w Adrii, ale w końcu musieli zajrzeć i do szwoleżerów. Zajechali na Myśliwiecką koło czwartej rano i zabawa trwała tam jeszcze w najlepsze, tańczono i dokazywano, jakby całe towarzystwo miało dwadzieścia lat i wszyscy byli szeregowcami albo podchorążakami w legionach. Ale już nie byli, dlatego marszałek sejmku Świtalski, który siedział na podłodze oparty plecami o ścianę, wyglądał dość żałośnie. Damy, z których większość poruszała się dość chwiejnym krokiem, rzucały mu w usta kawałki pomarańczy, a on starał się je łapać, jak pies łapie kielbasę. Każda udana próba, każde pochwycenie pomarańczy było kwitowane aplauzem, który marszałek sejmku Rzeczypospolitej uciszał jak brawa podczas przemówienia. Ale większość chybiała celu i frak, a zwłaszcza biała, wykrochmalona koszula nosiły ślady po nietrafionych rzutach. Połączenie francuskiego szyku z rosyjskim stylem biesiadowania, huzarzy XX wieku, pijani jak ci spod Somosierry, honorowi jak z Pojedyńku Conrada, jak Pierre Bezuchow i jego oficerska kompania z Petersburga. Prawie codziennie jakiś pojedynek, ludzie poharatani, bywało, że zabici, ale rozgrzeszeni. Niehonorowo odmówić, niehonorowo zauważyć, niehonorowo skazać. Honorowo wziąć udział, uniewinnić, zamknąć drogę awansu za odmowę bitki czy strzelania. Jak carscy oficerowie wyręczali dorożkarzy, wjeżdżali do lokali konno, tłukli policjantów... A koniec bywa taki jak ten, który spotkał jednego z lepszych oficerów, generała Olgierda Pożerskiego, który zmarł podczas manewrów. A dokładniej podczas bankietu z ich okazji, kiedy popisywał się tańcami w szalonym mazurze z młodą damą, wypił szampana i padł trupem. Prezydent awansował go pośmiertnie na generała dywizji. Nic więc dziwnego, że młodzi, ci z Czwartej Brygady, chcieli być tacy sami. I niech będą, a niech im tam, ale niech nie będą donosicielami, niech nie dokonują zemsty przy pomocy wujków z Dwójki.

Jak tak dalej pójdzie, gmach, który jeszcze za swojego życia zbudował Marszałek, ujawni wkrótce swe największe niedoskonałości i zwali się w gruzy. Pewnie ci, których traktował z takim obrzydzeniem, których odsuwał od władzy, narodowcy i ich młodzi akolici, dojdą do władzy wcześniej, niż się tego Marszałek spodziewał. Pewnie prędzej premierem albo prezydentem zostanie ktoś namaszczony przez Dmowskiego, niż na Polu Mokotowskim powstanie nowa dzielnica, mauzoleum Piłsudskiego i Świątynia Opatrzności Bożej.

Był tym wszystkim przygnębiony, niemniej coraz bardziej zbliżał się do treści wyroku, który ma wydać.

Warszawa 18 kwietnia 1936

Kiedy był głodny, czuł rano apetyt i ssanie w żołądku, to walił po sąsiedzku do Ziemiańskiej, ale do żadnej „małej” czy „dużej”, ani na Mazowiecką, ani na Kredytową, ani do żadnej z czterech przy Marszałkowskiej, tylko na Sienkiewicza pod ósmym, gdzie działała Winiarnia Ziemiańska. Tam można było na śniadanie zjeść obiad! Jeśli się wróciło późno, nad ranem, to wystarczyło wziąć prysznic, wyczyścić zęby, włożyć świeże ubranie i zaspokoić głód, a także, jeśli była taka potrzeba, zatłuc kaca w Ziemiańskiej przy Sienkiewicza. Nie należała ona do rodziny Ziemiańskich, których matka założycielka z Mazowieckiej zrodziła jeszcze siedem i rozsiała po Warszawie, po prostu właściciel wykorzystał popularność szyldu, co nie znaczy, że małpował styl. Nic z tych rzeczy! Ziemiańskie były kawiarniami, tam się siedziało przy małej czarnej, kieliszeczką i słodyczach oraz ciastkach, na konkrety chodziło się gdzie indziej, a w Winiarni Ziemiańskiej można było zjeść kulebiak, zapiekaną zupę rybną albo forszmak, rumsztyk lub gruzińskie szkmeruli. Można było – jak to mówił Kosiorek – się nafutrować pod pokrywkę, a do tego, jak na winiarnię przystało, wino... I nie tylko wino. Wielu mogło tu znaleźć energię na cały dzień, ale byli i tacy, którzy mogli tu dzień zakończyć. A wczoraj się nie najadł, bo ten oficer, mąż Zuzanny, zrobił drakę. Pies z nim tańczył.

Jadł spokojnie, kiedy poczuł, że ktoś nad nim stanął.

– Pięknie narozrabiałeś. – To był głos Beniowskiego.

– Tylko mu podzelo wałem oko, dostał jak darmo, bo należało mu się solidne lanie.

– Tobie się należy.

– Mnie?

– Wiesz, kim jest jeden z wujków kapitana?

Heniek wzruszył ramionami.

– To major, żadna Czwarta Brygada jak siostrzeniec, tylko Pierwsza, i do tego Dwójka, rozumiesz? – wycedził kapitan.

Mimika, mowa ciała, tembr głosu, nerwowo palony papieros – to wszystko

zdradzało, że Beniowski jest nie na żarty zaniepokojony, ale Heniek bagatelizował słowa przyjaciela, mimo że doskonale zrozumiał, że oficer, którego nauczył szacunku dla dam, ma wujka, który był w I Brygadzie Legionów, a teraz jest szychą w wywiadzie.

– Weźmie cię do raportu, skoro cię tam formalnie nie ma? Kto o tobie wie? Nic ci nie zrobią, bo jak?

– Masz rację, niewielu, ale akurat major Stefan Rój-Kordyjewicz to nie jeden z wielu, którzy nie mają o mnie pojęcia.

– Rój-Kordyjewicz... Piękne literackie nazwisko. – Heniek uśmiechnął się, pijąc tym samym do Roju, najprężniejszego wydawnictwa książkowego.

– Słuchaj, Heniek... – Głos Beniowskiego z podenerwowanego zrobił się niemily, wręcz agresywny. – Gdyby tamten idiota nie użył...

– Byłaby niezła heca, ale nie będzie. – Heniek nadal walczył z objawami kaca i zmęczenia. – Bo co on nam może zrobić?

– A to, że już dawno kopie pode mną dołki, czuje do mnie taką miętę jak do rotmistrza Sosnowskiego, uważa, że moja robota w Berlinie to była praca dla mojej własnej kieszeni, dla Sosnowskiego i dla Niemców, a Polsce i Dwójce rzuciłem ochłapy. Jego marzeniem jest zrobienie ze mną tego samego co z rotmistrem. Ja się starałem od Sosnowskiego trzymać z daleka, bo na mój gust za bardzo szastał pieniędzmi, za bardzo rzucał się w oczy, ale Rój-Kordyjewicz ma ambicje, żeby mnie do niego przykleić. Kapitan jest dupkiem i na pewno już pobiegł z gębą do swoich wszystkich protektorów, w tym i do wuja. Parę tygodni i dojdą do naszych powiązań, a wtedy będę miał łatkę współpracownika Sosnowskiego i kumpla gangstera z Chicago.

– Za duży smród – powiedział Heniek, konsumując rumsztyk.

– Tak myślisz? – Na twarzy Beniowskiego pojawił się krzywy uśmiech. – Wsadzą nas do więzienia tak jak Sosnowskiego, a wiesz, kto to jest? Nie wiesz i nie chcesz wiedzieć, a zwłaszcza tego, co się z nim teraz dzieje. Zgnoił taką figurę, to nas rozdepcą jak robaki. A wiesz, co ja bym pierwsze zrobił na ich miejscu? Przymknąłbym cię za byle gówno, a następnie zrobił na siebie donos do prasy, że się amerykańskiego obywatela bezprawnie przetrzymuje. A jaki następny krok? Prasa pisze, a ambasada interweniuje, czyli robi ci niedźwiedzią przysługę.

Heniek miał prawdziwy paszport, prawo jazdy, tylko nie miał obywatelstwa, to by wyszło przy historii, w której zaczęto by szczegółowo badać, kim jest aresztowany przez polską policję obywatel Stanów Zjednoczonych, urodzony

w Warszawie Henry Haas.

– Byłaby niezła draka, tak się chyba mówi u ciebie na Woli, prawda?

– Nie, u nas na Woli powiedzieliby, że jestem w dupie.

– No to chyba zrozumiałeś, co jest grane. Robisz stąd wytyki, ale już! Może się to uspokoi, ale na razie przeczekałbym gdzieś z dala od Polski.

– Chcę się z nią spotkać...

– Z nią którą? Z Aldoną Glock czy z Ireną Leszczycką, a może z obiema naraz?

– Niepotrzebna ta złośliwość, ja ci tylko przypominam, że pułkownik Nowicki chciał nas pozabijać, bo mu chciałeś odbić żonę. – Beniowski udawał, że tego nie słyszy. – Najszampierw to ja chciałbym się zobaczyć z Zuzanną.

– To jedź do wiceministra Orłowskiego.

– Czemu? Nie rozumiem?

– Bo to jego córka. Po tym, co się wczoraj stało, wyprowadziła się od męża i uciekła do ojca. Dlatego jest taka afera!

– A jeśli powie, że się z nią przespałem...

– Rany boskie! – wykrzyknął Beniowski na cały lokal. – Ty już dzisiaj masz się wynosić z Warszawy, ułan rogacz, kawalerzysta z ciężarną żoną, która się wyprowadziła do papy po tym, jak jej kochanek obił mu mordę.

– Najbardziej to bił Nowicki.

Kapitan był bliski furii, ale w tej chwili przy stoliku pojawił się Poldek Walewski.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał usłużnie, jakby był kelnerem, a nie hrabią pracownikiem MSZ.

– Weź go zabierz, najlepiej jak najdalej stąd!

– Może być Czackiego?

– Może, ale jak dojdzie do siebie, to trzeba go wysłać za granicę, najlepiej w rejs dookoła świata, żeby był nieosiągalny!

– To się da załatwić... Może nie dookoła świata, ale...

Warszawa
19 kwietnia 1936

I znów wyjeżdża bez pożegnania, bez ostatniej nocy. Ale z którą z nich miałby ją spędzić? Z Aldoną czy z Ireną? Trudny wybór, więc może nie chcąc go

dokonywać, po prostu stchórzył i chyłkiem opuszczał Warszawę. Zdąży się za to pożegnać ze swoim mercedesem. Wyprowadził go z podziemnego garażu w Prudentialu, pojedzie nim na Okęcie, tam Mietek Kosiorek odbierze od niego auto, a on odleci do Wenecji.

Na semaforze przy skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej zapaliło się najpierw żółte, a później czerwone światło. Trzy kolory świeciły się tu już drugi rok, ale wielu kierowców nie przyzwyczało się, albo nie chciało się do tego przyzwyczać, i na żółtym zamiast hamować, wbijali pedał gazu w podłogę, żeby zdążyć przed czerwonym. Zdążyłby z pewnością, nie to co ten fiacik, który wyjąc swym silniczkiem, nie zdołał uciec przez czerwoną lampą. Nie było policjanta, który by go zatrzymał, więc pojechał dalej. Heniek stanął, bo niepotrzebne mu były teraz żadne sensacje, gaz nadusi na pięknej alei, która prowadziła za miasto. Koło niego zatrzymał się jakiś samochód, który też czekał na zmianę światła, usłyszał bulgotanie silnika, niewyjęte osiem cylindrów! To był wielki buick, czterodrzwiowa karetka z prawie czterolitrowym motorem. Kierowca opuścił szybę i Heniek zobaczył twarz Dołęgi-Mostowicza. Pozdrowili się, a kiedy zapaliło się żółte światło, usłyszał:

– Ścigamy się!

Gdy tylko pojawiło się zielone światło, Dołęga-Mostowicz nadepnął pedał gazu i ruszył Alejami w kierunku placu Zawiszy, Heniek delikatnie spuścił sprzęgło i pojechał za nim, nie forsując tempa. Jechał, bardziej kierując się dźwiękami klaksonu i silnika niż światłami auta, które zniknęło z oczu w oszalałym tempie. Pisarz czekał na niego za skrzyżowaniem z Żelazną i był rozczarowany swoim łatwym zwycięstwem.

– Nie podjął pan walki? Czemu?

– Powiedział pan kiedyś, że kto świśnie milion, jest defraudantem, a żebrak, co wyciągnie bliźniemu z kieszeni złotówkę, to złodziej. Ma pan rację! A ja sobie myślę, że lepiej zabić tuzin drani z rozpylacza, niż zabić na ulicy autem jakiegoś przechodnia. Poza tym pana buick to elegancki, wygodny wóz, ale absolutnie nie nadaje się do ścigania.

– Mimo wszystko nalegam!

Heniek uważał, że pisarz jest bez szans, ale nie miał ochoty pchać się w kłopoty ulicznym wyścigiem.

– Nie tutaj, umówmy się w jakimś stosownym miejscu, gdzieś na dobrej szosie. Na radomskiej albo konstancińskiej.

– Jutro pod Konstancinem! – wykrzyknął Dołęga-Mostowicz. – O której?

– Jutro będę w Wenecji.

– Żeby machać chusteczką na Batorego – zaśmiał się pisarz. – Pożegnać nasze elity, które płyną nowym polskim cudem, który zbudowała włoska stocznia?

– Nie, żeby płynąć nim w dziewiczy rejs.

– Ach tak. – Twarz literata stężała. – To w takim razie do widzenia. – Dołęga-Mostowicz nacisnął pedał gazu i odjechał z piskiem opon.

Heniek nie wiedział, że człowiekowi, który był najpopularniejszym literatem, krezusem, któremu inni zazdrościli czytelników, a połowa jego zarobków byłaby nieosiągalnym szczęściem, brakowało jednego – uznania krytyków i kolegów pisarzy. On, ziemianin herbu Dołęga, był traktowany jak nuworysz i nie miał szans na to, by w dziewiczym rejsie Batorym zająć miejsce obok Szyfmana, Struga, Fiedlera, Żeromskich i Wańkowicza.

Warszawa 26 października 1936

Punktualnie w południe major Sokołowski wszedł do baru Wyścigowego na rogu Pięknej i Marszałkowskiej, Strasburger już na niego czekał.

– Pewnie pan wie, że uciekł przed kłopotami do Wenecji?

– Tak, wiem, poleciał samolotem, swoją drogą nie wiedziałem, że LOT ma już połączenia z Wenecją, a tam, dzięki pomocy znajomych zaokrętował się na Batorego. A dalej nie wiem.

– A dalej Dubrownik, Barcelona, Madera, Lizbona. Tam wysiadł, bo w Londynie już go na pokładzie nie było.

– O Lizbonie akurat wiem.

– Domyślam się, ale pewnie nie wie pan, że siedział tam przynajmniej dwa tygodnie, bo zbiegiem okoliczności była tam w tym samym czasie panna Aldona Glock...

– Wiem, kim dla niego jest, nie musi pan wyjaśniać.

– W takim razie nie muszę także tłumaczyć, co może oznaczać dwutygodniowy wyjazd do Hiszpanii Ireny Leszczyckiej. Gdyby się trzymać tej hipotezy i ustalać marszrutę Wcisły-Haasa po podróżach jego przyjaciółek, to ostatnio panna Glock była w... Helsinkach.

– Imponujące – powiedział major. – Mam na myśli ogrom pańskiej pracy, ale

i rozmach, z jakim on się porusza, i oddanie, z jakim jeżdżą za nim jego przyjaciółki. Ile się należy? – zapytał major, sięgając po portfel.

– Tyle, ile będzie pan uważał za stosowne, zgłosi się pan do mnie i powie, że może mi się pan zrewanżować.

– Nie powiem, że chętnie, bo prawdę mówiąc, wolałbym, by taka sytuacja nie nastąpiła.

– Nie zrozumiał mnie pan. Cholernie mnie ciągnie do czegoś, co się nie spodoba mojej pani. Kocham ją. Bezgranicznie ją wielbię, ale brakuje mi tego, co było w dawnej robocie. Emocje, panie majorze, emocje!

– Takie jak wtedy pod filarami, strzelaniny, pościgi, ucieczki? – Major uniósł brwi, jakby chciał pokazać niewypowiedziane zdziwienie.

– A żeby pan wiedział. Ja nie żartuję. Niech pan o mnie pamięta!

– Dobrze, będę pamiętał. – Uśmiechnął się na pożegnanie i pomyślał: *a żebyś i ty wiedział, jak mi tego brakuje!*. W jego głowie kielkował pewien pomysł, ale najpierw musiał pójść do domu, włożyć mundur, pojechać do pałacu Saskiego i napisać swoją opinię.

Kiedy jechał taksówką do pałacu Saskiego, miał już plan swojego pisma. Nie będzie długie, nie będzie łał wody i wagi faktów zastępował ilością. Wobec tego, co można było nazwać jeśli nie spiskiem, to przynajmniej znową grupy oficerów, zastosuje oręż bardzo konkretny i miał nadzieję, że skuteczny.

Wrogowie Heńka oraz majora Żychonia i kapitana Beniowskiego sprawnie działali na szachownicy i nawet dali szacha, ale jeszcze nie mata. Było ciężko, ale on zrozumiał, o co chodzi, Strasburger dobrze to określił: Dwójka wie wszystko, albo nawet więcej niż wszystko.

Ten swoisty triumwirat z referatu Wschód – major Stefan Rój-Kordyjewicz, kapitan Edward Rachoń i porucznik Krzysztof Witek – wiedział więcej niż wszystko, oni starali się tworzyć zupełnie nową, własną historię, preparując fakty, których nie było, lepiłi terażniejszość.

Trzeba przyznać, że Rój-Kordyjewicz, Rachoń i Witek znakomicie potrafili reagować na zmieniającą się sytuację. Od dawna ryli pod majorem Żychoniem i kapitanem Beniowskim, ale dopiero wiosną i latem sprawy przyspieszyły.

Zaczęło się od awantury w Victorii, po której kapitan Bonikowski, siostrzeniec pułkownika Rój-Kordyjewicza, chciał się zemścić na Heńku.

Najpierw miał to być jakiś prosty rewanż – nasłanie kontroli skarbowej, porwanie i pobicie, jak to się zdarzało z nielubianymi przez oficerów politykami i publicystami, nękanie przez policję albo wszystkie te trzy rzeczy naraz. Szybko się jednak zorientowali, z kim mają do czynienia, i tu otworzyła się niespodziewana okazja utracenia karier kapitana Beniowskiego i majora Żychonia. Wyjazd Heńka im to ułatwił, bo uwiarygadniał ich podejrzenia, wiadomo, skoro jest niewinny, to dlaczego ucieka, czemu się ukrywa? Byli cierpliwi, czekali na coś, co im pomoże, pisali te swoje raporty i analizy. Aż się doczekali, wybuch wojny domowej w Hiszpanii i tajna sprzedaż broni dla republikańskiego rządu pomogły im przygotować szatański plan.

Kapitan Edward Rachoń wpadł na pomysł zorganizowania przykrywkowej grupy, wpadł, rzecz jasna, za sprawą swojego przełożonego, majora Stefana Rój-Kordyjewicza. Genialny plan przerzutu broni do Hiszpanii opierał się na warszawskiej firmie Towarzystwo dla Handlu Zagranicznego Bałtyk – Świat, która była przykrywką dla wywiadowczych interesów kapitana Juliusza Beniowskiego. Jako jego współpracownicy w tej eskapadzie pojawili się Leszczycki i Wcisło-Haas. Obaj byli prowadzeni przez Beniowskiego i obaj mieli kompetencje – Leszczycki handlował bronią i miał rozległe kontakty, Heniek zaś miał dobrze zalegalizowany amerykański paszport oraz posiadłość ziemską w Hiszpanii. Trzeba przyznać, że wprowadzenie do gry męża i kochanka Ireny Leszczyckiej świadczyło o tym, że któryś z tej trójki miał swoiste poczucie humoru.

Ten pomysł się spodobał szefowi Dwójki pułkownikowi Pełczyńskiemu, ale wtedy swoje wątpliwości zgłosił bezpośredni przełożony kapitana Rachonia. To były oczywiście drobne wątpliwości, które należało rzecz jasna sprawdzić, ot zwykła procedura, a robotę tę wykonał porucznik Witek. To była gigantyczna praca, by w tak krótkim czasie przeświecić niepewne ogniwo, czyli Henryka W.-H.

Sprawa jest poważna, bo chodzi o przyszłość polskiego przemysłu, o miliony dolarów, o reputację państwa, zatem trzeba było jeszcze kogoś, kto by się nad tym pochylał. Jakaś, zapewne nieprzypadkowa, inspirowana przez Rój-Kordyjewicza osoba wpadła na pomysł, by wypowiedział się na ten temat ktoś, kto jest nieco z boku, i nie ma przydziału.

Byłem idealny! – pomyślał Sokołowski. *Bo Rój-Kordyjewicz wiedział, że byłem obserwatorem powrotu rotmistrza Sosnowskiego.* Dziwnym trafem, mimo że był teraz w rezerwie kadrowej, płynęły do niego informacje dotyczące położenia byłego kierownika placówki In-3, który od momentu przekroczenia granicy

przebywał w nieformalnym areszcie. Bez kontaktu z kimkolwiek przetrzymywano go w zaimprovizowanej celi, która znajdowała się w pałacu Saskim! Na co więc mógł liczyć Heniek po powrocie do Polski, jeśli nie na podobne traktowanie? Czego się po nim spodziewali: że wyczuje koniunkturę i się do nich przyłączy czy może... Czy może na to, że powie o tym Beniowskiemu!

Każde rozwiązanie było dla nich idealne:

1. Henryk Wcisło alias Haas wraca i zostaje zatrzymany na granicy, po czym natychmiastowo osadzony w jakimś tajnym areszcie. Byłoby jak z Sosnowskim – cokolwiek by powiedział, byłoby podważane. Sytuacja trwałaby w nieskończoność, kompromitując oficerów, którzy wyznaczali mu zadania, czyli kapitana Beniowskiego i majora Żychonia.

2. Henryk Wcisło alias Haas pozostaje za granicą, a wtedy napisanie każdej bajki na temat jego oraz Beniowskiego i Żychonia jest możliwe.

3. Henryk Wcisło-Haas po korzystnej opinii majora Sokołowskiego dołączony zostaje do zespołu Beniowskiego, a wtedy... Punktu trzeciego nie będzie, bo przecież najpierw trzeba wyjaśnić wszystkie wątpliwości i w ten sposób wracamy do punktu pierwszego. A jeśli Beniowski w trosce o jego bezpieczeństwo odmówi? Wtedy znajduje zastosowanie punkt drugi.

I tak źle, i tak niedobrze...

Było pół do trzeciej, kiedy major Sokołowski wszedł do skrzydła pałacu Saskiego, w którym urzędowała Dwójka. Wieść o tym błyskawicznie dotarła do majora Rój-Kordyjewicza i jego współpracowników. Spodziewali się, że Sokołowski już nie przybędzie, bo żeby sporządzić opinię do raportów, nad którymi tak długo pracowali, żeby skomentować te tomy analiz, pod którymi podpisał się porucznik Witek, trzeba by tu przybyć z samego rana, tymczasem on wszedł spokojnym krokiem, mimo że do spotkania z szefem wywiadu pułkownikiem Pełczyńskim zostało już tylko pół godziny. Lekceważenie czy jakieś wariactwo?

Sokołowski wszedł do wyznaczonego mu pokoju, usiadł przy maszynie do pisania i zaczął stukać w jej klawisze z wielką wprawą. Oficer, a pisał tak, jakby był doświadczonym maszynistą, w dodatku nie przepisywał rękopisu, tylko, korzystając z notatek i szkicu, walił prosto z głowy.

Dla wielu oficerów stworzenie w tym tempie dokumentu tak szczegółowego

było ponad możliwości, a już na pewno żaden z nich nie zrobiłby tego w tak drobiazgowej i wybornej literacko formie, ale o Sokołowskim mówiono, że gdyby tylko chciał, to byłby pierwszym literatem wśród szpiegów i pierwszym szpiegiem wśród literatów. I może tak będzie, ale nie pod jego nazwiskiem, u Wańkowicza w Roju była już złożona jego powieść.

Wnioski końcowe

Kapral rezerwy Henryk Wcisło, posługujący się paszportem amerykańskim, wystawionym na nazwisko Henry Haas (w dalszej części dokumentu H.W.-H.) jest dla nas osobą idealną do wzięcia udziału w delikatnej misji, jaką jest sprzedaż i dostarczenie broni do kraju, który objęty jest zakazem Ligi Narodów.

Znajomość języków – biegła w mowie i piśmie niemieckiego oraz angielskiego, dobra języka rosyjskiego, znajomość kultury amerykańskiej pozwalająca H.W.-H. nie na granie, ale na bycie Amerykaninem lub, jeśli zajdzie taka potrzeba, Niemcem. Powyższe umiejętności oraz udowodnione już wcześniej spryt i odwaga powinny wziąć górę nad kontrowersyjną przeszłością H.W.-H. i sprawiają, że jego osoba wydaje się wręcz idealna do tego zadania, zwłaszcza pod sprawdzonym już wcześniej kierownictwem kpt. J. Beniowskiego oraz z udziałem znanego na międzynarodowych rynkach handlu bronią inż. W. Leszczyckiego.

Opiniuję pomysł kpt. E. Rachonia pozytywnie, acz nie bez uwag i propozycji pewnych modyfikacji...

Stukał tak, aż na zegarze wskazówka pokazała, że do godziny trzeciej po południu zostało pięć minut. Major Sokołowski odcisnął wtedy ostatnią czcionkę, wyciągnął papier z maszyny, po czym wyjął wieczne pióro i złożył odręczny podpis.

Poszedł z raportem do pułkownika Pełczyńskiego, za minutę trzecia po południu zameldował się w sekretariacie i po chwili stał przed biurkiem szefa wywiadu.

– Jaka jest pańska opinia? – zapytał pułkownik Pełczyński, chociaż trzymał w ręku pismo Sokołowskiego, jakby chciał sprawdzić, czy to, co mówi, jest zgodne z tym, co napisał, jakby nie dowierzał temu, na co patrzy.

– Proponowany przez kapitana Rachonia na kierownika tej grupy kapitan Beniowski to postać kontrowersyjna, ma więcej przeciwników niż zwolenników, ale w przeciwieństwie do rotmistrza Sosnowskiego wciąż robi swoje, z kolei

Wcisło-Haas... – Sokołowski miał to przemyślane, ale mimo wszystko chciał jeszcze w ostatniej chwili dobrać lepsze słowo i stąd wyszła teatralna pauza – to nie jest chłopak siłą oderwany od pianina. – Wpadło mu to do głowy w ostatniej chwili, był to bon mot używany przez Jacka Chadzińskiego, znajomego trenera boksu z klubiku z przedmieścia, kiedy opowiadał o swoich podopiecznych. – Ale to nasz chłopak! Z kolei inżynier Leszczycki... Być może porucznik Witek jest jeszcze młodym idealistą, ale ja nie znam aniołów, którzy trudniliby się handlem bronią. To specyficzny, jak to mówią Anglosasi, business, w którym najbardziej wiarygodni są ci ludzie, z którymi powinniśmy robić interesy, ale na pewno nie oddawać im za żony nasze córki.

– Zatem podtrzymuje pan swoją opinię? – Pełczyński trzymał spisane przez majora papiery w taki sposób, jakby na słowa zaprzeczenia gotów był je podrzeć, by sprawa przestała istnieć.

– Jak najbardziej i, mówię to z całą stanowczością, mógłbym się ponownie, jeśli takie jest życzenie pana pułkownika, podpisać pod nią moim imieniem i nazwiskiem! I wyrażam chęć wzięcia za nich pełnej odpowiedzialności. Za nich i za całą akcję. Podpis jest złożyć łatwo, ale kierować o wiele trudniej, panie pułkowniku!

Pełczyński wstał od biurka i wyciągnął dłoń do Sokołowskiego.

– Poprowadzi pan jedną z części akcji „Urugwaj”, gratuluję panu! Zaraz wydám panu pisemne rozkazy i udzielię wszelkich pełnomocnictw.

– Także wycofania z granic rozkazu o zatrzymaniu Henryka Wcisły alias Haasa?

– Oczywiście, tylko skąd pan wie, panie majorze, że wydano taki rozkaz?

– Skoro raport sporządzony przez porucznika Witka został potraktowany serio, musiałem się bowiem do niego ustosunkować w mojej opinii, to znaczy, że były poważne wątpliwości co do jego osoby, zatem było nie tylko wysoce prawdopodobne, ale i wręcz oczywiste, że jeśli będzie chciał wrócić do Polski, to należy go niezwłocznie zatrzymać do wyjaśnienia. Jak rozumiem, mianowanie mnie na szefa grupy specjalnej w akcji o kryptonimie „Urugwaj” oznacza zatwierdzenie całego składu osobowego, w tym także kaprała rezerwy Henryka Wcisły i kolejnej zaproponowanej przeze mnie osoby.

– Zgadza się i nawet jeśli mamy pewne wątpliwości co do Henryka Wcisły vel Haasa, to górę biorą aktualne potrzeby Oddziału II Sztabu Generalnego oraz dobro ojczyzny!

– Dziękuję, panie pułkowniku. – Major uścisnął rękę przełożonego, strzelił

obcasami szklanek i wyszedł z gabinetu.

Pełczyński sięgnął po telefon, by poinformować, Rój-Kordyjewicza, Rachonia i Witka o swojej decyzji.

W redakcji „Polski i Świata” zadzwonił telefon. Po chwili był przy nim zawezwany przez sekretarza redakcji reporter Jarosław Mizerski, a kiedy usłyszał znajomy głos, poczuł wielkie emocje.

– Na rozkaz, panie radco – powiedział konfidencjonalnym szeptem.

– Czytał pan? – pytanie było ostre, jakby profesor w gimnazjum pytał o zadaną lekturę.

– Od razu to zrobiłem! – odpowiedział głosem pilnego ucznia z nutką służbistości plutonowego rezerwy.

– Spalił pan notatkę? – pytanie żądało zdecydowanego potwierdzenia lub potwierdzenia.

– Niezwłocznie, panie radco! – Tu już był stuprocentowy rezerwista powołany na manewry.

– I tak samo niech pan o wszystkim zapomni. – Jeśli coś mu się do tej pory wydawało wypowiedziane twardym głosem, to się mylił, dopiero ta wypowiedź była twarda jak stal.

– Słucham? – Mimo wszystko Mizerski postanowił się upewnić.

– Proszę o wszystkim zapomnieć, to jest teraz tajemnica państwowa, rozumie pan?

– Rozumiem – powiedział z żalem Mizerski, który miał nadzieję, że stanie w pierwszym szeregu walki z bezprawiem.

– A w sprawie rejsu Batorym...

Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał dalsze słowa, był dalej w grze, popłynię, zobaczy wielki świat!

Major Wincenty Sokołowski położył na szalę bardzo wiele. Zaryzykował przerwanie dość luksusowej i zarazem bezpiecznej przygody, jaką była działalność w roli dyplomaty. Nigdy nie wpadł, ale gdyby to się stało, to na pewno tajna policja czy kontrwywiad nie posunęłyby się tak daleko, by zapłacić za szpiegowanie głową. Teraz miał wyjść ze szpiegowskiej cieplarni i stać się

kimś zupełnie innym. Przecież nie weźmie udziału w tej delikatnej misji jako dyplomata i oficer wojska polskiego. Fałszywe dokumenty, nowa tożsamość, zapewne także nowy wygląd. W przeciwieństwie do wielu kolegów prezentował się dobrze zarówno w mundurze, jak i w cywilnym ubraniu. Nie był przywiązany do uniformu, po którego zdjęciu niektórzy oficerowie czuli się, jakby chodzili w dezabilu, zachowywali się cokolwiek pokracznie, trochę tak jak rekrut wsadzony w mundur i obciążony plecakiem, pasem z ładownicami, karabinem i hełmem. Ale to był najmniejszy problem, bo chodziło o akcję wartą miliony, reputację Polski i jego własną oraz, kto wie, być może zdrowie, a nawet życie. Znudziło mu się wygodne życie? Zabrakło mu emocji, które dały mu służba w POW, wielka wojna i walki z bolszewikami? A może chciał swoją decyzją uwiarygodnić tych dwóch. Co im groziło, co by się stało z tym apaszem, który się wybił na wielkiego pana i z Beniowskim, którego działania oceniano jako co najmniej kontrowersyjne?

A teraz co na to wszystko powie Beniowski? A może uzna, że lepiej nie wykonywać rozkazu, tylko spieniężyć jeden z licznych przykrywkowych interesów? Pieniądze na rozruch dała Dwójka, teoretycznie jako jej oficer był ledwie depozytariuszem, ale w papierach figurował on! To, co mówili o nim wrogowie, którzy chcieli go wysadzić z siodła i ukarać, nie było prawdą, ale co będzie, jeśli poczuje się osaczony i niezdolny do obrony swoich racji? Może wtedy zrobi to, czego od niego oczekiwali – zerwie z Dwójką i sprzeda zapisane na niego firmy. Nie chciało mu się w to wierzyć, ale musiał założyć każdy możliwy wariant.

Major chciał niezwłocznie się z nim spotkać, ale nie udał się ani do jego oficjalnego mieszkania, ani do konspiracyjnego, ani też do firmy. Pojawienie się oficera szwoleżerów byłoby z pewnością nie tylko zauważone, lecz także zapamiętane. Pojechał więc tramwajem w Aleje Ujazdowskie, żeby się przebrać w cywilny strój. Ludwika się ucieszyła, że po kilku dniach niemal nieprzerwanej pracy w końcu wcześniej wrócił do domu. Radość ustąpiła jednak rozczarowaniu; jej mąż przebrał się w garnitur i udał się jak zwykle na bardzo ważne spotkanie.

Byli kiedyś kolegami, krótko współpracowali ze sobą na Śląsku, jeszcze przed wybuchem trzeciego powstania. Potem obaj byli w dywersji, w tej samej jednostce w Grupie Wawelberg, ale od tego czasu ze sobą nie pracowali i nie utrzymywali kontaktów towarzyskich. Tamtych kilka dni szpiegowskiej roboty

było jednak intensywne i dramatyczne, a ich współpraca umożliwiła nie tylko wykonanie zadania, lecz także wywiezienie całych tyłków z powrotem do Polski. Wtedy sobie ufali, ale było to piętnaście lat temu. A przecież bywa, że ludzie się zmieniają. Poczł jakby ukłucie, które wywołała wątpliwość. Nie zgodził się z oskarżeniami, które były wysuwane przeciwko Juliuszowi Beniowskiemu, ale może to on się mylił, a nie oni? Sprawny oficer, skuteczny, ale czy uczciwy człowiek? Ludzie się zmieniają...

Co będzie, jeśli stanie okoniem? To nawet byłoby nie najgorsze rozwiązanie, bo najgorszy byłby fałszywy entuzjazm, a po nim jakaś niespodziewana wołta. Trudno, podjął takie, a nie inne ryzyko. Z raportów wynikało, że był w Warszawie, miał także instrukcję, by być pod telefonem, nie wyjeżdżać z miasta. Kapitan Juliusz Beniowski miał dużą samodzielność i tego rodzaju dyspozycje wydawano mu niezwykle rzadko. A jeśli nie miał czystego sumienia, przecież w parę minut wszystko się mogło zmienić! Mógł pójść na Dworzec Główny i pojechać koleją, mógł pojechać na Okęcie i polecieć w świat, zresztą z Pola Mokotowskiego też mógł to zrobić jakąś awionetką. Możliwości było wiele.

– Dzień dobry, Wincenty Sokołowski do dyrektora Beniowskiego.

Dziewczyna spojrzała najpierw na niego, a następnie w leżący na biurku notes. Minę zrobiła, jakby się przesłyszała, ale chciała się jeszcze upewnić, zerkając w notatki, zmarszczyła na moment brwi i zwróciła wzrok na majora.

– Na dzisiaj nikt nie był umawiany, a może na inny dzień, może na przyszły tydzień?

– Droga pani, ja nie byłem umówiony, ale z pewnością pan dyrektor mnie przyjmie, co więcej, będzie rad zobaczyć mnie po latach! – Uśmiechnął się czarująco do pięknej sekretarki Beniowskiego.

Mogła skorzystać z telefonu, aparat stał na biurku, ale wstała zza biurka i poszła do gabinetu. Czyżby miała takie instrukcje, by informować go o nieznanym sobie, nieumówionych gościach, czy też sama uznała, że jest w nim coś niepokojącego?

Zniknęła.

Wróciła po dłuższej chwili.

– Pan dyrektor prosi pana – powiedziała nieco obrażonym tonem, jakby była zła, że nie miała racji.

Gabinet był w wieży kamienicy, a biurko stało w wykuszu, było solidnie, zasobnie, ale bez niepotrzebnych elementów mających wykazać pozycję

i majątność gospodarza. To dobrze – pomyślał Sokołowski. Ale źle, że Beniowski nie wykazywał jego przybyciem większego entuzjazmu.

Po powitaniu Sokołowski położył na blacie biurka Beniowskiego gazetę, kapitan wziął ją w ręce, rozpostarł i się zaśmiał.

– „Echo de Paris”! Niech zgadnę, o co chodzi. Czy niegasnące echa wyników gonitwy o Prix de l’Arc de Triomphe? Charlie Elliott wziął pierwsze miejsce po raz drugi z rzędu, nie ma to jak angielscy dżokeje!

– Mnie jako kawalerzystę bardziej zajmuje Grand Steeple-Chase de Paris, ale dobrze wiesz, że o nie koniach przyszedłem rozmawiać.

– Trochę i o koniach, bo Elliott dosiadał Corridy, cóż za koincydencja! Bo my też mamy korridę, o tu: „Szereg niepokojących pytań”! Zajmujący artykuł o tym, jak dziesiątego października w Gdańsku na grecki statek Bokantia załadowano jedenaście polskich czołgów i dwieście czterdzieści tysięcy granatów, a wszystko to dla Meksyku. Oficjalnie dla Meksyku, bo pismak został zainspirowany przez Niemców, którzy podsunęli mu kłamliwą wiadomość, że to nie Vera Cruz, ale jeden z hiszpańskich portów jest miejscem docelowym, a broni używają republikanie. Nie dość, że to łamanie embarga, to jeszcze nie na korzyść generała Franco. Pałac Brühla powinien interweniować – powiedział ze świętym oburzeniem. – A tymczasem to nasz ambasador został zawezwany na rozmowę przez włoski sztab generalny, pewnie po to, by powiedzieć, że Polska, która wspiera czerwonych, będzie mieć na sumieniu załogi okrętów, które poślą na dno torpedy z włoskich łodzi podwodnych. To miłe, że nas uprzedzają, ale źle, że uwierzyli w to ohydne kłamstwo – rzucił gniewnie i kontynuując swój teatralny gniew, cisnął gazetę na blat biurka. – Zapewne chcesz mi powiedzieć, że mam ruszyć do Gdańska i zbadać, kto i jak nakręcił tę aferę? Znow Dwójka nie ma zaufania sama do siebie i chce wsparcia ze strony najbardziej utajnionych oficerów?

– W zasadzie masz rację... Tak, ten artykuł nie trzyma się kupy, bo statek nie nazywał się Bokantia, tylko Azteca i nie odplynął z Gdyni, tylko z portu Gdańsk-Westerplatte. Nie ma też w nim tego, co dla Polski najważniejsze, to znaczy sumy, na którą opiewało zamówienie...

– Milion, dwa? – Beniowski bawił się licytacją.

– Grubo ponad sześć. Sześć milionów złotych – doprecyzował Sokołowski.

– No to się zgadza, bo ja liczyłem w dolarach. – Beniowski chciał być koniecznie górą.

– A teraz do sedna sprawy! Trzeba te transporty tak organizować, żeby nie

było takich wpadek, nie będę stopniował napięcia, w zespole „Urugwaj” szefem będę ja, a ty moim zastępcą. Nie będę ci teraz tłumaczył, niemniej to ty miałeś kierować, ale tylko po to, by cię mogli utopić, i to w towarzystwie. Musiałem to firmować, żebyś nie został sąsiadem rotmistrza Sosnowskiego.

– To twoja akcja? – upewnił się kapitan Beniowski, a Sokołowski przymknął oczy, potwierdzając, że tak w istocie jest. – A dobór ludzi, czy mogę kogoś proponować?

– Jestem ciekaw – uśmiechnął się major. – Ale pod warunkiem, że zaczniemy formowanie naszej grupy od twojego starego znajomego... – Major zrobił pauzę, dając czas kapitanowi na dokończenie myśli.

– Wcisło... – powiedział z zadowoleniem Beniowski, po czym dodał: – tylko który cię interesuje? Heniek, Heinrich czy Henry?

– Potrzebuję przedsiębiorcy z Chicago, Henry’ego Haasa.

– Logiczny wybór.

– Dorzuciłbym jeszcze, jeśli oczywiście nie widzisz przeciwwskazań, i policyjnego emeryta komisarza Strasburgera, naszego prawie Rosjanina pułkownika Nowickiego, a także prezesa Leszczyckiego, w końcu to spec od handlu bronią, przedsiębiorca, hmmm – uśmiechnął się – nazwijmy to niezależny, choć już nie tak jak kiedyś. I nie patrz tak na mnie, przecież wiem, że go prowadzisz.

– Ależ ja wiem, że ty wiesz, ja się śmieję pod nosem, bo ten mój Heniek i żona Leszczyckiego mieli romans.

– I to nie jeden – zachnął się Sokołowski. – A ty z kolei z żoną Nowickiego.

– Niedokonany! – zastrzegł się Beniowski.

– Liczą się intencje, a twoje były jasne. Tak czy owak, kiedyś mi o tym opowiesz, bo lepiej, żebym jako kierownik zespołu wiedział, o co chodzi, tylko najpierw powiedz mi, proszę, co z Heńkiem, nikt nie wie, gdzie jest, nie ma pewności, czy będzie chciał z nami zagrać.

– Akurat pewność, że się tam z nami wybierze, mam... Nawet bez nas pojedzie do Hiszpanii.

– Bo ma tam nieruchomość?

– Nie o to chodzi, chociaż faktycznie tam przebywał...

– I w Lizbonie oraz w Helsinkach.

– Widzę, Nord, że wiesz wiele... Ale nie wszystko. Nie sądzę, byś wiedział, że przy armii republikańskiej kręci się Ladislao Novak, Polak z Argentyny. Jak się

udało ustalić Dwójce, to agent sowieckiego wywiadu, wiele wskazuje na to, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Bożyczko.

Sokołowski pokiwał głową, taka informacja gwarantowała, że Heniek pojedzie tam, nie pytając o inne szczegóły.

– Nasz wywiad jest tam taki mocny?

– Nasz wywiad nie, ale włoski tak, a to są moje najnowsze znajomości – odparł Beniowski.

– Co im dajesz w zamian?

– Obietnicę, że jeśli się dowiem o jakimś sowieckim szpiegu w Rzymie, to mój włoski przyjaciel pierwszy będzie o tym wiedział.

– Jak wygląda twój kanał informacji z Heńkiem.

– Z Heńkiem? Wy się znacie?

– Jednostronnie, powiedzmy, że przez ostatnich parę dni pracowałem z jego zyciorysem, który miał być podstawą do wydania wyroku. Był oskarżony, a cokolwiek bym zrobił, to wyrok i tak był skazujący. Tak myśleli ci, którzy ułożyli pewną intrygę, on był pierwszą kostką domina, a ty i Żychoń kolejnymi. Ale nie dałem się nabrać i gramy dalej. A teraz powiedz, jak się z nim kontaktujesz.

– Teraz? Wcale, ale wiem, że ma bilet powrotny na za tydzień i jedyne, co możemy zrobić, to oczekiwać na niego tego dnia w Helsinkach i modlić się, żeby wrócił.

– Skąd? – Poderwał się z fotela.

– Siadaj, bo to długa historia.

Sokołowski ciężko opadł na fotel, Beniowski nalał mu kieliszek wódki i zaczął opowieść.

EPILOG

Obywatel USA Henry Haas patrzył na skąpaną w wieczornym słońcu ulicę wielkiego europejskiego miasta. Była szeroka, budynki wysokie, nie brakowało zieleni, a wszystko to w momencie dnia, który nazywany jest przez artystów złotą godziną, lecz mimo to dominująca była szarość. To przez ludzi, jakichś zmęczonych, poszarzałych, wystraszonych.

Miał się zagłębić w ten szary tłum jako Niemiec, ale Beniowski wybił mu to z głowy. Niemcy wciąż tu byli mile widziani, ale nie jest ich tu aż tylu co kiedyś, kiedy jeszcze udawali przed światem, że się nie zbroją. Do tego momentu potrzebowali do tworzenia swoich wojsk pancernych i lotnictwa szkół i poligonów, ale teraz mieli wszystko u siebie. Nie przyjeżdżają już tak tłumnie, ale jako że życie nie znosi próżni, miejsce Niemców zajęli Amerykanie.

Trzy lata wcześniej Stany Zjednoczone uznały istnienie ZSRR i nawiązały stosunki dyplomatyczne. Widok Amerykanina na ulicach Moskwy nie dziwił, było ich całkiem sporo, a co najciekawsze, większość z nich przybyła, zanim zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne. Może po prostu wszyscy rewolucjoniści, naiwniacy i cymbały kochające wujaszka Stalina wyjechały do Kraju Rad, zanim USA uznały jego istnienie?

Żeby było jeszcze ciekawiej, wielu z nich znalazło się w potrzasku. Niektórzy radośnie pozbyli się paszportów, innym się przeterminowały, a najwięcej po prostu wsiąkło. Zostały skradzione, zgubione lub ordynarnie skonfiskowane. Wydawałoby się, że nad tymi nieszczęśnikami, którzy postradali paszporty i przy okazji przejrżeli na oczy, dostrzegając, że Pierwsza Ojczyzna Robotników i Chłopów nie jest rajem na ziemi, w końcu zaświeciło słońce, bo uruchomiono amerykańską ambasadę, więc można do niej pójść, wypłakać się urzędnikowi w rękaw, dostać paszport i wrócić na łono ojczyzny. Nic bardziej błędnego! To, że ambasada działała, nie znaczyło, że można było do niej dojść! To było zarezerwowane tylko dla posiadaczy ważnych paszportów, więc wielu Amerykanów, którzy odkochali się w sowieckiej Rosji zostało teraz na lodzie. Mówiono, że Roosevelt uważał, że Sowietom trzeba dać szansę, a własnym obywatelom niekoniecznie. Pojechali, zaufali, niech zostają, nie ma o kogo się

bić, w końcu nie wiadomo, czy zmądrzeli, może nie wyleczyli się do końca z myśli o komunizmie, a nawet wierzą w te niebezpieczne bzdury mocniej niż sami Rosjanie. Tak jego ekscelencji ambasadorowi zreferowano sprawę jeszcze przed wyjazdem i tak też było w rzeczywistości, o czym się szybko przekonał już na miejscu, w Moskwie.

Heniek siedział w swoim wygodnym, hotelowym pokoju, który kompletnie nie przystawał do reszty Moskwy. Metropol był elegancki, stanowił jedną z wysp normalności w tym nienormalnym świecie. Jego czas się zbliżał, przed wyjściem musiał zadbać o parę szczegółów, nie o garderobę, bo ta była w należytym porządku, lecz o pewien mały drobiazg. Z kieszeni marynarki wyjął paszport amerykański, zajrzał do środka, żeby się upewnić, czy to nie jego dokument. Nie, stanowczo nie, bo przedstawiał się jako Polak, Niemiec i Amerykanin, był Wcisłą i Haasem, ale nie zdarzyło mu się udawać kobiety. *Pięknej i młodej kobiety* – pomyślał, patrząc na fotografię zamieszczoną w paszporcie. Przyjrzał się jej raz jeszcze i raz jeszcze się zastanowił, co zrobić, by była do siebie podobniejsza. Fotografię zrobiono przed czterema laty, ale te lata były dla niej jak dekada. Będzie się martwił później, teraz musiał schować bordową książeczkę z amerykańskim orłem na okładce. Lepiej nie nosić tego bezcennego dokumentu przy sobie, ale trzeba też mieć na uwadze, że radzieccy towarzysze mogą po jego wyjściu odwiedzić pokój. Wyjął z ust gumę do żucia i przykleił paszport do dna szafy. *Dobry amerykański wynalazek* – uśmiechnął się i wyjął z papierka świeży listek. Ktoś, kto żuje, jest najbardziej wiarygodnym Amerykaninem, bardziej amerykański byłby już tylko w ubraniu kowboja. Dolary ukrył za tapetą i listwą, oczywiście nie wszystkie. Trochę pieniędzy schował pod podszewką walizki, tam na pewno będą szukać i gdy trafią na banknoty, to uznają, że znaleźli skrytkę, że przechytrzyli amerykańskiego imperialistę. Może być imperialistą – frajerem, któremu buchną banknot albo dwa, ważne, żeby nie uznali go za szpiona.

Zamknął drzwi, przeszedł obok etażnej, która rezydowała na końcu korytarza jak więzienny strażnik i pewnie zaraz poinformuje kogo trzeba, że wyszedł. Zszedł do portierni, oddał klucze i jeszcze na moment przysiadł w barze. Jak przystało na cudzoziemca, który chce kosztować moskiewskich atrakcji, uderzył wódeczkę pod kawior i dyskretnie się rozejrzał po sali. Nie spodziewał się zobaczyć nikogo, kto wydałby mu się podejrzany, po prostu chciał zapamiętać tych ludzi, może któryś z nich będzie go śledził.

Zapalił papierosa i ruszył na spotkanie, które miał umówione w parku. Już raz zrobił trasę autem, kazał się zawieźć taksówką do zoo, tam posiedział na ławce, potem zaszedł tam, gdzie ustalono miejsce spotkania, czyli na Patriarsze Prudy. Dokładnie obejrzał otoczenie stawu i parku, po czym poszedł do hotelu. Nikt go nie śledził, nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Ale był czujny, kiedy skręcił w Twerską, gdzie są witryny, przy których można się zatrzymać i sprawdzić, patrząc w odbicie szyby, zauważył, że ktoś się do niego dokleił. Może to tylko złudzenie, bo później, wykorzystując kioski z gazetami, wózki z kwasem i wodą mineralną, wszystkie miejsca, które pomagały dokonać sprawdzenia, zorientował się, że jego ogon zniknął. Raz jeszcze się upewnił, zatrzymał się przy wózku z kwasem, płacąc za kubek napoju, wypatrzył dwóch mężczyzn pasujących do stylu, w jakim się noszą wywiadowcy. Nie tylko zresztą o ubranie chodziło, lecz także o wiek, postawę, ruchy. Ich wygląd był tak oczywisty, że niemożliwe było, by ktoś wysłał takich ludzi do dyskretnej obserwacji. *A może dyskrecja wcale nie była potrzebna* – przemknęła mu myśl, która uruchomiła w jego głowie konieczność opracowania jakiegoś planu b. I to szybko, bo mężczyźni szli w jego stronę. W tej samej chwili zatrzymał się przy nim samochód, drzwi od strony pasażera się otworzyły, w Chicago byłby to koniec historii, ale tu to dopiero jej początek, nie było kanonady z thompsonów, tylko wysiadł ponadczterdziestoletni mężczyzna o siwych, niemal do skóry przyciętych włosach, o twarzy, która nie zapowiadała nic dobrego.

– *Gospodin Amerykaniec, prigłaszaju was w awtamaszину, nam nada niemnożka porazgawariwać!* – Uśmiechał się, ale jego niebieskie oczy i szrama na policzku nie miały w sobie nic wesołego.

Nie miał broni, a dwóch, w tej chwili już trzech mężczyzn, bo także uliczny sprzedawca arbuźów okazał się jednym z nich, stało obok niego w charakterystycznych pozach, jakie przybierają ludzie trzymający gotowe do błyskawicznego otwarcia noże sprężynowe.

– Porozmawiać ludzka rzecz – odpowiedział po rosyjsku i chcąc zagrać na czas, dodał: – A z kim mam przyjemność?

– To nie jest w tej chwili istotne, mojemu szefowi zależy na tej rozmowie, więc i wam, Henryku Władysławowiczu, powinno na niej zależeć.

Nic nie wymyśli. Trzech na jednego w mieście, które nie było jego miastem, bez broni i wobec ludzi, którzy wyglądali na zawodowców. Odwagi nigdy nie należy mylić z samobójstwem, uchylił kapelusza i wsiadł do samochodu. Kierowca był rudy jak mała Leopoldyna Walewska i... cholera, nie znał dziadka, a dziadek był podobno rudy.

Warszawa – Bukowina Tatrzańska 2015–2021

POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIA

W sześć lat od debiutu i w pięć od trzeciej części przygód Heńiek powraca. Tak się musiało stać, bo Państwo by mi tego nie darowali. Choć w międzyczasie popełniłem kilka ważnych dla mnie i dobrze przyjętych przez Czytelników i Krytyków książek, to jednak przy słowach pochwały zawsze padało pytanie: a kiedy Heńiek?

Odkładałem jego powrót, choć w wielu wywiadach zapewniałem, że ma on nastąpić kolejnej jesieni, z jednej zrobiło się pięć, ale przyszłej, roku 2022, trafi do Państwa ręk piąta książka z serii *Śmierć frajerom – Korrida*.

W tym miejscu należą się podziękowania ludziom, bez których by Heńka nie było – Przemkowi Schmidtowi, ojcu chrzestnemu Heńka, jego akuszerom, czyli ekipie Wydawnictwa Muza z Marcinem Garlińskim na czele, oraz obecnemu wydawcy, Skarpie Warszawskiej i jej szefowi Rafałowi Bielskiemu, który był najpierw czytelnikiem przygód Heńka i jego fanem, a teraz jest jego Wydawcą. Kłaniam się nisko redaktorce Ance Mieczkowskiej, z którą robimy wspólnie już trzecią książkę i wiele wskazuje na to, że nie ostatnią. Przez wszystkie powieści jest ze mną twórca okładek, pan Mariusz Banachowicz, serdecznie pozdrawiam i dziękuję za siedem okładek do *Śmierci frajerom* i pięć pozostałych.

Za nieustające wsparcie, słowa zachęty i pomoc, zwłaszcza tę w zakresie ochrony praw autorskich, dziękuję Pani Melanii Grygoruk! Niskie ukłony także za pomoc redakcyjną Pani Melanio. Za inspirację i pomoc w wykreowaniu jednej z najważniejszych postaci tej powieści dziękuję Vincentowi V. Severskiemu, a za internetowy Krótki Kurs Szpiegowania i niekończące się rozmowy – Piotrkowi Niemczykowi.

Ściskam całą Rodzinę, bez Was by mnie nie było, dbacie o mnie, kiedy walczę z niemocą albo przeżywam katusze finiszu. Dziękuję, Kochana Żono, dziękuję, Synowie!

Nie byłoby tej historii, a już na pewno nie byłaby ona wypełniona szczegółami, gdyby nie inni autorzy i ich publikacje. Niemal od pierwszej do ostatniej strony powracającą sceną powieści jest pałac Saski. Opisując gmach, z którego pozostała tylko część kolumnady z Grobem Nieznanego Żołnierza,

korzystałem z publikacji Joanny Borowskiej *Niezwykła historia pałacu Saskiego*. Opierając się na opisie tajemniczego zbiornika na wodę i przypuszczeniach Pani, pozwoliłem sobie wybrać wersję, według której był to basen, w którym trzymano podwodny sejf. Nie jest to nic niemożliwego, fantastycznego, skądinąd wiem, że w jednym z warszawskich banków stosuje się to rozwiązanie, a i fani serialu *Casa de Papel* mogą powiedzieć: tak mogło być!

Moi bohaterowie nie posługują się stuprocentową gwarą warszawską, lecz jej stylizacją. Chciałem zachować charakter „warsiaskiej gadki” oraz przedwojennego języka, czyniąc ten przekaz zrozumiałym dla współczesnego czytelnika. Dziękując za wszystko, co dla jej popularyzacji robią warszawski rodak z Woli Pan Janek Dziano i Trupa Teatralna Warszawiaki, odsyłam do ich prelekcji i występów oraz do klasycznej już publikacji Bronisława Wieczorkiewicza *Gwara warszawska dawniej i dziś*. To wydane przed półwieczem dzieło jest nie tylko przewodnikiem po dawnym języku, lecz także po nieistniejącym już mieście. Niezmiennie pomocne były seria *W niegdysiejszej Warszawie* Stanisława Milewskiego, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce* Moniki Piątkowskiej oraz varsawiana wydawnictwa Skarpa Warszawska, zwłaszcza dziewięciotomowy cykl *Echa dawnej Warszawy*.

Chcąc zgłębić tematy poruszone w mojej powieści polecam także książki *Warszawa miasto grzechu. Prostyucja w II RP* Pawła Rzewuskiego i *Epokę hipokryzji* Kamila Janickiego.

Przy okazji wizyty na Starym Mieście warto znaleźć czas na zwiedzanie ekspozycji Muzeum Warszawy, które zajmuje jedenaście kamieniczek Strony Dekerta i trzy ulicy Nowomiejskiej. To niejedyne muzeum poświęcone historii życia w stolicy, przy Srebrnej 12 mieści się Muzeum Woli, a przy Targowej 50/52 Muzeum Warszawskiej Pragi. We wszystkich placówkach można kupić publikacje związane z Warszawą.

Jeśli jakiś research był wyłącznie przyjemnością (choć nie dla portfela, który momentami krzyczał), to zwiedzanie paryskich knajp. Zbiegiem okoliczności zaliczyłem kilkadziesiąt wyjazdów do tego miasta, w trakcie których udało mi się zapoznać z miejscami, w których ulokowałem potem Heńka. Mimo licznych wizyt Paryż pewnie nadal byłby obcy, ale poczuć się w nim jak w domu pomogli Letycja i Mikołaj Moussettowie. Za zapoznanie się z Café Procope, najstarszym paryskim lokalem, dziękuję naszym Przyjaciołom Marii i Kacprowi Krasickim, to jedno z tych miejsc, które podobnie jak La Coupole, Café de la Rotonde i Les Deux Magots warto odwiedzić, czyli nie bacząc na chudnięcie portfela, najeść się! Do Les Deux Magots trafiłem dokładnie jak Heniek – padało i trzeba się było

gdzieś ukryć przed deszczem! Z kolei ulubiony lokal Heńka, a także i nasz, Żony i mój, to Bistrot Paul Chêne przy rue Lauriston 123. Lokal wprawdzie stary, ale jednak nie na tyle, by pamiętać tamte czasy, niemniej prawdą jest, że babcia właściciela była Polką, a kaczkę confit podają tam doskonałą. Tak jak Heńka za pierwszym razem Paryż mnie nie podbił, ale może dlatego, że byłem wtedy po to, żeby zobaczyć Chicago Bulls i Michaela Jordana. Za jakimś szóstym, siódmym razem przestałem się tam czuć jak turysta i zawsze chętnie wracam pod wieżę Eiffla, ale kibicem PSG nie zostanę. To chyba jedyne miasto, w którym nie ciągnie mnie na piłkarski stadion. Tak jak nie trafiłem na Stade de France ani Parc de Princes, nie miałem też okoliczności wizyty w kabarecie. Pociągają mnie inne formy widowiska, dlatego musiałem odtworzyć nastrój tych miejsc, korzystając z pracy *Kabaret* Lisy Appiganesi.

Dziękuję Sylwii Zientek za podpowiedź, czyj obraz mógłby podarować Heńkowi Aleksander Nowicki (plótno René Magritte'a pojawi się jeszcze w tej serii), a także za jej książkę *Polki na Montparnassie*.

Zbieranie informacji o Wolnym Mieście Gdańsku uprzyjemnili mi Krzysiek Skiba (w końcu zasiada w szacownym ciele, jakim jest Rada Kultury Gdańska), Eliza Wasielewicz z Retro Tour Gdańsk oraz Arkadiusz Onasch, właściciel Winnego Grona, czyli spadkobierca tradycji manufaktury nalewek z Domu pod Łososiem. Kłaniam się także pozostałym znajomym danzigerom – rodzinom Pawłowskich i Budzanowskich.

Fragmety dotyczące Chełma i rozgrywające się w tym pięknym mieście to efekt długoletniej współpracy z Biblioteką Miejską imienia Marii Orsetti, profesjonalnego zaangażowania i zwyczajnej ludzkiej życzliwości jej Dyrekcji i Pracowników. Dziękuję Państwu serdecznie, zwłaszcza Tomkowi Moskalowi, chełmskiemu Mistrzowi Ceremonii, który jest popularyzatorem kultury, dziennikarzem, konferansjerem, organizatorem i przede wszystkim kumplem, z którym można spędzić czas na niekończących się dyskusjach. Osobne podziękowania należą się Zbigniewowi Lubaszewskiemu, szefowi chełmskiego PTTK, który cierpliwie odpowiadał na moje pytania i poświęcił mi swój cenny czas. Chełmskie podziemia kredowe można zwiedzać. Trasa, która ma dwa kilometry, jest pozostałością po czterdziestu kilometrach korytarzy, do których prowadziło przynajmniej osiemdziesiąt szybów znajdujących się w kamieniczkach okalających rynek (dzisiaj plac Łuczkowskiego).

Ustępu o Mosze Sajkiewiczu, który marzy o pisaniu na maszynie, nie byłoby, gdyby nie Lubelski Ośrodek Brama Grodzka i jej placówki: Teatr NN oraz Dom Słów. Każda wizyta w tym miejscu pobudzała wyobraźnię i dostarczała

niezbędnej wiedzy.

Teraz pora wspomnieć słów kilka o miejscach i postaciach historycznych występujących w powieści. Trzej cywile, którzy pracowali niedaleko Sokołowskiego, to oczywiście matematycy kryptolodzy: Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygański, ludzie, którzy rozpracowali Enigmę.

I drugi biegun historii: Maniek Buc nazywał się Marian Brzeziński i faktycznie bronił się przed bandyką dintojrą w szpitalu.

Skoro mowa o postaciach historycznych i fikcyjnych – trójka oficerów z referatu Wschód, która dążyła do upadku majora Żychonia, kapitana Beniowskiego i Heńka, została przeze mnie wykreowana, ale inspirowałem się postaciami prawdziwych osób. W rzeczywistości oficerami, którzy podważali rzetelność Jana Żychonia byli kpt. Jerzy Niezbrzydcki i mjr Tadeusz Nowiński. Bardzo pomocne okazały się artykuły prof. UJD w Częstochowie Roberta Majznera: *Mjr Jan Henryk Żychoń a „afery Sosnowskiego” – drugi kanał inspiracji?*, „Dzieje Najnowsze”, R. LI – 2019, 1 i Marka Świerczka: *Po drugiej stronie lustra*, „Przegląd bezpieczeństwa wewnętrznego” 9/13 (artykuły dostępne w internecie) oraz biografia *Major Jan Henryk Żychoń oficer wywiadu 1902–1944* Joanny Bochaczek-Trąbskiej (wydawnictwo Napoleon V 2012).

Sugestywne opisy nocnego życia sfer rządowo-wojskowych zawdzięczam lekturze wspomnień dyplomaty Stanisława Korwin-Pawłowskiego, w jego *Wyścigu z życiem*, który bardziej poświęcony jest opisom Bliskiego Wschodu, znajdują się także niezwykle barwne scenki z nocnej Warszawy. Autor opisuje styl życia elit ze szczegółami i niesłabnącym zdziwieniem, ma bowiem wyostrzone spojrzenie, większość czasu spędza bowiem na Bliskim Wschodzie, w Warszawie i Polsce był tylko gościem. Restauracja z Alej Ujazdowskich 22 u Korwin-Pawłowskiego występuje jako Ritz, z kolei inni autorzy tytułowali ją Rytzem, a w spisie przedsiębiorstw warszawskich znalazłem nazwę Rydz. W każdym razie była w miejscu, w którym znajduje się obecnie restauracja gruzińska, którą szczerze polecam, ale nie dla wydumanej elegancji i ekscesów, lecz dla znakomitego jedzenia i atmosfery. Zawsze można zarzucić, że za bardzo zaufałem jednemu autorowi, ale informacje o hulankach elit powtarzają się w wielu wspomnieniach. O stosunku oficerów Wojska Polskiego do policji oraz o przypadkach rażącego braku poszanowania dla praworządności i dobrych obyczajów pisał też prof. dr hab. Robert Litwiński w pracy *Korpus policji w II Rzeczypospolitej*. Generał Olgierd Pożerski, który poległ w trakcie bankietu po manewrach nie jest postacią fikcyjną. Tak było i faktycznie prezydent pośmiertnie go awansował.

Zapewne sądzą Państwo, że epizod wyścigowy, w którym pokazany jest przekręt, jest historyjką z kluczem, przez lata bowiem zajmowałem się zawodowo piłką nożną i stąd Kosiorek puentuje oszustwo słowami: *Mam nawet pewne podejrzenia, co do pewnego fryzjera, który w kółko goli frajerów.* Nie, nie chodziło o żarcik z działacza Amiki Wronki Ryszarda F. pseudonim Fryzjer, bo całą sprawę przedstawiłem jeden do jednego, bez przeskalowania. Nie zmienia to faktu, że podsumowanie afery, jakie zamieściła prasa, dedykuję niez mordowanemu autorowi bloga „Piłkarska Mafia”, dziennikarzowi i kolekcjonerowi płyt, Dominikowi Pankowi.

W aferze tej brali udział Bolesław Zganiacz, właściciel zakładu fryzjerskiego pod firmą: „Bolesław” przy ul. Złotej 44, Jan Podgórski, Julian Ukraińczyk, b. właściciel stajni wyścigowej. Ostatni trzech byli pośrednikami między Rakowerem i dżokejami.

Banda ta dostarczyła dżokejom pieniędzy oraz środków podniecających na konie. Narady bandy odbywały się w zakładzie fryzjerskim Zganiacza. Wszyscy oni zostali aresztowani.

Tak pisał IKC z 12 listopada 1932 roku, a Warszawiaków ubawi fakt, że przedwojenny Fryzjer urzędował pod jednym z najdroższych adresów stolicy, przy Złotej 44. Nie udało się ustalić, czy Julian Ukraińczyk miał coś wspólnego z Juliuszem Ukraińczykiem, tajemniczym menedżerem, który zorganizował reprezentacji Warszawy występ w meczu otwarcia stadionu Camp Nou w Barcelonie (1957).

Może to będzie zaskoczenie, ale ryczący z mieszkania na Nowym Świecie 36 lew Aryman istniał naprawdę. Przez dwa lata gazeta „Nowiny Codzienne” opisywała jego perypetie, w tym także relacje ze spraw sądowych, jakie wytaczano jego właścicielce Jadwidze Szatkowskiej. Dziennik informował o decyzji sądu, który na podstawie paragrafu 232 – trzymanie dzikich zwierząt bez należytego dozoru – nakazał eksmisję lwa. Jadwiga Szatkowska długo nie mogła się pogodzić z decyzją sądu XV okręgu, utrzymując, że jest to łagodne zwierzę, ale ostatecznie wyprowadziła się z lwem do Milanówka (ulica Zachodnia 32). Tam nowy lokator wzbudził przerażenie sąsiadów, którzy założyli sprawę w sądzie. Sprawa nie miała happy endu, bo wielki kot zakończył swój żywot, co prasa skwitowała tytułem *Lew salonowy zdechl.* O niezwykłym lokatorze z warszawskiego Nowego Świata i ulicy Zachodniej w Milanówku pisał także łódzki „Głos Poranny”, który poinformował, że ekscentryczna posiadaczka lwa była żoną inspektora lasów.

Zjazd Językoznawców Narodów Ujarzmionych ZSRR, który współorganizował pułkownik Nowicki, odbył się w Warszawie na przelomie

maja i czerwca 1936 roku. Ruch prometejski był ważnym, przynajmniej w teorii, składnikiem polityki zagranicznej II RP. Nie spełnił jednak pokładanych w nim nadziei, pozostając bardziej tworem teoretycznym niż praktycznym narzędziem. Na frontach kreowania nowych nurtów polityki zagranicznej, propagandy i wywiadu górą był Związek Radziecki, o czym świadczyły wpływy Międzynarodówki Komunistycznej w całej Europie oraz brawurowa operacja Trust. Lustrzanym odbiciem jest obecna polityka budowana na micie międzymorza, który jest bardziej polityką życzeniową niż realną. W Warszawie wydawany jest półrocznik „Nowy Prometeusz”, traktujący o stosunkach politycznych, kulturowych, gospodarczych i wyznaniowych na obszarze Europy Wschodniej, Kaukazu, Azji Środkowej i basenu Morza Czarnego. Wydawcą tego specjalistycznego, analitycznego periodyku jest Studium Europy Wschodniej i Stowarzyszenie Dom Kaukaski w Polsce. Jednym ze spadkobierców przedwojennego Instytutu Wschodniego jest Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

Bandyci ze Starówki, bracia Maniek i Władek Ciechaniakowie to postacie fikcyjne, które pojawiają się w moich powieściach po raz trzeci, co z pewnością odnotowali czytelnicy *Granatowego '44* i *Wyzwolonego '45*, w których opisują ich skomplikowane wojenne i powojenne relacje z komisarzem Rybskim. Zarówno Rybski, jak i Ciechaniakowie pojawiają się w kończącej serię powieści *Odzyskany '46*, która ukaże się w sierpniu 2022 nakładem wydawnictwa Skarpa Warszawska.

Jeśli komuś z Państwa nazwisko przemytnika Kaszëby Alojza Koljaczka wydało się znajome, to znaczy, że albo czytał *Błaszany bębenek* Güntera Grassa, noblisty z Wolnego Miasta Gdańska, albo oglądał film, który na podstawie jego powieści nakręcił Volker Schlöndorff. Warto dodać, że wersja filmowa sprostowała prozie Grassa i została nagrodzona Oscarem i Złotą Palmą.

Od tego czasu minęło ponad czterdzieści lat, więc wyrosły dwa nowe pokolenia czytelników i kinomanów, którym te dzieła mogły umknąć. Serdecznie polecam, stawiając powieść Grassa na tej samej półce co *Mistrza* i *Małgorzatę Bułhakowa*, a film Schlöndorffa obok innych największych z tego okresu – *Czasu Apokalipsy* i *Ojca chrzestnego* Coppoli oraz *Taksówkarza* i *Po godzinach* Scorsese.

W tym miejscu pora (*last but not least*) przejść od słynnych twórców zagranicznych do moich znakomitych polskich kolegów – Krzysztofa Bochusa i Ryszarda Ćwirleja, którzy stają się klasykami kryminału, a także (sic!) współtwórcami tej powieści.

Krzysztofie, Ryśku! Dziękuję za udział w zabawie, bo mam nadzieję, że Państwo Czytelnicy się doskonale bawili, odnajdując postacie znane z innych serii. Jeśli nie, to nie mam wątpliwości, że bohaterowie powieści Krzysztofa Bochusa – wachmistrz Kukulka i radca kryminalny Abell – oraz Tolek Grubiński i jego poznańska ferajna, którą wykreował Ryszard Ćwirlej, zyskają nowych czytelników. Muszę w tym miejscu wspomnieć, że dziadek Ryśka wystąpił w pierwszej części *Śmierci frajerom* – to ten podoficer, który obsługuje CKM na tramwaju wjeżdżającym do Kijowa! Tak było!

Jeszcze raz dziękuję, Koledzy, mam nadzieję, że to nie ostatnie spotkanie na pisarskim szlaku!

Przez całą powieść przewijają się cytaty z Józefa Piłsudskiego oraz zwrotki alternatywnej wersji *Pierwszej Brygady*, którą w dwa lata po zamachu majowym wydrukowano w krakowskim „Głosie Legionistów”, piśmie weteranów legionów. Swoją wersję do szopki gazety „Rzeczpospolita” napisał także Tadeusz Dołęga-Mostowicz.

*Nie trzeba nam od was uznania,
Ni waszych serc, ni waszych braw.*

Nam trzeba coś do całowania

I na to mamy pełnię praw.

My Czwarta Brygada,

Dobrana gromada,

Na stos nie poszliśmy,

Bo mamy nos, bo mamy nos

oraz

Jam legionista

Rzecz oczywista

Bojowy,

Trwam na posadzce

W Czwartej Brygadzie

Czołowy.

Walczę z reakcją,

Swą dawną frakcją

Że proszę.

Uczę, doradzam,

*Gdzie mogę wsadzą
Dwa grosze.
Jedni nie chcieli Drudzy wyleli
Bez racji.
Tam byłem zerem
Tutaj pionierem
Sanacji.
Jam kolosalny
Bardzo moralny
Sanator.
Walk ideami
Z nieprawościami
Amator.
Choć w tym zawodzie
Chleb też nie bodzie –
Ma wady:
Mało go troszki
I bardzo gorzki
Chleb zdrady.*

C. hr. Zan., *Rzeczywistość urojona i rozbrojona. Wielka szopka polityczna i niepolityczna, obyczajowa i nieobyczajowa*, „ABC” 1928, nr 360 – podaję za *Parwienusz z rodowodem, biografia Tadeusza Dołęgi-Mostowicza* autorstwa Jarosława Górskiego.

1 Obecnie Jasna 26.

2 Czwarta Brygada – nowi, niezwykle oddani zwolennicy Marszałka i sanacji, którzy walczyli o pozycje zarezerwowane dla byłych legionistów, czyli żołnierzy i oficerów I, II i III Brygady Legionów Polskich.

3 Zbąszyń.

4 Refren parodii *Pieśni Legionów* stworzonej przez weteranów legionów z krakowskiego pisma „Głos Legionistów” 1928, nr 2, s. 1–2.

5 Jadwiga Zarugiewicz, matka 19-letniego Konstantego, który poległ w bitwie pod Zadwórzem.

6 *Maariw* – modlitwa wieczorna.

7 *Sziwe zicen* (jid.) – siedmiodniowa żałoba po najbliższych.

8 *Szojte* (jid.) – głupiec.

9 Ralf-stetysz – polski samochód konstrukcji Stefana Tyszkiewicza, produkowany w warszawskich zakładach K. Rudzki i S-ka.

10 Mykwa – łaźnia przy synagodze.

11 „Chelmer Sztyme” – „Głos Chełma”, żydowska gazeta wydawana w języku jidysz, w latach 1924–1939 ukazało się 729 numerów. W latach 1924–1927 wychodziła pod nazwą Unser Sztyme.

12 *Gewalt* (jid.) – biada.

13 *Fuftsik* (jid.) – pięćdziesiąt.

14 Henryk Martyna (1907–1984), kapitan Legii i piłkarskiej reprezentacji Polski. Słynął z niezwykle mocnego uderzenia.

15 *Mezanne zajn* (jid.) – kompani od stołu.

16 *Haszejm jisborech* (jid.) – Bóg niech będzie błogosławiony.

17 *Kowojd* (jid.) – honor.

18 *Darszen* (jid.) – mówić kazanie.

19 Skóra (gwarowe) – portfel.

20 Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – organizacja polityczno-wojskowa założona w 1929 r.

21 Teść majora Żychonia Paweł Kiełbasa był jednym z założycieli Ruchu Chorzów, zasiadał w zarządzie klubu i był jego wiceprezesem, był także w zarządzie tyskiej Kompanii Piwowarskiej.

22 Eka (gwara poznańska) – ferajna, ekipa.

23 Langfuhr – Wrzeszcz, dzielnica Gdańska.

24 Klub bezrobotnych (gwara warszawska) – róg, na którym stali bezrobotni.

25 Lij, U Lija, czyli restauracja Lijewskiego, mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu 8, naprzeciwko kościoła Świętego Krzyża.

26 Koń ma wielki łeb, to niech się martwi.

27 *Szahen* (jid.) – zawodowy swat.

28 Warszawski Dom Prasy przy Marszałkowskiej 3/5 – siedziba koncernu Dom Prasy SA, oraz

krakowski Pałac Prasy przy Wielopola 1 – siedziba „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

[29](#) Hundegasse – obecnie ulica Ogarna.

[30](#) Adlershorst – Gdynia Orłowo.

[31](#) Dzisiaj ulica Wartka.

[32](#) Dzisiaj ulica Szeroka.

[33](#) Hauptstraße – obecnie Grunwaldzka.

[34](#) Na świecy – na czatach.

[35](#) Heiliges Römisches Reich – Święte Cesarstwo Rzymskie, a od roku 1441 Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego.

[36](#) Bertholdsche Gasse – obecnie ulica Mieszczańska.

[37](#) Bund Deutscher Mädels (BDM) – sekcja żeńska Hitlerjugend.

[38](#) Tapiaw – obecnie Gwardiejsk w obwodzie kaliningradzkim, nazwa polska Tapiew.

[39](#) *Groch o ścianę* – tytuł rubryki Dołęgi-Mostowicza w gazecie „ABC”.

[40](#) Michał Waszyński – przedwojenny reżyser, autor około pięćdziesięciu filmów, m.in. *Profesora Wilczura*, *Znachora* i superprodukcji *Głos pustyni*. Po wojnie produkował wielkie widowiska filmowe, m.in. *Cyd* i *Upadek Cesarstwa Rzymskiego*.

[41](#) Pulman – wagon sypialny, od nazwiska konstruktora George’a Mortimera Pullmana.